

Zawrotne tempo, intrygujący bohaterowie
i nagłe zwroty akcji!



PIOTR
LANGENFELD
ZASZŁOŚĆ

PIOTR
LANGENFELD
ZASZŁOŚĆ

Dwie doby w czerwcu

*Profesorowi Piotrowi
z Podziękowaniem.*



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Epilog

Przypisy

Redakcja
Adam Podlewski

Korekta
Małgorzata Podlewska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©*nuno2200/Shutterstock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Piotr Langenfeld, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-92-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl

*Profesorowi Piotrowi
z Podziękowaniem.*

PROLOG

Noc zwijała swój ciemny parasol, szarość okrywała posępną okolicę. Słońce nie pasowałoby do nastroju ludzi w pobliżu – nie wierzyli w nadciągającą wiosnę, jakby nie miała prawa nadejść.

Teraźniejszość była wszystkim. Nie istniała daleka przyszłość. Tylko to, co za chwilę: zadanie, postawiony cel. Przeszłość też ich nie interesowała. Może kiedyś, gdy to wszystko się skończy, przyjdzie czas na przemyślenia, analizy, maskujące lęk anegdoty i żarty. Ale to kiedyś. Ważne było, że los (albo Bóg) dał im szansę na przetrwanie kolejnego dnia. Nieco więcej jeszcze czasu, by żyć.

Widok dodatkowo szpeciły słupy czarnego dymu. Dwie smoliste kolumny unosiły się ponad horyzontem na północy i wschodzie. W niewielkiej miejscowości, w normalnych okolicznościach, byłyby powodem wielkiego poruszenia. Ludzie plotkowałiby, gromadzili się na skwerach i ulicach. Robili filmy telefonami, a lokalne media prześcigałyby się w relacjach.

Ale warunki nie były normalne, gdyż trwała wojna. Miejscowi, ci z bronią lub bez niej, szybko się adaptowali. Starsi znali jeszcze sowieckie, permanentne przysposabianie do wojny. Miasteczko było puste i ciche, jakby wyludnione za sprawą czarów czy ingerencji z innych światów. Tak przynajmniej wydawało się „Amanowi”, który musiał zapoznać się z terenem.

Podporucznik ukraińskiej armii był silnym wysokim brunetem o pospolitej, ale przystojnej twarzy. Formę zawdzięczał stałej aktywności fizycznej. Nie budował mięśni na katorżniczych treningach, jak jego przyjaciele albo zagraniczni instruktorzy. Wolał poświęcać czas na to, co wydawało się bardziej przydatne: czytanie, śledzenie wydarzeń na świecie. Wybierał ciągłe samodoskonalenie, które (jak uważali jego szefowie) wyróżniało go. Potra-

fił szybko myśleć, analizować i przejmować inicjatywę. Należał przecież do elity.

Tego poranka tkwił na piętrze budynku, w którym mieścił się sklep motoryzacyjny. Utknął tam z kilkoma mężczyznami w pospolitym, nieco zagraconym mieszkaniu, teraz cuchnącym potem niemytych ciał. „Aman” rozważał wszystkie możliwe posunięcia, ewentualne błędy i reakcję przeciwnika. Miał zwyczaj analizować umysł nieprzyjaciela, ot tak, po prostu. Czuł podniecenie, potrzebę działania, jakby zapominał o lęku. Nie postępował chaotycznie, nawet w trudnych warunkach wojny, kiedy czasu dramatycznie brakowało.

– Jak w filmie o kosmitach: jakby wszystkich porwali. – Głos studenta czwartego roku matematyki wyrwał oficera z zamyślenia.

– Co mówisz? – „Aman” zmarszczył brwi pod hełmem.

– No, w tych filmach o UFO ludzi wysysa, albo sami uciekają, i trzeba z robalami walczyć w pustym mieście. – Chudy, ale krzepki młodzian zaśmiał się, a pozostali dołączyli.

„Dzieciaki, naprawdę pieprzone dzieciaki” – „Aman” omal nie wypowiedział tej lekceważącej opinii na głos. Wstydział się jednak mentorskiego podejścia. Powierzona mu drużyna była zgrana, utrzymywała wciąż mocne morale. I to nawet po kilku dniach walk, ostrzałów, nalotów, po widoku śmierci i momentach obezwładniającego czasem zmęczenia. Uczyli się, adaptowali. On sam nie był wiele starszy, różniły ich może trzy lata. Nie było czasu na prywatne pogawędki. Musiał się skupić na przekazaniu tej młodzieży wszystkiego, co wiedział o walce. I to w niesamowicie krótkim czasie i lapidarnej do bólu formie.

– Orki, orki na nich mówią – uściślił dowódca, powtarzając określenie, które usłyszał od innej grupy młokosów z gwardii narodowej. Wtedy jednak pod hełmem typu fast, w aktywnych słuchawkach podłączonych do radiostacji na kamizelce taktycznej, odezwał się głos:

– „Archanioł” do „Niebieskiego 5”!

„Aman” dał znak dłonią, aby oddział się uciszył, po czym skupił się na transmisji.

– Zgłaszam się: „Archanioł”, tu „Niebieski 5”. – Wyłapywał każde słowo, kryptonim i polecenie. – Przyjąłem, „Archanioł”. Bez odbioru. – Spojrzeniem swoich ciemnobrązowych oczu objął grupę ochotników. Czekali na wieści. Milczący, złęknieni, ale i tak niecierpliwi.

– Idą – oznajmił. Chyba im ulżyło. – Ścierwa powolne są. Ostrożne. „Archanioł” ich widzi. Nie spodziewają się. Wiecie, co robimy? – zakończył retorycznym pytaniem. Kiwnęli głowami, spoglądając odruchowo na szary, przedwiosenny widok za oknem. Każdy chciał się wykazać, popisać przed operatorem wojsk specjalnych. Poza tym chyba naiwnie wierzyli, że od tego, co robią, zależy rychły koniec wojny, niewygód i strachu.

– „Niebieski 1”. Kamaz. – Podporucznik znów przemówił do niewielkiego mikrofonu. Rzucił hasło, dał znak i dźwignął się z podłogi, podpierając karabinkiem HK. Pozostali zaczęli wychodzić. Szybko, w milczeniu, bez ociągania. Ściskali broń, pospolite AK-74 albo starsze zwykłe kałachy – AK-47. Brali ustawione pod ścianami granatniki raketowe różnych typów. Tylko kilku szczęśliwców w tej dziesięcioosobowej grupie miało zaszczyt nosić ten oręż. Reszta ich osłaniała. Miała ciskać granatami, koktajlami Mołotowa albo polować na piechotę.

Wypadli na podwórze i, jak było przykazane, rozproszyli się, kryjąc po zaśmieconym obejściu sklepu. „Aman” był zadowolony z karności wojaków, ale musiał skupić się na zadaniu. Dostrzegał jednak, że zmotywowani ochotnicy nie zawadzają i nie przeszkadzają.

Podporucznik zaciągnął haust zimnego powietrza. Pojaśniało mu w głowie. Jego podwładni nie wyglądali na wyczerpanych. Do działania pobudzała ich adrenalina. „Aman” pamiętał ten pierwszy raz, kiedy to on miał uczestniczyć w walce. W tej chwili także odczuwał działanie hormonów, ale nie był to już ten stan co kiedyś. Podporucznik przywykł i nabrał rutyny.

Na tle tych miejscowych chłopaków wyglądał bojowo i profesjonalnie. W brunatno-piaskowym mundurze, pokrytym niewielkimi pikselowymi wzorami, w zachodnim hełmie i w kamizelce kuloodpornej, objuczonej ładownicami, robił wrażenie. Tamci przypominali grupę dresiarzy obdaro-

wanych bronią. Nosili luźne spodnie, trampki, bluzy i ciepłe kurtki, we wszystkich barwach świata. Tylko kilku narzuciło na siebie coś bardziej maskującego. Co drugi miał hełm. Ale nie przeszkadzało im to.

W słuchawkach znów odezwał się „Archanioł”, który raportował „Amanowi”, gdzie jest wróg i jak się zachowuje. Podporucznik przyjął informacje i bez zbędnych wstępów zaczął tłumaczyć chłopakom, jaką mają zająć pozycję. Mieli się nie wychylać. Druga drużyna rozstawiła się dalej, za niskim czerwonym sklepem spożywczym, tuż za skrzyżowaniem.

„To wszystko jest surrealistyczne” – przemknęło przez myśl młodemu oficerowi. Nie potrafił do końca przekonać zmysłów, że to na poważnie, że to realna wojna na jego terytorium. Nawet jeżeli trwała już kilka dni, wokół wszystko wyglądało jeszcze normalnie. Domy, latarnie, ogrody, zaparkowane auta czy bilbordy przy jezdniach zdawały się tylko uśpione.

Jeden dźwięk zmałował spokój krajobrazu. Drażnił, robił się coraz głośniejszy. Metaliczny szum pracujących ciężko silników był wyraźny, zwłaszcza w ciszy świtu.

– Rozproszyc się. Kryć! – rozkazał „Aman” i sam przykucnął przy ścianie naprzeciwko parkanu. Celowniczy granatników wiedzieli, że muszą czekać. Nie mogli wyjść za wcześnie. To była nowoczesna wojna. Wróg mógł puścić drony dla sprawdzenia przedpoła.

Tymczasem hałas silników kolumny pancерnej narastał. Wypełniał podwórko, rozlewał się po miasteczku. „Aman” ledwo znosił to wyczekiwanie. Za każdym razem było podobnie. Kilka minut przed początkiem akcji wydawało się całym dniem. Zazwyczaj jednak był wśród doświadczonych, opanowanych wyjadaczy. Teraz został niańką. Bał się nie tyle o siebie i ten zaimprovizowany oddział, ale o to, że któryś skrewi i pod wpływem emocji strzeli pierwszy. Wtedy cały plan się posypie i piekło rozpęta się w okolicy.

– Spokój, panowie... – szepnął, nobiletując dzieciarnię.

– Są! – Matematyk z AK-47 prawie krzyknął i wsunął głowę w szparę w parkanie, mocno tuląc swój oręż. – Desant – dodał, ze zdziwieniem patrząc na dowódcę.

Przecież wiedział, z kim będzie się mierzyć. „Aman” utkwiał wzrok w studencie i nie mówiąc ani słowa, patrzył, póki ochotnik nie ochłonął. Potem ostentacyjnie przeładował broń.

– Spokojnie – odparł i podszedł bliżej płotu. – Będzie dobrze.

Podporucznik zajrzał przez szparę. Gdzieś dalej w końcu ulicy, pomiędzy pniami drzew i autami, mignęła kanciasta, niska sylwetka transportera. Rosyjski BMD-3 z wymalowanym białym V na pancerzu. Za nim jechał jeszcze jeden i jeszcze kolejny. Posuwały się wolno. Zdawało się – ostrożnie, ale oficer spostrzegł, że na kadłubach wozów siedzą ludzie. Zielone sylwetki spadochroniarzy, z białymi wstążkami identyfikacji na ramionach.

Ktoś szedł przodem jako szperacz, ale innych żołnierzy wokół nie było. Jechali na wozach, gapiąc się. „Nie spodziewają się nas?” – spytał „Aman” samego siebie, ale wstrzymał się z pozytywną odpowiedzią. Nie mógł nie doceniać wroga. Wiedział to z niekończących się szkoleń i z historii – pełnej opowieści o tych, którzy byli zbyt pyszni. Czekał więc na sygnał od „Archaniola”. Pociły mu się dłonie. Jak zawsze ta powtarzalność odruchów zaczynała go drażnić i śmieszyć zarazem.

Kolumna wtoczyła się na prosty odcinek ulicy. Od sklepu dzieliła ją odległość odpowiadająca szerokości placu. Gaśienice zgrzytały, skręcając na asfalcie, a podoficerowie przekrzykiwali drażniący gang silników. Kiedy byli już prawie na wprost „Amana”, coś się zaczęło. Paskudne, obezwładniające napięcie uszło z obrońców wraz z odgłosem dalekiego huk, który powtórzyło echo. „Żart, jebany żart” – młody oficer powtórzył w myśli. Był wściekły, że góra zaczęła akcję, kiedy wróg był naprzeciwko.

Kolumny były trzy. Wlewały się w miasteczko jak strumienie. Ukraińcy też mieli drony. Poza tym sporo nowoczesnej technologii, która zmieniała oblicze ich armii przez kilka ostatnich lat. Jeden specjalny, niewielki plastikowy samolocik uderzył swoim trzykilowym pociskiem w wóz gdzieś bliżej centrum. W niebo wystrzelił jeszcze jeden słup dymu. Węższy od innych, za to bardziej smolisty.

– Teraz! – zarządził „Aman” i wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Czas przyspieszył niesamowicie. Strzelec jednorazowego RPG-22 wyłonił się zza muru, taszcząc jakąś skrzynkę. Rzucił ją pod płot i odbezpieczył granatnik. Krótko celował, choć „Amanowi” zdawało się, że trwa to wieki. Już był pewien, że tamci dostrzegli zagrożenie i zaczną szatkować okolicę ołowiem.

– Wystrzał! – ostrzegł celowniczy. Pocisk syknął. Powstał obłok szarego dymu i rakietę pomknęła w stronę celu. Ułamek sekundy później zabrzmiała silna eksplozja. Drugi RPG też wypalił. Ponad płotem pojawił się dym i gwałtowny ogień. Tamci krzyczeli. Jeszcze jeden syk rakiety. Znow tąpnięcie. Wszystko drżało i wirowało.

Podporucznik zerwał się i doskoczył do skraju ogrodzenia. Widział, jak trzy BMD stają, płonąc. Rosjanie błakali się oszołomieni. Ciągłe nie rozumieli, co się zdarzyło, albo nie potrafili w dymie zlokalizować ukraińskich stanowisk. Któryś zadzierał głowę w niebo, chyba pewny, że atakują go drony.

– Ognia, panowie. Ognia! – rozkazał „Aman”.

Ulica rozbrzmiała palbą długich serii. Pociski smugowe oplotły wraki, rykoszetowały, kreśląc jaskrawe linie. Rosjanie zaczęli odpowiadać. Kule mijały się w powietrzu, kreśląc ulotne jaśniejące smugi. Rozerwał się granat. Potem drugi. Dwa pióropusze dymu wykwitły na placu i dalej, pod drzewem na trawniku. Rosjanie ciskali ładunkami na chybił trafił.

– Oszczędzać amunicję – przykazał oficer, słysząc, że ostrzał z jego pozycji nie słabnie. „Aman” skierował kolimatorowy celownik na odległą sylwetkę w zielonym mundurze. Człowiek poruszał się wolno, ociężale. Trzy strzały szarpnęły karabinkiem.

Postać zatrzymała się i padła na asfalt. „Aman” poczuł prawdziwą satysfakcję. Żołnierze kolumny przestali stawiać opór i, jeżeli jeszcze byli sprawni, szukali drogi ucieczki lub kryjówki. Niektórzy, puszczając serię dla osłony, wlekli się na drugą stronę skrzyżowania. Dwóch ciągnęło rannego kompana gdzieś w lewo. Kolejny napastnik wił się i czołgał, ale nikogo z kolegów już nie interesował. Przyciągał za to uwagę chłopaków z zasadz-

ki. Wnet obłoczki kurzu i iskry krzesane rykoszetami wykwitły w pobliżu orka. Rosjanin zgasł momentalnie.

Ostrzał stał się bardziej miarowy. Gdzieś od czoła łomotał karabin maszynowy, bardzo dobrze ukryty i już wstrzelany. Nad miasteczkiem unosiło się więcej dymu. Gdzieś huczało co kilka chwil. „Aman” wiedział, że to artyleria albo kolejne „ptaszki” dobijają ofiary.

Dwie drużyny ochotników wyżywały się na ciałach najeźdźców i ścigały kulami uciekających. Każde miejsce, w którym wróg mógł się schować, było omiatane ogniem. „Aman” powinien był sprawdzić, czy cele w pobliżu zostały wyeliminowane. Czy nie nadciąga kolejna grupa. Iść, wysłać kogoś, ale nie miał odwagi puścić któregoś ze „świeżaków” pod lufę żywych wciąż spadochroniarzy.

– Wstrzymać ogień! – rozkazał, a bitwa zamilkła. To samo polecenie porucznik wydał przez radio. Trzaskał ogień pożarów. Gdzieś syczała podpalona amunicja. Potem kilka razy wystrzeliła, ze świstem prując się od temperatury. Powietrze śmierdziało opalonym metalem. I nadpalonym ludzkim mięsem.

„Aman” wstał. Skinął ręką, żeby reszta pozostała na swoich pozycjach. Szedł ostrożnie, z bronią przy ramieniu, kierując lufę wszędzie tam, gdzie mogło czaić się niebezpieczeństwo. Gdzieś daleko echo mruczało dźwiękami innej bitwy. Nie słyszał ich wcześniej, a nawet jeśli słyszał, nie obeszłyby go.

W ciemnej mgłę dymów, rwanej czasem pomarańczowymi płomieniami, widział ciała. Jedne leżały na ziemi, inne na pojazdach. Podporucznikowi zrobiło się lepiej. Czuł satysfakcję. Podziękował Bogu za wsparcie i ratunek. Odnosili wszak kolejne zwycięstwo. Małe, ale jednak zwycięstwo.

Stanął. Pochylił się, żeby nie być zbyt łatwym celem. Przecież to wcale nie był koniec. Podbiegł do drzewa pociętego odłamkami. Machnął na swoich.

Wychodzili ostrożnie, ale z roześmianymi twarzami, widząc martwych wrogów. Tych, którzy bez najmniejszego powodu przyszli na ich ziemię.

– Rozproszyc się i uważać na niedobitki – rozkazał oficer. – „Archanioł”, tu „Niebieski 5”... – rzucił do mikrofonu. – Trzy wozy upolowane. Dwie drużyny piechoty. Może więcej. Chyba wszyscy...

– „Niebieski 5”, tu „Archanioł”. Bardzo dobrze. – Pochwała była krótka i oschła. – Bierz swoich i przemieszczaj się na północ. Więcej nie damy rady. Spotkasz się z „Białym 1”. Wyznaczą ci zadania na odcinku... Bez odbioru. – Głos majora umilkł.

Ludzie „Amana” przeszukiwali zwłoki, odpruwali naszywki elitarnych podobno spadochroniarzy.

– Pskowskie chuje... – Matematyk zamachał naszywką 76 Dywizji. Ktoś uwieczniał telefonem poboju, choć posiadanie smartfonu na wspólnym polu walki było bardzo niewskazane.

– Gratuluję! Dobra robota. – „Aman” pozwolił sobie na pochwałę oddziału. Jeszcze było za wcześnie, ale i do niego docierało, że ta grupka młokosów, przy wsparciu wojsk specjalnych, wytlukła ruską kolumnę. – Zabierać amunicję. Broń! To jeszcze nie koniec. Nie tracić uwagi! – polecił, wracając do konkretów.

To podziałało na ludzi. Poniechali śmiechów i wygłupów. Tylko klęli na martwe ciała wrogów. Wyzywali ich biedne matki, które w bezsensownej wojnie potraciły synów. Pokrzykiwali na Putina i ruskich generałów.

Zszarpywali z ramion zimne karabinki, które nie miały okazji wystrzelić. Zabierali broń z tężejących dłoni tych, którzy próbowali się bić. Znalazło się kilka skrzynek amunicji, przytroczonych do pojazdów, a także granaty i parę drogocennych wyrzutni. „Aman” popędził swoją trzódkę, co chwila nerwowo zadzierając głowę. Opadała fala chwilowego entuzjazmu. Podporucznik znał swój fach.

Tamci jeszcze byli w szoku albo już przygotowywali odpowiedź. „Aman” spodziewał się riposty.

Ukraińcy biegli. Nie mieli dość ludzi, by stale obsadzać pozycje. To zresztą było zbyt niebezpieczne. Mieli szarpać wroga, męczyć go podjazdową wojną, póki siły główne nie zorganizują zasadzki z prawdziwego zdarzenia.

Dwie ulice dalej stały zaparkowane auta. Zielone półciężarówki wojska, kilka busów i vanów należących do zmobilizowanych cywili.

– Chłopaki! Walimy na północ! – Podporucznik przekazał ogólne rozporządzenie.

Ludzie pakowali się do wnętrza bez żadnego gadania. Warknął silnik. Pierwsze auto wyrwało, syjąc ziemią. Za nimi jechały pozostałe. Musieli oddalić się jak najprędzej. „Aman” usiadł z przodu, obok kierującego.

– Północna pozycja – polecił kierowcy.

– Co, tam też leżą skurwysyny? – zagadnął młody kierowca z regularnego wojska.

– Pewnie tak. Zobaczymy... – „Aman” wyjrzał przez okno, upewniając się, że na pace auta są wszyscy.

Jeszcze dostrzegł, jak poprzedzający ich biały bus wrywa na asfalt. Warkot silnika zagłuszył świst. Pierwszy wybuch rozległ się gdzieś w okolicy skrzyżowania. Zaraz potem nastąpił drugi. Nie mieli szans stwierdzić, skąd nadchodzi atak.

„Aman” poczuł gorąco, potem podmuch. Wszystko zawirowało w obezwładniającym gwałtownym ruchu. Samochodem rzuciło na bok. Odłamki pocięły karoserię. Świat się zatrzymał i zgasł.

ROZDZIAŁ 1

Zima

Wieczór rozjaśniały latarnie usytuowane gęsto na zabetonowanym obszarze. Nadawały dziwną aurę owej mroźnej nocy. Niespodziewanie, jakby na rozkaz, w jednym punkcie pojawiła się nieprzebrana ludzka ciżba. Tłum nie pasował do tych kilku wiat, budynków i zagrodzonych szlabanami punktów kontrolnych. Hałas, jaki robiło mrowie kłębiących się ludzi, był oszalamiający. Męczył i nie pozwalał myśleć. Łatwo natomiast było poddać się nastrojowi chwili, dzielić z tłumem uchodźców emocje towarzyszące wzruszającym scenom, płaczliwym powitaniom i westchnieniom ulgi.

Jeden z mężczyzn w tym morzu ludzi pozostawał obojętny. Całym sercem radowałby się z innymi, ale musiał się skupić. Właśnie po to, żeby ich (i wielu, wielu innych) ochronić.

Zewsząd atakowały go zapachy gotowanego przez wolontariuszy jedzenia. Strawę rozdawano zziębniętym kobietom i dzieciom, których tysiące kręciły się bez celu. Ostatecznie przechwytywali ich funkcjonariusze i niezliczeni ochotnicy. Przybyszów kierowano do podjeżdżających wciąż autobusów albo prowadzono do tymczasowych noclegowni.

Gdyby nie okoliczności, całe to improwizowane obozowisko, a raczej małe miasteczko, krążący w tłumie mężczyzna porównałby do wiecu albo zgromadzenia fanów tuż przed koncertem ulubionego zespołu. Strach przybyszów ustępował, gdy spotykali się z serdecznością pojawiających się tu miejscowych. Między ludźmi wyczuwało się dobroć i solidarność. Elektryzowały i pobudzały do działania.

Od przeciwnej strony granicy, od Przemyśla ciągnął sznur aut. Dojazd rozświetlały niekończące się rzędy reflektorów. Mnóstwo ochotników wiozło jedzenie, dary albo chciało ofiarować podwózkę każdej kobiecie, choć te nie miały pomysłu, gdzie uciekać. Okrucieństwo i bezsensowność wojny, jaka wybuchła na wschodzie, obudziła w Polakach szczerą chęć niesienia pomocy.

Mężczyzna starał się zachować obiektywizm, choć nie było to łatwe. Widział wokół mnóstwo pięknych, bezinteresownych gestów. Był też jednym z niewielu w tej masie, którzy rozumieli, że nie tylko cierpienie i strach, na które Polacy zareagowali ze współczuciem i hojnością, są tu obecne. Wśród dziesiątków, setek postaci znalazły się takie, które nie uciekały przed śmiercią i wojną.

Mężczyzna przeciskał się przez tłum, starając się nikogo nie trącić, nie słuchać i, co najważniejsze, nie rzucać się w oczy. Zlokalizował zawczasu większość kamer monitoringu, ale też obserwację przygotowaną przez policję. Był ostrożny, w miarę swobodny, choć dźwigał już na plecach piąty krzyżyk. Ze swojej kondycji był niezwykle dumny. Nadal nie brakowało mu energii, by w pełni wykorzystać fizyczną sprawność. Także tego wieczora mógł uchodzić za bywalca siłowni wracającego z treningu. Był ubrany w bawełniane spodnie dresowe i windstopperową kurtkę, narzuconą na zwykłą bluzę z kapturem. Niósł niewielki sportowy plecak, z którego wystawała butelka wody i zapakowany w folię bochenek chleba. Był przecież wśród potrzebujących i musiał się uwiarygodnić.

Plecak, prócz prowiantu, zawierał coś jeszcze. Niewielki odbiornik połączony przez bluetooth z telefonem „sportowca”. Słuchawka pod polarową czapkę przekazywała z odbiornika znane tylko operatorowi sygnały. Nie należało wzbudzać podejrzeń, krążąc pomiędzy ludźmi nawet z telefonem w dłoni.

Mężczyzna przemknął między rzędami stanowisk gastronomicznych i, ponownie upewniając się, że nie przebywał zbyt długo w kadrze kamery, schował się między zaparkowanymi dostawczakami. Znalazł tu niewielką

oazę spokoju, jako że właściciele pracowali na stanowiskach pierwszej pomocy.

– Widzisz coś? – zapytał cicho mężczyzna, przykładając mikrofon do ust i łypiąc za siebie. Nie kończył połączenia zaszyfrowanego telefonu, odkąd zaczął „łowy”.

– Nie, ale jest blisko. „Pikaczu” działa – odpowiedział człowiek po drugiej stronie.

– „Pikaczu”... – Mężczyzna parsknął śmiechem na określenie ich wysublimowanego sprzętu. – Kurde, jeżeli go nie trafimy, to trzeba by wezwać drużynę.

– Chyba żartujesz? – Ten drugi chyba poczuł się dotknięty. – I ganiać po nocy za całymi konwojami dobrych wujaszków, aż do Przemyśla albo i Rzeszowa? Zapomnij. Za stary jestem. Robimy tu i teraz.

– Wiem, wiem – odparł pojednawczo mężczyzna. – Tak tylko sprawdzam cię – stwierdził i zachichotał.

Drażniły go te spacerki. Był na tyle doświadczony, by wiedzieć, że niebawem zacznie przyciągać uwagę. Nie spodziewał się jednak aż takich utrudnień.

– Dobra... Jeszcze piętnaście minut i przerwa. Potem pomyślimy, co robić – zdecydował. Kolega nie oponował. Wiedział, kto tu rządzi.

Mężczyzna w kurtce poprawił słuchawki i słuchał powtarzającego się sygnału odbiornika. Wyszedł pomiędzy samochodów. Doszedł do jezdni, zawałonej śmieciami i ciągle pełnej maszerujących przerażonych ludzi. Usiłował wyczytywać z twarzy nastroje, charaktery. Przewidywać zachowanie mijających go osób. Miał ten specyficzny dar, którego natury nie umiał określić. Potrafił wyczytać zaskakująco wiele z ludzkich oczu, mimiki. Chciał nawet opisać ten fenomen, ale porzucił badawcze plany. Zawsze coś mu przeszkadzało. Dawni i obecni kumple kiedyś się śmiali z tej umiejętności, ale potem ją docenili. Nie opowiadał wiele o tym, po prostu miał przeczucie, być może pogłębione o jakąś formę telepatii czy postrzegania pozazmysłowego. Czekał na podszepty z tyłu głowy, po czym

podążał za nimi. Podpowiedź intuicji zmieniała się w trop, który prowadził do dowodów.

W tę zimną, głośną noc usiłował skorzystać ze swego talentu, a nie było to łatwe. Był zmęczony, musiał się skupić. Nie działał jak automat.

Sportowiec odprężył się, najlepiej jak potrafił w tych okolicznościach. Upił duży łyk wody. Sporo. Wydało mu się, że dostrzega jakiś blask.

„Kurwa” – przeklął w duchu. Wsłuchał się w pikanie odbiornika i ruszył z miejsca, prawie taranując żołnierza WOT, który niósł bagaże kobiety z dwójką dzieci.

Sportowiec podreptał do budynku hali, gdzie przygotowano coś w rodzaju noclegowni. Wewnątrz panował ścisk, ale też większy spokój. Ludzie kładli się na pryczach, jedli, spali, dzwonili do rodzin. Niewielu było tu mężczyzn, zaledwie kilku starszków. Mało kto zwrócił uwagę na jeszcze jedną postać. Sportowiec aktywował słuchawkę, wyciągnął telefon i odpalił aplikację śledzenia. Nie mylił się – był bliżej celu. Jak zawsze myślał szybko, ale nie gorączkowo.

Przypomniawszy sobie, z którego miejsca prowadził rozmowę. Było puste, nawet odludne. Zrozumiał, co robi cel. Niemal wiedział, gdzie się chowa. Sportowiec musiał jeszcze lepiej wczuć się w jego sytuację.

Przeszedł prędko przez salę, kierując się do drugiego wyjścia. Znów wyszedł na mróz, znalazł się wśród rwetesu. Ponad ludzkimi głowami płonęły wielkie lampy, nadając scenerii surrealistyczny charakter.

– Hubert – wywołał kolegę. – Parkingi dla tirów.

– Masz go?

– Nie wiem. Chyba tak.

– U ciebie „chyba” to jak pewniak. Lecę – oznajmił Hubert.

Sportowiec bez pardonu zaczął przeciskać się między kobietami. Minął kilka namiotów jakichś rządowych i prywatnych organizacji, nie bacząc na ciskane za nim przekleństwa.

Wszedł na rozległy teren, który tylko w części zajmowali uchodźcy i transport dla nich. Dalej parkowało kilka wielkich ciężarówek, które tu

utknęły albo ich kierowcy mieli przerwę. I tak nie mogli liczyć na szybkie wyrwanie się z tego roju.

Sportowiec powtarzał znane czynności. Wypatrywał kamer i ruchu podejrzanych ludzi. Skrył się za betonowym słupem i nasłuchiwał. Tak, szósty (czy któryś tam z rzędu) zmysł go nie zawiódł. Sygnał był mocniejszy.

Sportowiec sięgnął po aparat i sprawdził położenie. Cel znajdował się najwyżej pięćset metrów przed nim. Mężczyzna powiódł palcem po mapie satelitarnej. Porównał obraz widziany z kosmosu z widokiem w pomarańczowej poświacie. Na skraju placu stało kilka tirów. Dalej znajdowały się baraki z łazienkami dla kierowców.

– Plac... – mówił do mikrofonu sportowiec. – Północny skraj. Jest tam. Musi być. Przejdź tam, ale uważaj. Coś mi mówi, że jest ich więcej. Na pewno jest ich więcej.

Sportowiec pochylił się i rozejrzał. Nakreślił w głowie trasę, jaką musi pokonać. „Do płotu. Wzdłuż niego od strony targowiska i wyjdę na tyły” – zaplanował. Poprawił słuchawkę i ruszył biegiem, robiąc duże kroki. Lubił biegać, ćwiczył w każdej wolnej chwili. Wtedy najlepiej mu się myślało.

Sygnał odbiornika był jeszcze wyraźniejszy. Sportowiec zwolnił, ale nie spuszczał z oczu tych kilku ciągników, do których podpięte były okryte plandekami naczepy. Mężczyzna stanął. Rozpiął kurtkę i wyciągnął pistolet, krótkiego glocka 26.

– Jestem blisko – ostrzegł przez mikrofon swojego partnera. – Uważaj.

– Jasne. Ja też już prawie... – Hubert dyszał. Szedł szerokim łukiem, a w tle słychać było rozmowy i pracujące silniki aut.

Sportowiec ruszył prawie na palcach, z bronią przylegającą do ciała tak, by nie rzucała się w oczy. Dotarł do pierwszej ciężarówki i przywarł do burty. Celował. Zdawało się, że jego wzrok zlewa się ze szczerbinką i muszką glocka. Stali się jednym organizmem, gotowym zareagować na zagrożenie. Tymczasem sygnał w uchu przyśpieszał, niczym puls.

Mężczyzna omiół wzrokiem wóz, celując w kabinę. Kucnął i bezszelestnie wlaź pod brzuszisko naczepy. Miał przed sobą jeszcze dwa pojazdy członowe w tym rzędzie i kolejne trzy w różnych miejscach na placu, na wprost od jego pozycji.

„Tamten mnie już widzi? A może nie?” – rozważał. Jakby na zamówienie i na znak, że ktoś sprzyja tym podchodom, zaczął prószyć śnieg. Najpierw delikatnie, po kilka płatków, by zaraz potem w jednej sekundzie zmienić się w dość solidną zadymkę. Wiatr gwizdał po placu. Płatki śnieg zmieniły się w ciskane gwałtownie białe tumany. Osłoniły mężczyznę. Dały mu kilka sekund na zastanowienie.

Nie mógł przecież, ot tak, wejść do kabiny. Było to zbyt niebezpieczne.

„Zachciało ci się chojrakowania” – zrugął samego siebie, marząc o poważnym wsparciu. Wychylił się spod naczepy. Szybko przyjrzał się budowie ciągnika. Miał aż dwie możliwości. Wybrał wóz po prawej. Obstawił, że to w nim ukrywa się człowiek z nadajnikiem. Ciągnik siodłowy zaparkowany był najdalej na płycie, jakby ktoś usiłował ukryć się przed obserwacją.

Sportowiec sięgnął po butelkę wody. Wypełził spod naczepy. Zamachnął się i plastikowe opakowanie pofrunęło łukiem. Butla rąbnęła w szybę, odbiła się i trafiła w boczne lusterko. Wydała odgłos, na jaki właśnie liczył rzucający. Teraz na pewno coś musiało się wydarzyć. Czekał, aż sprawdzą się jego przewidywania, celując zza koła naczepy.

Jednak pomylił się. W kabinie auta, pod którym się chował, błysnęło światło. Kierowca obudził się i odsłonił kotarę. Zaraz otworzył drzwi i posłał kilka soczystych przekleństw zaspanym ciągle głosem. Był Rosjaninem, a może raczej Kazachem, bo mówił z zaśpiewem środkowoazjatyckim, wtrącał słowa, których nie rozumiał nawet sportowiec.

Polak zignorował wyzwiska słane pod jego adresem. Wiedział, że nie został wykryty, a szofer bluzga ze złości i niewyspania. Mężczyzna pod autem był jednak gotów się poddać, kiedy... Drugie drzwi się otworzyły. Nie wypuściły jednak na zewnątrz światła.

„Jesteś!” – pomyślał sportowiec z satysfakcją.

Kazach sądząc, że zyskał właśnie wsparcie, zaczął głośniejsze złorzeczyć. Ale z drugiego wozu nikt mu nie odpowiedział. Ktoś przyglądał się otoczeniu. Sportowiec wiedział, kto to.

Padł na bok, przeturlał się znów pod naczepą Kazacha. Wyszedł na ugiętych nogach, trzymając się blisko burty. Broń trzymał blisko mostka, ale gotowy strzelić w każdej chwili. Zawarczał dieslowski silnik.

– Stój!! – wydarł się Polak.

Samochodem szarpnęło i skoczył niezgrabnie o jakiś metr. Sportowiec wyłonił się zza osłony, wyciągając broń tak, żeby była widoczna. Celował w boczną szybę, ale nie zamierzał strzelać. Nie widział celu. Nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Wśród terkotu silnika wiekowego volvo F12 nie było wiele słychać. Ale Polakowi jakieś przeczucie podszeptnęło, że coś się wydarzyło, a on to przegapił.

Miał rację, intuicja go nie zawiodła. Jakiś cień padł na beton po drugiej stronie ciężarówki. Sportowiec zaśmiał się w duchu. Oto wypłoszył swój cel. Ale był to dopiero początek zabawy.

„No, poddajesz się? – pomyślał – Czy pobiegamy?”. Miał ochotę się sprawdzić z młodszym przeciwnikiem. Wiedział przecież, kogo ma przed sobą. Jego życzenie miało być spełnione.

Cień wystrzelił jak z katapulty. Rywal był wysoki, szczupły. Wydawało się, że jest ubrany dość lekko, jak na „biednego uchodźcę” przystało. Podróż go nie wymęczyła. A może zdążył odpocząć u swojego kumpla, tirowca?

Sportowiec zerwał się, jakby usłyszał sygnał startera. Kiedy mijał stare volvo, auto ruszyło i mężczyzna obił się o maskę. Nie zachwiał się i nie upadł. Kazach w swoim wozie krzyknął i teraz to kierowca volvo był tym, kogo należało opieprzyć.

Sportowiec się tym nie przejął. Obrął cel. Przyśpieszał miarowo. Uspokoił oddech i machał kończynami, jak w idealnie dopracowanej

symulacji sylwetki w biegu. Miał przewagę, mimo niekorzystnej dla niego różnicy wieku.

Młody drab biegł w stronę szlabanu i wyjazdu z placu. Sportowiec wiedział, że jest to niemądry pomysł. Tamten liczył, że ukryje się w tłumie przybyszów i wolontariuszy. Może miał i dalsze plany? Nie przewidział jedynie, że ścigających będzie więcej. A on musiał pokonać przeszkodę, jaką była bramka i szlaban. Niby nic wielkiego, ale to zawsze kosztuje kilka sekund, zwłaszcza kogoś zaskoczonego pościgiem. Toteż czterdziestokilkuletni sprinter miarowo pokonywał odległość do wyjścia. Wyszukał wzrokiem w rozświetlonej, hałaśliwej zbieraninie za płotem śladów wsparcia i jeszcze bardziej przyspieszył.

Znów się nie pomylił. Wysoki cień dopadł do blokady. Strażnik z budki coś do niego krzyknął, a nawet chciał zatrzymać. Młody chciał przejść pod szlabanem, ale poślizgnął się i przewrócił. Zostawił plecak i przymierzył się do ponownej próby pokonania przeszkody. Odciążenie niewiele mu pomogło. Sportowiec był przy nim po kilku uderzeniach zmęczonego serca.

Wślizgnął się jak zawodowy baseballista, kopiąc tamtego w plecy i obalając. Poprawił kopnięcie, tylko o wiele mocniej. Młody był silny albo nie miał zamiaru łatwo się poddać. Wyprowadził cios nogą, ale sportowiec to przewidział i zdążył się uchylić. Złapał obutą stopę, przekręcił z całej siły, aż młody krzyknął krótko.

– Co wy tu... Bandyterka! – Niemłody cieć skomentował te ciosy niezgrabnym okrzykiem, ale nie ruszył się nawet o krok. Zbyt był przerażony.

Uciekinier machnął rękoma, nie bardzo wiedząc, jak ma się bronić. Goniący zyskał czas. Podskoczył, złapał palce prawej dłoni przeciwnika, wykręcił, aż trzasnęły, i przycisnął lufę pistoletu do policzka młodego.

– This is the end, Hassan! – wysyczał, nie odrywając spojrzenia od młodego.

– Jezu! – Dziadek ze stróżówki odskoczył jak polany wrzątkiem, kiedy spostrzegł wreszcie broń. Pobiegł gdzieś, potykając się o własne stopy.

– I'm not Hassan... – Młody dyszał ciągle przez zaciśnięte zęby.

Potulnie podniósł ręce, ale wzrok miał wciąż rozbiegany. Sportowiec wykręcił palce Araba raz jeszcze. Ten syknął wściekle, a w jego źrenicach pojawiła się furia i bezsilność. Facet był zły i zmęczony. Liczył jakieś dwadzieścia pięć lat. Fryzurę miał potarganą, włosy nieco za długie. Brodę pokrywał kilkudniowy liches zarost. Śmierdział, co akurat nie było niczym niezwykłym w przypadku uchodźcy.

– Kurwa, masz go... – Od szosy rozległ się głos Huberta i odgłosy jego szybkich kroków – ...pierwszy... – Nie wiadomo było, czy chwali towarzysza, czy ma pretensje.

Jego kolega podskoczył na nogi i, trzymając Araba za palce, przekręcił go na brzuch. Potem docisnął kolanem plecy. Wyszarpał z kieszeni plastikowy zacisk, który miał pełnić funkcję kajdanek, i nałożył młodemu na dłonie. Nie było to łatwe, gdyż gość miał grube ręce.

– Ubrałeś się, jakbyś miał psim zaprzęgiem powozić. – Sportowiec, już spokojniejszy, uznał za stosowne wykpić przydługą kurtkę kumpla. – Mówiłem, będzie dreptane...

– Dreptane, kuźwa – wydyszał Hubert. Opierał się dłońmi o kolana, nadal jednak kurczowo trzymał broń. – Na maratony to ty lubisz uczęszczać. To ten koleżka? – Wyciągnął brodę w stronę śniadego chłopaka.

– Nie, kumpel z wojska. – Biegacz szarpnął pojmanego i dźwignął z ziemi. Potrafił być drażliwy, kiedy się zmęczył.

– Drugi fiut czeka w ciężarówce. – Sprinter wskazał kciukiem za siebie.

– Nie wiem, czy jest uzbrojony. Maybe you can tell us... – zapytał Araba.

– Fuck you! – syknął młody i chciał splunąć, ale dostał kuksańca w czerep.

– Nie, nie tu. – Hubert obejrzał się za siebie. Z zatoru na drodze patrzyło na nich kilka zdziwionych twarzy. – Zwracamy na siebie uwagę. Zabierz go. – Hubert był przezorny, szczególnie że dostrzegł, jak ktoś wyjmuje telefon, by filmować to dziwaczne zdarzenie w śnieżnej zamieci.

Sprinter nie potrzebował zaproszenia. Wsunął ramię pod rękę zatrzymanego i podniósł, co sprawiło, że bark chłopaka wygiął się nienaturalnie w górę. Zatrzymany poddał się woli Polaka. Potem przeszli w ustronne miejsce za budą ochrony. Sportowiec nie był zadowolony z realizacji planu. Widziało go wielu ludzi i był w zasięgu soczewek wielu kamer.

Zaciągnął chłopaka za róg i pewny, że umknął ciekawskim spojrzeniom, zadał mu cios wierzchem pistoletu w brzuch. Potem poprawił, uderzając otwartą dłonią w twarz.

– No jak, powiesz, co tam u twoich kumpli? – Był silniejszy, niż mógł sugerować jego wiek i wygląd.

Rozprawę z młodym przerwał migający blask niebieskich świateł i urwana syrena radiowozu. Hubert odwrócił się w stronę stróżów prawa, szybko chowając broń.

– Kurwa! – jęknął sportowiec, wychylając się zza ściany. – Nie myśl, że masz szczęście! – Przysunął głowę do twarzy młodego i wycedził z obrzydzeniem: – Będzie po prostu trudniej.

Schował glocka. Gdy tylko to zrobił, dwaj funkcjonariusze pojawili się obok. Trzymali broń w wyciągniętych dłoniach.

– Ręce do góry! Paniali?! Wy kto takije?! – Znający języki mundurowi uznali, że mają do czynienia z porachunkami przygranicznych mafii.

Sportowiec zrobił krok w bok i wysoko podniósł ręce.

– Swoi. My Polacy – mówił spokojnie. Jeden z gliniarzy zaczął obchodzić zatrzymanych, przyglądając się otoczeniu.

– Broń mają. Broń, panowie! – Ciec nabrał odwagi, wychylił się w szparze otwartych drzwi i zaczął się skarżyć: – Zbóje jakie...

– Tylko nie zbóje... – zaprotestował sportowiec. Kiwnął prawie niezauważalnie na Huberta, dając mu znak, by zachował spokój. Mieli dać się sponiewierać. Sportowiec wiedział, że do czegoś takiego może dojść. Przewidział, że taki bieg zdarzeń jest możliwy, ocenił jednak jego

prawdopodobieństwo na zaledwie kilka procent. Popęłnił dziś drugi błąd w przewidywaniach. Nie lubił tego.

– Kłaść się. – Starszy stopniem (chyba aspirant) wydał wreszcie komendę. – A z panem potem pogadamy... – huknął na starszego portiera. – No gleba! – dorzucił ostrzej. Cała trójka przywarła do zimnego betonu, pokrytego świeżym śniegiem.

– Tu Dwunastka. Dajcie mi wsparcie – rzucił aspirant do radiostacji przy barku. Zaraz potem wyjął kajdanki, upewniwszy się, że kumpel go osłania. Policjant zaczął macać ubrania, kieszenie zatrzymanych. Wyczuł kanciasty kształt w ubraniu podejrzanego w spodniach dresowych. – No, ładnie się zapowiada!

Pociągnął nosem i wyciągnął pistolet. Trzymał go w dwóch palcach, jakby przedmiot był toksyczny albo śmierzący. Potem znalazł drugą broń u faceta w przydługiej kurtce.

– Co wy za jedni, wasza mać? – Pozwolił sobie szturchnąć sportowca w żebro. – Chcieliście się strzelać? Nie widzicie, co się dzieje? – Machnął w kierunku nieodległego zamieszania przy granicy.

– Jak wam się chce tłuc do siebie, to może was za „pasek”^[1], do Ukraińców posłać? – Młodszy z patrolu usiłował być zabawny i mądrzejszy.

Sportowiec nie lubił takich docinków. Nie od ludzi, którzy nie rozumieli, z czym mają do czynienia, gdy sprawa dotyczyła możliwości decyzyjnych powiatu, a co dopiero państwa.

Zawarczał silnik i przy bramie stanął drugi radiowóz. Sportowiec spostrzegł, że za płotem ktoś stanął, gapi się. „Jeszcze telewizji brakuje” – pomyślał, zły na siebie. Policjanci przetrząsali mu kieszenie, niby przypadkiem kopiąc w bok i uda. Przywykł. Nie pierwszy raz tak go traktowano.

– Panowie... – ośmielił się odezwać, podczas gdy gliniarze dyskutowali między sobą, co mają robić, referując jednocześnie coś komuś w komendzie. – Na końcu placu macie jeszcze jednego. – Sportowiec jakby

kajał się, udzielając informacji. – Stare volvo. W nim chyba ruski. Zawieńcie go. Proponuję tylko... – mówił spokojnie, a nawet sympatycznie.

– Te mądrała... – Aspirant nie byłby sobą, gdyby nie zaczepił więźnia. – Nie ucz ojca, gnojku... – W uszach sportowca zabrzmiało to zabawnie, zważywszy na pierwsze cyfry jego peselu. Zaraz jednak padła cicho wydana komenda i dwóch policjantów ruszyło w stronę zaparkowanych tirów.

– Dziękuję bardzo – odparł sportowiec uprzejmie. – A nas zabierzcie stąd.

– Co, zimno? – Gliniarz triumfował przekonany, że jego zdobycz mięknie bardzo szybko.

– To też, przyrodzenie zaraz odmrozę, ale... Radzę ci, człowieku, zabierz nas stąd i skończ tę szopkę. – Sportowiec stał się bardziej hardy i oficjalny. Podniósł głowę z ziemi i z wysiłkiem odwrócił, usiłując rzucić groźne spojrzenie gliniarzowi. – Dobrze ci radzę... – ponowił wezwanie, nie żartując.

– No, dobra... – Policjant się ocknął. Chyba dotarła do niego słabo zawołana groźba i zrozumiał, że coś tu jest nie w porządku.

Unoszono ich kolejno z ziemi i prowadzono z pochylonymi karkami do radiowozów. Kiedy sportowiec siadał do auta, usłyszał, jak w odległym krańcu placu ktoś krzyczy, nakazując podnieść ręce.

Posterunek przypominał wiele innych podobnych placówek. Przebudowany na nowoczesną modłę, był ciekawym architektonicznie zbiorem brył wpisanych w szaro-niebieską strukturę budynku. Ponad wejściem świecił neon z emblematem policji. W środku panowała nijaka atmosfera, ale i porządek. Inaczej niż w pakamerach, jakie znał sportowiec i jego kolega Hubert – pomazanych olejną farbą koloru milicyjnego munduru. Posterunek wyglądał jak urząd, nie jak rudera.

Obydwaj nie mieli dokumentów i odmówili złożenia zeznań, więc zamknięto ich w oddzielnym pokoju. Nie było tam lustro, jak w amerykańskich filmach, tylko jasne ściany, stół i trzy krzesła. Nie ściągnięto im kajdanek. Młodego „kolegę” odseparowano, zapewne – jak sądził sportowiec – poddając osobnemu przesłuchaniu.

Mężczyzna w spodniach dresowych miał tylko jedną prośbę.

– Chcę mówić z komendantem – zażyczył sobie tonem nieznoszącym sprzeciwu i z taką pewnością w spojrzeniu, że zarówno aspirant, jak i dyżurny komisariatu poczuli się zmuszeni ściągnąć zastępcę komendanta, który pełnił nocny dyżur.

Nadkomisarz był po pięćdziesiątce. Miał kilka płytkich zmarszczek na twarzy i uczesane gładko szpakowate włosy. Niezbyt o siebie dbał. Dwóch jego więźniów doszło do wniosku, że służba na uroczym posterunku to szczyt ambicji oficera i nie liczy on na wiele więcej od życia.

Na widok facetów, którzy nie wyglądali na zbójów, a jednocześnie zachowywali się nadzwyczaj pewnie, policjant wciągnął brzuch i wyprostował się. Przy tamtych wyglądał jak prawdziwy, zaniedbany „zabiurkowiec”.

– Dobry wieczór – odezwał się Hubert z nienaganną uprzejmością w głosie.

– Czego wy chcecie? – Glina zmarszczył czoło, spoglądając spod mocnych, krzaczastych brwi. – Za wiele sobie nie pozwalacie, dupki?

Starszy z zatrzymanych był wysoki, szczupły, z dobrze zarysowaną muskulaturą pod obcisłą, sportową koszulką, którą miał pod rozpiętą bluzą. Był krótko obcięty. Na głowie widać już było spore zakola. Twarz miał pociągłą, sympatyczną i inteligentną. Zaciskał wąskie usta albo tak tylko się wydawało. Patrzył uważnie na rozmówcę, niezrażony. Nie peszyło go mocowanie się z władzą.

Drugi był niższy i chyba nieco młodszy. Szczupły, z prawie kwadratową głową na cienkiej, silnej szyi. Osadzone wąsko, acz głęboko, oczy rozdzielał nieco za bardzo wydatny nos. Mężczyzna wydawał się konkretny i rzeczowy. Obydwaj emanowali jakąś magnetyczną siłą, która nie dawała spokoju i sugerowała nadkomisarzowi, że nie są to pospolici bandyci.

– No dobra, o co chodzi?

– Nie uwierzy nam pan. – Starszy z zatrzymanych uśmiechnął się przymilnie. Sięgnął palcami skutych dłoni do spodni i z jakiejś

niewidocznej kieszonki wyciągnął coś, co wyglądało jak wizytówka. Nie było jednak wykonane ze sztywnego papieru, a z giętkiego plastiku. – Proszę zadzwonić pod ten numer. Wszystko się wyjaśni i zapomnimy o całej sprawie – zapowiedział starszy więzień. Zaraz zreflektował się, że za bardzo się szarogęsi i podważa autorytet oficera. – Prosimy uprzejmie – dodał zaraz z udawaną pokorą w głosie.

– Co wy mi tu... Dzwońcie se do swoich bab. Co to za pomysły? Za kogo wy się uważacie? Burdel dekady mamy, a wy tu jakieś bijatyki z bronią urządzacie! – Policjant dał wyraz całej swojej frustracji, jakby o wszystko obwiniał tę dwójkę. Obydwaj mężczyźni czekali cierpliwie i pokornie, aż skończy. Byli przygotowani i obeznani z tematem.

– Jak wy się właściwie, kurde balans, nazywacie?

– Jan Malinowski – oznajmił starszy z całą powagą.

– Hubert Kowalski – odpowiedział niższy, również spokojnym głosem.

– No chyba wam jebnę... – Nadkomisarz pobrał ze złości i oparł się dłońmi o blat. – O nazwiska pytam! – Walnął w stół i wydawało się, że jednocześnie zgrzytał zębami.

Rzekomy Malinowski wyprostował się ostrożnie. Nie dał się zbić z pantaląku. Położył skrupowane ręce na stole. Nieco pochylił głowę i spod brwi patrzył na policjanta, jakby go hipnotyzował.

– Jest pan inteligentnym oficerem – zaczął. – Nie doszedłby pan tak daleko, gdyby nie zdolność do wysiłku intelektualnego. Nie chcemy marnować czasu ani panu, ani sobie. Tak, zaczął się wielki bajzel i prędko się nie skończy. Pan ma robotę i my mamy swoją. Nabroiliśmy, przepraszamy. – Skłonił się lekko. – Ale jesteśmy po tej samej stronie. Naszym zadaniem jest załatwiać pewne sprawy tak, byście pan i pana podwładni nie musieli dodatkowo pracować. Robicie wiele dobrego i wiem, że jesteście zmęczeni. Rozumiem. Pracowałem w podobnej... firmie – zaakcentował znacząco. Osiągnął oczekiwany efekt. Nadkomisarz się uspokoił i zaciekawiał.

Ewidentnie chciał dopytać o więcej szczegółów. Ktoś go jednak obserwował w kamerze w rogu salki, więc nie mógł zbyt łatwo ulec zwykłej

ciekawości. Milczał chwilę, trąc brodę i patrząc na wizytówkę, jakby miał ją przyciągnąć siłą woli.

– Ten trzeci, którego macie, to prawdziwy zbój. – Kowalski przejął rolę rozsądnego gościa. – Wyręczyliśmy pana. Oszczędziliśmy pracy. Teraz musimy wrócić do siebie.

Wreszcie komendant nie wytrzymał. Chwycił świstek, włożył do kieszeni.

– Czekać! – rzucił niby wściekle i nieco bez sensu, bo gdzież dwóch więźniów miałyby sobie pójść? Policjant wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

*

Noc była mroźna. Wokół było już zupełnie białe. Napadało sporo przez te dwie, trzy godziny. Człowiek, podający się za Jana Malinowskiego, poprawił kaburę wszytą w kurtkę i zapiął odzienie. Rozejrzał się po ulicy. Miasto niby już spało, ale z daleka dochodził ciągle szum potoku aut kierujących się w stronę granicy albo dworca kolejowego.

Biegacz stał tak kilkadziesiąt długich sekund, jakby wraz z kumplem ignorowali parkujący na wprost schodków komisariatu biały wan i człowieka, który stał przy nim.

Był on szczupły, dość wysoki i nawet w półmroku po sylwetce widać było, że jest silny. W poświacie latarni mogli dostrzec grymas zadowolenia i drwiny, jaki rysował się na wąskiej buźce pod wełnianą czapką.

Malinowski uznał, że nie można odwlekać konfrontacji i pierwszy musi stawić czoła upokorzeniu. Ruszył wolno, jakby bał się poślizgnąć.

– Co ci tak wesoło, Piotruś? – rzucił niby od niechcenia, ale wiedział, że wypadł słabo.

– Oj, dziadek, dziadek... – Młody pokręcił głową z politowaniem. – Taki z ciebie pistolet, a zawinęła cię byle psiarnia – westchnął.

– Piotruś... – Hubert postanowił bronić resztek godności swojej i przyjaciela. – A chcesz szpitalny kleik nosem wciągać?

– Bo już się boję. – Młody się zaśmiał, ale skończył z kpinami. Obydwaj faceci byli zmęczeni, a przez to nieobliczalni. – Starsi panowie mają podwózkę. – Złapał klamkę i odsunął boczne drzwi.

– Patrz, jaki dowcipny. Tylko szesnaście lat młodszy, a jak się naśmiewa. Hubi, weź mu przypierpapier, bo ja się nalatałem... – Wszedł do auta, trącając Piotra barkiem. – I co tak długo? Ile mieliśmy czekać? Telefony alarmowe, psia mać! – Zdjął czapkę i rozpiął kurtkę. Potarł głowę. – Ty, Pietrek. – Podsunął się bliżej drzwi już zupełnie spokojny, bez śladu złości za docinki. – Kierownik bardzo...? No wiesz...

– E, czy ja wiem? Srogi był, ale bez przesady. – Piotruś wzruszył ramionami. – Jeżeli pytasz, czy zły... Nie, raczej nie.

– My się nie boimy, że zły. – Hubert ułożył się na kanapie wana, okrywając połami parki nogi.

– A tylko o to, czy nam truć będzie jutro? – dokończył Malinowski. – Sam mówisz, że my starzy, więc nam trzeba spokoju, a nie nerwów.

– Od tego nadciśnienia można się nabawić – kpił Hubert.

– No, to nie będzie wam truć. Robotę wykonaliście. A do tego niezły burdel się robi. Chłopaki mówiły. Będzie sporo roboty, nie ma czasu na fochy. A jak dużo pracy, to będą i potknięcia. Dobra, jedziemy. – Zatrzasnął drzwi, obszedł wóz i usiadł na miejscu kierowcy.

– A co – biegacz przysunął się bliżej, jakby coś sobie przypomniał – z Abdullahem, Hassanem czy innym dżinem z butelki? Zostawią go tu? Niebiescy go zatłuką, jak się zorientują.

– Ja tam nic nie wiem. Kierownik gadał z tym... kapitanem. – Piotr nie rozeznawał się w policyjnych stopniach. Zapuścił silnik. – Mnie przekazał, że glina wie, o co chodzi. Ma siedzieć cicho, ludziom nic nie mówić. A potem wiecie. Lojalka, kasowanie nagrań z komisariatu. Jutro, albo jeszcze w nocy, przyjedzie ekipa i zabierze opalonego. Najważniejsze to was ewakuować, żeby śladu nie było. Zresztą... – włączył światła – ...ekipa nie będzie pytać, kto opalonego wyłapał.

– Taaak... – Sportowiec rozparł się wygodnie. – Żeby nikt nie pytał, bo inaczej to bez sensu.

– Co mówisz? – Hubert nadstawił uszu.

– Nic, nic... – Starszy obrócił się do przyciemnionego okna, patrząc na oddalający się posterunek. Był pewien, że z okna na piętrze ktoś ich obserwował.

*

Mieszkanie było spore, acz wiele brakowało mu do rozmiarów apartamentu. Nowoczesne, prawie puste, mieściło tylko kilka modnych sprzętów w modne wzory, w jasnych odcieniach, ze stalowymi dodatkami. Wilanów szykował się do snu. Za przestronnym oknem rozciągał się widok na kilka sąsiednich bloków, upchanych ciasno po drugiej stronie osiedlowej ulicy. Tylko w kilku oknach paliło się jeszcze światło. Gdzieś błyskał niebieską łuną telewizor albo laptop.

Tutaj też grał telewizor. Światło było zgaszone i tylko na białej komodzie płonęła zapachowa świeczka. Na ekranie widniały obrazy tłumów przybywających do Polski pociągami z Ukrainy. Zafrasowani, szczerze przejęci reporterzy opisywali dramatyczne obrazy. Tysiące kobiet z dziećmi. Zagubionych, niepewnych, ale witanych i otaczanych opieką. Wolontariusze wychodzili im naprzeciw.

Adam Thomał, trzydziestosiedmioletni postawny brunet z przeredzającymi się włosami, nalał wina do dwóch kieliszków. Nie oszczędzał. Udało się opróżnić prawie całą butelkę. Uniósł naczynia i przeszedł z aneksu do pokoju. Na kanapie, z podwiniętymi nogami i otulona kocem, siedziała Anna. Anna Linberg, nazywana przez jej czecheńskich rodziców Quadirą.

Była piękną kobietą. Czarne długie włosy opadały na policzki smagłej i pociągłej twarzy bez śladu zmarszczki. Tyle że tego wieczoru wydawała się bardziej wycofana, pozbawiona tego blasku, dzięki któremu mogłaby się znaleźć w gronie najpiękniejszych modelek. Jej cudne oczy były

zaczerwienione i wilgotne. Powyciągana bluza z kapturem też nie dodawała jej wdzięku.

Anna była załamana, poddawała się postępującej depresji, która wysysała siły z tej energicznej przeciwieństwa kobiety.

Adam Thomal stał w swojej nieświeżej koszuli i spodniach w kant, jakie miał na sobie od rana w ministerstwie spraw zagranicznych, i patrzył. Bardzo go interesowało, czy dziewczyna – która tak mu się spodobała, kiedy pierwszy raz ujrzał jej zdjęcie na odprawie przed wylotem do Kabulu – udaje, czy nie? Nie był pewien. Po wszystkim, co przeszli i czego się dowiedział o niej, wiedział, że nie wolno jej wierzyć.

Linberg obróciła głowę. Wąska stróżka łez pociekła jej po policzku. Zauważyła zaciekawienie Adama, ale nic nie powiedziała.

– Napij się jeszcze. – Thomal się zreflektował, że za długo „bada” kobietę. Usiadł obok i podał szkło. – Nie powinienem namawiać, ale to najlepsze na smutki. Na... na to wszystko. – Wskazał obraz na ekranie, sam szczerze przejęty tym, co zobaczył. Przytulił się. Anna upiła spory łyk.

– To jest straszne... – Jej telefon błysnął, wybudzając się i dając znak, że przysłała wiadomość na którymś z komunikatorów.

– Nie dadzą ci się pozbierać? – zapytał z troską Polak. Objął dziewczynę i przeczesał jej długą grzywkę.

– Ja czasami... nie mam siły. – Ułożyła głowę na jego ramieniu i westchnęła, chyba z ulgą. – Dobrze, że jesteś... – szepnęła, patrząc gdzieś ponad ekranem TV. – Potrzebowałam tego. Takiego wsparcia. Dbasz o mnie. – Podniosła wzrok i lekko się uśmiechnęła. Wtuliła się mocniej w mężczyznę i pogłaskała go po policzku. – Tak, nie dają mi spokoju w fundacji. Ale ja... ja nie mam siły. Za wiele tego. Wcześniej Afganistan, a teraz te okropieństwa docierają aż tutaj. Ile można, Adaś. Ile można... – Telefon znów pojaśniał i zgasł.

– Jesteś silna... Bardzo silna – powiedział, bawiąc się kosmykiem jej włosów. Naprawdę tak uważał. – Dasz radę, kto jak nie ty? To będzie większe wyzwanie aniżeli Kabul... – Zawahał się. Nie powinien umniejszać dramatu, który tam przeżyli. Nawet jeżeli wiedział, jak było naprawdę

i jaką rolę odegrała Linberg. – Pomogę ci. Bo wszyscy musimy pomagać – zapewnił, może nazbyt patetycznie, ale Anna nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się tylko.

„Jesteś tak opanowana i nauczona grać?” – zapytał w myślach Adam, surowo i bez wyrozumiałości. Jednak powstrzymał się od dalszej psychoanalizy. To nie był dobry moment. Musiał trwać w roli, którą obrał.

– Pomożesz... Cieszę się – przemówiła już bardziej opanowana Anna. Thomał wiedział, że zaraz spróbuje go sprowokować. Kobieta perfekcyjnie udawała. – Matylda będzie zła. – Linberg niby od niechcienia rzuciła poważnym argumentem.

Thomał cofnął rękę i wyprostował się.

– Mieliśmy o niej nie mówić. – Szczerze poczuł się dotknięty. Napił się wina.

– No ale, jeśli będziesz zniknął... – Linberg otarła łzę i też usiadła prosto. Wydawała się najzupełniej spokojna, jakby histeria sprzed chwili gdzieś uleciała.

– To mój problem. Nic o tobie nie wie, więc przestań, proszę. – Był poirytowany, przede wszystkim tym, że bez względu na okoliczności wieści o tym związku mogą dotrzeć do Matyldy, jego wieloletniej dziewczyny. A od niedawna narzeczonej, gdyż mimo burz, jakie sprowadzał na ten związek takimi właśnie częstymi wypadami, przetrwali jako para.

– Jak idą przygotowania do ślubu? – Anna nie odpuszczała.

„Zazdrościsz czy prowokujesz?” – myślał intensywnie Adam.

– Nic ci do tego. Ale jak chcesz wiedzieć, to przesuniemy wszystko.

– Przeze mnie? – Linberg perfekcyjnie odegrała zakłopotanie.

– Nie. Nie przez ciebie. – Adam dopił wino w kieliszku. – Przez to. – Wskazał naczyniem telewizor. Zaciekawiał go ten nagły przejaw egocentryzmu i wysokiego mniemania o własnej osobie. Nigdy wcześniej tego nie okazywała. – Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

– A co? – Kobieta zakryła usta dłonią, robiąc wielkie, przestraszone oczy.
– Może być coś poważnego? Mówią coś u ciebie? No, powiedz. – Wpiła palce w ramię faceta tak mocno, że aż syknął.

– Niczego nie będzie... – Wyrwał się z uścisku, zły. – Ruskie knują. Ich agentura staje do pionu. Popatrz sobie w mediach. Wylapiesz, kto to. – Poruszanie tematu wrogich agentur przez tę parę było niewskazane. – Z tym ślubem chodziło mi raczej o to, że dowalą mi i Madzi roboty. Nie wygrzebiemy się z tego długo.

Poczuł chłód, gdy zauważył, że Czeczenka świdruje go przytomnym, analitycznym spojrzeniem, jakiego nie widywał często – może kiedyś w Afganistanie, gdy musiała opanować ludzi ze swojej ekipy.

– Więc Madzia naprawdę o niczym nie wie? – W oczach Anny pojawił się trudny do określenia błysk. – Więc mam jakąś szansę? – Znowu prowokowała.

– Nie zajmiesz się innymi sprawami? – Adam patrzył w telewizor, udając, że nie słyszy lub nie rozumie. – Twoi szefowie mają fundusze. Przydasz się. Kilka osób można by umieścić w Szwecji...

– Kilka osób... Tak, można. Zajmujemy się tym. – Napiła się i zapatrzyła w widok za oknem. – Mam kilka spotkań. – Odrzuciła koc i wstała. – Wiele spotkań. Muszę ściągnąć paru ludzi do pomocy. Sztokholm przyśle posiłki, więc... – Odwróciła się od Adama i uśmiechnęła. – Naprawdę się cieszę, że przyjechałeś. – Wpiła usta w jego wargi i pocałowała namiętnie. – Chciałabym, żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie – zamruczała, a on ją objął i oddał pocałunek.

– Ja... ja też. – Głaskał ją po ramionach i biodrach. – Może znajdziesz kilka chwil na jakiś wypad...

– We dwoje? Matylda będzie zła. – Znowu go pocałowała – Zacznie coś podejrzewać i ze ślubu nici.

Thomal stęzał. Odsunął się bez ochoty na dalsze czułości.

– Umiesz wszystko posuć.

– No, przepraszam! – Chlusnęła resztką wina na tors kochanka.

– Boże, jeszcze to... – syknął Adam.

– Wybacz, nie chciałam – odpowiedziała Anna. – Za wiele wypłam. Tak, tak, jestem okropna. – Chlipała, poddając się nieznośnej huśtawce nastrojów. W końcu wybiegła do kuchni. Zerwała duży skrawek papierowego ręcznika i zaraz zaczęła wycierać plamę na koszuli – Zdejmij to, wypiorę.

– Tak, i co powiem w domu? Że zgubiłem koszulę na nadgodzinach w ministerstwie. Daj spokój. – Odsunął Annę delikatnie, acz stanowczo. – Nie wiem, coś wymyślę. Może Matylda śpi. Nie zauważy od razu. – Odechciało mu się tutaj być. Udawać. – Zadzwoń... zadzwoń – rzucił bez przekonania. Anna, o dziwo, nie zamierzała go przekonywać do pozostania. Zrobiła tylko zasmuconą minę i zacisnęła usta. Thomał otarł plamę chustką, wziął kurtkę i ruszył do drzwi.

– Cześć – pożegnał się oschle.

Był zmęczony. Zaczynała boleć go głowa. Zwłaszcza skronie pulsowały nieprzyjemnie. Zjechał windą i prędko wyszedł na powietrze. Oddychał głęboko i miarowo. Było zimno. Cicho. Chłód pomagał.

Adam stał chwilę pod daszkiem wejścia i usiłował się zorientować, czy na tej uśpionej alejce, pełnej zaparkowanych aut, ktoś mu się przygląda. Ta czynność weszła mu w nawyk. Przyznawał jednak, że nie będzie tak łatwo wykryć dobrą obserwację. Zarówno swoją, jak i obcą

Wreszcie przemógł fizyczną niemoc i nieśpiesznie ruszył do auta. Zaparkowany był dalej, przy kolejnej osiedlowej przecznicy. Uniósł głowę, wiedząc, że Anna patrzy. Widział cień w łunie światła. Odruchowo pomachał. Nie dostrzegł, czy odwzajemniła pozdrowienie. Wsiadł do auta. Wyciągnął telefon i umieścił w uchwycie na desce rozdzielczej. Włączył komunikator mało znanej kanadyjskiej aplikacji „Spark”. Ale zanim wybrał kontakt, zawahał się. Kolejny raz w ciągu kilku miesięcy poczuł wstyd. Nie z powodu tego, co robił. Pomimo wielu minusów było to zajęcie szczytne.

Żał mu było jego pięknej blondyneczki, jego Matyldy. „Wyrzuty sumienia, stary chuju. Po tylu latach?”. W końcu wybrał kontakt opisany jako „Olek”. Połączenie było natychmiastowe.

– Cześć. – Zmęczony męski głos odezwał się momentalnie. W tle było słychać tłumiony harmider i inne, dalsze rozmowy. – Ładnie było. Widziałem.

– Daj spokój, proszę. Z mojej perspektywy wygląda to tak, że ma mnie dość.

– Na pewno?

– Nie, nie na pewno – zaperzył się Adam. Zapukał do silnika auta, mając świadomość, że tkwi już za długo w miejscu, a gdzieś może kryć się „kontra”.

Wycofał i ruszył dość szybko do wyjazdu. Strażnik uniósł szlaban, kiedy Adam był jeszcze daleko.

– W mojej opinii coś szykuje. Coś dużego. Wkurzała mnie. Chciała sprowokować. Odsunąć. – Niedobrze mu się robiło, kiedy opowiadał o swoich relacjach z kobietą. To była jego sprawa.

– No, to naprawdę ciekawe. Słuchałem. Dziś babka była naprawdę marudna. Ale zdołała zapytać, co u ciebie w firmie. – „Olek” analizował na gorąco.

– Bo jest dobra. Naprawdę dobra. Oskara powinna dostać. Ale teraz na poważnie. Wydaje mi się, że chce mnie kopnąć w dupę, bo coś przeczuwa.

– Przecież się niczym nie zdradziłeś – „Olek” uznał, że trzeba położyć koniec wątpliwościom, bo zaraz Thomal się zniechęci.

– Może i nie... – przyznał Adam. – Może po prostu dostała „beffel”. Cholera wie, coś mi tak właśnie mówi. Ta cała cholerna wojna. Ten potok ludzi. Linberg musi przejść na inny odcinek.

– Ale jaki, do cholery?

– Niewiele mamy, tak operacyjnie. Studio nagrań, ogony. Czeka od przyjazdu z Azji albo...

– Mówię ci, że jest cholernie dobra. Zdziwiła ją moja wizyta albo po prostu wiedziała, że to nie przypadek. Że wciskam się na chama z winem. I jeszcze zniszczyła mi koszulę. Może sprawdzała podsłuch?

– Przecież to już nie te czasy. – „Olek” się zaśmiał z wyższością.

– Tak, nie znalazłaby. – Poklepał się po kieszeni. – Nic jej nie zostawiajcie, bo...

– Wiemy, wiemy. Znajdzie i się spłoszy. No dobra... Cóż, trzeba czekać.

– Tak, trzeba. – Thomał zgodził się momentalnie. – Duży zwierz, ale... Mówiłem ci, ten syf na wschodzie jest bez sensu. To jakaś krwawa gra i zaraz się to posypie. Rzucili się na głęboką wodę. Sam wiesz. To nielogiczne. Zaczną popełniać błędy. Muszą...

– Muszą – powtórzył bezwiednie „Olek”, myśląc o wojnie. – Wszyscy mówili, że bez sensu, a jednak... Nic, czekamy i pilnujemy. Odpoczywaj. Aha, i naprawdę wywal tę koszulę. Cześć!

Rozłączył się, a Thomał odetchnął. Zrobiło mu się lepiej. Wcisnął się w fotel, zacisnął mocniej palce na kierownicy i cieszył jazdą. Nie chciał wracać jeszcze do siebie na Sobieskiego. Miał ochotę pojeździć po pustej, nocnej Warszawie. Musiał przecież upewnić się, że nikt za nim nie jedzie.

*

Zagajnik tonął w mroku nocy. Wyrastał na polu, jakiś kilometr od szosy, a właściwie marnej, lichej dróżki z podziurawionego asfaltu. W lesie stało kilka parterowych domów. Kryte dachówką z eternitu, dawno niesprzątane, zasypane były liśćmi. Miały grube ściany, niczym bunkry wzniesione zawczasu na wojnę, która spadła na Ukrainę.

Auta, które dowlekły się tutaj po wertepach aż z okolic Iwano-Frankowska, były cywilne. Pospolite, zdezelowane nawet, busy i vany.

Było ich pięć i były pełne ludzi oraz zaopatrzenia.

Nikt nie włączał świateł. Okolica była pusta i uśpiona. Przynajmniej takie miała sprawiać wrażenie. Żołnierz na posterunku, wykopanym w jamie pod drzewem, pozdrowił kolumnę. Wszedł na plac.

– Sława Ukrainie! – rzucił i przybił piątkę z kierowcą wiśniowego citroëna berlingo, wyraźnie szczęśliwy, że oddział dostanie dostawę z rozdzielnika zagranicznej pomocy.

Szofer skinął głową i ruszył. Reszta podążała za nim. Samochody zaczęły rozjeżdżać się po sporym, niewidocznym z zewnątrz obejściu. Parkowały pod murami stodół, obór. Wszystko odbywało się pod osłoną szerokiej siatki maskującej, kryjącej wolne przestrzenie.

Na sam dźwięk silników anonsowanego minikonwoju zaczęli wychodzić zmęczeni ludzie, zbyt długo pozostający na froncie. Zarośli, cuchnęli. Na widok dostawy sprzętu wykrzesali z siebie prawdziwy optymizm.

Szofer berlingo, rosły, brzuchaty facet o rozlanej twarzy i głowie skrytej pod pospolitą uszanką, wysiadł i pozdrowił wszystkich. Podszedł do bagażnika.

– No, jak chłopaki, gotowi na podarki? – zapytał drwiącym głosem.

Otworzył klapę, popędzany wiwatami. W środku, w blasku latarki czołowej, ukazało się kilka szerokich cylindrów wykonanych z twardego sztucznego materiału. Kierowca wyciągnął jedno z opakowań i postawił na ziemi. Celebrował pokaz, choć ta grupa już swoje wiedziała.

– Angielskie... Z pozdrowieniami od królowej!

Otworzył zaczepy i wyciągnął grubą zieloną tubę, zakończoną kanciastym modułem celownika. Podał zaraz wyrzutnię pierwszemu z brzegu żołnierzowi – niby chłystkowi, ale weteranowi kilku dni ciężkich walk. Chłopak zagwizdał, podziwiając swój nowy oręż.

Od wschodu, gdzie ciemna płatanina gałęzi naturalnie maskowała dojazd, ktoś krzyknął. Potem zagrały krótkofalówki w kieszeniach kilku podoficerów.

– Drona mamy – ostrzegł ktoś. Szofer, chwilę wcześniej tak pewny siebie, zastygł z rozdziawionymi ustami.

Wysoki brodacz o dużych łapach przebił się przez zbiegowisko i rzucił do bagażnika.

– Brać chłopaki! – polecił, łapiąc kolejną z wyrzutni. Ktoś ruszył w jego ślady i zaraz wszyscy rozbiegali się po lesie, ratując tyle, ile się dało z dobytku. Wiedzieli, co ze sobą niesie niedawne ostrzeżenie.

Nie było głośnego świstu. Tylko jakby zaszumiały drzewa i pół sekundy później osadą wstrząsnęła eksplozja. Pomarańczowa kula wyrosła pośrodku kolumny i gorący wiatr zaczął burzyć i przewracać wszystko, co spotkał na swojej drodze. Wtórne wybuchy amunicji i paliwa zaczęły się chwilę później. W łunie widać było potrzaskany las i płonące gospodarstwa. Ludzie trzymali się daleko. Nie zbierali rannych, których jęki przeplatały się z trzaskiem płomieni.

Każdy tu już się nauczył, że lepiej jest poczekać, aż niewidzialny „ptak” odleci i przestanie się nimi interesować.

*

Dom stał na odludziu. Wzniesiono go na pustej nadwiślańskiej łące, tuż za wałami ziemnymi. Był spory, choć tylko jednopiętrowy. Nowoczesną, dość nową konstrukcją otaczał przestronny, nagi teren z brunatną zeschniętą trawą. Kwadrat działki odgradzał szary płot, osadzony odcinkami na betonowych przyczółkach. Był wysoki na tyle, by uniemożliwić zaglądnienie do środka.

Konrad Wigler przycupnął na parapecie wysokiego okna. Ktoś urządził przy nim siedzisko, z którego można było wygodnie podziwiać krajobraz. Przed nim, ponad niskimi groblami wałów, rozciągał się widok na drugą stronę rzeki. Widać było tańczące na wietrze wysokie wierzby, w lekkiej białej otoczce mgiełki, oświetlanej niewyraźnym słońcem, ukrytym za mglistym obłokiem. A i same łąki poza ogrodzeniem domu były ciekawe. Spokojna natura, bez jakiegokolwiek ingerencji człowieka. W oddali rysowały się kępy lasów, porośnięte rowy rzeczek i strumyków. Wszystko jeszcze nagie i może nawet smutne, ale czekające na wiosnę.

Obraz za oknem był sympatyczniejszy niż wnętrze. Budynek był wygodny, to nie ulegało wątpliwości, ale jednocześnie zimny, także z racji wykończenia i wyposażenia, a właściwie braków w wyposażeniu.

Ścian powleczonych tynkiem nie pomalowano w większości pomieszczeń. Meble też nie imponowały, jeżeli w ogóle były. Na szczęście

była woda i elektryczność. Dało się wykąpać, zaparzyć kawę albo naszykować jakiś posiłek na prostej maszynie w korytarzu poddasza.

Wigler, z nudów i by odgonić niesympatyczne wspomnienia, lubił patrzeć właśnie przez to jedyne okno. Chłonał widoki, zastanawiając się, skąd wziął się właściwie ten dom. Kto go postawił na tak niebezpiecznym terenie, który zapewne nieraz był zagrożony powodzią? Gdzie właściciel miał dojsie i za jakie grzechy posiadłość została mu zabrana?

Napędzany podświadomą potrzebą dedukowania i badania otaczającego go świata, ćwiczył umysł, doszukując się odpowiedzi tylko dzięki analizie samych szczegółów otoczenia.

Dom leżał gdzieś w okolicy Sandomierza. Ustalił to sam, po obserwacji terenu oraz na podstawie tego, ile trwała jazda spod granicy. Nikt nie wymieniał nazw ani lokalizacji. Wszystko było tajne i dobrze ukryte. Przygotowane tak, by w odpowiedniej chwili zwinąć, jakby nigdy nie istniało. Bardzo sprytne rozwiązanie. Elastyczne.

Polną, zmarzniętą drogą nadjechał samochód. Było to nierzucające się w oczy szare, zabłocone kombi. Pojazd zwolnił przy domu i ktoś z parteru otworzył przesuwную bramę.

Konrad westchnął, patrząc, jak kombi wtacza się na podjazd i parkuje pod wiatą obok garażu. Odstawił kubek z resztką kawy, szykując się na rozmowę, której właściwie nie chciał odbywać.

Podrapał się po głowie i powlókł do drzwi. Poprawił koszulkę, jakby miało to sprawić, że będzie wyglądał nieco bardziej elegancko. Od ponad dwóch dób nie miał okazji zmienić ubrania.

Na korytarzu spotkał kumpla. Hubert Pawlicki nie wyglądał najlepiej. Wisiała na nim za duża bluza i wytarte spodnie. Ciemne cienie pod oczami sugerowały, że źle zniósł przemieszczanie w trybie alarmowym.

– Ciężka noc? – zapytał z troską Wigler. Wystraszył go wygląd przyjaciela. Hubi był młodszy tylko o dwa lata, ale nowa praca najwyraźniej mu nie służyła. Szczególnie w czasie wojny, realnej, trwającej od dawna. Tyle że nikt prawie o niej nie słyszał, może tylko czasami informacja o niej przebijała się przez zaslonę oficjalnego milczenia. To, o czym wiedzieli,

utajnione starcie, które trwało i tu, u granic Unii, NATO, w Polsce, mogło przybrać na sile. Trzeba było być przygotowanym na większy wysiłek i więcej niedogodności. Nie było już odwrotu. A może jednak? Konrad bał się rejterady. Chwili słabości u siebie czy Huberta.

Nie mieściło mu się w głowie, że można by się wycofać. Zbyt wiele zyskał, zbyt wiele potrafił, aby dał się odstawić na boczny tor. Konrad zgadzał się z Sherlockiem Holmesem, gdy ten twierdził, że skromność jest formą kłamstwa. Nade wszystko jednak bał się starości, która według niego nadchodziła wraz z pięćdziesiątymi urodzinami. Nie chciał stracić bystrości, refleksu i siły. Dlatego ćwiczył. Wyraźne zmęczenie Huberta tak go zmartwiło.

– Nie spałem. Za wiele myślałem, Kondziu. – Partner ziewnął i potarł oczy. – Kiedy adrenalina działa, jest OK, ale potem...

– Nie martw się. Odpoczniemy porządnie, coś mi się zdaje. – Konrad objął kolegę. Nie miał innego pomysłu na gest wsparcia. Nocna bieganina nie poszła tak, jak chciał, i wiedział, dlaczego znaleźli się w tym posępnym, brzydkim domu. Po co przyjechał samochód. I znów wracała myśl, że coś właśnie przemija, najpewniej dawna świetność.

Obydwaj zeszli po pozbawionych poręczy betonowych schodach do pomieszczenia, które zapewne miało być salonem. Wyposażenie wyglądało skromnie i przypominało studencką stancję. Składało się z lichego stołu, zdezelowanej kanapy i kilku krzeseł z różnych kompletów. Ponury charakter nadawały miejscu muśnięte jedynie białą ściany. Jedynie przez szklaną taflę drzwi wpadało nieco ciepłego, łagodnego światła.

Wśród wyposażenia wątpliwej jakości siedział siwy facet. Nie był gigantem, jeżeli szło o wzrost. Włożył markowe, ale proste bojówki i zwykłą bluzę z sieciówki. Miał spore zakola. Był, nie wiadomo czemu, opalony. Spoglądał nieco wylupiastymi, okrągłymi oczami. Krzysztof Zydelski, mimo nijakiej powierzchowności, był bardzo inteligentnym człowiekiem. Cenił intelekt.

Tam, gdzie pracował od kilku lat, było ciężko. Zwłaszcza z kruszeniem umysłowego betonu, zmianą myślenia ludzi mocno uwikłanych w stare

systemy albo po prostu pełnych kompleksów. Ale Zydelski oparł się fali krytyki i wytrwał. Miał sojuszników. I choć dawno odszedł na emeryturę, to teraz, kilka lat później został poproszony o powrót. Otrzymał stopień pułkownika. Ale w strukturze, którą kierował po prostu nikt się tym nie przejmował.

W rogu, niczym jego cień, stał rosły, milczący ochroniarz. Jak szef niepozorny pod względem ubioru. Jego kierowca, Piotr, także niczym się nie wyróżniał. Wszystkich tu uczono zlewać się z tłem.

– Powitać nocne jastrzębie. – Krzysztof wstał i wyciągnął dłoń. Przypominając kryptonim głównego bohatera serialu „Allo, Allo” – Rene, kpił, ale tylko dla zasady.

Zydelski był zmęczony. Chyba bardziej niż dwaj ludzie, których miał przed sobą. Konrad uściśnął prawicę i od razu po spojrzeniu starego wygi wiedział, że otrzyma reprimendę, tak jak przewidywał. Krzycho był niezadowolony. Można było to zobaczyć w jego na wpół przymkniętych oczach.

– Siadajcie, gdzie można. – Krzysztof zaprosił ich do stołu.

Panowie posłuchali i bez słowa zaczęli przysuwać siedziska. Zydelski machnął na chłopaka w rogu.

– Idź się przejść – rozkazał, ale niemal po ojcowsku. Odprowadził ochroniarza wzrokiem, rozparł się w krześle i rozpiął bluzę.

– No i jak się macie, panowie oficerowie?

Konrad nie lubił mało konkretnych wstępów.

– Spieprzyliśmy, tak uważasz. – Patrzył Krzysztofowi prosto w oczy. Zawsze uważał, że są zwierciadłem duszy i można z nich wyczytać wszystko, co chce się wiedzieć o człowieku. Szczególnie kiedy miało się ten niedookreślony dodatkowy dar wyczuwania ludzkich nastrojów.

– Tak dobrze to po mnie widać? – Zydelski zadał drugie pytanie. Klepnął się w czoło. – Zapomniałem. Ossowiecki i Wernyhora w jednym. – Jednak naprawdę rozumiał, że jego stary znajomy szybciej niż inni odczytuje nastroje. I lubi się tym dzielić, chwalić.

– Wprost bije od ciebie szczęście i wiara w nasz zespół – westchnął Wigler. Podsunął chybotliwe się krzesło i położył dłonie przed sobą na stole. Hubert czekał na to, aż kumpel wybrnie z kłopotu.

– To mój błąd. Biorę to na siebie. – Wigler był zasadniczy i niewzruszony. Mówił spokojnie, ze wzrokiem utkwionym w przełożonym. – Nie było czasu na wymyślenie czegoś lepszego. Mogłem śledzić figuranta poza przejściem, ale bałem się, że zniknie w tłumie albo przynajmniej wyprzedzi. Nie było nas zbyt wielu na tym odcinku. Tak, wiem – od razu odpowiedział na pytanie, które, był tego pewien, miało paść. – Nie możemy działać masowo, tylko sprawnie, cicho i w małych zespołach. Bez rozgłosu, reklamy, a nawet prób informowania kogokolwiek o naszym istnieniu. Dlatego ewentualna kara musi spaść na mnie jako kierownika Grupy. – Nastąpiła niezręczna cisza. Hubert łypał raz na jednego, raz na drugiego, nie ruszając się nawet o centymetr. Zydelski trwał w milczeniu jeszcze kilka chwil, nie ustępując przed spojrzeniem drugiego mężczyzny. Wreszcie jednak dał za wygraną, chyba zbyt zmęczony albo pewny sromotnej porażki.

– Właściwie nie masz za co przepraszać. – Uśmiechnął się pod nosem, patrząc z przekrzywioną głową, ironiczny i rozbawiony. – Nie zamierzam cię karać. Nie zamierzam was karać, panowie. – Teraz skierował wzrok na Huberta. – Właściwie poszło dobrze...

– Właściwie – zakpił Pawlicki.

– Za dzień, dwa lub tydzień będziemy w którejś gazecie – zawyrokował z absolutną pewnością Konrad. Zydelski uniósł dłoń, by powstrzymać kolegę.

– Tak, będziecie. Zbyt wiele wyszło na świat. Zbyt wiele osób widziało to wszystko. I jeszcze te pieprzone komórki. No, ale... – wyjaśniał, chyba gotów powiedzieć coś miłszego – dział analizy poluje na ewentualne nagrania w sieci. Zablockują, co się da. A jeżeli nie, wasz śniady kolega trafił tam, gdzie miał trafić. Czyli dla świata zniknął i, jak możecie przypuszczać, pracują nad nim. Teraz już bez taryfy ulgowej.

– Doskonale. – Wigler uśmiechnął się. – Szóste przekroczenie granicy. Pięć prób na odcinku białoruskim. Był dobry, całkiem dobry – uściślił, nie chcąc nazbyt zachwycać się wrogiem. – Nie dawał się rozpoznać w tłumie. Ale wreszcie ktoś się opamiętał i porównał twarz z bazą danych. Podczepił mu pamiętkę przy wysyłce w drugą stronę. Powinno to nastąpić wcześniej... – zaczął, ale zaraz opamiętał się. Zbyt wiele razy przekonywał się, że pewność siebie, okazywana nawet w najlepszej wierze, zraża ludzi.

– Znalazł się ktoś tak bystry jak ty, Kondziu. – Pawlicki przerwał samozachwyty kolegi.

– Tak, powiedzmy, że tak. Ktokolwiek ułożył plan z wykorzystaniem pluskwy, miał dobry pomysł. Szlak przerzutu ludzi ISIS lub szkolonych w ośrodkach FSB zaczyna się nam pokazywać po zmianach na wschodzie. Mam nadzieję – zwrócił się do Zydelskiego – że wyciśnięcie gnojka jak cytrynę. – Perspektywa ostrego przesłuchania człowieka, którego dopadł, też działała krzepiąco.

– Ale co będzie z gliniarzami? – zapytał Pawlicki. – Kamery, zastępca komendanta, dyżurny... – wyliczał na palcach słabe ogniwa łańcucha.

– Dodaj ciecia, Kazacha, drugiego ubeka, który miał wieść waszego klienta. Sporo tego, ale wszystko przemyśleliśmy – wyjaśnij spokojnie Krzysztof. – Zagranicznych wzięli pod klucz. Co do niebieskich... Cóż. – Wzruszył ramionami. – Biuro Spraw Wewnętrznych robi im kipsisz, jeżeli pół zdania wyjdzie poza posterunek. Oficjalnie była to akcja znanych i lubianych instytucji. Więc każdy dostał papier do podpisu i nakaz zapadnięcia na amnezję. Chłopaki legalnie, machając legitymacjami, zabrali klienta. I nieważne, jaką organizację reprezentowali. Co do monitoringu: będzie tak samo jak z telefonami. Skasujemy i sprawa zamknięta. Ale...

– Więc jest jakieś „ale”... – przerwał Konrad, zadowolony, że jednak dobrze rozpoznał nastrój pułkownika.

– Jest. Telefonów, kamer, patrzących oczu było więcej. Tam był tłum naszych i uchodźców. Wielu dla kogoś pracuje. Ktoś już pytał o dwóch naszych pacjentów. Niech to tylko podchwyci jakiś pismak. Dziś każdy

bloger to pan redaktor. Działamy, żeby to wyciszyć do końca. Musicie się więc przyczać.

– Więc kara. – Hubert wyciągnął nogi w nieeleganckiej pozie i splótł ramiona na piersi. – Odstawka. Ile mamy wyroku?

– Nie wiem. – Zydelski skłamał, co nie umknęło uwadze Konrada.

– Jeszcze powiedz, że tu...

– Niestety! Zrobię, co mogę, ale takie są zasady. Wygaszamy ewentualny skandal...

– ...którego jeszcze nie ma – mruknął Pawlicki.

Szef nie odpowiedział. Wszyscy przecież znali zasady. Nie można dać się namierzyć. Nikomu. Swoim, obcym. Mała wpadka oznaczała dekonspirację.

– Jasna cholera! – syknął Konrad. – Mamy tu gnić, gdy tam dzieją się straszne rzeczy? Chcemy się na coś przydać!

– W porządku – odparł łaskawie Zydelski. – Podrzucę wam kilka spraw do analizy. Jesteście dobrzy. Wyciągniecie jakieś wnioski.

Wigler przeszedł po pokoju i jak obrażony synalek padł na kanapę, gapiąc się za okno.

– Czyli góra jest zła na nas?

Zydelski wstał od stołu i udawał, że poprawia mankiet bluzy.

– Góra? Jaka góra, pułkowniku? U nas nikogo nie ma. Nas nie ma. Istnieje tylko „grupa kolegów”, zapominasz... Dobra, dość żartów. – Spojrzał na zegarek. – Zrobię wszystko, żebyście wrócili na pierwszą linię. Trzymać was tu to debilizm. No, ale...

– Tak, wiemy. Zasady – skwitował Pawlicki.

– Właśnie, zasady Grupy są święte. Sprawdzają się od lat. Dam znać. Trzymajcie się i odpoczywajcie. Później nie będzie tak spokojnie. Tylko gorzej. Cześć! – Machnął dłonią obu zrezygnowanym kolegom i ruszył do wyjścia.

Na terenach poligonów pomimo późnej pory panował spory ruch. Od bramy co chwila wtaczały się konwoje ciężarówek: wojskowych, ale też cywilnych. Krążyły niemal bez ustanku, całą dobę, przywożąc zaopatrzenie z nieodległych lotnisk. Tam też działo się wiele. Od kilku dni regularnie na pasach siadały kolejne samoloty transportowe prawie z całej Europy, także (a nawet przede wszystkim) z USA, Kanady i Japonii.

Dostarczały zaopatrzenie: tysiące, miliony artykułów, które pozwalały funkcjonować systemowi obronnemu Ukrainy. Centra logistyczne – powstałe pod osłoną lasów, w dużych magazynach – rozbudowywano błyskawicznie, tworząc wielkie składy, które ochraniały dzień i noc natowskie systemy przeciwlotnicze i stałe patrole myśliwców.

Na ziemi, pomiędzy drzewami, dudniły silniki pojazdów obładowanych paletami. Światła, oszczędnie palone, migają długimi snopami, rysując cienie w konarach drzew.

Wojsko rozładowywało skrzynie i całe kontenery w mroku, byle tylko utrudnić obserwację wrogowi. Ponad magazynami rozwieszono siatki maskujące, by ukryć cały ten ruch przed dronami przeciwnika, które mogły zaglądać na teren jednostki. Cały kompleks (jak wiele innych w Polsce) pozostawał też pod dokładnym nadzorem satelitarnym.

Dalsza droga przetrwania wsparcia była podzielona. Powstawało wiele małych konwojów, by utrudnić identyfikację wiezionego ładunku. Rosjanie byli niezli w dziedzinie zwiadu kosmicznego, aczkolwiek nie mogli zajrzeć wszędzie.

Grupa młodych i atletycznie zbudowanych mężczyzn trzymała się z boku. Nie chcieli przeszkadzać. Pełnili rolę obserwatorów. Byli to dwaj oficerowie z polskiego sztabu generalnego w stopniach pułkownika i podpułkownika oraz ich dwaj zagraniczni goście. Polacy wywodzili się z nowego narybku oficerów, nieskażonego sowieckim myśleniem wojskowym. Nie mieli dawnych kompleksów ani sentymentu dla imperium ze wschodu.

Ich podopieczni pod tym względem nie różnili się od nich. Wyzwolili się z jeszcze gorszego spętania woli i odrzucili dawne postrzeganie świata

z sowieckimi i postsowieckimi naleciałościami. Uczynili to w walce, zwycięskim boju sprzed kilku lat. Byli z tego powodu bardzo dumni. Myhajło Lajewski, pułkownik-spadochroniarz, był tu najstarszym stopniem Ukraińcem.

Miał czterdzieści dwa lata. Był szczupły, z kanciastą głową osadzoną na szerokim karku. Brodę i szyję znaczyło kilka bladych, niewielkich blizn, będących najlepszym dowodem jego wojennej przeszłości. Miał krótko ostrzyżone włosy z zaczesaną do góry grzywką. Drażnił rozmówców byстрыm, świdrującym spojrzeniem i milczeniem. Przez takie zachowanie mogli go wziąć za socjopatę. Pasowałoby do jakiegoś rzezimieszka. Na szczęście mundur rozwiewał tego rodzaju wątpliwości. Pułkownik nie odzywał się, jeśli nie było takiej potrzeby. A ci, którym pozwolił poznać się bliżej, lubili go. Był inteligentny, znał kilka języków. Odnalazł się w roli swego rodzaju dyplomaty, choć wolałby teraz być daleko stąd. Jak w 2015 roku, gdzieś pod Donieckiem. Wśród takich jak on wojowników.

Teraz stał w mroku, licząc mijające go ciężarówki, i pociągał krzywym, wąskim nosem. Cała czwórka była w polowych mundurach polskiego wzoru. Goretexowe kurtki nie miały oznaczeń. Na tę okazję wydano także polarowe czapki, by nie przyciągali uwagi szlifami oficerów.

Jeden z wozów stanął przy rampie magazynu. Blask świateł wózków widłowych i lamp z wnętrza rzucił białą lunę na okolicę. Z ładowni stalowe sworznie wyciągnęły cztery skrzynie, by zawieźć je w głąb magazynu.

– Jaka to broń? – zapytał Lajewski.

Berdczyński, polski pułkownik, wskazał dłonią na rampę.

– Zapraszam. – Polak ruszył pierwszy. Wskoczył na górę, popisując się zwinnością, o jaką niewielu podejrzewałoby oficera na takim stanowisku. – Dajcie jedną na dół – polecił plutonowemu kierującemu rozładunkiem. Żołnierz wyprężył się, salutując, i przekazał zaraz polecenie operatorowi wózka tak szybko, że nawet nie zdążył się zdenerwować, że wyżsi stopniem mieszają mu w planach.

Widły odstawiły całą stertę, po czym żołnierz za kierownicą wybrał pakunek na samym szczycie. Obrócił pojazd i ustawił ostrożnie skrzynię

jak najbliżej się dało.

Berdczyński z zapalem otworzył metalowe zaczepy i uniósł wieko. W specjalnym papierze spoczywały wewnątrz karabiny.

– Nieźle cacka. – Drugi z Polaków pogładził się po policzku.

– Można? – Lajewski nie zamierzał się rządzić. Był dyplomatą oddelegowanym z attachatu, ale również gościem strony polskiej. Berdczyński skinął głową.

Ukrainiec rozsunął opakowanie i wy dobył karabinek. Czarna konstrukcja przypominała nieco amerykańskie M16 lub M4, ale tylko jeśli chodziło o gniazda magazynka i chwytu. Lufa była długa, osłonięta owalnym ozebrowaniem, podzielonym wąskimi, poziomymi, eliptycznymi otworami.

– Świetna broń. Stag Arms 15 – rozpoznał gość. Był to oręż, którego ani jego kompan, ani przewodnicy nie znali. Pogłaskał zamek i zaraz rozłożył kolbę, przymierzając do ramienia. Wycelował w daszek magazynu. – Aż chciałoby się wypróbować. – Niechętnie podał oręż koledze, Waleremu Karpemowi, nieco młodszemu majorowi. Niepozorny niższy oficer o prostej fryzurze stracił trzy palce lewej dłoni, walcząc kilkadziesiąt kilometrów do Myhajła, na samym początku wojny.

– Taki sprzęt... Musi iść do wojsk specjalnych – dociekał major. – GUR albo SBU...

– Zapewne. Im należy się tylko to, co najlepsze – potwierdził Lajewski. Widać było, jak jego twarz staje się pogodna, a oficer zapomina o zmęczeniu.

– Przyszło zapotrzebowanie na broń do rozbudowy pododdziałów specjalnego przeznaczenia. – Zabrał broń koledze i z namaszczeniem schował do skrzyni.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę marlboro i benzynową zapalniczkę z odkrytym palnikiem. Poczł nagle dojmujący głód nikotyny.

– Proszę wybaczyć, ale tu... – mruknął polski podoficer, nie bacząc na wysoką szarżę. – BHP.

– Słucham? – Lajewski nie zrozumiał.

– Regulamin bezpieczeństwa – wyjaśnił Berdczyński. – To magazyny broni, amunicji... Rozumiesz? – Wskazał na paczkę papierosów.

– A tak, oczywiście. Przepraszam. – Myhajło nie krył zakłopotania. Uśmiechnął się do żołnierza, kiwając głową i unosząc kciuk. Nie zamierzał ani nie miał prawa naruszać żadnego z punktów tutejszych regulaminów. Zaraz sam zamknął skrzynię i wskazał kierowcy wózka, by ją zabrał. Śledził ładunek wjeżdżający pod dach i znikający w cieniu.

– Jesteście zadowoleni? – padło retoryczne pytanie drugiego pułkownika.

– Tak, oczywiście! – Lajewski poczuł się w obowiązku zająć oficjalne stanowisko. – To niezwykle imponujące i bardzo... – Zabrakło mu słowa.

– Krzepiące – dokończył poruszony Karpem.

– To tempo dostaw i dystrybucji daje nadzieję. Wielką nadzieję, panowie. – Nabrał głęboko powietrza i dodał: – Nie wolno zwolnić. Ani na moment. Nasz transport, jeżeli nie zakłóci go wróg, da sobie radę, choć będzie na granicy wytrzymałości. Wprowadzamy ulepszenia w działaniu. My też dzielimy dostawy na mniejsze porcje i wysyłamy je zamaskowane. Pojedynczo lub w małych grupach. To bezpieczniejsze. Przy takiej pomocy polskiego sojusznika łańcuch dostaw będzie trwać...

– Więc w raporcie ocenicie nas, panowie, pozytywnie? – przerwał dyplomatyczny słowotok Berdczyński. Był zmęczony. Nie miał ochoty wysłuchiwać nawet najmilszych tyrad oceniających jego starania.

– Raportcie... – powtórzył Karpem, jakby niedosłyszał albo się wystraszył. Polski pułkownik prawie zadławił się śmiechem.

– Przedstawimy sprawozdanie. – Myhajło uśmiechnął się. – Zdamy raport naszym przełożonym o wzorowej współpracy z siłami zbrojnymi RP. Możemy zmienić lokalizację? Mamy odwiedzić inne placówki – spojrzał w ciemne niebo – a potem długa droga powrotna i mnóstwo telefonów do wykonania.

ROZDZIAŁ 2

Lato

Zapowiadało się, że nadchodzące lato będzie nieznośne. Powietrze w mieście było nagrzane i gęste. Mury kamienic starego centrum Wrocławia odbijały żar, sprawiając, że poruszanie się po uliczkach wokół rynku stawało się męczarnią. Nie można było liczyć na nawet najmniejszy kojący powiew wiatru. Ludzie kryli się w klimatyzowanych barach i sklepach. Na zewnątrz trzymali się cienia, przemykając przez nasłonecznione przestrzenie tak szybko, jak tylko się dało. Brzegi Odry obsiadły grupki ryzykantów. Usiłowali zażywać kąpieli słonecznej, ale spoceni i spragnieni odchodzili po krótkim czasie, bojąc się udaru. Upał męczył nawet nad samym brzegiem rzeki.

Arterie pustoszały, ruch był mniejszy, komunikacja mniej obciążona, a przecież wakacje jeszcze się nie rozpoczęły. Sezon kanikuły rozpoczął się w metropolii z wielką mocą żarzącego się słońca na bezchmurnym niebie.

Ten spokój i pustawe ulice były o tyle zaskakujące, że w mieście (jak w wielu innych w Polsce) zwiększyła się liczba mieszkańców tego roku. Fala uchodźców dotarła również i tu. Kobiety i dzieci, bo głównie one trafiały tu z Ukrainy, zamieszkały w setkach prywatnych lokali mieszkańców goszczących nieszczęsne uciekinierki. Wielu przybyszów ciągle jednak kwaterowało w salach gimnastycznych, domach opieki, dawnych szkołach albo obiektach wojskowych. Przed jednym z takich punktów, bursą liceum i szkoły zawodowej, pomimo upału tłoczyło się kilkanaście osób.

Dziennikarze i kamerzyści obstawili zwołany na szybko briefing prasowy posłów na Sejm RP. Ludzie mediów byli wściekli, że na miejsce spotkania wybrano wystawione na słońce miejsce. Operatorzy pocili się przy kamerach, reporterzy starali się nie wchodzić w kadr, by nie widać było, jak krople potu rosą im czoła i niszczą makijaż.

I tylko pan poseł wydawał się świeży i spokojny. Niewiele sobie robił z niedogodności, które doprowadzały do pasji całą resztę zebranych. Ubrany w lniany, jasny garnitur oraz biały kapelusz panamski, przypominał jakiegoś właściciela ziemskiego z Ameryki Południowej, a raczej był jego parodią. Siwa broda, okulary i dobrze już zarysowany brzuch nadawały politykowi niepoważny wygląd. Nikt się jednak nie śmiał. Spotkanie było istotne, toteż poplecznicy pana posła trwali w bezruchu, pocąc się i mrużąc oczy pod ciemnymi okularami. Skwar męczył, a czas niemiłosiernie się dłużył. Ci, którzy chcieli zerknąć na zegarek, musieli się powstrzymać, jako że byli „live” w kilku telewizjach.

W oślepiających promieniach słońca, w ciepłe odbijanym od betonowych powierzchni nikt z czwórki występujących nie spostrzegł, że ktoś przygląda się im z drugiej strony ulicy. W cieniu, zajadając lody pod niewielką cukiernią, stał mężczyzna, jak się zdawało turysta. Był w błękitnych bermudach, luźnej koszuli i tanim słomkowym kapeluszu, jaki można kupić na straganie z chińskim dziadostwem dla wycieczkowiczów.

Przybysz stał, jadł i cierpliwie słuchał, patrząc sponad zsuniętych na czubek nosa ciemnych okularów. Cierpliwie znosił kolejne głupoty przekazywane przez posła z wielką swadą. Były to wielokrotnie powtarzane argumenty o kosztach utrzymywania uchodźców, jakie ponosi polskie państwo.

Wybraniec ludu popisywał się zdolnościami oratorskimi, które według jego własnej oceny były wybitne. W rzeczywistości tylko przeciągał zdania i akcentował ich końcówki. W tej podniosłej przemowie pojawiała się coraz więcej bredni i szowinistycznych stwierdzeń. Dyskredytowanie przybyszów i ocena ich pochodzenia trafiały do niewielu, ale brodac

z uporem nazywał falę uchodźców największym nieszczęściem w historii kraju.

Turysta w białym kapelusiku wiedział więcej niż poseł i jego stadko baranów. Dziwił się, dlaczego właściwie tutejsze media pojawiły się na tej zenującej konferencji. Czy w całym wielkim mieście naprawdę już nic ciekawszego się nie działo? Przedstawiciele prasy wydawali się umęczeni skwarem.

Turysta obserwował zwłaszcza jednego uczestnika zebrania, stojącego przy pośle. Był jeszcze młody, miał trzydzieści lat. Wysoki, kiedyś sprawny i dbający o wygląd, teraz przytył. Otluszczona szyja wymagała wyraźnie większego rozmiaru kołnierzyka. Asystent posła był za to dokładnie ostrzyżony, z podgolonymi bokami. Przedziałek miał idealny, podobnie jak ułożenie włosów. Po kolejnej minucie słuchania teorii szefa o strasznym losie czekającym polskich obywateli wskutek horroru, jaki szykowały kobiety ze wschodu, asystent zaczął się wiercić. Poprawiał okulary w brązowej oprawie albo unosił głowę zainteresowany frontonami kamienic. Przeszł z nogi na nogę lub zakładał ręce na brzuchu, to znów za siebie.

Turysta wiedział, że facet pęka i zaraz zemdleje na tym słońcu albo dostanie udaru. Człowiek w bermudach bardzo by tego nie chciał. Przyjechał tu właśnie dla młodego jegomościa.

Szczęśliwie dla grupy potakiwaczy sam poseł się zmęczył. Zapytał, czy są pytania. Były, może dwa lub trzy, do tego bardziej prześmiewcze aniżeli dociekliwe. Asystent uznał, że jest uratowany i może zakończyć spotkanie. Podskoczył do mikrofonów i podziękował za przybycie.

Dziennikarze zaczęli składać sprzęt, pić łąpczywie wodę. W trzy minuty nie było już śladu po konferencji. Politycy też szukali jakiegoś schronienia. Poseł, chyba dumny z występu, zaczął wachlować się kapeluszem, dyskutując z resztą. Ale i ci mieli dość, więc prędko towarzystwo zaczęło się rozchodzić – pojedynczo lub w podgrupach.

Poseł został zabrany przez kolegę do auta. Asystent pożegnał się i ruszył gdzieś sam. Zdjął marynarkę, wyraźnie zadowolony, że już może.

Rozsupłał krawat i schował go do kieszeni.

Turysta dojadł ostatni kęs wafelka i sięgnął po telefon. Wybrał numer.

– Jedzie – powiedział Hubert Pawlicki. – Będziemy za jakieś piętnaście minut. No chyba że coś wymyśli po drodze. – Skończył połączenie i zupełnie zwyczajnie ruszył do zaparkowanego niedaleko samochodu.

Asystent jechał szybko, momentami nawet ryzykownie. Startował ze skrzyżowań, zanim zapaliło się zielone światło. Przecinał arterie, kiedy już świeciło się czerwone. Hubert robił, co mógł, by dotrzymać kroku obserwowanemu, ale jednocześnie nie chciał spowodować wypadku.

Raz już narobił hałasu, co skończyło się uziemieniem na kilka długich tygodni, zanim przydzielono mu nowe zadanie.

Pawlicki prowadził więc dynamicznie, ale nie zamierzał przesadzać. Wiedział, gdzie udaje się figurant. Śledził jego trasę na ekranie elektronicznej mapy w drugim telefonie, leżącym przy lewarku zmiany biegów.

Miał również świadomość, że młody doradca nie ucieka przed „ogonem”. Nie umiałby go wykryć. Nie w normalnym ruchu ulicznym. Nie potrafił się pilnować. Chyba że w kwestiach, jakie poruszały go najbardziej, w których emocje pozbawiały umiejętności logicznego myślenia.

Volvo Huberta wjechało w brukowaną, długą ulicę Zielińskiego. Po obu stronach stały tu naprzemiennie gomułkowskie bloki, nieciekawie odremontowane pozostałości kamienic i architektoniczne wybryki współczesnych deweloperów.

Przed wiaduktem kolejowym teren był bardziej otwarty – kilka zielonych skwerków obsadzonych drzewami.

Auto asystenta stanęło na wolnym miejscu, dość daleko od adresu, do którego zmierzał. Chłopak przezornie zaparkował w pobliżu kępy krzaków, tuż przy niewielkim blaszanym sklepiku osiedlowym. Hubert też zatrzymał wóz, żeby ukryć się przed wzrokiem figuranta. Wjechał w ciasną szczelinę, stając pod kątem na chodniku. Nie martwił się o mandaty. Przynajmniej nie teraz. Czekał i obserwował.

Młody przeszedł jezdnię sprężystym krokiem. Marynarkę niósł na ręce i szukał w kieszeni kluczy. Udał się do niezbyt pięknej kamienicy o szarej elewacji obwieszanej antenami satelitarnymi. Pawlicki wysiadł z auta i sięgnął po właściwy telefon.

– Kolega wchodzi na górę – powiedział do słuchawki i zaraz sam ruszył prawie biegiem za obserwowanym.

Asystent wskakiwał po trzy schody na drugie piętro budynku. Zza drzwi sąsiadów sączyła się muzyka albo podniesione głosy, jak to w takiej obskurnej kamienicy. Ludzie żyli swoimi patologiami, nie interesując się światem. Lekko spocony mężczyzna podszedł do nowych drzwi, wyróżniających się na tle innych. Ich barwa i połysk nie pasowały też do obdrapanej klatki schodowej.

Zachrobotął klucz w zamku. Asystent nie zorientował się jeszcze, że ktoś idzie jego śladem i wspina się po schodach. Wszedł do mieszkania i zamknął wszystkie zasuwę. Duszny lokal był na wpół odremontowany. Poprawione ściany, podłogi i kilka nowych sprzętów kontrastowały z pamiątkami po starych właścicielach, z szafkami, starodawnymi wieszakami i brzydkimi drzwiami do łazienki.

Asystent niedbale cisnął marynarkę na szafę i zaczął rozpinąć koszulę. Wszedł do łazienki, włączył światło. Zanim jednak puścił wodę z prysznica, postanowił wywietrzyć w dawno nieodwiedzanym mieszkaniu. Cofnął się do głównego pokoju i dopiero kilka kroków za progiem stanął jak rażony piorunem. Pomyślał, że zaraz zejdzie na zawał.

– Co ty tu...!?! – odezwał się piskliwym głosem, odskakując pod ścianę.

Naprzeciw niego, przy niedużym stole po środku salonu, siedział mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze. Był lekko szpakowaty, szczupły. Wiele ćwiczył lub biegał. Na blacie postawił komputer.

– Co ty tu robisz? Jak się tu dostałeś? – Asystenta opanowała złość, sprowokowana milczeniem intruza.

Ten sprawnie, acz spokojnie, otworzył laptop, wcisnął klawisz i obrócił w stronę młodego. Gospodarz chciał coś jeszcze krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Poznał swoje meble, kanapę w rogu, niewielki kredens

z telewizorem. Przybysz pogłośnił. Pokój wypełniły świńskie teksty nakręcających się dwóch kochanków. Potem zaczęły się inne odgłosy, dobiegające z materiału video ze schadzki dwóch mężczyzn. Asystent bladł i coraz szybciej łykał ślinę.

Człowiek w garniturze wyłączył jeden klip. Włączył następny. Młody wiedział, co na nim zobaczy. Prawie zemdłał.

Film nagrano gdzieś indziej. W domu pod Łodzią. Asystent doskonale to pamiętał. Nieznajomy zrobił stopklatkę. Nie miał ochoty oglądać tych obrazów po raz wtóry. Były zbyt obrzydliwe. Na ekranie widać było rozebranego asystenta i półprzytomnego chłopca.

– Dość... – stęknął z trudem młody. Pocił się jeszcze obficie anizeli na briefingu. Wiedział, że przegrał. – Rozumiem.

Zachrobotąło w drzwiach i ktoś jeszcze wszedł do mieszkania jak do siebie. Właściciel nie zwrócił nawet uwagi. Za jego plecami stanął Hubert Pawlicki. Zdjął kapelusz. Porozumiewawczo spojrzął na Konrada siedzącego za stołem. Nie mówili nic. Wiedzieli, że trwa pierwsza faza „łowienia”, której lepiej było nie zakłócać. Dramat rozgrywał się w figurancie samoistnie. Pawlicki wszedł do salonu, odsunął tylko krzesło przy stole, dając znak gospodarzowi. Sam usiadł na kanapie i rozparł się szeroko, patrząc na delikwenta.

Ten zrozumiał sygnały. Prawie potykając się o nogi, powlókł się do siedziska i opadł na nie ciężko. Trzęsącymi się dłońmi objął twarz i począł się nerwowo kiwać.

– Aresztujecie mnie? Czego... czego chcecie? – Podniósł głowę. – Potrzebujecie nakazu... – Usiłował połapać się we wszystkim.

– Widzę, że zaczynasz rozumieć. – Konrad Wigler zamknął laptop i odsunął na bok. Założył nogę na nogę, strzepnął z poły marynarki nieistniejący paproch i splótł palce dłoni na kolanie. Zamarł w bezruchu, tocząc ze sobą batalię o to, by nie zdefasonować twarzy młodego zboczeńca.

– Pan Eugeniusz Czekański, prawda? – zapytał jakby nigdy nic. – Asystent posła...

– Tak, to ja – przytaknął głupkowato młody i znów przełknął ślinę, jeszcze bardziej zagubiony. – Przecież wiecie wszystko... Po co...

– Tak, wiemy wiele o tobie, twoim pierdolniętym szefie, waszych kolegach...

– Jak to wiecie? – Eugeniusz zaczynał się miotać. – Kim jesteście?

– Powoli dociera do ciebie, że nie będziesz dziś zatrzymany. – Wigler nie byłby sobą, gdyby nie pobawił się, czytając w myślach interlokutora.

– Nie? – W głosie asystenta pojawiła się nutka nadziei.

– Zależy od ciebie, pojebie. – Pawlicki okazywał mniej zawodowego opanowania. Zresztą taką miał rolę.

– Będziesz pracował dla nas. – Wigler wyjaśnił prosto i krótko.

– Dla was? Czyli dla kogo? – Młody zmarszczył spocone czoło.

– Dla mnie i kolegi. Tyle powinno ci wystarczyć. – Konrad nie wchodził w szczegóły.

– To jakaś szpiegowska sprawa, tak? Kurwa mać. – Głowa chłopaka znów opadła w dłonie. – Ja, ja mam być zdrajcą?

– Słucham? – Teraz Wigler podniósł brwi. Przysunął się bliżej stołu i znów otworzył komputer. Postukał w dotykowy pad. Odpalił kilka zdjęć i podsunął pod nos młodego.

Było tam parę niewyraźnych, ściąganych z kamer ujęć kilku ludzi podczas rozmów. W kawiarni, w jakimś pokoju i na ulicy.

– Nie będziesz zdrajcą, mówisz? – Konrad bardzo się starał utrzymać samego siebie w ryzach. – Więc kto to jest? – Palec Wiglera stuknął w ekran. – Twój boss. Gdzie? Z kim? Na rozmowach przy kawce z pułkownikiem FSB. Krym, Anno Domini 2017. Też tam byłeś, prawda? Też... balowałeś? – Niewygodne pytanie zawisło w pokoju. Eugeniusz nie miał siły odpowiadać.

– Tak też myślałem. – Konrad uśmiechnął się złośliwie. – Mamy materiały z wielu innych spotkań. Tu, na terenie całego kraju.

– Ja... ja nic nie wiem. – Czekański przysunął się bliżej, składając dłonie jak do modlitwy. – Jak Boga Kocham!

– Boga kochasz? – Hubert powtórzył cicho.

Przymknął oczy. Wigler wiedział, że przyjaciel się wkurzył. Nie zamierzał go hamować. Pawlicki poderwał się z kanapy i rzucił na młodego ze zwinnością, o którą asystent by go nie podejrzewał. Hubert objął ramieniem szyję Eugeniusza. Zacisnął z całej siły i przyciągnął jego głowę ku sobie, napierając na potylicę drugą dłonią.

– Boga wzywasz, zboku pierdolony... Parówo cholerna... – stęknął do ucha młodego.

Czekański próbował się wyswobodzić, ale tylko na początku.

– Nie możecie, nie wolno wam... – wydukał, łapiąc oddech, i usiłował wstać. Hubert Pawlicki był profesjonalistą. Wiedział, jak zadawać ból i obezwładniać. Potrafił przewidzieć reakcję paraliżowanego ciała. Czekański zaczął opadać z sił, z coraz bardziej czerwoną twarzą.

– Zrozumiał. – Konrad Wigler powiedział na pozór obojętnie, a przecież widok wolno gasnącego chłopaka bardzo mu się podobał.

Hubert odpuścił, ale nie za szybko i niechętnie. Stał, opierając się o framugę, i nie odrywał wzroku od zatrzymanego. Młody chwycił łapczywie powietrze.

– Ja... Ja będę... Co chcecie? – jęczał bliski zupełnego już załamania.

– Posłuchaj! – Wigler pstryknął palcami, żeby chłopak się skupił i przestał trząść. – Będziesz pracował dla nas. Dla mnie, dla kolegi – zaczął przygotowany wykład. – Nie wolno nam działać w legalnie istniejącej partii politycznej. Nie wolno nam podkładać podsłuchów, werbować ludzi i takie tam dyrdymały. Wiedz, że to przeszłość. Widzisz, co dzieje się wokół? Ta pieprzona wojna. Niby zakończona, ale ciągle się tli. Zdrada twojego szefa, do tego twój współudział. Wszystko się zmieniło, dzięki takim jak wy, więc... Nie mówmy więcej o tym, co można, a co nie. OK? – Poprawił się na krześle. Rozłożył poły marynarki, w której robiło mu się już za gorąco.

– Teraz do sedna. Za długo tu siedzimy. Przerwaliśmy ci planowanie... randki, prawda? – Znęcał się nad asystentem posła, sugerując, że wie wszystko o występkach chłopaka. – Dostajesz od nas zadanie. Powiedz, czy

współpracujecie z kimkolwiek z fundacji Future World albo tak zwanego Think Tanku: Operational Vision?

– Nie... nie wiem. To znaczy tak – Czekański jeszcze nie wrócił do siebie. Huczało mu pod czaszką. Głowa zaczynała boleć. – Mogę... prosić wody? – zapytał potulnie.

– Nie możesz – Pawlicki odparł ostro. Nie bawił się w półśrodki. Konrad też nie zamierzał łagodnieć.

– Więc tak – zaczął podsumowywać Wigler. – Wiesz zapewne, że my wiemy. Chodziłeś na spotkania fundacji. Co jest dziwne, bo nie lubicie raczej obcych, zagranicznych uchodźców. Ale ty chciałeś pomagać Arabom na wschodniej granicy rok temu. Pewnie dużo tam młodych facetów, a może i chłopców? – Eugeniusz tylko rozdziawił usta. Nie miał odwagi odpowiedzieć.

– Kontynuując – mówił Wigler – umawiałeś spotkanie panu posłowi i jego kumplom. Zaprosili was sami czy to polecenie szefa? A może kogoś z jego znajomych z Krymu?

– Ja...

– Nie wiesz, to zrozumiałe – dokończył Konrad. Przechylił się na bok. – Jednak te spotkania zaowocowały udziałem posłów twojej partyjki w panelach dyskusyjnych Operational Vision i fundacji. Nie nagłaśnialiście tego mocno. Więc tu pojawia się kłopot. Jakie były wasze cele? Co na tym zyskaliście? Jak te kontakty się rozwinęły? – Położył rękę na blacie i zaczął stukać palcami. – Sprawdzisz to. Sprawdzisz to dokładnie i szybko. Powiesz nam, kto przychodzi z tamtych organizacji. Czy twój boss albo ktoś z kierownictwa jeździ do nich na jakieś tajne kolacyjki i lunche. A może... – sięgnął do wewnętrznej kieszeni – zadajecie się z tą panią... – Pokazał zdjęcie ciemnowłosej kobiety o egzotycznych rysach.

– Znam ją... Spotkałem raz. – Eugeniusz odpowiedział od razu, chcąc wykazać się zapalem neofity.

– Bardzo fajnie – wtrącił się Hubert. – Opowiesz, co o niej wiesz. O czym rozmawia z szefem, bo ty, parówo, jesteś mało istotnym gnojkiem. Twój szefowie to też młoty, skoro nie wykryli twoich skłonności. – Zaczął

dreptać po pokoju, wpatrując się w puszysty dywan. – A może wiedzieli? Korzystaliście razem...

– Nie, nie, nie! – zaczął gorączkowo zaprzeczać Eugeniusz. Zakrył uszy, konfrontując się z narastającym wstydem.

– Tak, oni są głupi. Eugeniusz nie. – Konrad z zimną krwią odgrywał rolę dobrego gliniarza w tym układzie. – Byłeś dobry w ukrywaniu swoich przygód. Więc spryt wykorzystasz dla naszej sprawy.

– Ale jak? Jak to sobie wyobrażacie?

– Srak – wtrącił opryskliwie Hubert. Podszedł do młodego i złapał palcami za włosy. Chłopak syknął. – Jesteś już nasz. Wykonujesz zadania i ciesz się, że nie wpadłeś pod tramwaj. Taki mamy czas. „Śmierć wrogom ojczyzny”. Lubicie to haselko, tylko wróg u was niedookreślony, prawda? – Eugeniusz zaczął się trząść, więc Pawlicki odpuścił.

– Twoje zadanie to dowiedzieć się dużo ciekawych rzeczy. – Konrad udawał, że bada długość paznokci w prawej dłoni. – Nie obchodzi mnie jak. Masz dowiedzieć się wszystkiego o powiązaniach posła z panią z fotografii i jej posłańcami. Ustalisz, czy może mają jakieś inne sposoby kontaktu, bez użycia telefonów. – Chciałby powiedzieć o „martwych” skrzynkach, ale chłopak nie zrozumiałby. Był zbyt przerażony, by słuchać lekcji. – Generalnie będziesz zbierał haki. Dużo haków na ludzi organizacji. Posłowie, wyjazdy zagraniczne i takie tam. Udało ci się ukrywać skłonności, pozując na tak zagorzałego konserwatystę, panslawistę i kapitalistę. To będzie dla ciebie betka.

– Podamy ci sposób kontaktowania się z nami. – Pawlicki kucnął obok więźnia z uśmiechem na spoconej twarzy. – Nawet nie próbuj biegać na skargi. Nikt ci nie pomoże. To jest wojna, chłopczyku, i tu się nie bierze jeńców. Wiemy o tobie wszystko. Pracujesz dla nas. – Wstał. – Aha, i nie próbuj targać się na swoje parszywe życie. To, co tu mamy – wskazał laptop – puścimy w świat. Pokażemy mamusi, tatusiowi, siostrze i szwagrowi. Bardzo jesteś rodzinny. Żeby nie powiedzieć: synuś mamusi. Będzie mamusię bolało... – Eugeniusz odważył się przekreślić głowę z dziwnym błyskiem, który miał być przejawem budzącego się na nowo gniewu.

– Chcesz coś powiedzieć? – Konrad podsunął się bliżej z wycelowanym w asystenta palcem wskazującym. – Nie radzę. Możemy zniszczyć nie tylko ciebie, ale i twoją rodzinę. Kolega ma rację. To już nie żarty. A ty jesteś po niewłaściwej stronie, ale może się wywiniesz – zakończył. Zrobiło się cicho. Wigler spakował laptopa do niewielkiego pokrowca. Wstał. Zapiął marynarkę. – Będziemy tu kilka dni. Oczekuj naszej wiadomości. Połapiesz się w kontaktach z nami. Tak, uważam, że jesteś sprytny. Możesz odpocząć. Iść na randkę, byle z kimś pełnoletnim. Innych świństw nie zamierzam dłużej tolerować.

Kiwnął na Huberta, otaksował pokój, jakby upewniał się, że niczego nie zapomniał, i ruszył do wyjścia. Obydwaj goście opuścili mieszkanie, jak po przyjacielskiej wizycie.

*

Południe Polski zmagало się już dziesiąty dzień z falą upałów. Od samej wiosny było tu sucho i słonecznie. Koniec czerwca zapowiadał kulminację doskonałej wakacyjnej aury, która martwiła jedynie rolników. W podkrakowskich Proszowicach powietrze było nieruchome. Od dawna nie było tu nawet najłagodniejszego powiewu, przynoszącego nieco ulgi w upale.

Pola wokół tej niewielkiej miejscowości zmieniały się z każdym dniem w oceany piasków. Szczególnie około południa, kiedy słońce było w zenicie, zdawało się, że wzgórza łagodnie falują. Trawy łąk traciły soczystość. Tylko dalekie linie lasów świadczyły, że to jeszcze nie kompletna klęska, że natura wciąż wysysa z najgłębszych zasobów wszystko, by przetrwać.

Dalej od miasteczka rysowały się żółte połacie rzepaku, przetykane plamami złocących się zbóż. Natura żyła własnym niezachwianym rytmem. Obok szpitala co chwila przejeżdżały osobowe i dostawcze auta. Ludzie załatwiali swoje sprawy, karetki dowoziły chorych. Ktoś odbierał starą matkę po zabiegu. W tym obrazku nie było niczego niepokojącego.

Jeden z pacjentów, młody wysportowany brunet w dresowych spodniach i zbyt dużej koszulce, siedział na ławce w cieniu wysokich jodeł i przyglądał

się okolicy. Patrzył na tę małą miejscowość, na ludzi i otoczenie szpitala, w którym tkwił ponad trzy miesiące. Poznał każdy element krajobrazu. Nauczył się topografii, układu budynków, ulic. Zaczął zapamiętywać samochody, a nawet wyuczył się twarzy. Poznawał ludzkie zwyczaje. Czas i kierunek przemieszczania się.

Chłopak był jeszcze młody, spostrzegawczy i inteligentny. Ze względu na te wszystkie zalety został zwerbowany przez wywiad wojskowy Ukrainy, a potem skierowany do samodzielnej jednostki specjalnej sztabu generalnego. „Aman”, jak nazywano go jeszcze zeszłej zimy, potrafił obserwować. Szukać zagrożenia, ale i ratunku.

Wiedział, jak wymknąć się z terenu szpitala, jako że – odkąd zaczął opuszczać swoją salę – odruchowo uczył się rozstawienia kamer monitoringu. Wyszukał pola poza kadrem i okna, przez które nikt nie patrzył. Wiedział, kiedy i gdzie przechadzają się albo przejeżdżają jego cisi opiekunowie. Znał prawie wszystkich. Źle reagował na zmiany w obsadzie „dozorców”. Był daleko od frontu, ale wróg, choć pobity, miał długie ręce. Nie wiadomo czemu, Rosjanie mieli sporą liczbę popleczników w terenie. Nie musieli to być oficerowie ani nawet agenci. Po prostu ludzie, którzy odczuwali jakąś więź z krajem bandyckiego napastnika – może przez rodzinne i historyczne koneksje albo brak zrozumienia sytuacji. To dlatego „Aman” był niezwykle ostrożny.

Jednak nie potrafił usiedzieć na tak małej przestrzeni. Kilka niewysokich budynków, trochę trawników obsadzonych drzewami i pociętych asfaltowymi drogami.

Odkąd potrafił znów normalnie się poruszać, uznał za stosowne zacząć rehabilitację na własną rękę. Wychodził na miasto, ćwicząc zarówno ciało, jak i zdolność pozostawania niezauważonym.

Owego zaś przedpołudnia nie wybierał się nigdzie. Nie lenił się, gdyż samodoskonalenie było podstawą jego służby. Nie narzekał na upał, bo w podobnych warunkach też przychodziło mu działać. Po prostu czekał na kogoś.

Uważny, z oczami skrytymi za ciemnymi okularami, wpatrywał się w ulicę przed frontem szpitala. Sam był niewidoczny, przyczajony w „zasadzce”.

– Cześć bohaterze! – Roześmiany kobiecy głos wyrwał go ze skupienia. Coś ukuło go w okolicy łopatki. „Aman” przestraszył się. Poderwał się z ławki, zrzucił okulary i przybrał pozę wyjściową do walki na pięści. Dyszał przy tym, usiłując opanować rozedrgane emocje.

– Kurde... – Za ławką, wśród gałęzi drzew stała lekko opalona blondynka. Szczuplutka, średniego wzrostu, o długich, rozczochranych i słabo pielęgnowanych włosach. Była urocza. Patrzyła zielonymi oczyma, a jej wąskie usta drżały. Nosiła się bardzo swobodnie, na znoszony T-shirt narzuciła oversize’ową rozpiętą bluzkę, sięgającą kolan w poprzecieranych, luźnych spodniach.

– Spokojnie. – Wyciągnęła dłoń w łagodzącym przekaz geście. – To ja, Elka. – przedstawiła się wolno, jakby rozmawiała z niedosłyszającym albo niedowidzącym. – Siergiej, poznajesz już? – Na jej twarzy malował się autentyczny strach. – Przepraszam, nie chciałam...

Chłopak ostygł. Opuścił ręce. Teraz on był zakłopotany i zagryzał wargę.

– Cześć! – krzyknął, śmiejąc się tak, jakby chciał oszukać cały świat. – Jesteś dobra, naprawdę dobra. – Starał się pokazać, że naprawdę zmienił mu się nastrój. Tymczasem nogi miał drżące, jak z galarety. – Albo to ja jestem już do niczego...

Podniósł okulary i wsadził na czubek głowy. Podeszedł do dziewczyny, złapał ją za dłoń i przyciągnął. Pocałował ostrożnie w policzek. Sprawdzał, jak zareaguje.

– Cieszę się, że przyszłaś... – szepnął.

Czekał na reakcję. Przez chwilę nie mógł się oprzeć paranoicznym podejrzeniom, że Elę mu podstawiono, że się pomylił i stracił czujność. Jak inaczej można by wyjaśnić, że podeszła go jak dzieciaka?

Dziewczyna przechyliła głowę i odgarnęła włosy na bok. Uśmiechnęła się niepewnie. Uwielbiał ją taką. Siergiej opamiętał się. Odwzajemnił

uśmiech i zdobył się na pocałunek w usta. Odwzajemniła go.

– No proszę... Jaka zmiana nastroju – powiedziała z błyskiem radości, a może i rosnącego podniecenia, w oczach. Położyła ręce na jego ramionach. – A już myślałam, że to PTSD, o którym tyle mówią – mamrotała, dając teraz całować się po szyi. – No już... – Potrafiła zapanować nad sobą. Uczyła się tego bardzo długo i wytrwale. Cofnęła się, dając znak, że to jeszcze nie czas na kolejny krok w ich związku. – Mam cię leczyć... To znaczy ćwiczyć. – Doskonale odgrywała powagę. – Jak dziś się czujesz? – Podała mu rękę i przeszła naokoło ławki.

– No, chyba widzisz? – Siergiej przyciągnął ją bliżej, badając bez zażenowania młode, szczupłe ciało lubieżnym wzrokiem. – Coraz lepiej, coraz lepiej. Niech mnie wypuszczą, to zabiorę cię gdzieś... – dyszał, pewien swojego wdzięku. Ale Polka tylko parsknęła niekontrolowanym śmiechem.

– Ty naprawdę jesteś zdrow, napaleńcu. Gdzie ty mnie, biedaku, zabierzesz? – spytała retorycznie tonem opiekunki i pogłaskała żołnierza.

Ubodło to Ukraińca. Spoważniał, uświadamiając sobie dwie rzeczy. Po pierwsze musiał żałośnie wypaść. W tym stroju szpitalnego łązęgi, z kretyńską miną podnieconego nastolatka. Po drugie przypomniał też sobie, że był obcy. Daleko od domu, nieomal w więzieniu.

– Tak, masz słuszość. – Nasunął okulary, ukrywając niepokój, nie chcąc smucić dziewczyny. Była kilka lat młodsza. Nie znała życia z tej strony, z której poznał je on, choć Siergiej wiedział, że nie miała lekko. Zakochała się. On chyba też. Nie był pewny. Zapomniał, co to znaczy, albo nie chciał się do tego przyznać. Nie teraz, gdy może być potrzebny.

– Z rodziny ktoś się odzywał? – zapytała, tuląc się do jego ramienia. Kobięca intuicja podszeptnęła jej, w jakim stanie jest Ukrainiec.

– Tak, starsza siostra, rodzice... To znaczy mama, bo ojciec ciągle w Odessie. Dzwonią regularnie. – Przedstawił całą historię osobistych kontaktów na jednym oddechu. Nie lubił tego tematu. Drażnił go, pozbawiał emocjonalnej stabilności. – Masz rację. – Mówił do Eli, ale

patrzył na niebo. – Nie mam gdzie Cię stąd zabrać. Co najwyżej na kebab ulicę dalej. Jeśli mnie nie wydasz – dokończył bardziej pogodnie.

– Wrócimy do tego. – Dziewczyna podniosła palec, jakby mu groziła. – A jak się dziś czujesz? Widzę, że nie jest źle. Idzie ku dobremu. – Wskazała na prawą nogę. – Co ja gadam, jest świetnie! – Pociągnęła mężczyznę w stronę szpitala. – Trzy miesiące po takim złamaniu otwartym... – Była zadowolona, jakby rekonwalescencja była jej zasługą.

– Młody jestem, dbam... dbałem o siebie. Lekarze i ty czynicie cuda. – „Aman” musiał znów pocałować Polkę. – Naprawdę chciałbym cię gdzieś zabrać – wydukał, wachając skórę blondynki. Brzmiał jeszcze bardziej dziko.

– Wiem, Siergiej, ale jeszcze wytrzymaj. Mięśnie muszą się odbudować... – Przygryzła wargi i cofnęła głowę. Nie pracowała jako rehabilitant długo, a właściwie ciągle się uczyła, ale wiedziała, że chłopak nie odzyska w pełni sprawności.

Noga, urazy klatki piersiowej – to nie były zadrapania. I jeszcze to dziwne zachowanie. Paranoja połączona ze złym nastrojem. Chociaż teraz, po kilku miesiącach spotkań, Ukraińiec był o wiele spokojniejszy.

– Kiedyś gdzieś wyjdziemy. Połazimy. No, ale na razie... – Wstała. – Wiesz już?

– Że niby co? – Siergiej cały się spiął. Był gotowy na złe informacje.

– Spokojnie... – Ela spostrzegła napięcie faceta. – Gości masz mieć.

– Jakich, do cholery?

– Nie wiem. Ma być jakaś wizytacja.

– Kiedy? – Siergiej uniósł brwi. – Czemu o niczym nie wiem? Czemu nikt z nas tutaj... – Wyciągnął szyję w stronę budynku.

– Może chcieli wam zrobić niespodziankę? Właściwie ja też nic nie wiem. Pani Leokadia, sprzątaczką z ortopedii, mówiła, że u dyrektora poruszenie. Bo ktoś był u niego...

– Cholera... – Ukraińcowi zakręciło się w głowie i nagle zachciało się pić.

– Co ci jest? – Ela przywarła do mężczyzny, podnosząc mu ramię, jakby myślała, że ten zemdleje, a ona da radę dowlec go do wnętrza.

– Fajna tajemnica... – szepnął Siergiej. – Wie byle baba ze szpitala, ty... Job ich mać... – Zdjął okulary i wpatrzył się w Polkę przytomnym surowym spojrzeniem. – Mówiłaś o tym komuś? Rodzinie, znajomym?

– Za kogo mnie masz... – obruszyła się. – Nauczyłeś mnie. Poza tym wiedziałam, gdzie idę pracować. Kazano mi trzymać język za zębami. Nikomu nic... Pracuję tu, w szpitalu, w ramach praktyk i... sama się rehabilituję. – Posmutniała. – Wiesz, o co chodzi. Ja nikomu...

– No dobrze, dobrze. – Siergiej pogładził jej dłoń, zakłopotany, że zasmucił tę piękność. – Wybacz, nie chciałem. Po prostu... – Zatrzymał się w pół słowa, znowu walcząc, by nie popaść w paranoję. Była za młoda, zbyt niewinna, by go podchodzić. Bo i po co? Nigdy nie zapytała o nic ważnego z jego służby.

Objął ją znów i ostrożnie przytulił.

– No przepraszam. Już będzie OK. – Musnął palcem jej nosek. Uśmiechnęła się od razu, ale jeszcze udawała dotkniętą. – Chodź, poćwiczmy. Musisz mnie przygotować na tę... wizytację. A może udałoby się zrobić tak, żebyś wreszcie odwiedziła mnie, jak to mówicie, po godzinach?

Ela oblała się rumieńcem.

– Mogłabym – zgodziła się prędko. – Ale to nie będzie romantyczne...

Siergiej wyprężył się na samo wyobrażenie cichej, emocjonującej schadzki.

– Postaramy się. No i jakież będzie to leczniczy impuls... A przecież musisz o mnie dbać. – Ostrożnie złapał brodę dziewczyny i pocałował ją.

*

Powiatowe miasteczko Krzyklin powoli zasypiało. Słońce rozmazało po nieboskłonie pomarańczową barwę kończącego się długiego dnia. Nastął cudowny w letnim czasie moment pomiędzy jasnością a nocą. Upał

odpuszczał. Dawało się oddychać, żyć i funkcjonować. Każdy skrawek muru czy asfaltu oddawał ciepło, jakie wchłonał w ciągu dnia. W ogrodach pięknych domów i na niewielkiej połaci parku słyszeć było świerszcze. Ruch na uliczkach był nieduży. Dzieciaki, zwalniane ostrożnie ze szkolnych obowiązków, dokazywały między drzewami. Kilkoro gnało przez opustoszałe ulice na rowerach i hulajnogach. W powietrzu czuć było zapach ogrodowych ognisk i nagrzewanych roznów. Gdzieś z końca miasteczka, z któregoś z balkonów niskich bloków dobiegała głośna muzyka, ale chyba ze względu na okoliczności przeszkadzała całej okolicy.

W kilku otwartych jeszcze sklepach świeciły się lampy. W tej aurze niedopełnionego wieczoru wydawały się jaskrawsze i wyraźniejsze. We wnętrzach kręcili się nieśpiesznie ludzie. Rzucali długie cienie, rozmawiając w niezobowiązującej atmosferze końca dnia.

Konrad Wigler obserwował wszystko, co działo się wokół. Wyłapywał szczegóły, rodzaje zachowań. Usiłował przewidzieć zakończenie każdego z tych dziesiątków zdarzeń. Robił to odruchowo. Uważał, że „oliwiło” to umysł, który nie zwalniał prawie nigdy. Wyłączał się tylko, kiedy Wigler biegał i ćwiczył. CrossFit poznał trochę po czterdziestce i zakochał się. Ta dyscyplina była kontuzjogenna, ale ćwiczenia i przymus skupienia się na ich jakości i liczbie powtórzeń zmuszały mózg do wyłączenia się ze spraw bieżących. Przy tym krew krążyła szybciej i po wysiłku czuł przyjemne orzeźwienie w głowie.

Tego wieczoru zaś wybrał się na krótką przebieżkę po lesistych pagórkach, niedaleko których mieszkał. Siedział teraz w swoim czerwonowiśniowym volvo CX 60, z ręcznikami rozłożonymi na fotelu. Było mu ciepło, bo na przepecone szorty i koszulkę włożył bawełniany dres. Przez opuszczone okno przyglądał się parterowemu barakowi tutejszej siłowni. Nie stał pod samym budynkiem, a nieco dalej, przy wysokich lipach obok domu handlowego. Nie zamierzał dać się rozpoznać.

Wreszcie drzwi siłowni otworzyły się, a zza szklanej ściany wyszła grupka trajkoczących ludzi. Nie byli młodzi, nie byli też wiekowi. Kilku

panów i kobiet w wieku Konrada. Wszyscy w ubiorach sportowych. Kobiety w obcisłych getrach. Przeważały włosy związane w kucyk.

Wigler włączył silnik i wyjechał na jezdnię. Szybko dotarł do parkingu. Stanął u samego wjazdu. Mógł mieć pewność, że został zauważony. Nie pomylił się.

Jedna z kobiet, ciemna blondynka o wspaniałej figurze, obróciła głowę. Spoważniała. Oddzieliła się od reszty, żegnając się albo coś tłumacząc. Wigler wyłapał momentalnie, że adresatem tych wyjaśnień był jeden z mężczyzn. Brodaty, niechlujnie uczesany. Młodszy od niego tylko o kilka lat. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Konrada. Facet, jakby przyłapany na czymś niewłaściwym, ewidentnie struchlał. Wigler wyłapał to w mig. Pasowało mu to. Obniżało poziom złości wobec zbliżającej się kobiety.

Blondynka zarzuciła sportową torbę na ramię i włączyła telefon. Nie śpieszyła się. Konrad uznał, że obmyśla wyjaśnienie i przy okazji sprawdza w telefonie, czy mąż do niej nie dzwonił.

Otworzyła drzwi. Wyraźnie dała sobie w kość. Jej gładka, lekko piegowata twarz była ciągle zaczerwieniona. Podobała się Wiglerowi. Pełne usta, bystre spojrzenie wąskich oczu z długimi, czarnymi rzęsami i ostro zarysowany podbródek dodawały Beacie drapieżności. Przypominała mu dawną wojowniczkę. Połączenie Słowianki i kobiety z egzotycznych krain. Była energiczna, lubiła ruch i pociągała mężczyzn. Pasowało to do jej dobrze uformowanego ciała, któremu nie pozwalała się starzeć, a którego atuty podkreślała czasem wręcz prowokacyjnie.

– Cześć! – rzuciła z uśmiechem Beata. Oczy zdradzały, że była zmieszana. Siadła na miejsce, rzuciła torbę na tył i pocałowała męża na powitanie.

– Fajnie, że jesteś. Nie sądziłam, że uda ci się wrócić tak prędko – zaczęła się tłumaczyć, patrząc gdzieś w bok na asfalt. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak kretyńsko to brzmi. Znali się od dwudziestu pięciu lat. Kobieta wiedziała, jak myśli jej facet. Co potrafi i jak trudno go dogonić, a tym bardziej oszukać. Ćwierć wieku wcześniej te zdolności pociągały ją

i fascynowały. Przysłańiały narcyzm, z którego starała się go leczyć z biegiem czasu. Była pewna, że to ten, i nie pomyliła się.

– Biegałeś? – Odważyła się spojrzeć na męża, który siedział jak posąg.

– Tak, biegałem. – Konrad wreszcie się odezwał. – Udało się pozalaćwiać wszystko szybciej. Wyrwałem się. Wiesz, że fizyczne zmęczenie to najlepszy sposób na relaks. Trochę gorąco, ale zrobiłem z sześć kilometrów górkami. – Dopiero potem przeszedł do ataku. Spokojnego, wytrwałego. Takiego, który najbardziej dokucza, bo nie wygląda na ordynarną kłótnię w zazdrości. – Zobaczyłem twój samochód pod domem. Uznałem, że ktoś cię zabrał na trening. Co tym razem? Rumba czy coś innego? Nowy kolega? Tutaj ćwiczysz? Przyjezdny? Długo to trwa?

– Nie... on... to znaczy... – Beata szybko pękła. Powinna być przygotowana, ale nie była. Zgubił ją jeden mały drobiazg. – To nie tak... Marta miała mnie zabrać – zaczęła dobrowolną spowiedź, trąc palcami skronie i wlepiając wzrok w koniuszki butów. – Zepsuł się jej samochód. Ten gość to Jacek... Jacek Zakopczyński. Mieszka pod Radomiem, tu wpadł do znajomych. Zna Martę i jej męża. Lubi sport, ona mu zaproponowała. Podwiózł nas...

Dla Wiglera brzmiało to całkiem logicznie, ale nie zamierzał odpuszczać.

– Przyjechał po ciebie, akurat kiedy mnie nie było. I ślepił za twoim tyłkiem w legginsach, aż prawie się obsłinił.

– Ma żonę... chyba i jest młodszy.

– Cóż to za głupie argumenty! – Konrad prawie się roześmiał. – Jak mam ci wierzyć? Przyjeżdżam wcześniej i widzę cię z jakimś obcym facetem... A może nie takim obcym? Może to trwa jakiś czas? – Sama myśl zjeżyła mu włosy na karku.

– Nie, nie, to nie tak... Naprawdę! – Beata zdobyła się na odwagę i spojrzała mężowi w oczy. Rozumiał jak mało kto, że nie ma po co grać i udawać. Mówiła prawdę, a on potrafił to ocenić, choć po tylu latach nie wiedziała, jak właściwie to robi. – Cholerny bucu, kocham cię, a on nawinał

się przypadkowo... – Przechodziła do kontrataku. – Nie wiem, gdzie i na co mi się patrzył, bo mam to gdzieś!

Konrad triumfował. Kilkoma zdaniem pozbawił żonę hardości. Ale Beata poczuła się dotknięta. Nie była gówniarą, którą można było sztorcować, ot tak. Miała swoje osiągnięcia. Miała dyplom medyczny i ciekawą pracę, nadającą sens jej życiu.

– A ty, przepraszam, co sobie myślisz? – Oparła się o deskę rozdzielczą i przymknęła oczy. – Znikasz nie wiadomo na jak długo, bez słowa wyjaśnienia! Ja zostaję sama, a ty od razu wyjeżdżasz z podejrzeniami?! Jak ty w ogóle śmiesz? Żyjemy razem tyle lat. Wychowane dzieci, dom, pierdyliard kredytów. A ja czekam jak ta głupia, bo nie wiem, co się z tobą dzieje. Czy jesteś w Polsce, czy znów na krańcu świata. Miałeś, do kurwy nędzy, iść na emeryturę. Skończyć z tymi... wyjazdami. Ale tobie ciągle mało. Znów cię nie ma. Powiedz mi, Konrad, ile jeszcze, ile to będzie trwało, do cholery? – Zamarła, patrząc na męża. Teraz on odwrócił wzrok. Zestaw stawianych mu zarzutów był ostatnio niezmienny. Wigler wiedział dobrze, że ten wybuch złości był może i szczery, ale Beata musiała też pokazać, że nie podda się ot tak. Musiała pokazać, że coś znaczy, bo układ był wszak partnerski. W małżeństwie było gorzej niż na wojnie.

– Wiesz, co się dzieje – zaczął więc spokojnie powolne tłumaczenia. Jak zawsze. – Mamy wojnę. Niby niewidoczną dla nas, tu w kraju, ale ona trwa... Tłumaczyłem ci. To nie są zwyczajne czasy. To nie jest Afganistan, Irak. To coś więcej. Coś bardziej poważnego. Wszystkie ręce na pokład. Uznano, że jestem przydatny. Nie zdiadziałem jeszcze, więc...

– Czasem bym wolała, żebyś właśnie zdiadział. – Beata obróciła się gwałtownie w fotelu i skrzyżowała ręce na piersi. – Łaził po domu w kapciach, czytał gazety, kosił trawnik i gapił się w telewizor...

Konrad Wigler nie wytrzymał. Wybuchnął szczerym, tłumionym od dawna śmiechem. Przysunął się bliżej kobiety i pogładził palcami po karku. Udała, że jej się to nie podoba. Wzdrygnęła się i usiłowała odsunąć, ale opór malał. Konrad objął ją i przysunął się, całując w policzek.

– No cóż, jeszcze wiele rzeczy przede mną. Może będę takim... domatorem – obiecał, ubawiony wizją.

– Wariacie cholerny!

Pocałowali się, a jej dłoń objęła jego kark, tak jak lubił. Siedzieli cicho kilka chwil, patrząc na siebie. W źrenicach kobiety pojawił się jakiś blask, który Konrad mógłby nazwać oznaką szczęścia. Ta jego dzika zazdrość chyba jej się podobała. Świadczyła o tym, że on ciągle kocha i naprawdę lubi wracać do domu.

– Wracajmy – poprosiła. – Nie mam nic dobrego na kolację. Coś będę musiała wymyślić.

– Koniecznie... Liczę na twoją inicjatywę. – Położył dłoń na udzie Beaty. Nie protestowała, zapominając o starciu sprzed chwili.

– Dobrze, że wróciłeś, pomieszkasz trochę. Masz dzieci. Maria chce przyprowadzić swojego ancymona. W sobotę na obiad. – Konrad mlasnął zaskoczony i odpalił silnik. Zmysłowy nastrój rozplynął się niczym mgłą. Wigler rozumiał, że kobiety to najtrudniejszy przeciwnik i potrafią wykorzystywać męską chuć. Został zepchnięty przez żonę do narożnika i otrzeźwiony. Była to jej mała, wredna zemsta.

– Znowu jakiś bubek...

– Dla ciebie każdy zły, bo za głupi. Ale teraz chyba coś na poważnie...

– Poważnie – stęknął mężczyzna. – Na studia idzie, a bzdury jej w głowie. To się zmieni jeszcze z pięć razy. – Wyjechał na ulicę i rozpędził wóz.

– Ty wiesz, ja wiem – mówiła dalej Beata, niezrażona. – Ale masz być miły. A te swoje psychoanalizy zostaw dla nas. Na później, dobrze?

Konrad zacisnął szczęki. Wiedział, że nie miał podstaw, by podejrzewać Beatę o coś złego. Zaniepokoiły go poszlaki i zareagował prawidłowo. Skończyło się szczęśliwie, bo ona się wystraszyła i pokajała, ale... Musiał uważać. Niejeden z jego przyjaciół odszedł ze służby, bo to, co robili, nieistotne jak ważne było, demolowało prywatne życie. Czasem jednak nie było już odwrotu. Tym bardziej teraz, kiedy świat szalał, a on był jednym

z trybów, które pracowały, by się nie rozsypał. Nie chciał się martwić na zapas, ale nie umiał inaczej.

– Zwolnij... – usłyszał naleganie Beaty. Ocknął się. Pędził sto na godzinę przez miasteczko.

– Przepraszam, zmęczony jestem.

– Słyszałeś, o co prosiłam? – Żona wierciła mu dziurę w brzuchu.

– Tak, tak... – przytaknął potulnie. – Będę grzeczny i rodzinny jak nigdy. Ty i Marysia będziecie dumne.

*

Marek Bartusz był, delikatnie mówiąc, roslym mężczyzną. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i dużą puciołową twarz z czarną nieuporządkowaną brodą. Jego ciemna czupryna była równie niechlujna jak zarost.

Nie był jednak typem grubasa. Miał wielkie bicepsy, umięśniony tors i lekko tylko wystający brzuch. Góra ciała kontrastowała z chudszyimi nogami. Bartusz ćwiczył, pozostawał w formie, jak przystało na glinę, który więcej działa w terenie niż przy biurku i papierach. Korzystał z uroków życia. Nienawidził diet i wyrzeczeń, zwłaszcza po całodniowej harówce. Dbał o masę, a nie o rzeźbę.

Stawiał ostrożne kroki, niosąc dwie gorące kawy w papierowych kubkach. Zbliżył się do służbowej ciemnoszarej skody, zadowolony, że dotarł szczęśliwie do celu. Stuknął kolanem w drzwi, żeby jego partnerka Patrycja przejęła napoje, i w tym momencie gorący płyn skropił błękitną koszulę, którą policjant zakrywał przytroczoną do pasa bojówek broń i resztę wyposażenia.

– Żeby to szlag! – fuknął pod wąsem.

– Trzymaj! – Patrycja zareagowała szybko i podała mu bawełnianą chustkę. Nie wiedziała, co z nią zrobić, więc wetknęła koledze w usta, po czym odebrała od niego kawę. Osadziła kubki w uchwytach i pokręciła głową.

– Pech to pech... Może to zdejmij?

– I co? Będę świecił giwerą i zwykłym podkoszulkiem. Z tym bebzonom to będzie komicznie wyglądało przy wszystkich sopowcach, gromowcach... czy kogo tam wysła – zżymał się Marek, trąc zapalczywie płamę poślinioną chusteczką. – Może nie będzie tak widać? – mruknął, zajmując miejsce kierowcy.

Siadł na fotelu i dalej tarł ślady po kawie.

– Przynajmniej dobrą kupiłeś. – Patrycja Ross starała się choć trochę pocieszyć kolegę komisarza.

Kobieta była absolutnym przeciwieństwem wielkoluda. O dwie głowy niższa, drobna i szczupła, była pełna energii. Uwielbiała jazdę na rolkach i stylizowała się na chłopczycę. Nosiła za duże spodnie, ramoneski albo za wielkie bluzy, co zakrywało jej kobiece wdzięki. Nie malowała się przesadnie, a właściwie bardzo rzadko. Ostatnio zapuściła włosy, po coraz częstszych uwagach kolegów, że zaczyna wyglądać jak facet. Związywała je tylko gumką, ale i tak wreszcie przypominała niewiastę. Zaniedbaną, ale jednak kobietę.

– No, to co mamy właściwie robić? – Marek z namaszczaniem sięgnął po kubek tak, żeby nie uronić już ani kropli.

– Jak mówili na odprawie, obstawiać obstawiających. – Patrycja powiedziała to tak, jakby niewiele ją obchodziły zadania na przedpołudnie w Proszowicach. – Ministerstwo, jedno czy drugie, wszystko zaplanowało, a my mamy pilnować...

– Żeby żaden miejscowy menel nie wpadł im pod samochód. – Bartusz łykał gorący napój.

– No widzisz, wszystko wiesz – zadrwiła Patrycja. – Ustawimy się w cieniu, daleko od wejścia i filujemy, a potem... – Przerwał jej dzwoniący telefon. – Cześć, słucham. Dziękuję, przyjmę. Cześć – skończyła i spojrzała na towarzysza. – No, dopijaj, ile możesz. Pięć minut i są. – Od południa rozległ się dźwięk policyjnej syreny.

– Co? Łukaszek? Twój adorator. – Marek dwa razy komicznie poruszył brwiami, dając niezrozumiały sygnał.

– Ty co, drgawek dostałeś? Jaki adorator... Znamy się i tyle.

– No tak. Z tobą to musiałby być wariat samobójca.

– Kolega, kurde mać... Nie rzyj tak, bo ci żyłka pęknie. Odpalaj maszynę i koguta stawiaj.

Syreny zrobiły się wyraźniejsze. Ulicą, wzdłuż której stały niskie domy, nadjechał pierwszy oznakowany radiowóz. Marek wystawił niebieskie światło, co spotkało się ze zdziwieniem kilkorga starszych ludzi przechadzających się obok. Za radiowozem pojawiły się ciemne wozy. BMW serii 5, volkswageny i kilka SUV-ów z zaciemnionymi szybami, a także bus.

– No już, już nie bocz się. – Bartusz trącił łokciem koleżankę. – Żartuję sobie. Fajnie, że gość się tobą interesuje. Bo jak jedni brali cię za faceta, to inni szeptali, żeś ty lesba...

– Brawo, co jeden to lepszy. – Patrycja sapnęła, wymachując rękami. Dźwięk syren wypełnił uliczkę i stał się przez moment ogłuszający.

– Weź się za siebie, to będzie spoko – poradził Marek, kiedy środek kolumny mijał ich wóz. – Będziesz petarda, to przestaną gadać, a tak... Sorry, flejtuch z ciebie.

– Kurwa, bo ty to jak Di Caprio... – odparowała gwałtownie kobieta, mając już dość jak na jeden poranek.

– No, Di Caprio... na polskiej emeryturze. – Marek znów zaniósł się śmiechem, rozbawiony porównaniem, jakie wpadło mu do głowy. Patrycja aż parsknęła, też nie mogąc wytrzymać z rozbawienia.

– Dobra, Leonardo, ruszaj, bo ci uciekną. Od dziś jesteś Leo, poważnie mówię. – Zawyła syrena i skoda pognała, by zamknąć kolumnę jadącą w stronę szpitala.

Przybycie tajemniczego orszaku zelektryzowało miasteczko i okolice szpitala. Nikt, prócz pracowników placówki podsłuchujących plotki, nie wiedział o wizycie. Ciepłe piątkowe popołudnie nabrało teraz świątecznego charakteru niespodzianki. Ludzie zaczęli rozmawiać na chodnikach, wychodzić ze swoich lokali i, osłaniając oczy od słońca, usiłowali wyłowić cokolwiek ciekawego.

Kawalkada zajęła podjazd do drugiego wejścia. Nie chciano blokować wjazdu karet na SOR ani tym bardziej robić zbyt wielkiego zamieszania wśród pacjentów.

Z busa i SUV-ów wyszli uzbrojeni po zęby ludzie, ubrani niemal jednakowo: w zielone koszule i stretchowe bojowe spodnie, czyli w odzież, po której nie sposób było rozpoznać przynależności państwowej ani nawet służbowej. Panowie mieli czapki baseballowe, ciemne okulary przylegające do twarzy oraz syntetyczne kominy, zakrywające wszystko poniżej poziomu nosa. Ale to noszone przez nich kamizelki kuloodporne, broń maszynowa i kabury przy biodrach czyniły ich niebezpiecznymi. Jednocześnie dzięki nim wizyta robiła większe wrażenie. Ochrona obstawiła szybko teren. Rozeszli się po zabudowaniach, zablokowali wjazdy, korzystając z własnych pojazdów. Patrzyli bacznie na okna i na przyglądających się im z bezpiecznej odległości gapiów.

Nie trzeba było dziesiątków policjantów prewencji, choć ci stworzyli zewnętrzny kordon na rogach pobliskich ulic. Obecność dwóch tuzinów uzbrojonych tajemniczych gości wystarczyła, by tubylcy pojęli, że trzeba zachować dystans.

Gdzieś w dalekim nieznanym miejscu czuwał jeszcze jeden zespół, który pilnował wszystkiego za pomocą niewielkich dronów, krążących nad Proszowicami i okolicą. Dozór zaczął się przed nadejściem gości i miał trwać jeszcze długo. Dowodzący ochroną odebrał meldunki od wszystkich rozstawionych i podjął decyzję, że VIP-y mogą opuścić pojazdy. Dał sygnał, po czym otwarto drzwi w trzech autach.

Pierwszy wysiadł barczysty, niemłody już mężczyzna. Miał okrągłą i opaloną twarz. Był krótko obcięty i siwy. Przypominał byłego zapaśnika

albo boksera wagi półciężkiej. Tego dnia nosił się na sportowo, mimo pełnionej funkcji. Był ambasadorem Ukrainy w Polsce. Wraz z nim podróżował minister obrony narodowej RP. Podobnie jak towarzysz ubrał się mniej oficjalnie. W zielonej koszuli z polską flagą na piersi zyskiwał frontowy sznyt. Za politykami szło kilku oficerów, polskich i ukraińskich. Ukraiński attaché, też w stopniu generała, miał połowy mundur z kilkoma baretkami z frontu wojny, która ciągnęła się już od 2014 roku. Dorównywał wiekiem ambasadorowi, ale był szczuplejszy i ewidentnie sprawniejszy. Zamieniał co chwila kilka słów z polskim ministrem, pełniącym rolę gospodarza, dyplomata oraz polskim generałem ze sztabu generalnego. Robił to z przyzwyczajenia. Najbardziej obawiał się widoku tych, z którymi miał się spotkać.

Pułkownik Myhajło Lajewski dostrzegł to wahanie u ukraińskiego generała. Miał okazję z nim o tym rozmawiać przed opuszczeniem Warszawy. Ranni, weterani tłęcej się ciągle wojny na wschodzie, byli rozmieszczani w całym kraju, nie tylko w głównych ośrodkach miejskich. Leczone ich w takich miejscach jak niewielkie Proszowice. Były tu znakomite oddziały: chirurgiczny, ortopedyczny oraz torakochirurgiczny, leczący urazy klatki piersiowej. Można było skutecznie zająć się ranami frontowych żołnierzy. Prócz tego gospodarze mogli się podjąć szybkiej rehabilitacji, zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

Rannych zwożono do Polski pociągami medycznymi albo samolotami. Potem byli rozmieszczani w całym kraju, jeżeli ich stan pozwalał na dalszy transport.

Nikt nie afiszował się pobytem przybyszów. Ukrywano ich na zamkniętych oddziałach, w osobnych salach. Byli dyskretnie strzeżeni, tak uważnie jak tylko pozwalały na to siły miejscowych służb porządkowych. Ale bohaterów walk w mniejszych szpitalach rzadziej odwiedzano. Dbano o nich, jednak wojskowy rodzimy personel nie pojawiał się w powiatowych placówkach.

Attaché bał się zarzutów o zaniedbanie weteranów. Nie oczekiwał miłego przyjęcia, a tym bardziej triumfalnej relacji w social mediach.

Myhajło Lajewski zamierzał sam zmierzyć się z pretensjami. Szanował szefa za to, co ten zrobił na froncie i co w pocie czoła organizował tutaj, na terenie Polski, nie rezygnując z ciężkiej pracy ze wszystkimi sojusznikami.

Attaché miał w tym też ukryty interes i swoje plany. Rozumiał, że popis przed gospodarzami powinien dobrze wpłynąć na sojuszników. A właściwe nastawienie w czasie transportów zaopatrzenia dla walczących wojsk miało wielkie znaczenie. Wszyscy byli zmęczeni wojną, zwłaszcza opinia publiczna. Nawet ministrowie przywykli, zwłaszcza w obliczu ukraińskich sukcesów na frontach. Musieli więc miejscowych zachwyć. A dokładniej: powinni wzruszać ich co jakiś czas. Stąd wziął się pomysł tej serii wypadów i odwiedzin u pokiereszowanych bohaterów.

Lekarz w nieodzownym białym fartuchu wyszedł, by powitać dostojnych gości. Był starszym, chudziutkim doktorem o lekko skrzywionych plecach. Nosił okulary w drucianej oprawie i uśmiechał się nerwowo. Pot rosł mu czoło na upalnym powietrzu.

Powitał wszystkich i powiedział kilka słów o placówce. Zapewnił, że pacjentom, których dziś odwiedzą, nie brakuje najlepszej opieki. Że zaszczycem dla niego i szpitala jest wizyta tak znamienitych gości. Potem wskazał drzwi i zaprowadził delegację do wnętrza.

Siergiej „Aman” i jego towarzysze nie należeli do ludzi strachliwych. Nauczono ich pokonywać lęk i zmagać się z najgorszymi przeciwnościami. Nie powiedziano im jednak, jak radzić sobie z tremą czy reagować na kontakty z oficjelami. Podświadomie, zarówno Siergiej, jak i reszta, ustawiali się na pozycji petentów, świadomi, że goście są reprezentantami dwóch rządów, wiele mogą i decydują o ich losie. To krępowało najbardziej. Nie bez znaczenia był wciąż żywy postsowiecki strach przed nieomylną władzą.

Oficjalny anons o wizytacji wywołał zdziwienie, delikatnie zaprawione goryczą. Siódemka oficerów i żołnierzy z różnych rejonów Ukrainy została tu ukryta i nieomal zapomniana.

Owego dnia rekonwalescentów zgromadzono w niewielkiej salce, świetlicy na ostatnim piętrze. Każdy ubrał się w to, co miał najlepszego,

aczkolwiek nie było mowy o garniturach, krawatach i wizytowych butach.

Stali (bądź siedzieli) w świeżych dresach, czasem džinsach i sportowych koszulach, jakie otrzymali z darów. Dwóch najbardziej okaleczonych sierżantów, z przeciwległych krańców kraju, dumnie wstało, by okazać szacunek.

Jednemu amputowano stopę, drugiemu zaś nogę aż pod kolanem. Trwali w postawie, trzymając się na kulach.

Pielęgniarka, rudowłosa weteranka zawodu, z niezmienną troską o swoich „ukraińskich chłopców”, ekscytowała się jeszcze bardziej niż jej pacjenci. Oczy lśniły kobiecie z emocji. Nie pamiętała takiego zamieszania w tutejszej placówce.

Na korytarzu zaczęło robić się gwarно. Nasilał się odgłos kroków tłumu gości. Drzwi otworzono. Najpierw weszło dwóch ochroniarzy – zamaskowanych, uzbrojonych i bardzo uważnych. Siergiejowi wydawało się, że pierwszy nawet lekko skinął głową z szacunkiem dla szpaleru mężczyzn, ale zaraz zbadał pomieszczenie zimnym profesjonalnym wzrokiem. Zbrojni ustawili się w kątach. „Aman” wiedział, co robią. Znał tę taktykę i sposób działania.

Następnie pojawił się idący tyłem facet w džinsowej kurtce, z wielką torbą na ramieniu. Przy twarzy trzymał aparat z lampą błyskową i zaczął strzelać zdjęcia nadchodzącym VIP-om. Potem zjawił się jeszcze jeden, z niewielką kamerą. Siergiej zrozumiał, że żarty się skończyły. Wyprostował się, wciągnął brzuch. Reszta też zaczęła się odruchowo prężyć. Powiedziano im, że ich dane personalne oraz wizerunki nie zostaną upublicznione, ale i tak chcieli dodać sobie rezonu.

– Sława Ukrainie! – zakrzyknął siwy mężczyzna w marynarce. Był ambasadorem.

– Sława Ukrainie! – dodał idący za nim generał. W ułamku sekundy starał się objąć wzrokiem każdego z pacjentów.

– Herojam sława! – wykrzyknął zadziwiająco gromko zgodny chór żołnierzy. Trema opuściła ich jak za dotknięciem różdżki.

– Dzień dobry, panowie – włączył się swobodnie polski minister. Był uśmiechnięty i chyba poruszony tym pokazem dumy. „Aman” też poczuł ukłucie w dołku. Wzruszył się, naprawdę się wzruszył. Dopiero w owej chwili dotarło do niego, jak dawno nie widział nikogo z kraju. Żadnego Ukraińca, prócz towarzyszy niedoli z grupy pacjentów.

Zapomniał naraz o nieufności wobec władzy. Zlekceważył pogłoski o przedmiotowym traktowaniu kombatantów. Zamiast tego rozpierały go nieodczuwane od dawna duma i radość. Ambasador zaczął krótką przemowę.

– Witam was, panowie! To wielka radość być tu z wami. Widzieć, że – jak mówi pan dyrektor – wracacie do zdrowia. Siadajcie proszę... – zwrócił się łagodnie, nie chcąc męczyć zwłaszcza okaleczonych. Ci jednak trwali z uporem, okazując szacunek. – Wraz z naszymi polskimi przyjaciółmi robimy wszystko, byście wydobrżeli i, jeżeli Bóg pozwoli, mogli znów walczyć i pracować dla niepodległej Ukrainy. Wojna nie jest skończona. Przed nami ciągle wiele wyzwań. Wierzcie mi, mocno się staramy, pracujemy w pocie czoła. Nie zapominamy o nikim... – Zdawało się, że czytał w myślach chłopaków i przyjmował na siebie wszelką winę. Mówił jeszcze kilka minut, pięknie i z serca, sam z każdym słowem mocniej poruszony. Był coraz bardziej bezpośredni i swobodny, jakby zapomniał albo odłożył na bok oficjalną przemowę. Atmosfera stała się mniej napięta, obydwie strony zaczęły się rozluźniać.

Polski minister przemawiał lżejszym tonem. Z uśmiechem zapewniał, że jego resort i kraj nie przestaną pomagać dzielnym obrońcom na wschodzie. Wspominał o milionach kobiet i dzieci, które przyjechały do Polski i mieszkały teraz przeważnie w domach zwykłych obywateli.

Przestano robić zdjęcia i nagrywać film. Goście podeszli bliżej, witając się z każdym pacjentem z osobna. W odpowiedniej kolejności, według starszeństwa przybyłych. Ambasador, minister, attaché i reszta.

Pułkownik w letnim mundurze kazał podać sobie sporą walizczkę. Otworzył ją i wyciągnął zdobione pudełko, które odłożył na stolik przy ścianie. Czekał na sygnał generała, przypatrując się pacjentom.

Pogaduszki i wspominki trwały dobry kwadrans. Ambasador i reszta zebranych porzucili wcześniejszą rezerwę wobec siebie i spotkanie przebiegało w naprawdę dobrej atmosferze. Ktoś z otoczenia polskiego polityka dał jednak dyskretny sygnał ministrowi, że czas zmierzać do końca. Wieść dotarła do ambasadora, a ten skinął na attaché.

Myhajło Lajewski otworzył pakunek, w którym znajdowało się kilkanaście pudełek z odznaczeniami. Generał spoważniał. Staął w postawie zasadniczej.

– Panowie... – zaczął tubalnym głosem. Pacjenci, choć już zmęczeni, bo nie nawykli do długiego stania, zebrali siły i też stanęli na baczność. – W uznaniu waszych wielkich zasług, decyzją prezydenta republiki zostajecie odznaczeni... – Lajewski defiladowym krokiem podszedł do attaché. Przy każdym pudełeczku było nazwisko i imię wyróżnionego.

Generał uroczyście wywoływał odznaczonych. Pierwszy z żołnierzy wystąpił krok wprzód. Lajewski podał dwa pudełeczka i otworzył jedno. Żołnierz brygady piechoty morskiej, biedak z amputowaną nogą, bohater walk w piekle Mariupola, został odznaczony tytułem Bohatera Ukrainy. Najwyższym odznaczeniem państwa. Dodatkowo otrzymał medal „za rany”.

Generał ucałował podoficera w oba policzki i uściskał mocno dłoń. Dziękował mu serdecznie, przypominając to, czym zasłużył na wdzięczność narodu. Chłopak miał zniszczyć dwa pojazdy, samotnie osłaniając odwrót kolegów i grupy cywilów podczas ataku na punkt pomocy humanitarnej na jednym z osiedli. Sierżant nie krył głębokiego wzruszenia. Nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować, patrzył na order na piersi jak na coś zupełnie nierzeczywistego. Złoty przedmiot nie pasował do szpitalnego otoczenia. Łza spłynęła po policzku weterana. Otarł ją prędko, usiłując trzymać fason, jak na morskiego piechocińca przystało. Ale stracił opanowanie sprzed kilku minut. Opowieści przypomniały zbyt wiele. Żołnierz uświadamiał sobie z wolna, jak wiele zapłacił za zaszczytny tytuł. Generał zapewnił, spoglądając na ambasadora, że państwo nie zapomni zasług sierżanta, ale brzmiało to jak pusty frazes.

Attaché przystąpił do dalszych dekoracji. Przechodził kolejno do pozostałych wyróżnionych orderami. Wszyscy odznaczeni zostali za rany, jakie odnieśli, a niektórzy dodatkowo za osiągnięcia na polu walki. Siergiej był przedostatni. Stał, prężąc się, z podniesioną głową i zaciętą, poważną twarzą, choć ogarnęło go prawdziwe wzruszenie.

– Za odwagę w boju i dowodzeniu podczas walk w obwodzie kijowskim dekoruję was, podporuczniku, orderem Bohdana Chmielnickiego II Klasy!
– Generał sięgnął do kolejnego pudełeczka i wziął medal. Wpiął stalową kokardę z czerwonymi i białymi emaliowanymi ramionami, przywodzącymi na myśl wieloramienną gwiazdę, w której centrum widniała podobizna kozackiego hetmana.

Siergiej pomyślał, że niewiele już go w życiu czeka ciekawego, a jednak prosty gest dodawał odwagi w zmaganiu z przyszłością. Uwierzył, że coś jeszcze znaczy i przyda się na coś. Właściwie już teraz mógłby prosić o przydział. Zrobić coś. Czuł się w miarę dobrze. Był sprawny na tyle, żeby ćwiczyć. Gdy dekorowany był ostatni z pacjentów, „Aman” poddawał się entuzjazmowi, jaki nagle go ogarnął.

Zaczął obmyślać jakąś mądrą formę przemowy, będącej zarazem prośbą o zgodę na opuszczenie tego miejsca. Umiał mówić, był inteligentny, ale w owej chwili nie wiedział, jak wykrztusić z siebie logiczne zdanie. Kręciło mu się w głowie. Spozstrzegł naraz, że pułkownik, pomocnik attaché przygląda mu się i lekko uśmiecha. „Aman” przygryzł boleśnie wargi ze wstydu.

Dopiero teraz dotarło do niego, że generał, ambasador i cała reszta rozmawiają z jego kolegami, porzuciwszy polityczną kurtuazję. Tylko jego ominięto, bo chyba wydał się wycofany.

– Gratuluję. – Pułkownik podał dłoń oficerowi GUR. – Walczył pan w świetnej jednostce. – Mocno zacisnął palce.

– Tak jest, panie pułkowniku. Walczyłem. – Siergiej chciał pokazać, że wojskowy dryl jeszcze z niego nie wywietrzał. Następnie poczuł smutek, że użył czasu przeszłego. – Chciałbym, panie pułkowniku... – zawziął się i skupił – ...chciałbym jeszcze powalczyć. Chciałbym prosić o przydział.

Jestem zdrowy, nieco treningu i wrócę do sprawności. Gdyby można było prosić o jakieś wsparcie... Podpowiedź... – Mówił coraz głośniej, skoncentrowany na jedynej szansie spełnienia swego najgłębiej skrywanego marzenia. – Ze względu na ten order... na moje rany... – Zaczął się jąkać, gubiąc wątek przemowy. Inni powoli kierowali na niego swoją uwagę. Ciekawił ich albo im imponował.

– Dzielny z was żołnierz i specjalista... – Attaché przysunął się do niego. – Czy dobrze słyszę? Pan porucznik chciałby wracać? – Uśmiechał się ze zrozumieniem i czymś jak troska starszego człowieka.

– Tak jest! – rzucił Siergiej. – W 2014 walczyłem w Doniecku jako ochotnik. Biłem się o „dworzec” w dwóch zmianach. Walczyłem pod Warianhowką i Deszninem. Kampania letnia 2015. Potem zostałem ranny po raz pierwszy. Zwolniono mnie do cywila, ale potem... potem dostałem zaproszenie do wojsk specjalnych. Szkolili mnie w Izraelu... – rozkręcał się. – Nasi przyjaciele wyleczyli mnie. – Skinął ostrożnie na polskiego ministra, co ten skwitował wdzięcznym uśmiechem. „Aman” szybko uczył się języka dyplomacji. – Dlatego uważam, że jestem gotowy... – powiedział donośniej, nie myśląc nawet, że ci, którzy byli w trakcie rekonwalescencji albo na trwałe okaleczeni, mogli źle przyjąć ten wybuch żołnierskiej gorliwości.

– Dobry z was patriota. – Ciężka dłoń generała spoczęła delikatnie na ramieniu chłopaka. Wyraźnie obawiał się uszkodzić pacjenta, co Siergiej odebrał jako brak wiary w jego deklaracje. Siergiej był zmęczony.

– Niczego ci nie brakuje. Jedzenie, pokój. Jest porządku? – zapytał Lajewski. Siergiej nie zrozumiał od razu. Nie tego chciał. Poważna mina pułkownika zdradzała jego zaniepokojenie. „Aman” zaczynał podejrzewać, że się wygłupił. Że pułkownik ratuje go przed dalszą kompromitacją. „Wariat, pospolity wariat!” – obruszył się na samego siebie i najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Tak, mam własny pokój, jak prawie wszyscy... Niektórzy mieszkają w salach... – Nie chciało mu się tłumaczyć prozaicznych rzeczy. Baretki, które pułkownik nosił na koszuli, świadczyły, że był zaprawionym w walce weteranem. Bardziej doświadczonym niż młody podporucznik przed nim.

Ale szanował „Amana” jak towarzysza broni. Ciągłe patrzył na Siergieja nieco przymrużonymi oczami i z rozchyłonymi ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Zapytać.

– Przepraszam i dziękuję. – Podporucznik wydukał ze wstydem. Był pewny, że zalewa go rumieniec. Pochylił głowę. Cofnął się o krok już bez ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. Przypomniało mu się, że gdzieś niedaleko musi być Ela. Chciałby ją zobaczyć. Chciałby, żeby była świadkiem odznaczenia. Pomogłoby mu to. Uciekłby do niej, zupełnie nie jak zahartowany ogniem wojownik. Docierało do niego, że właśnie dostał od losu fangę w nos. „Aman”-wojownik przechodził do historii.

– Trzymaj się, żołnierzu! Nie zapomnimy o was... – Generalska dłoń jeszcze raz uścisnęła prawicę Siergieja, prawie łamiąc palce. Żegnał się zakłopotany. Zerknął na Lajewskiego, dając znak, że kończy tę konwersację. Podszedł do kogoś innego i zaczął pozować do zdjęć z polskim ministrem. Lajewski kroczył za dowódcą, ale zmieszany wybuchem Siergieja, co chwila wracał do niego spojrzeniem. Siergiej uciekł myślą gdzieś na pola widziane za oknami. Tracił złudzenia. Teraz dopiero poczuł się osamotniony. Porzucony przez swoich.

ROZDZIAŁ 3

Noc przynosiła nieco ulgi po gorącym, dusznym dniu. Od zachodu zaczął wiać wiatr i łatwiej było oddychać. Było chłodniej, przyjemniej. Zmierzch był cichy i spokojny, stanowił przeciwieństwo emocjonującego dnia.

VIP-y, dziennikarze i cały korowód przybyszów, który opanował szpital, zniknęli. Obsługa jeszcze długo przeżywała pogawędki z notablami, wspólne zdjęcia i wymieniane uprzejmości. Szef MON oraz dyplomaci z Ukrainy obdarowali pielęgniarzy i lekarki bukietami kwiatów, podarkami w postaci koszy prezentowych i przede wszystkim pamiątkowych odznaczeń, które chyba najbardziej podobały się personelowi. Oto szpital gdzieś poza wielkim miastem został doceniony, a jego pracownicy odebrali to bardzo pozytywnie.

Jeden z brązowych medali, w pudełku wyłożonym atlasem, miał trafić do Eli. Nie było jej tego dnia w pracy, czego Siergiej bardzo żałował. Chciał po prostu popisać się przed dziewczyną. Dawno nie było kobiety, która stałaby mu się tak bliska.

Ukraiński oficer zaproponował, że sam przekaze to wyróżnienie. Jego argumenty były mocne. Jako weteran i oficer chciał sam podziękować za opiekę nad sobą i kolegami.

Nuda i brak zajęć zmuszały go do wymyślania nowych sposobów urozmaicenia życia. Opanował wymykanie się z placówki. Zwiedzał już miasteczko, więc teraz chciał więcej.

Miał swój własny polski telefon. Ela mu go kupiła. Nie ufał żadnej łączności przekazywanej przez Polaków. Wiedział, że muszą go kontrolować i pilnować. Po odejściu gości wybrał numer i namówił Elę na

spotkanie. Na prawdziwą randkę. Daleko od szpitala, całej medycznej otoczki, której miał już serdecznie dość.

Podobał się Polce, imponował jej. Był tylko nieco starszy. Czuł się doświadczony, lotny i zabawny. Nie zdziwił się, że pomimo rytualnego oporu i wykrętów Ela przystała na tę „akcję specjalną”.

„Aman” rzucił ostatni raz okiem na medal. Zamknął go i włożył do niewielkiego plecaka. Zastanawiał się krótko, czy aby czegoś nie zapomniał. Nie posiadał licznego dobytku. Ot, trochę ubrań z darów, przybory toaletowe, jakiś stary komputer i odtwarzacz MP3. Wszystko zostało ofiarowane przez dobrych ludzi, którzy zapewne myśleli, że te rzeczy trafią do kobiet i dzieci. Ale obie grupy były do siebie bardzo podobne. Weterani dostarczeni do Polski też nie mieli niczego własnego. Zostawili wszystko, przecież niedługo mieli wracać...

Siergiej upił łyk wody z małej butelki i wcisnął ją do pakunku wraz ze zmianą bielizny i koszulką na zapas. Spojrzał na zegarek. Ela powinna być za kwadrans na tyłach szpitala. Tam, gdzie lubili chodzić na samotne spacerki, żeby pobyć razem bez nadzoru lekarzy i ochrony. Obstawa. Tego obawiał się najmocniej. Ale nie byłby sobą, gdyby nie przeanalizował planu i nie rozebrał go na czynniki pierwsze.

Wymykał się raz, potem jeszcze pięć i wyznaczył sobie możliwe punkty obserwacji. Zachodził teraz w głowę, czy Polacy wiedzieli i pozwalali mu na wypadki, czy byli tak nieuważni. Paru kumpli też biegało po miasteczku, więc miał nadzieję, że to kwestia nieuwagi.

„Aman” nasunął spraną baseballówkę na czoło. Zapiął bluzę z kapturem. Zaczął się skradać po ciemnym pokoju ku drzwiom. Piętro spało. Szpital również pogrążył się w ciszy. Korytarz był pusty, a dyżurująca pielęgniarka siedziała w swoim pokoju, z którego dobiegała cicha muzyka.

Siergiej najbardziej obawiał się kamer. Tutaj były dwie, na obu krańcach korytarza. Wiedział, że personel nie gapi się w ekrany monitoringu non stop, zwłaszcza nocą. Wiedział też – ze szkolenia i praktyki – że nic tak nie przyciąga uwagi jak gwałtowny ruch.

Wysunął się więc z pokoju, trzymając głowę nisko. Zamknął ostrożnie drzwi i, bacząc na kontuar przed pokojem pielęgniarek, zaczął się skradać na koniec korytarza.

Tam znajdowały się drzwi ewakuacyjne, rzadko używane, prowadzące na jedną z kilku klatek schodowych. Podstawowe wyjście awaryjne było usytuowane na korytarzu głównym, tuż obok szybów wind, ale to było bliższe i mniej uczęszczane. Wyjście Ukraińca nie zwróciło niczyjej uwagi. Stąpał na palcach, w sportowych butach. Nie spowodował żadnego trzasku ani skrzypnięcia. Pokonał wreszcie pokryty linoleum korytarz i złapał za klamkę drzwi wyjściowych. Pchnął je tak ostrożnie, jak tylko się dało. Zamarł nagle, był pewny, że misterny plan poszedł właśnie do kosza. Zawiasy skrzypnęły, cholernie (jak mu się wydawało) głośno. Ukrainiec odczekał chwilę, spodziewając się reakcji. Zaczynał się pocić, w zbyt grubym (jak na ciepłą noc) ubraniu, i patrzył w oko kamery w kuli pod sufitem. Mijały sekundy, ale nic nie nastąpiło. Pchnął drzwi raz jeszcze. Znów wydały z siebie drażniący dźwięk, ale było już za późno. „Aman” znalazł się na klatce. Zamknął za sobą drzwi. Czujnik ruchu wykrył go i włączył światło. Siergiej tylko naciągnął czapkę i, nie czekając na więcej komplikacji, ruszył w dół, co chwila wyglądając przez poręcz, czy nikt nie nadchodzi z przeciwka.

Na powietrzu – lub na polu, jak mówili w tych okolicach – poczuł przyływ mocy. Był jak uwolniony z klatki ptak. Lekka dawka adrenaliny zaczęła go podniecać. Schował się więc za załom muru i odczekał, aby nieco się uspokoić. Silne emocje nie były wskazane w takich sytuacjach.

Siergiej szybko się opanował i zaczął powtarzać kolejne punkty planu. Musiał przejść do kępy drzew na trawniku, obchodząc cały budynek główny, następnie przemknąć przez parking, jeszcze jeden zielony teren i mógł wyjść pod drzewa koło płotu. Potem był już wolny.

Począł, aż wzrok przywyknie do ciemności. Ruszył, pewny swego. Nie było tu zbyt wielu latarni. Nie widział żadnego ruchu. Kamery umieszczono na rogu budynku. Ich zasięg obejmował fragment trawnika i drogę przeciwpożarową. Starczyło trzymać się muru i pozostać w cieniu.

Zresztą ochroną placówki nocą zajmowało się kilku emerytów, którzy człapali co kilka godzin na leniwe obchody. Najwyraźniej nie zatrudniono prawdziwej obstawy. Siergiej przemknął przez teren okalający budynki. Przystawał przy autach, nasłuchując. Potem znowu ruszał, coraz bardziej przejęty swoimi „wagarami”. Jeszcze bardziej cieszyło go to, na co liczył, kiedy wyrwie się wreszcie z tej nory.

Niespodziewanie chłopaka przeszył niepokój. Oddech przyśpieszył, zrobiło mu się na przemian zimno, a potem gorąco. Doskoczył do ściany jakiegoś technicznego budynku. Był wściekły, że nie radzi sobie z psychiką, chyba bardziej pokieroszowaną niż ciało. Usiłował zapanować nad lękiem i wywnioskował, że czuje czyjąś bliską obecność. Zamarł i słuchał z coraz szybciej łomoczącym sercem.

Miasteczko było niedaleko. Gdzieś przejeżdżał samochód. Przy którymś domu czekał pies. Wiatr kołysał gałęzie wysokich drzew, okalających teren szpitala. Ukraińiec nie słyszał niczego, co mogłoby tłumaczyć jego stan. A jednak przecucie go nie opuszczało.

Wiele wysiłku, fizycznej siły było potrzebne, by się przemóc. Jak mawiała jego prababcia, a potem oficerowie na selekcji do oddziału, najtrudniej jest pokonać samego siebie. Wstał więc i jeszcze wolniej ruszył w stronę celu – ostatnich drzew, które dzieliły go od płotu i swobody. Naraz coś trzasnęło. Dreszcz przeszedł po plecach Siergieja. Obrócił się w stronę potencjalnego zagrożenia, uznając, że został wykryty. Podniósł dłonie gotowy do walki, tak jak był nauczony. Szukał przy tym drogi odwrotu. Wciąż pozostawał wojownikiem. Nawet nie pomyślał, że szykował się na bójkę z miejscową policją albo starszym panem z tak zwanej ochrony. Przygotowano go na najgorsze.

W krzakach coś zaszumiało. Siergiej zaczął się cofać, stwierdziwszy, że zdoła uciec bez konfrontacji. Zrobił dłuższy krok w tył i w mroku objawiła się sylwetka Eli.

– To ty... – Myślał, że zemdleje. Ręce mu opadły.

Dziewczyna śmiała się, zakrywając usta dłońmi.

– Ale wyglądasz...

– Przestań się śmiać. Chcesz, żebym dostał zawału? – wysyczał Siergiej. Pierwszy raz tak mocno się na nią zezłościł.

– Znowu... znowu cię nastraszyłam? – Radość dziewczyny przechodziła powoli. Elka wydawała się bardzo dumna ze swojego popisu. Chłopak nie zmieniał zdradzającego wściekłość wyrazu twarzy. – No już... – Polka z wolna zaczynała rozumieć, że to nieodpowiedni temat do żartów. Podeszła bliżej i złapała dłoń mężczyzny. – Mam tu samochód... Nie bocz się, tylko chodź.

Jej uśmiech i dotyk były dla Siergieja panaceum na wszystkie lęki. Odwzajemnił uśmiech. Pocałował ją.

– Cześć – szepnął, dotykając głową jej czoła. Napięcie słabło. Wreszcie zaczynało być mu dobrze.

– Samochód stoi na drodze. Przelazłam przez płot, od tej strony nie ma chyba kamer... – Ela wydawała się niezwykle dumna ze swojego wyczynu. Siergiej podziwiał ją, choć nie miał pojęcia, skąd właściwie ona tyle wiedziała o zasadach konspiracji.

– Chodź – szepnęła i pociągnęła go za dłoń. W pobliżu rozległ się nieznanym i niespodziewanym dźwiękiem. „Aman” zamarł, znów gotowy stawić czoła wszelkim możliwym niebezpieczeństwom. – No co ty?

Ukrainiec zastygł w pełnym bezruchu i zgarbił się. Ela zdążyła pomyśleć, że wygląda jak kot czekający na ofiarę.

– Uciekaj – syknął niespodziewanie mężczyzna.

– Co? – Nie czuła zewnętrznego zagrożenia, tylko strach przed Ukraińcem.

Spod szumiących drzewa wyskoczył wielki cień. Ela krzyknęła i padła na ziemię. Siergiej był gotów. Odsunął się. Odparował nadchodzący cios napastnika. Tamten był większy, rośniejszy, ewidentnie umiał się bić. Był szkolony. „Aman” oczyścił umysł z dociekań i natręctw. Miał walczyć o życie, działać automatycznie, tak jak go nauczono. Intuicja podpowiadała mu, że to dopiero początek, że zaraz tamtych będzie więcej.

Cień spróbował z lewej. Zamachnął się, ale Ukrainiec zablokował jego dłoń i boleśnie wykręcił. Napastnik syknął, ale nie poddał się. Potrafił znosić ból. Wyprowadził cios nogą. Ugodził Siergieja w lewy bok, w żebra. W klatce piersiowej zakłuły blizny. Ale „Aman” też wiele potrafił znieść. Chwycił ciężkie udo faceta i, trzymając już jego ramię, zaczął dziwaczny taniec.

Spostrzegł błysk. W prawej dłoni wróg miał nóż i machnął nim szybko. Siergiej się uchylił, ale majcher świszczał mu nad głową. Był już zmęczony, nieporadnie złapał łokieć tamtego i wpił palce w staw najmocniej, jak mógł. Cień znów syknął. Chciał się wyrwać, unikając zwarecia, i zacząć od nowa. Siergiej nie zamierzał na to pozwolić. Pochylił głowę, puścił lewą dłoń tamtego i zadał cios w krocze. Jeden, potem kolejne. Wielki zachwiał się i stęknął. Wytrzymywać taki ból też go nauczono, ale stracił kilka sekund. „Aman” uwolnił udo faceta i skupił się na dłoni z nożem. Wykręcił ją obręcz i wygiął tak, że kości zaczęły trzeszczeć. Palce się rozluźniły i broń spadła na ziemię. Siergiej dociskał ramię. Przesunął się za napastnika i wymierzył kopnięcie w tył kolana. Cień prawie padł, ale wciąż walczył.

Dobił go cios jakiegoś kamienia, który znalazła Ela, odzyskawszy zdolność do działania. Napastnik wydał dziwne rżenie i osunął się na ziemię.

Nie było czasu, by go dobić. Za zdyszana, ale zadowolona z siebie dziewczyną była już kolejna postać. Wyrwała się z mroku w momencie, kiedy dziewczyna chciała coś powiedzieć.

– Ty! – krzyknął Ukrainiec. Ela odsunęła się, wielka dłoń w rękawiczce usiłowała zasłonić jej usta. Kobieta wrzasnęła i echo odbiło się od budynków. Rzuciła się na napastnika z piskiem, który przeszył wieczorne powietrze. Naraz zamilkła. Z jej ust wydostał się tylko głośny oddech. Zachwiała się i zaczęła osuwać. „Aman” spostrzegł nóż w dłoni intruza. Krew zawrzała w Ukraincu, kiedy zrozumiał, co się stało. Doskoczył i wbił palce w twarz wroga. Docisnął oczy tak mocno, że zdawało się, że gałki zaraz pękną. Drugą dłonią wykręcił rękę z nożem. Zadał cios kolaniem w krocze i kiedy tamten stracił oddech, wyszarpał nóż. Obrócił go sprawnie

w palcach i z pełną siłą wyprowadził cios pod serce i poniżej. Bił zapamiętale, słuchając, jak tamten charczy. Kiedy uznał, że wystarczy, pchnął omdlewające ciało i przypadł do Eli.

– Już... już spokojnie – sapał, czując, jak pot ścieka z jego twarzy. Dziewczyna trzymała się za brzuch. Była blada, cicha. Starła się uśmiechać.

– Siergiej – szepnęła, patrząc mu w oczy. – Ja bym chciała...

– Nic, nic nie mów – prosił, rozumiejąc, co nadchodzi. – Zdjął bluzę i zaczął uciskać ranę. – Pomocy! – zawołał drżącym głosem. – Nie, nie ty, nie tu...

Usłyszał daleki trzask, poczuł znajomy świst i ruch powietrza nad głową. Schylił się. Chciał odciągnąć dziewczynę, ale wydawało się, że ona zasypia. Druga kula przeszła bliżej.

„Aman” rzucił się na plecy i wturlał za konającego dryblasa. Zaczął macać wzdłuż pasa zamachowca. Kolejna kula weszła w ciało rannego, pieczętując jego los. Inna wyrwała kępę trawy obok nogi Siergieja. Ten szukał zapamiętale dalej. Nie pomylił się. Z tyłu, pod kurtką wyczuł rękojeść pistoletu. Wyciągnął, po omacku odbezpieczył, uniósł lufę w kierunku, z którego nadlatywały pociski, i zaczął strzelać. Krótkie błyski wytłumionej beretty rozjaśniały scenę dramatu.

Widok nieruchomego ciała Eli w jasnym ubraniu przywodził na myśl anioła pośród zła świata. Powodował wściekłość i rozpacz, jednak instynkt i doświadczenie nie pozwalały się poddać.

W szpitalu zaczął się harmider. Słysząc było jakieś pokrzykiwania, ktoś patrzył z okna, ale miejsce walki znajdowało się w najdalszym, ciemnym zakątku ogrodu. Gdy ktoś zaczął się zbliżać od budynku, ostrzał ustał. Siergiej myślał intensywnie. Podczołgał się do Eli i wtedy kula prawie musnęła jego plecy, nadlatując z innej strony. „Aman” pojmował, że jest (lub zaraz będzie) osaczony. Umysł pracował szybciej, jak za każdym razem, gdy ciało walczy o przeżycie. Mimo to wiele wysiłku kosztowało Siergieja, żeby przemóc opór.

– Ela – szepnęła przez zaciśnięte zęby. W jednej sekundzie stanęły mu przed oczami wszystkie wspólne momenty. Śmiech i poczucie swobody, jakie im towarzyszyły. Zaraz coś przypomniało mu, że ma jeszcze matkę, siostrę. Za długo tkwił w tym wszystkim, by nie odgadnąć przyczyn dramatu. Przynajmniej te najprostsze wydawały się prawdziwe.

Wyciągnął ramię w kierunku miejsca, gdzie – jak sądził – czaili się strzelcy. Pociągnął spust trzy razy i wyrwał biegiem w gąszcz, klucząc, jak potrafił.

Hałas za nim narastał. Gałęzie cięły twarz i ręce. „Aman” walczył o życie. Przywykły do mroku wzrok wyłowił między krzakami kawał wygiętej siatki – tędy nieszczęsna Ela musiała dostać się na teren. Siergiej podszedł bliżej. Słuchał, usiłując wyłapać każdy szmer, który oznaczałby niebezpieczeństwo.

Na trawniku ktoś się ruszał. Chyba nie szedł za Ukraińcem, bojąc się zasadzki między pniami drzew. Siergiej był pewien, że słyszy ściszone głosy. Był sam. Tamci, kimkolwiek byli, mieli przewagę.

Zmuszał się do spokoju i zimnej analizy. Nie było to teraz łatwe. Dawno odwykł od myślenia w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Ale był zdolny podjąć decyzję. Podczołgał się do wyrwy i przeszedł na drugą stronę. Zdało mu się, że przeniósł się do innego świata. Ale tylko przez chwilę. Nie mógł pozwolić sobie na odprężenie.

Przed nim znajdowała się szutrowa droga. Dalej pola i spory dom, jakieś pół kilometra dalej. Spozstrzegł zaparkowany w cieniu drzew samochód Eli. Był to mały, nie najnowszy opel corsa. W krzakach pękła gałąź. Ktoś zbliżał się nieostrożnie. To dało Siergiejowi impuls. Pobiegł, na palcach, żeby być jak najcichszym. Doskoczył do drzwi. Były otwarte. W blasku lampki dostrzegł klucze w stacyjce. Wsiadł, odpalił silnik, ale nie włączył świateł. Usilnie starał się przypomnieć sobie plan okolicy, który zapamiętywał podczas swoich „spacerów”. Nie zamierzał jechać przez centrum miasteczka. Wrzucił bieg i wyrwał szybko. Kilka metrów przed nim, od ściany krzewów oderwała się sylwetka. Siergiej przyśpieszył, zarzynając silnik. Jeszcze dostrzegł błysk. Kula musnęła dach. Druga wybiła dziurę

w tylnej, bocznej szybie. „Aman” zrobił niezgrabny manewr, usiłując przejechać strzelca, kiedy go mijał, ale w skulonej pozycji, po ciemku nie miał szans dobrze wymierzyć. Tamten odskoczył w zarośla.

Droga skręcała w prawo, tak jak płot szpitala. Samochód nieco zwolnił. Siergiej wychylił się i dostrzegł, że na końcu ścieżki, bliżej asfaltowej szosy, stoi coś czarnego i kanciastego. Domyślił się, że został zablokowany. Kończyły mu się możliwości. Zaparł się o kierownicę, dodał ostro gazu, prędko zredukował bieg i ruszył w pole zasłane żytem. Dalej za nim była normalna droga.

Corsa tańczyła na nierównościach, walcząc o każdy metr w sypkiej suchej ziemi. Siergiejowi wydawało się, że znów coś tłucze w auto, ale nie myślał o tym. Gapił się w szary pasek asfaltu, jakby był najważniejszym miejscem w jego życiu. Udało mu się, choć sam nie wierzył. Przednie koła uchwyciły twardy grunt. Zapiszczały, kiedy skręcił, kierując się na południe. Ciągle pędził, mało nie wpadł do rowu. Spojrzał za siebie. Bryła szpitalnych budynków, rozświetlanych włączanymi w pokojach światłami, robiła się coraz mniejsza.

– Ela! – szepnął smutno jakby na pożegnanie. Słona łza przecięła policzek. Nie podejrzewał, że będzie jeszcze kiedyś płakał. Stało się.

Adrenalina zniknęła z krwiobiegu, pojawiały się strach i niepewność. Siergiej nie miał pojęcia, co się wydarzyło, co powinien być zrobić i do kogo uciekać. Przed nim, kilkanaście kilometrów na południe, mrok nocy rozjaśniała łuna świateł Krakowa.

*

Konrad Wigler nie lubił takich dni. Dokładniej rzecz ujmując, nie lubił takich spotkań. Sprawiały mu trudność. Był to zresztą problem, z którym borykała się większość ludzi wykonujących jego zawód. Mimo że dawno przekroczył czterdziestkę, był statecznym i doświadczonego mężczyzną, to obowiązki rodzinne wywoływały w nim coś w rodzaju lęku.

Potrafił rozpoznawać ludzkie charaktery, nawyki i oczekiwania. W pracy wykorzystywał to bez ograniczeń, co czyniło zeń kogoś wyjątkowego.

W prywatnym życiu jednak miał skrupuły. To, co gdzie indziej było pomocne w brutalnej walce z obcymi mu, paskudnymi osobnikami, na łonie rodziny było znacznie bardziej skomplikowane.

Tego sobotniego przedpołudnia szykował się na konfrontację. Choć może przesadzał, określając tak obiad z córką i jej nowym chłopakiem.

Ubrany w granatowe bermudy, jasnozieloną koszulkę polo, szykował w swojej obszernej kuchni mięso na ruszt. Gotowanie też mu wychodziło całkiem nieźle, a odkąd postawił murowany grill w ogrodzie, pichcenie na powietrzu stało się jednym z jego hobby.

Rano poćwiczył w swojej niewielkiej siłowni w piwnicy. Miał jeszcze na to siłę, pomimo kolejnej nocy pełnej atrakcji. Jego nieobecność w domu nadrabiali z żoną coraz bardziej namiętnie. Sama Beata usuwała skutki kłótni przy ostatnim powrocie męża. Odbudowywali silną relację, od roku lub dwóch poddawaną próbie jedynie za sprawą nieregularnych wyjazdów i zniknięć Konrada.

Wigler lubił te powitania. Kilka dni po powrocie dodało mu jeszcze więcej energii i optymizmu. Potrafił się wyciszyć i zresetować umysł po tym wszystkim, co musiał robić z dala od domu. Jednocześnie coś pchało go do działania. Intuicja podpowiadała mu, że maskuje tym lęk, ale sam nie wiedział dokładnie przed czym. Był oficjalnie emerytem dostającym dobrą pensję od państwa. Nowe zajęcie, którym parął się drugi rok, także było nieźle opłacane. Z żoną zbudowali przytulny, spory dom, z salonem, trzema łazienkami i ich ulubionym poddaszem. W modnym ekobudownictwie trochę nowoczesności, nieco antyków i pamiątek z podróży po świecie, których ciągle było im za mało.

Konrad zazwyczaj nie analizował przyczyn swoich zachowań. Bał się, że wszystko zacznie się sypać. Miał też ogromną wiedzę o prawdziwej naturze świata, z którą nie zdradził się przed nikim z bliskich. Beata wiedziała tylko trochę o tym, czym zajmuje się jej mąż. Więcej się domyślała, ale nie zwykła dociekać.

„Emeryt” czuł potrzebę sprawdzania się i walki o to, by zło nie rozlało się za bardzo i nie dotknęło jego najbliższych. A poza tym Konrad Wigler

dożył wieku, w którym mężczyzna, choćby podświadomie, zaczyna bać się starości i utraty dawnych sił. On nie przyznawał się jednak do tego i działał. Ten sobotni obiad był jednym z ważnych punktów w życiu, które świadczyły dobitnie o uciekającym czasie.

– Krystian... – Konrad powiedział pod nosem, nacierając przyprawami kawał karkówki. – Co to za imię? – Pokręcił głową, nie dowierzając, że jego Marysia mogła wybrać kogoś takiego. Chudy, wysoki, z brodą przypominającą kilka kępek na bladej skórze.

Był informatykiem. Chyba bez żadnych zainteresowań. Łazili podobno do tej samej kawiarni, gdzie... Krystian grzebał w komputerze. Konrad uważał, że Marysia jest mądrą dziewczyną. Sam ją nauczał, żeby nie powiedzieć, szkolił. Uważał, że mogłaby wybrać lepiej. Uprawiała sporty, szermierkę, jazdę na rowerze. Dużo czytała, lubiła śledzić politykę i sprawy międzynarodowe. Znała historię i międzypaństwowe zależności. Jej i siostrze zapewnili lekcje języków obcych, których znały trzy. A mimo wszystko... – Krystian. – Konrad chlasnął dłonią w mięsiwo i zastygł wpatrzony w widok za kuchennym oknem. Usiłował zrozumieć, jak jego jasnowłosa, piękna i zgrabna córeczka może zadawać się z tym nudziarzem. Jak mogła zakochać się w nim na zabój.

– Panie szefie... – Głos Beaty wyrwał go z rozważań. Konrad wzdrygnął się wystraszony i chyba zawstydzony, że żona słyszała to jego mamrotanie. Odwrócił się. Stała oparta o ścianę, z założonymi rękoma, uśmiechając się jakoś dziwnie.

– Pięknie wyglądasz – rzucił Wigler, by ukryć swoje zmieszanie.

– Doprawdy? – Beata uśmiechnęła się szerzej i pokręciła głową. – Zwykle porcięta i bluzka... – Zbliżyła się i pocałowała męża w czoło. – Ty, filozof... – Pogładziła mężczyznę po policzku. – Nie myśl za wiele, dobrze?

– Mój ty psychologu – westchnął, obejmując kobietę ostrożnie, by nie umazać jej tłuszczem.

– Nie, to ty jesteś naszym psychologiem... Ja mam tylko kobiecą intuicję. – Zaśmiała się i puściła oko. Konradowi przeszło przez myśl, że naprawdę posiadała dar czytania w myślach.

– Już jadą... Dałam młodej auto. Więc śpiesz się, Kochany Panie Makłowiczu.

– Zaraz... – Wigler stęknął i jakby opadł z sił. – Mieli być po południu.

– Mieli, nie mieli. – Beata wzruszyła ramionami. – Młodą nosi od rana. Pojechała do Magdy na ploty, a potem pewnie na PKS. – Córeczka ci się... zalofciała. – Szturchnęła Konrada łokciem. – Starzejesz się. No... oboje nie stajemy się coraz młodsi, jeżeli cię to pocieszy. – Pogłaskała męża po karku. Wigler sposepniał, nieskory do odpowiedzi, a tym bardziej do kłótni.

– Starsze dziecko w świecie, pogodziłem się. Ale ona... – Znów utkwiał wzrok w drzewach na skraju ogrodu.

– Ucieka od nas. Cóż... Życie, Panie pułkowniku. – Wydawała się pogodzona z losem. Konradowi bardzo to imponowało, ale i dziwiło go.

– Jeszcze jest gówniarą. U nich wszystko może się zmienić. – Podniesiony na duchu tą wizją, wziął duży nóż i wbił w mięso. Odkroił solidny kotlet. – Znajdzie jeszcze trzech...

– Aha... Pocieszaj się. – Beata zaczęła rwać sałatę. – Przy każdym przeżywasz tak samo. Z kobietami tak jest... Zresztą z chłopakami podobnie. Pójdą sobie i będziemy tu we dwoje. To znaczy częściej ja sama, jeżeli nie przestaniesz znikać. A potem się dziwisz, że ja... – Zapędziła się w wyrzutach, którymi raczyła go co jakiś czas po powrocie. Niepotrzebnie wróciła do incydentu z nowym kolegą. Konrad chciał coś powiedzieć, dotknięty wspomnieniem urażonej męskiej dumy. Ale wtedy na zewnątrz usłyszeli samochód.

– Są. – Teraz i Beata się zdziwiła. Zerknęła na zegarek przy piekarniku. – Ona naprawdę zwariowała... Nic nie jest gotowe.

– Ten wałkoń od komputera ją tak spaskudził. – Konrad zaczął pośpiesznie wycierać ręce w ściereczkę. Tylko jedno wyjaśnienie wchodziło w grę.

– Daj spokój. – Beata obruszyła się. – Miałeś być miły. Może to porządny chłopak...

– Aha... Krystian – sapnął Wigler.

Drzwi otworzyły się z impetem. Do domu wpadła najpierw Maria. Była wysoka, szczupła, wysportowana. Miała szeroki uśmiech, perłowo białe zęby i zielone, gorejące radością oczy. Ubrała się w krótkie spodenki, białą bluzkę bez rękawów i sznurowane sandały. Wyglądała zjawiskowo, choć Konrad wciąż widział w tej smukłej, pięknej młodej kobiecie swoją małą Maryskę. Nie potrafił pojąć, jak tak cudna istota mogła wybrać takiego lebiegę.

– Cześć – krzyknęła Maria, wymachując bukietem kwiatów, zapewne prezentem od chłopaka. – Pozwólcie... – Cofnęła się do przedpokoju, by powrócić z Krystianem ciągniętym za rękę. – Oto Krystian. – Wskazała na niego, jakby zachwalała konia albo samochód. Tak odebrał to Wigler.

Młodzian był wysoki. Nie imponował muskulaturą, można było dostrzec parę wałków tłuszczu odznaczających się pod obcisłą modną koszulą. Nie był ostrzyżony, a lichesy zarost wyglądał gorzej niż na zdjęciach. Chłopak sprawiał wrażenie zestresowanego i co chwila przetykał ślinę. Trzymał coś za plecami jedną ręką. Druga poprawiała okulary, które wcale zresztą nie ześlizgiwały się z nosa.

Konrad czytał z zachowania i gestów jak z otwartej książki, prosząc los o okazję do przygadania młodemu.

– Masz być grzeczny... – Los przemówił jednak ustami Beaty, która wyszeptała ostrzeżenie ledwo słyszalnie. Byli ze sobą tak długo, że Konrad wiedział, co oznacza ten ton. Nie zamierzał ryzykować snu na kanapie i sarkania przez następne trzy dni.

– Witam w naszych skromnych progach. – Gospodarz rozpromienił się, a wszyscy uwierzyli w szczerść jego powitania. Przytulił Marysię, pokazując „obcemu”, jak ważna jest jego córka. Nie podejrzewał Krystiana o wysoką inteligencję, ale wiedział, że w jakimś stopniu gość zrozumie przekaz.

– Krystian jest informatykiem. Programistą w projektach sztucznej inteligencji i analizy... – Maria prezentowała wybranka z wielką dumą, jak kogoś wyjątkowego, co jeszcze bardziej zdziwiło ojca. Córka naprawdę mu zgłupiała.

– Na pewno się dogadacie, bo ta analiza dotyczy... Przypomnij, kochanie – poprosiła słodko, a Konrada prawie zemdliło.

– Analiza zagrożeń i metod ich zwalczania w sektorze infrastruktury krytycznej – odpowiedział młody. Wigler miał na końcu języka coś w stylu: „Pilnujesz, żeby windy jeździły?”, ale zatrzymał to dla siebie. Nie lubił tych młodych, pewnych siebie mądrali, którzy na starcie dostawali górę pieniędzy za to, że popisywali się wiedzą o działaniu całej tej cholerniej techniki, która tak bardzo ułatwiała Konradowi pracę w terenie.

– Tata pracuje w ochronie. Na pewno znajdziecie wspólne tematy do rozmowy. – Marysia poklepała ojca po brzuchu, szczęśliwa i przekonana, że wszystko układa się idealnie.

Nie układało się. Konrad nie wiedział, czy córka zdradziła, co jej ojciec robił wcześniej. Nie znała szczegółów, ale to, co mogła powiedzieć, powinno wystarczyć, by taki kujon się czegoś domyślił... albo i poszperał gdzieś jako analityk.

„Muszę ci się przyjrzeć” – najprostszy wniosek przyszedł na koniec. Gdyby nie ta cholerna wojna i inne sprawy, sam dałby gnojka pod lupę dawnych i obecnych kolegów.

– Bardzo mi miło... – Chłopak głęboko skinął głową. – Jestem zaszczycony zaproszeniem i cieszę się, że możemy się poznać. – Wigler odebrał tę kurtuazję jako odegranie wyuczonej roli i jeszcze mniej mu wierzył. – Pani pozwoli... – Krystian wysunął rękę zza pleców. Trzymał w dłoni jeszcze jeden bukiet, a na nadgarstku papierową torebkę z prezentem. – To dla pani. – Wręczył Beacie kilka przyciętych krótko róż w różowym zdobieniu. – A to dla pana i pani. – Przefykając ślinę, podał pakunek Konradowi.

– O, nie trzeba było! – zaprotestowała rutynowo pani domu, zanurzając nos w bukiet. Wydawała się ujęta zachowaniem gościa.

– Bardzo dziękujemy... – Pan domu także odgrywał rolę zakłopotanego, ale nie spuszczał wzroku z chłopaka. Zdziwiła go waga podarku. Sięgnął do wnętrza. – Fiu, fiu... – Wykrzywił usta. Beata otrzymała spore opakowanie najprawdziwszych paryskich czekoladek z jeszcze prawdziwszymi

truflami. Mąż przekazał je oniemiałej kobiecie. Sam wyciągnął to, co dla niego. Litrową butelczynę dwunastoletniej whisky Koval, prosto z Chicago w Illinois. Analizował etykietę, nie wiedząc, jak zareagować. Pierwszy raz się uśmiechnął. „Facet już dobrze zarabiał albo sprzedał nerkę. Z córeczką też muszę poważnie pogadać”. Nie docenił dziewczyny, która tyle o nim wiedziała. A może to on uznał, że jego dziewczynka nie zwraca uwagi na przyzwyczajenia tatusia. Wigler wyciągnął dłoń. Niechęć lekko zaczynała się kruszyć.

– I nie stójmy tak... Zapraszamy do ogrodu. Pod parasol, będzie nam przyjemniej. – Konrad zamieniał się w prawdziwego gospodarza. – Obiad jeszcze niegotowy, spodziewaliśmy się was później, ale damy radę. Napijemy się czegoś zimnego. Straszny dziś upał. Piwo, cola, panie Krystianie? – Odstawił prezent, sięgając do lodówki.

– Jaki ja pan... Proszę mi mówić po imieniu. Po prostu Krystian.

Chłopak szybko skrócił dystans, uznając, że już zaskarbił sobie wdzięczność i zaufanie. „A jednak zadufany w sobie buc” – przyznał Wigler ponuro. Mógł oszukiwać samego siebie, ale czytał w charakterze gościa jak w książce.

– Dobrze, więc Krystian... – Gospodarz uśmiechnął się.

Młody zaczął wychwalać wystrój i architekturę domu. Co i raz spoglądał na rodziców Marii. Konrad wyczuł, że chłopaczyna liczył, że i starsi pozwolą mówić sobie na ty. „O co to, to nie, smarku. Tu nie Ameryka”. Wigler sięgnął do lodówki po dwa dobrze schłodzone piwa.

– Jeszcze wcześniej, ale skwar taki... Dziewczyny wy też? Czy może coś bardziej owocowego? – Podał butelkę Krystianowi. „Jeszcze jedna próba”. Zamierzał zbadać, jak i ile pije. Młody nie wyczuł zasadzki. Uniósł butelczynę w czymś na kształt toastu i wychylił sporo.

Konrad westchnął, co spotkało się z surowym spojrzeniem małżonki. Nie chciał tak spędzać tej soboty. Naprawdę wolałby nawet kosić trawę w gorącym słońcu.

Wszyscy przeszli do salonu i na taras, gdzie to ojciec Marii miał pełnić honory gospodarza. Opatrzność jednak czuwała nad Konradem Wiglerem.

Z piętra doleciał stłumiony odległy sygnał telefonu, akurat w momencie, kiedy emeryt miał wkroczyć na taras. Bezwiednie wykrzywił usta w uśmiechu.

– Przepraszam – burknął i odstawił piwo. Pobiegł truchtem ku schodom i zniknął na kilka minut. Kiedy schodził, był bardziej energiczny i skupiony. Mocno się starał nie okazywać zadowolenia, ale przebijało ono z jego spojrzenia.

– Nie waż się! – Beta widziała, co się święci. Stanęła pod parasolem w rozkroku, z rękoma na piersi.

– Niestety... to bardzo pilne. Muszę natychmiast...

– Co, co się stało? Ktoś z rodziny? – Krystian nie rozumiał zamieszania, ale starał się być miły. – Może pomogę? – Wstał z wiklinowego fotela.

– Nie, nie, odpoczywaj i baw się. Dziewczyny się tobą zajmą... Wszystko jest gotowe. – Wigler zaprzeczył ruchem głowy. Najchętniej już by zniknął z domu. – To awaria u dużego klienta mego kolegi. Ja mu pomagam... Niestety, i w weekendy się zdarza. Miło było poznać... To znaczy nie było czasu, ale... Będzie jeszcze okazja – skłamał, podając dłoń Krystianowi.

– Nie może cię ktoś zastąpić? – Marysia siedziała przygarbiona z kwaśną miną.

– Niestety. – Ojciec pocałował ją w policzek i potargał włosy na czubku głowy, jakby miała pięć lat. Beatę też pożegnał, choć zrobił to szybko, bojąc się, że dojdzie do erupcji złości. Był pewien, że kiedy wróci, nie spotka go nic dobrego. Nie miał jednak wyboru.

– Powiedz chociaż gdzie... – Żona poprosiła konfidencjonalnie.

– Stare śmieci – rzucił bez szczegółów. – Na południu. Kilka dni.

– Ukartowałeś to – syknęła, a Konrad postukał się palcem w czoło.

– Kilka dni... nadrobimy. – Chciał jeszcze ją pocałować, ale odsunęła się ostentacyjnie. Konrad ruszył do domu, by zabrać zawsze gotowy plecak i przebrać się w coś bardziej odpowiedniego. Tam, gdzie jechał, było jeszcze trudniej. Ale mocując się ze złem, nie musiał nikogo udawać.

*

Noc dawno przeminęła. Dzień był ciepły, ale tutaj, gdzie ukrył się Siergiej, znany jako „Aman”, było całkiem znośnie. Rozłożyste drzewa, liczące po kilkadziesiąt lat, osłaniały przed słońcem parasolem konarów ponad ogródkiem. Działka była jedną z wielu w północno-wschodniej części Krakowa, a właściwie Nowej Huty. Ukraińiec gubił się w szczegółach. Jechał na pamięć. Znalazł telefon nieszczęsnej Eli. Znał jej hasło. Nieraz widział, jak włączała aparat, mając zupełne zaufanie do chłopaka.

Nikt go od razu nie ścigał. W ogóle nie widział niczego, co sugerowałoby obławę czy pogoń. Miał jednak chwilę, by odnaleźć się w sytuacji. Przypatrzył się mapie okolic Krakowa, a zwłaszcza wszystkim drogom prowadzącym z Proszowic. Wyszukał kilka adresów, spisał je na świstku papieru ze schowka. Potem jeszcze sprawdził, czy któryś z lokalnych portali nie informuje o wypadkach w szpitalu. Tak jak się spodziewał, nie znalazł niczego. Wcale go to nie pocieszyło, wręcz przeciwnie. Dopiero wtedy tak naprawdę zaczął się bać. Nie pogodził się z tym, co spotkało Elę. Nie wiedział, kto i dlaczego zaatakował tak brutalnie. Czy tylko jego? Czy jego nocna eskapada przerwała jakiś większy atak na wszystkich weteranów w szpitalu? I kto mógł się na to zdobyć?

Siergiej jeszcze nocą zniszczył telefon Eli i wyrzucił w pola. W jakiejś wiosce ukradł tablice ze stojącego przy płocie grata. Nie było łatwo zamontować w jego corsie tych kradzionych blach, ale przy użyciu zawartości bagażnika udało się. Potem dowłókł się do Krakowa, robiąc wszystko, by nie rzucać się w oczy. Krążył, wjeżdżał w coraz to nowe ulice, kilka razy zupełnie się gubiąc. Wreszcie około czwartej, kiedy zaczynało się robić szaro, wybrał ulicę Melchiora Wańkowicza. Była wąska, daleka od głośniejszych arterii.

Bujna roślinność pozwalała pomyśleć o kryjówce, której nie da się odkryć z powietrza. U wlotu ulicy zaczynały się ogródki działkowe, domki większe i mniejsze. Otoczone kwiatami i drzewami owocowymi. Pachniało dymem dopalających się ognisk i rusztów. Był weekend, ludzie zjechali na swoje małe włości, by zabawić się, poimprezować. Nad ranem

smacznie spali. Ulicą nic nie jeździło, a w okolicy letnisk nie pokazał się nikt, kto mógłby zapamiętać starego opla corsę.

Siergiej przejechał alejką wchodzącą w ogródki. Schował się i starał nie robić hałasu. Na końcu dróżki był zagajnik. Znow było pusto. Zaparkował więc między drzewami na ciasnej polanie, licząc, że tutaj nikt nie zapanuje się na spacer. Dalej widział więcej drzew i wycierające sponad nich posępne kominy huty. Kilka gałęzi zamaskowało szybę, by nie rzucała refleksów. Tablice też ukrył, żeby nikt wścibski za prędko ich nie wypatrzył i nie spisał.

Potem ruszył na poszukiwanie kryjówki. Skakał od pnia do pnia, nasłuchując każdego podejrzanego szmeru. Trwało to trochę. Ruch na najbliższej większej ulicy robił się coraz głośniejszy. Oznaczało to, że miasto powoli się budzi. Tak samo mogło być z turystami śpiącymi w swoich domach. W każdej chwili mogli wyjść do nieposprzątanym ogródków, pełnym puszek po piwie i niedojedzonego mięsiwa.

„Aman” dostał się na jedną z posesji. Zabrał dwie butelki wody, które przegrały poprzedniego wieczora z piwem i czystą wódką. Opakowania po trunkach ciasno zaścielały blat. Nieodpieczętowany bochenek chleba też nie cieszył się wzięciem. Ostyglych, oblezionych przez muchy kiełbas Ukrainiec wolał nie próbować.

Bliżej większej ulicy, za przesłoną krzaków i samosiejek, stał zardzewiały płot, a za nim widać było równie kiepsko prezentujące się obejście – zasłane śmieciami, złomem i centowymi pustakami, zarastające zielskiem. Stojący na posesji dom był ruiną. Okna zabito deskami, ze ścian odpadły rynny, a nawet nieco tynku. Ktoś tu kiedyś mieszkał albo nie zdążył dokończyć rudery i budowla zdziczała. Siergiej nie mógł trafić lepiej.

Wślizgnął się do tej cuchnącej, wilgotnej nory. Sprawdził, czy prócz myszy nie ma tu ludzi. Na kwaterę wybrał ostatnie piętro, pod dziurawym dachem. Mógł patrzeć przez szparę w dykcie na ścieżkę i kilka dalszych domków. Wreszcie mógł odpocząć. Niedowierzenie, lęk i wszystko, co kłębiło się w nim od kilkunastu godzin, zaczynało przegrywać z fizycznym

zmęczeniem. Czuł znów klucie w boku. Powinien być jeszcze w szpitalu, a nie szlajać się po ruinach. Nie był w formie, być może już nigdy nie będzie.

Drzemał, budząc się przy każdym stuknięciu konaru o ścianę albo na odgłos przejeżdżającego auta. Kiedy słońce wzeszło, dał sobie spokój z próbami uśnięcia. Był zbyt nerwowy. Natrętne myśli zamieniłyby się w koszmary. Sprawdził broń. Wystrzelał pół magazynka. Zostało mu tylko siedem kul. Musiało wystarczyć.

Mógłby się poddać. Nie był mordercą. To tamci zabili Elę, on tylko się bronił. Teraz jakieś przeczucie nie dawało mu spokoju. Był pewien, że wrogowie dopadli jego i szli po resztę. W szpitalu też mogło dojść do tragedii, ale o tym nikt nie mówił. Polacy nie mogli informować zbyt otwarcie o grupie weteranów, a tym bardziej o ataku na nich.

„Było tak dobrze!” Pamiętał teraz wyraźnie każdą wizytę Eli. Jej śmiech i te wpatrzone w niego oczy. Chyba była szczęśliwa. „Aman” zaczął trzeć skronie i głęboko oddychać. Usiłował się skupić, przypomnieć cokolwiek ważnego. Tamci byli wyszkoleni. Wiedzieli, jak podejść obiekt. Wszystko zaczęło się po wizycie VIP-ów.

– Media. – Olśniło go. Sprawdził poprzedniego dnia w telefonie relację na stronie ukraińskiej ambasady. Wieść o wydarzeniu, niby nieznaczącym dla wielkich stacji i redakcji, zainteresowała kogoś niebezpiecznego. – Ruskie suki!

Siergiej zaczął chodzić po koślawej skrzypiącej podłodze, usiłując spożytkować jakoś buzującą w nim energię.

– Nie, nie mogli tak szybko wszystkiego zorganizować. Chyba że byli tak dobrzy i przygotowani...

Bolała go głowa. Oczy zaszyły łzami. „Aman” padł na kolana i trzasnął pięścią w podłogę. Zapomniał już o wojnie, o zabijaniu, a tu wszystko powróciło, w bezpiecznej podobno Polsce. Był wściekły. Na ten kraj, na swoich kumpli, na Rosjan. Najbardziej na własną bezsilność.

– Mam! – Myśl była niczym grom z jasnego nieba. Wyprostował się. Dосkoczył do plecaka i sięgnął po telefon. Nie włączał go od wczoraj.

„Aman” wiedział dobrze, że nawet zgaszony aparat nadawał sygnał, ale urządzenie zarejestrowano na koleżankę Elżbiety z Krakowa. Sam to wymyślił i zaproponował. Ela nie rozumiała, po co te korowody, ale Siergiej uległ własnej paranoi. Słusznie zrobił.

Wybrał numer do matki. Z bijącym sercem liczył kolejne sygnały. Nic. Zrobiło mu się zimno. Kiedy godził się z myślą, że to, czego doświadczył, było większą akcją, telefon zadzwonił. „Aman” odetchnął.

– Syneczku, zwariowałaś... Jest szósta rano! – Zaspana kobieta mówiła niewyraźnie.

– Mamo, u ciebie wszystko... Wszystko dobrze?

– Siergiej! – Matka ocknęła się momentalnie. – Co się stało?

– Nie nic... U mnie w porządku – kłamał nieudolnie. – Ja po prostu... Nie dzwoniłem dawno, a nie mogę spać w taki upał – zmyślał szybko. – Odznaczyli mnie, wiesz...

– Odznaczyli – powtórzyła matka. – Na pewno tylko to?

– Wiem, pora za wczesna, ale chciałem się pochwalić. No dobra, nie przeszkadzam – zakończył, wiedząc, że zaraz może się załamać. Nie był w stanie długo oszukiwać matkę. – Odezwę się. Kocham cię... – Wyłączył telefon.

Nieco mu się nastrój poprawił, ale jego sytuacja nie uległa zmianie. Był zbiegiem albo uważano go za porwanego. Nikt nie ogłosił alarmu, gdyż sprawa była delikatna. Chodziło o bezpieczeństwo i brak woli przyznania się do blamażu.

Przez zmęczony umysł przebił się jeden wyjątkowy pomysł.

– Powinienem jednak się poddać – powiedział z całą mocą. Spojrzał przez szparę w dykcie. Słońce wschodziło coraz wyżej. „Aman”, już nieco spokojniejszy, układał nowe teorie.

Był w szpitalu pod nadzorem polskiej policji. Zapewne także kontrwywiadu, skoro przywieźli polskiego ministra. Byli tam też jego ludzie.

– Przeciek. Od jednych albo od drugich. – Policzył za i przeciw. Po chwili już wiedział. – Polacy mieli szansę i skrewili...

Zaczął się uspokajać. Przycupnął pod ścianą i otworzył butelkę wody. Wyciągnął adres, który zapisał. Tam chciał się udać, ale nie w dzień. Nocą, późną sobotnią nocą, kiedy będzie mniej rzucał się w oczy. Nie był to najlepszy pomysł, ale innego nie miał. Przeciek mógł nastąpić z każdego kierunku. Teraz podejrzewał nawet Elę, choć było to bolesne przypuszczenie. Musiał się upewnić, kto mu zagraża. Nie wiedział, co zrobi potem.

*

Telefon Łukasza Dekañczyka zabrzęczał. Stało się to w chwili, kiedy szykował się do wyjścia na spacer ze swoją dziewczyną. Łukasz zamarł w bezruchu, jakby poraził go prąd. Czterdziestoletni, wysoki przystojniak, lubujący się w siłowni i poprawianiu urody za pomocą botoksu, bardzo się zdziwił. Ten telefon właściwie nigdy nie dzwonił.

– Co jest? – zapytała Daria, zaskoczona jego reakcją. Żuła gumę, gapiąc się znad wielkich ciemnych okularów. Była gotowa do wyjścia, wciśnięta w postrzępione, kuse spodenki džinsowe i bardzo obcisłą bluzkę, uwydatniającą efekty pracy jej chirurga. – Odbierz i idziemy, nie? Biorę Myszunię i wio na miacho... – Myszunia była ich mikroskopijnym psem, a jej pani bardzo zależało na tym, by wyglądać szykownie u boku faceta, wielkiego dewelopera. – Tyle masz tych komórek, że zapominasz... Ty weź się ogarnij! – Pstryknęła palcami z lekceważeniem i zaczęła wołać psa.

– Zamknęłabyś się! – Dekañczyk wykrzywił twarz. Nie mając zupełnie na to ochoty, sięgnął po telefon i odebrał. – Jestem. – Słuchał długo, kiwając tylko głową. – Przecież, do cholery, było jak chciałeś? – wycharczał przez zaciśnięte zęby. Nie lubił takich akcji. Zwłaszcza kiedy się nie udawały. Niepotrzebne były mu kłopoty. Miał firmę, dobrze prosperował. Popisywał się fortuną ze sprzedaży działek, czyszczonych kamienic w ścisłym centrum. Wszystkim, do czego przyuczyła go mama, była prokurator i wdowa po oficerze II Zarządu Sztabu Generalnego PRL. – I co ja mam

teraz zrobić? Co ja mogę? Jeszcze chcecie... Pierdolę... A ten zimny to... OK. – Uspokoił się, słysząc, że nie padło na żadnego z jego ludzi. – Za godzinę... przy kiosku w parku... Inwalidów. Będę miał metę. Kogoś też ogarnę. Ale wy się macie sprawiać. Za duży burdel rob... – Ze zdziwieniem spostrzegł, że rozmówca nie był zainteresowany jego opinią i odłożył słuchawkę. – Kurwa... – sapnął. Schował aparat do kieszeni białych spodni. – Skarbuś... – zawołał słodko. – Sorki, robota. – Nie lubił, gdy Daria się boczyła. Lubiła wtedy znikać z ich gniazdka nie wiadomo gdzie. – Zmiana planów... Nie... – podniósł dłoń, uprzedzając potok pretensji – ...nie zawiodę. Tylko muszę w pracy coś załatwić. Potem pójdziemy się polansować... I zapraszam cię na dobrą kolację. – Puścił oko, choć nastrój diabli wzięli.

*

Droga z centralnej Polski do Krakowa nie była długa ani specjalnie męcząca. W umówionym punkcie, przy budynku hurtowni, dziesięć kilometrów od posesji Wiglerów, wyznaczone było lądowisko dla lotniczego pogotowia.

Konrad zaparkował wóz za murem, w specjalnie chronionej strefie, o której pracownicy nie wszystko wiedzieli.

Pół godziny później na niebie pojawił się śmigłowiec. Smukły, szybki, biało-szary Eurocopter MH-65 przysiadł z gracją. Konrad wskoczył na pokład, gdzie, prócz załogi, siedział już Hubert Pawlicki i Piotr. Obydwaj (w przeciwieństwie do Konrada) niezadowoleni, że przerywa im się wolny weekend.

Przelot poszedł sprawnie. Oficjalnie cywilny śmigłowiec usiadł na lądowisku policyjnym przy Muzeum Lotnictwa w Krakowie. Każdy taki lot zwracał uwagę, choćby turystów kręcących się po obiekcie, ale stanowili oni małe zagrożenie.

Grupa podstawiała swoje auta: skodę karoq i jeepa. Obydwa z przyciemnionymi szybami, odpowiednio wzmocnione i przygotowane do specjalnych akcji.

Ich kierowcy znali miejsce docelowe. Konradowi, prócz jego dwóch znajomków, podlegała jeszcze czwórka ludzi. Podobni do Piotra, dziesięć albo i dwanaście lat młodszy od dwóch starych wyg, budzili zaufanie. Podobni jak z jednej sztancy, wyglądali na dobrze przygotowanych fizycznie, ale nie wyróżniali się ani strojem, ani aparycją. Włożono wiele wysiłku w to, by wyglądali przeciętnie

Byli uzbrojeni. Bagażniki kryły skrzynie z dodatkowym arsenałem na wypadek, gdyby ten okazał się potrzebny. Wozy przemknęły do Huty i potem w stronę Proszowic, ignorując przepisy. Nie musieli się bać policji. Grupa działała wedle swoich zasad.

Wigler nie odrywał ucha od słuchawki telefonu podpiętej do tabletu, na który sphywała większość danych. Hubert miał podobne urządzenie.

Krzysztof Zydelski zrobił szybki briefing, nakazał rozpoznać teren i zagrożenia, jakie się pojawiły wskutek wydarzeń z ostatniej nocy. Konrad w pewnym zakresie miał wolną rękę.

Na rozkaz Konrada auta przejechały przez Proszowice spokojnie i bez zwracania uwagi. Zaparkowano daleko od szpitala. Wiadomości w takich małych społecznościach rozchodziły się prędko i każdy ciekawski mógł przyjść i podejrzeć. Zapamiętać coś, sfotografować, wrzucić do Internetu. Wigler pilnował, by nie doszło do dekonspiracji.

– Zostańcie i pilnujcie – rozkazał. – Hubi i „Gandi”, idziecie ze mną. – Wyznaczył wsparcie. Reszta czekała w zaparkowanych z dala od siebie wozach, kontrolując okolicę i wypatrując wrogiej obserwacji.

Było goręcej niż na Mazowszu. Wiatr pojawiał się rzadko, a do tego był ciepły. Chodniki drażniły bijącym od nich skwarem. Nie widać było najmniejszej chmurki. Mężczyźni wyglądali jak niemłodzi, znudzeni robotnicy, szlajający się po sennej miejscowości. Widuje się takich w każdym zakątku świata. Zazwyczaj poruszają się grupkami, chcąc poznać teren, na którym pracują, i wypełnić wolny czas przed nocną popijawą.

Wigler włożył granatowe, lekkie spodnie ze specjalnej tkaniny, które staraniem producenta przypominały zwykłe spodnie garniturowe.

W koszuli i T-shircie pan emeryt wyglądał na zwykłego „tatusia”. Hubert wolał poczciwe dzinsy, w których było mu ciut za gorąco, ale nie ufał nowinkom. Uważał, że supertajne wewnętrzne kabury i kieszonki na magazynki nie zastąpią solidnego paska. Łysy jak kolano i wąsaty „Gandi” wyglądał niczym młodszy sobowtór słynnego Hindusa. Na lekko odstających uszach trzymały się czarne okulary w stylu lat sześćdziesiątych. Nosił się swobodnie, nie afiszując się niczym, co mogłoby zasugerować obserwatorowi, że ma do czynienia z wojskowym.

Pod kompleksem budynków kręciło się trochę ludzi. Nie byli to pacjenci ani odwiedzający. Nie zbijali się w grupki jak zazwyczaj miejscowi, których zaniepokoiły już rozchodzące się plotki. Obok wjazdu dla karettek stały dwa radiowozy. Kolejne dwa, tym razem nieoznakowane auta, skoda i kia, parkowały w cieniu, nieco z boku.

Konrad kiwnął głową w bok i trójka rozeszła się szeroko.

– Południowy wschód – przypomniał kierunek. Każdy wiedział, co ma robić. On sam skierował się jak gdyby nigdy nic do głównego wejścia. Nałożył przepisowo maseczkę. Ten ciągle obowiązujący w placówkach medycznych nakaz pozwalał lepiej się zamaskować. Korytarze były raczej puste. Gdzieś w rogu hallu siedział policjant. Inny wspinał się po szerokich schodach na piętro. Konrad udał, że szuka czegoś na tablicy z informacją o oddziałach. Nie zwrócił niczyjej uwagi. Wszedł więc głębiej, trzymając się parteru. Układ budynku nie był specjalnie skomplikowany, ale Wigler nachodził się, szukając odpowiedniego wyjścia z tyłu. Wybrał przejście przez jedną z klatek schodowych. Wyobrażał sobie, że w taki sposób uciekałby z takiej placówki. Nie wiedział, skąd przychodzi mu na myśl takie przypuszczenie.

Na tyłach było chłodniej. Panował tu już popołudniowy cień. Podwórze było brzydkie i kontrastowało z odnowioną elewacją budynków. Konrad szukał kamer i każdej, patrzącej na niego z okna, pary oczu. Nie śpieszył się. Szedł powoli, tak by nikt go nie uznał za osobnika wartego obserwacji. Obszedł jakieś budynki gospodarcze. Wypatrzył jeszcze jednego mundurowego. Uświadomił sobie, że funkcjonariusz czegoś pilnuje.

Jakiegoś śladu albo dowodu. Jeżeli tak w istocie było, to nie podobało się Wiglerowi. „Mieli pół dnia” – sarknął rozzłoszczony na powolne tempo akcji.

Szerokim łukiem obszedł gliniarza i skierował się do wysokich jodeł, które musiały oznaczać granicę terenu szpitalnego. Kępy tych drzew wyrastały w całej okolicy, dając cień swoimi długimi pniami i rozłożystymi konarami.

Wszedł w taki gąszcz i trochę trwało, zanim przebił się na drugą stronę. Między gałęziami spostrzegł siatkę, potem otwór i skrawek policyjnej taśmy zagrządzającej przejście. Pan emeryt patrzył, gładząc się po brodzie. Układał sobie wszystko powoli, klocek po klocek. Puzzel po puzzlu. Postanowił, że wraca. Skierował się w bok i wy dostał na zdeptany skrawek trawnika.

– Tu nie wolno. Proszę stąd iść! – Usłyszał niezadowolony głos młodej kobiety, kiedy tylko wyszedł z cienia. Nie wystraszył się. Wiedział, kto w taki sposób może żądać posłuchu. Przedstawiciel władzy, ale nie najwyższej rangi. Zły, zmęczony i czekający na kogoś z „góry”. Konrad uśmiechnął się w duchu, bo właśnie jako ten z „góry” naprawdę dobrze dopracował kamuflaż. Albo też, niestety, przestał imponować młodym dziewczynom.

– Halo, do pana mówię. Nie słyszał pan... – Policjantka stała na końcu trawnika na rozstawionych chudych nogach, z rękami na biodrach i zbyt dużą kaburą przy spodniach. Na szyi miała zawieszoną odznakę na metalowym łańcuszku.

– Dzień dobry... – Konrad rozpromienił się i sięgnął do kieszeni spodni.

– Panie, nie słyszysz pan... – Nie wiadomo skąd pojawił się drugi glina, przeciwieństwo mikrej kobiety, wielki drab z wyraźnym brzuchem i brodą, spocony od stania na słońcu i wymachujący dłonią z butelką wody.

– Mam pana zwinąć? – Nie groził, a raczej usilnie prosił. Był wściekły, że ktoś przysparza mu kłopotów.

– A czemu nie? – Wigler doskonale się bawił. – Coś się stało? – Zaczął rozglądać się wokół i, niby wystraszony, popatrzył na podeszwy, jakby

wszedł w coś cuchnącego.

– Proszę pana... Po prostu idź pan stąd. – Wielkolud wyciągnął błagalnie dłonie, myśląc chyba, że ma do czynienia półgłówkiem.

– Cóż... – Konrad spoważniał w jednej sekundzie. – Nie mogę. Ja w tej sprawie. – Sięgnął po niewielką skórzaną okładkę. Pokazał dokument zdziwionej parze. Imię pozostało to samo, nazwisko w legendzie brzmiało Kochanowski. Później był stopień pułkownika. Też poprawny. I tylko firma była zmyślona, dla odwrócenia uwagi. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

– A to moi koledzy... – Dla większego efektu z dwóch różnych miejsc wyszli Hubert i „Gandź”. Ukłonili się grzecznie, jakby witali się z kimś na wieczorku zapoznawczym wczasów pracowniczych.

– Proszę o wybaczenie. – Konrad postukał w zegarek. – Pędziliśmy tak szybko, jak się dało. Jest sobota, to wyjątkowa sprawa. Aha... – Udał, że coś sobie przypomniał. – Państwo wiedzą, że od tej pory podlegają mnie. Papiery i rozkazy załatwi góra. Państwo z wojewódzkiej? O, jakże wspaniale. Sprawa jest naprawdę wyjątkowa, więc wyjątkowa będzie współpraca.

– Zaraz... – Dziewczyna nie dała się oczarować do końca. – Nie przejmujecie w całości śledztwa? Bierzecie nas? – Zrobiła jeszcze bardziej zdziwioną minę.

Konrad zamasyżył kiwnął głową.

– Wiecie, kto tu mieszkał, wiecie, skąd byli pacjenci, skąd jest zaginiony. Musimy wszystko maksymalnie uprościć. Wy znacie teren, przydacie się. No, ale zanim porozmawiamy, co się tu działo... – omiół okolicę wzrokiem i mógł być pewien, że wiedział co – ...przedstawią się państwo?

– Patrycja Ross, komisarz – zameldowała kobieta, czując dziwną potrzebę zachowania wszelkich form wobec dziwnego gościa.

– Bardzo mi miło. – Konrad nie przestawał się uśmiechać. Jego spojrzenie przesunęło się na rosnącego gliniarza.

– Marek Bartusz, też komisarz. – Wielkolud również podświadomie odczuwał respekt.

– No to skoro już się znamy, możemy przejść do szczegółów. Krótkie wprowadzenie? – poprosił uprzejmie, choć wiedział, co zaszło od swoich szefów.

Chuda dziewczyna popatrzyła na Bartusza, jakby żadne z nich nie mogło się zdecydować, kto ma zacząć.

– To może ja... – Patrycja przerwała przedłużającą się niezręczną ciszę. Konrad od razu wyłapał, kto jest w tym duecie mniej strachliwy. Ross sięgnęła do notesu. Chciała być skrupulatna. Znowu czuła, że to coś naprawdę poważnego. – W środku nocy ochroniarz ze szpitala usłyszał jakieś krzyki. Ktoś wołał o pomoc. Portier był akurat na obchodzie, a dokładniej: usiłował wyjaśnić, co dzieje się z kamerami. Podobno monitoring padł. Nie było niczego widać. Zaczęły się problemy z prądem, ale szybko włączył się system awaryjny. W tym miejscu doszło do jakiejś kotłowaniny. Efekt... – spojrzała na ciemne plamy krwi wsiąkniętej w pogniecioną trawę. – Dwa trupy... To znaczy ujawniono dwa ciała – poprawiła się, bojąc się, że będzie rozliczana za brak oficjalnej formy. Hubert wypuścił nosem powietrze, krztusząc się ze śmiechu, ale opanował się i udał, że kichnął.

– Co to za jedni? – dopytał już zupełnie spokojny.

– Kobieta... – Patrycja zaczęła wertować zapiski. – Elżbieta Mikołajewska, lat dwadzieścia trzy...

Słyszając to nazwisko, Konrad stracił humor i wyprostował się, patrząc spod uniesionych brwi. Ross wystraszyła się, że powiedziała coś nie tak, że zmiana nastroju widoczna na twarzy gościa to jej wina.

– Dwadzieścia trzy... – Wigler powtórzył, nie dowierzając, że zamordowana była aż tak młoda. Ale nie o wiek tu szło. Potarł skronie. – Dalej, proszę.

– Drugi denat to nieznany... na oko trzydziestolatek. Bez dokumentów. Sprawdzamy w kartotekach, ale według mnie to nietutejszy...

– Dlaczego? – Pawlickiego zaciekał sposób rozumowania młodej koleżanki.

– Był, jakby to powiedzieć... bardziej śniady. – Patrycja chciała być politycznie poprawna. – Nie pasuje do profilu tutejszych bandziorów ani meneli...

– To nie był menel – potwierdził Konrad. – Doskonale o tym wiemy. Kimkolwiek byli napastnicy, byli dobrze przygotowani. Mieli za sobą rozpoznanie. Ale natrafili na przeszkodę. Kogoś nam brakuje, prawda?

– Jednego z pacjentów. Niejaki... Siergiej Wylichtewicz – dodał Marek, nie chcąc tylko stać i potulnie milczeć. – Ta Ela była podobno jego dziewczyną. Tak zeznał personel. Może nie byli oficjalnie parą, ale mieli się ku sobie. Mikołajewska pracowała jako rehabilitantka. Skończyła jakiś kurs, właściwie była w trakcie. Nie studiowała. Pochodziła z patologicznej rodziny. Podobno lubiła tę pracę. Wyrwała się ze szponów biedy i pijaństwa jej starego, to znaczy ojca...

– Szkoda, że tak skończyła. – Wigler patrzył z pochyloną głową na zmiętą trawę, jakby ciągle widział tam ciało nieszczęsnej kobiety.

– Dziewczynę zabito nożem... Ten drugi zginął tak samo – mówił dalej Bartusz. – Przy tym, jak to powiedziała koleżanka, śniadym znaleźliśmy magazynek do pistoletu, chyba beretty, oraz jakiś wytrych czy kawał drutu. I to wszystko. Aha.. – przypomniał sobie. – Nosił rękawiczki. Taktyczne, takie szpanerskie...

– Tymczasem brakuje nam jednego pacjenta. Siergieja Wylichtewicza, ksywa „Aman”. – Hubert Pawlicki założył ręce na plecach i wolno dreptał wokół miejsca zbrodni. – To, co wam mówimy, jest absolutną tajemnicą. Podpiszecie nam glejty. Nie wolno wam o tym rozmawiać, ani z koleżeństwem w pracy, ani z rodziną. Nawet delegatura krakowska abwehry^[2] niewiele będzie wiedziała. – Czekał na reakcję. Policjanci wreszcie zaczęli pojmować, w co wdepnęli.

– Czy państwo to rozumieją? – zapytał Wigler, nie mogąc doczekać się potwierdzenia.

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedzieli mundurowi, wyglądając tak, jakby chcieli uciekać.

– Ale, za przeproszeniem... – Bartusz uniósł dłoń jak zgłaszający się uczeń. – Jeśli to nie tajemnica... Te wycieczki do szpitala. Ludzie słyszeli. To małe miasto... Mają tu lokalny portal, prasę. To wyjdzie na zewnątrz.

– Kiedyś tak – zgodził się Konrad. Wydawał się niezainteresowany tym wątkiem. Odciągał go od głównego problemu. – Ale teraz będzie o tym cicho. Proszę mi wierzyć. Ale wróćmy do sprawy – zarządził. – Jakie macie przypuszczenia co do tego zaginionego?

– Na mój nos... – Patrycja zaczęła pierwsza, jeszcze raz udowadniając, że jest ambitniejsza. – Coś poszło nie tak. To znaczy na pewno poszło nie tak. Mamy dwa trupy. Napastnicy nie spodziewali się obecności tego Ukraińca ani kobiety. Wywiązała się walka. Drzewa i droga za płotem są pełne pocisków. Zaczęli strzelać do siebie. Kłuc nożami. Ten Siergiej... on chyba dopadł tego kafara. Na nożu są odciski palców dwóch osób. Jedne należą do zabitego, więc drugie...

– Tak, tak, to logiczne – Marek wtrącił, by choć czasem się odezwać. – Bandziory natknęły się na coś, czego się nie spodziewały. Czego chcieli? Szli po resztę albo tylko po tego... jak mu tam... „Amana”.

– Ładnie, ładnie... Teraz przejdziemy do cienia, bo zaraz dostaniemy udaru – zaordynował Wigler i wskazał dłonią czarne sylwetki drzew na ziemi. – Jak państwo widzą... już teraz, około szesnastej, robi się tam dość ciemno. Nocą, skoro najbliższa latarnia jest tak daleko, musi panować mrok. Tak, napastnicy zostali zaskoczeni. Więc byli profesjonalistami, ale nie najlepszymi. Rozpoznali teren, jednak zrobili to szybko i niedokładnie.

Hubert nie wtrącał się, komisarz Bartusz był zestresowany i nie przeszkadzał. Patrycji zaczynał imponować starszy kolega z innej firmy. Widział to. Często na młode dziewczyny intelekt męczyzny działał jako afrodyzjak skuteczniej aniżeli jego sylwetka. Ta w wypadku Konrada też była niczego sobie. „Gandi” milczał, jak zawsze. Miał inne zadania.

– Uznajmy, że napastnicy... – Konrad nie trzymał słuchaczy dłużej w niepewności – ...dostali polecenie lub zabrali się za robotę tuż przed

wypadem. Objechali szpital, a najpewniej szukali dojścia. Po prostu... przez zdjęcia satelitarne w Googlach. Wybrali najlepszą możliwą opcję... – pokazał na ścianę zieleni. – Tak, zdołali wyłączyć monitoring, ale szli po omacku. Nie przyszykowali drona, nie wybadali terenu...

– Przesadza pan... – Marek uśmiechnął się ostrożnie i niepewnie, przerywając przedstawianie teorii.

– Bo? – Wigler rozdziawił usta i rozłożył dłonie w lekceważącej pozie.

Bartusze się zawahał. Chrząknął, by zyskać czas na zebranie myśli. Jak na policjanta był bardzo strachliwy w obecności szarż.

– Pan mówi: drony. To trochę sensacyjne. Ja myślałem, że to jakieś miejscowe „onuce”. Narodówka jakaś, w Moskwie zakochana. Dowiedzieli się, że tu leżą Ukraińcy, no i jazda... Ale pomieszało im szyki.

– Pomieszało szyki... – Pawlicki powtórzył, jakby z niesmakiem, i zmrużył oczy. Patrzył na policjanta z zażenowaniem. Za wiele wiedział o świecie, o każdej tajnej wojnie, jaką toczył, by myśleć o czymś tak prostym. Do tego upał zaczynał mu dokuczać.

Konrad Wigler był jednak łaskawszy. Nie miał zamiaru łącać młodszego kolegi. Doceniał otwartość umysłu i analizę. W ogóle ta dwójka zaczynała mu się podobać.

– Dobre, dobre. – Uniósł kciuk. – W pierwszej chwili pomyślałem podobnie. – Podeszedł do drzewa i po prostu usiadł na ziemi przy pniu. – Ale potem zaobserwowałem kilka faktów. Żaden bojówkarz nie nosiłby broni. Takich różnych świrów dość dobrze się obserwuje i zapewne nie dostaliby pozwolenia. Tak, wiem, bandyci nie proszą o glejty. Ale nie sądzę, by grupa wywrotowców miała aż tyle luf. A tu urządzono całkiem niezłą strzelaninę. – Wskazał gdzieś w bok na ułamana gałąź. – Nikt z przesłuchanych nie wspomniał o strzałach, a więc użyto tłumików. Do tego ten magazynek. To raczej droga broń. No i śniady w szeregach narodowców? Umarliby ze wstydu chyba. Nie, tu przybyła grupa zabójców. Najemników... Ludzie, którzy żyją z walki. Musieli wiedzieć, po kogo idą. A przyszli po oficera jednostki specjalnej, Wywiadu Sztabu Generalnego Ukraińskiej Armii.

– Facet się znał... Wszyscy się znali na robocie. – Do Marka zaczęła docierać powaga sytuacji. W zamyśleniu przygryzł szyjkę butelki.

– Stąd ta masakra... – wtrącił Pawlicki. – Siergiej wyszedł z budynku. Przeczuwał coś, miał informacje? Nie. Ostrzegłby kolegów. On uciekał albo ...

– Umówił się z dziewczyną – dokończył Konrad. – Wszystko, co się tu wydarzyło, było przypadkiem.

– Więc co pan sądzi o zniknięciu tego oficera? Porwali go? – Ross była coraz bardziej zainteresowana sprawą. Nie pospolitym zabójstwem, ale czymś, co zakrawało na międzynarodową aferę. A na pewno była to emocjonująca sprawa.

– Czy porwali... – Wigler rozważał chwilę. – Nie. Obszedłem krzaki. Widać kilka śladów po kulach. Jest tam dziura w płocie. Nasz Siergiej musiał ją znać. To zawodowiec. Na pewno rozpoznał teren, jak tylko go podleczone i mógł zacząć chodzić. To odruch.

– Świadkowie mówili, że słyhać było samochód. Tam, od pola właśnie. Dziwnie pracował. Jakby ktoś uczył się jeździć... – Patrycja szła w sukurs przełożonemu. Była zadowolona, że może na coś się przydać. Uśmiechnęła się sympatycznie.

Konrad odpowiedział tym samym.

– „Aman” wpadł w panikę albo doznał szoku po stracie dziewczyny.

– Taki spec... – Marek usiłował kpić, ale napotkał karcące spojrzenie Huberta i koleżanki. Odpuścił sobie.

– Tak, to był spec – ciągnął Konrad. – Ale odstawiony na bok. Po traumie. Zareagował odpowiednio, ale potem...

– Poczul się osaczony. Ich było więcej – uzupełnił Pawlicki. – Nie mógł walczyć sam. Mieli przewagę, broń. A on zapewne ciągle nie jest w formie.

– Zabrał im samochód? – zapytał Wigler. – Nie. To Ela musiała tam zaparkować. Uciekł pod ogniem. Strzelali do Siergieja dość chaotycznie, co widać po śladach na drzewach. Nawet nie zabrali swojego kolegi... Byli gorzej przygotowani niż Siergiej. Sądzę, że to jakaś tutejsza, to znaczy

działająca w Polsce, grupa bandycka albo były miśki z jakichś służb. Może i nie naszych.

– No dobrze, a co z Ukraińcem? Co dalej robimy? – zapytał Marek.

Konrad zamilkł. Patrzył po zebranych, potem po terenie i chodził. Chodził dobrą minutę, wyobrażając sobie, co teraz robi Siergiej. Gdzie może się kryć, co planować. Kiedyś i on, Konrad Wigler, był młodym oficerem, wyszkolonym i obdarzonym sporą wyobraźnią. Mógł poczuć się jak Siergiej.

– Telefon.... – Olśniło go. Stał z przymrużonymi oczyma i wzniesionym po belfersku palcem. – Czy przy dziewczynie znaleziono jej telefon?

– Nie. – Patrycja odpowiedziała momentalnie. – Musiał być w aucie. Podobnie jak kluczyki, skoro wóz dało się szybko uruchomić.

– Zgadza się. – Zadowolony Konrad wycelował w kobietę dłoń udającą pistolet. – Trafiony zatopiony. Sprawdzamy, gdzie rejestrował się aparat, i coś będziemy wiedzieli. Moim zdaniem facet znalazł kryjówkę. Myśli, co zrobić. Boi się. Ma tu rodzinę. Nie ufa. Ja bym nie zaufał.

– Więc gdzie pójdzie? – zapytał Bartusz. – Jest sam w obcym kraju. Ja uważam, że doszło do jakiegoś nieporozumienia. Ten Siergiej z kimś się skumał. Pan sam mówi, że zapoznał się z terenem. Może bracia tej dziewczyny go nie akceptowali? Załatwił panienkę, potem dryblasa i zwał... Wie, co zrobił. Inaczej już by dzwonił na policję, skoro taki bystry.

Wigler westchnął ostentacyjnie. Nie znalazł słów na tak liche podsumowanie jego wspaniałego wywodu.

– Dla obicia mordy chłopakowi dziewczyny blokuje się kamery, strzela po nocy? Mówię panu, że to coś poważniejszego. Siergiej to... że tak go nazwę, to zdrowy paranoik, który wie, że prawdopodobnie chciano dopaść jego lub kolegów. Miał być chroniony, między innymi przez was, a ktoś jednak znalazł dojskie. Boi się przecieku i musi poczekać. A poza tym ta dziewczyna nie miała rodzeństwa.

– Skąd pan wie? – spytała zaintrygowana Patrycja.

– Wiem... – Konrad odparł jakoś smutno. – No dobra – powiedział raźniej, by zmienić nieco nastrój. – Jest późno. Wystąpicie o lokalizację telefonu Eli. To powinno wskazać nam kierunek...

– Szukamy auta – wtrąciła Ross, pokazując, że coś zrobiła od rana. – Wszystko po cichu. Wojewódzka już nas informowała.

– Super. Ale to może nie wystarczyć – zgasił rodzącą się nadzieję na szybkie rozwiązanie. – Tamten to szczwana bestia. Potrafi się przycząić i pozostać niewidoczny. Trudno będzie przyłapać go na błędzie... Zaraz! – Wigler aż podskoczył. Złapał się za czoło. – Jego rodzina... – Pstryknął palcami i pokazał na Huberta.

– Matka i siostra – powiedział Pawlicki bez zastanowienia. – Jakoś się z nimi skontaktuje. – Wiedział, o czym myśli szef. – Załatwię to... – Sięgnął po telefon.

– Tak. Coś z tego możemy mieć. Niewiele, ale na początek starczy. Mamy przygotowany lokal. Trzeba zejść z upału i z widoku. Za długo tu się kręcimy.

W kieszeni zawibrował mu telefon.

ROZDZIAŁ 4

Pod koniec długiego, letniego dnia widok z okna lecącego śmigłowca wydawał się jeszcze piękniejszy niż w południe. Chowające się wolno i niechętnie słońce barwiło przeróżne wzgórza i płaskowyże na pomarańczowo. Powietrze było suche i przejrzyste. W półcieniu wieczoru widać było ruch wracający po niszczącym działaniu skwaru. Jeziora i rzeki połyskiwały tysiącami świetlnych refleksów. Każdy szczegół urzekał i cieszył. Polska była piękna.

Pułkownik Myhajło Lajewski usiłował znaleźć wytchnienie w tym, co widział. Milczał prawie od samej Warszawy, przyklejony do okna potężnego Mi-17 Wojska Polskiego. Zamiast silników, których hałas wypełniał ładownię, w głowie dudniły mu słowa rozmów z attaché i kilkoma innymi oficerami. On i jego przyjaciel, Walery Karpem, rozkazem zostali odsunięci od spraw, które bezpośrednio miały wpływ na sytuację w kraju. Przez przedziwny wypadek albo zamach zaufanie między sojusznikami zostało podkopane.

Ktoś zaatakował leczący się w Polsce personel. Miejscowi nie ochronili ukraińskich weteranów. Jeden z nich podobno zaginął. Polacy zaczęli działać, ale wyczuwało się w kontakcie z nimi, że podejrzewali Ukraińców o przeciek lub niedyskrecję. Sprawa komplikowała współdziałanie i planowanie zadań. Była niewygodna, niepotrzebna, a co najgorsze – nierozwiązana.

Śmigłowiec schodził niżej, okrążając miasto od wschodu. Myhajło spostrzegł zarys zamku (zapewne wawelskiego, widział go podczas wizyty w mieście). Wcześniej nie miał czasu na podziwianie architektury, ale koledzy z Polski i kilku innych natowskich krajów zabrali go do doskonałej

knajpy pod samymi murami. Bliskość i majestat starej budowli zrobiły na nim wielkie wrażenie.

– Zamek! – krzyknął podekscytowany do kolegi. Ale Valery był obojętny. Przeżywał niechciany przydział o wiele mocniej niż Lajewski. Mychajło odpuścił. Nie zamierzał słuchać mrocznych wizji kolegi weterana. Na razie podziwiał miasto, które rozciągało się w dole.

Na płycie lotniska wojskowego w Balicach czekał jakiś cywil. Mężczyzna tak naprawdę nie mógł nim być, skoro wjechał na teren bazy i czekał na gości z Warszawy. Facet był stosunkowo młody, poważny i ubrany jak turysta ściągnięty z krakowskiego rynku. Za duża bordowa koszula i musztardowe spodnie stanowiły doskonały kamuflaż. I tylko wprawny obserwator mógłby dostrzec pewne wypukłości przy biodrach mężczyzny. Z prawej odznaczała się wewnętrzna kabura wepchnięta pod spodnie. Z drugiej strony „cywil” miał ładownice na magazynki. Ukraińcy nie wiedzieli, dla kogo pracuje.

Mi-17 wylądował prawie idealnie na wprost auta. Silniki jeszcze pracowały, kiedy bocznymi drzwiami wyszło dwóch mężczyzn. Żegnali się wylewnie z załogą, która pozostawała w dyspozycji jakiegoś oficera kryjącego się pod kryptonimem „Ułan”.

Przybysze z Warszawy wyglądali niepozornie, czyli tak jak powinni w podobnych sytuacjach. Wyższy, chudy, o wąskich oczach nosił jeansy i zapinaną na suwak krótką kurtkę, przypominającą flyersa. Niższy, brunet z okaleczoną ręką, nosił się jeszcze mniej elegancko. Miał wytarte spodnie, nieświeżą grubą koszulę i plecak, co czyniło zeń, na pierwszy rzut oka, wędrownego robotnika albo artystę bez pracy.

– Pan pułkownik... – Młody kierowca ruszył na spotkanie, nie wykonując żadnego zwracającego uwagę gestu. Wiedział, że każdy, kto tej soboty pełni służbę w jednostce, interesuje się niezapowiedzianymi lotami i tajemniczymi gośćmi o wielkich plenipotencjach.

– Tak jest! – Lajewski odruchowo stanął jakby na baczność. – To major Karpem. – Nieznacznym ruchem głowy wskazał kolegę.

– Miło mi. – Kierowca odparł oschle. Chyba wiedział, co się dzieje, albo po prostu miał unikać kontaktów z przybyszami. – Zawiozę panów do punktu dowodzenia. Proszę... – Pokazał czarnego jeepa.

– Może nam pan powiedzieć, czego mamy się spodziewać? – Karpem był poirytowany i nie lubił tajemniczości. Czuł się nieswojo, gdy ktoś go sprawdzał. Zapowiedzi attaché były pokrętne i bardzo ogólne.

Zniknął człowiek, jeden z tych, których widzieli dopiero wczoraj. Istniało niebezpieczeństwo, że była to próba zamachu. Ataku, a może całej ich serii. Według wysnutej przez majora teorii zawinili Polacy. Na jednym z nich był gotów się odegrać. Polski przewodnik nie tracił jednak opanowania.

– Zapraszam. Wszystko zostanie wyjaśnione. – Nie zamierzał dać się wciągnąć w dyskusję, więc poszedł do auta.

*

Konrad Wigler miał zawsze jedno podstawowe zadanie. Unikać rozgłosu, pytań i wszystkiego, co mogło zwrócić uwagę na Grupę. Ta przecież nie istniała. Nie posiadała godła ani siedziby.

Sam Wigler (ale i jego niewielki zespół terenowy) miał omijać ludzi ze służb, policji, chyba że dobrał sobie współpracowników. Sam musiał pozostać w cieniu, pod legendą. Kontakty z mediami lub ich jakakolwiek obecność były surowo zakazane. Miał własne wsparcie i dobre rozpoznanie, choć zapewniane z daleka. Gdzieś dalej, bardziej na północy kraju, na obrzeżach pewnej niewielkiej wsi stał magazyn. Wyglądał jak zwykła, działająca hurtownia, ale tak naprawdę budynek mieścił wsparcie elektroniczne każdego zespołu terenowego. Nieliczna grupa młodych zdolnych, jacy tam działali, miała zapewniać łączność, działania IT, monitorować media oraz ingerować bez pardonu w to, co mogłoby narazić któryś z zespołów^[3].

W kilkanaście godzin po zdarzeniu wszystko wydawało się opanowane. Jednak Wigler nigdy nie opuszczał gardy. Nie zamierzał prosić policji,

straży pożarnej, MPO ani nikogo z instytucji. Jego i zespołu tu nie było. Potrzebowali odosobnienia i spokoju, aby ich istnienie nie wyszło na światło dzienne.

Wybrano gospodarstwo agroturystyczne. Nie za duże, blisko drogi do Krakowa. Nie było specjalnie urokliwe: klocek z dobudowanym dachem i drewnianymi tarasami, przystrojonymi kwiatami. Musiał być to nietrafiony biznes albo szalony pomysł właścicieli, małżeństwa przedsiębiorców niebrzydzących się żadnym interesem.

Mimo rozpoczynających się wakacji nie mieli gości. Może się ich nie spodziewali, traktując agroturystykę we własnym domu jako zajęcie dodatkowe. Baner na płocie informował o noclegach i dobrym jedzeniu. Wigler szybko zdecydował. Nie miał czasu na dalsze poszukiwania, a musiał zejść z widoku. W Proszowicach już na pewno zostali zauważeni i plotki mogły się rozprzestrzenić.

Poprosił magazyn o sprawdzenie pensjonatu. Zajrzenie do KRS, zbadanie zadłużenia i o wszystko, co można obejrzeć w ciągu kilku godzin. Właściciele mieli zatargi z urzędami skarbowymi, ale nie wypłynęło nic gorszego. Byli tylko średnimi ciułaczami, kombinującymi na boku. Konradowi to wystarczyło.

Wynajął cały budynek, co zdziwiło (ale i bardzo ucieszyło) właścicieli. Przypatrywali się przybyszom, nieco złęknieni. Próbowali wypytywać, ale Hubert Pawlicki położył na kontuarze recepcji dwa papiery, po których lekturze nie mogli odmówić. Goście wiedzieli o nich sporo. Obiecali brak problemów w zamian za dyskrecję. Cała operacja była zbyt poważna, by mogli udawać cywilów. Za wiele ruchu, broni i samochodów. Zespół Wiglera ukrył się pod szyldem ABW i Konrad liczył, że to zapewni im spokój. Nie pomylił się. Właściciele jakby zapadli się pod ziemię, gdy tylko mężczyźni i kobieta wprowadzili się do pokojów na piętro.

Półtorej godziny później przyjechało jeszcze trzech. Byli milczący, ponurzy i bardzo tajemniczy. „Gandi” obserwował podwórze z ukrytej w ogrodzie altany. Co chwila zerkał w telefon, ale nie oglądał filmów. Śledził specjalną aplikację do kontroli niewielkiego drona, Black hornet,

który przypominał mechanicznego kolibra. „Ptaszyna” fruwała prawie bezgłośnie, pilnując podejść do obiektu. „Gandi” upewnił się, czy za wozem ukraińskich gości nie wlokł się jakiś ogon. Jego kolega, o ksywie „Równy”, robił, co umiał, by zmylić ewentualną pogoń – ostrożności nigdy nie było za wiele.

Inny z ludzi Wiglera, „Hamlet”, wprowadził gości do pokoju szefa. Lajewski i Karpem byli lekko przytłoczeni reprezentacją służb polskich. Polska Grupa nie lubiła zagranicznych „konsultantów”, ale tym razem naciski były znaczne i dowódca terenowy nie mógł nic na to poradzić.

Wigler poderwał się z nie najnowszego fotela i uśmiechnął się. Chciał serdecznością zamaskować podejrzliwość.

– Konrad Kochanowski. Witam panów. Wolałbym spotykać się w miłszych okolicznościach, ale na to już nic nie możemy poradzić. – Podał dłoń każdemu kolejno. – Trwa wojna – wyjaśnił ogólnie. Potem przedstawił Huberta i parę policjantów. Reszta miała pozostać anonimowa. – Proszę się rozgościć. – Wskazał wersalkę pod ścianą i kilka foteli. Lajewski omiótł kwaterę wzrokiem. Była składowiskiem używanych mebli z różnych zestawów. Białe ściany zdobiło kilka reprodukcji landszaftów. Podłoga była krzywa. W rogu stał kredens z czajnikiem i szklankami. Na stole, od strony drzwi, ludzie tego całego Kochanowskiego (który na pewno nazywał się inaczej) ustawili cały swój elektroniczny sprzęt.

Mychajło rozsiadł się w zapadniętym, wytartym fotelu. Nieśmiało się uśmiechnął do Patrycji. Tak, dobrze zapamiętał jej imię. Była wyraźnie speszona. Nie pasowała tu. Za wiele się wydarzyło i zbyt wielu ważnych gości pojawiło się na raz. Udowadniało to, że na przykład pan Kochanowski i spółka są mocno usytuowani gdzieś wysoko w strukturze, skoro przygnębiają zaprawionych w boju policjantów.

– Państwo wiedzą, kim jesteśmy, ale powtórzę... – Mychajło mówił całkiem dobrze po polsku. – Jak rozumiem, działamy w oparciu o rygor tajemnicy i nie musimy obawiać się o przecieki? – zapytał retorycznie. – Dobrze więc. Wspieramy wraz z kolegą – wskazał Walerego Karpema – wysiłki naszego wojska w koordynacji zaopatrzenia sił zbrojnych na

froncie. To również praca przy wielu innych zagadnieniach, na polu... No właśnie, pomocy naszym rannym, dzielnym żołnierzom. Tymczasem dochodzi tu do nieszczęścia. W kraju sojusznika ktoś dokonuje ataku na miejsce pobytu naszych ludzi. – Spojrzał surowo na Bartusza i Ross.

– Z naszej strony wszystko zostało należycie dopilnowane. – Patrycja poczuła się wywołana do odpowiedzi i zareagowała impulsywnie.

– Spokojnie, spokojnie... – Wigler znów sztucznie się uśmiechnął. Miał przed sobą inteligentnego faceta. Swoją niepewność przekuwał w atak. – Tak, rozumiem, że to kłopot, a być może zapowiedź czegoś gorszego. Rozumiem, że są panowie bardzo zapracowani... – Czekał na reakcję. Młodszy stopniem gość poruszył się na krześle. Pułkownik trwał w bezruchu, nie ufając gospodarzowi. – Ale uważamy, że atak na szpital i zniknięcie jednego z żołnierzy powiązane są z wizytacją w szpitalu...

– Więc to nasza wina?! – Lajewski podniósł głos, po raz wtóry kierując agresję na zewnątrz. Wigler był już pewny, że myśli podobnie i ma wyrzuty sumienia.

– To niczyja wina. – Pawlicki wszedł w konwersację ciepłym i łagodnym głosem. – To robocza teoria. Waszych ludzi przerzucą dziś do innej placówki. Zapewniamy, że są dobrze pilnowani. Chodzi nam jednak o to, że zrobiło się głośno i ktoś z zewnątrz mógł wypatrzeć cel. Nie wiemy kto. Najpewniej Rosjanie lub ich wielbiciele.

– Tak, to logiczne. – Lajewski potwierdził taką oczywistość. – Co państwo ustaliliście?

– Uważamy, że wasz żołnierz zbiegł – stwierdził Wigler. – To efekt szoku, a może próbował odciągać napastników. Gdyby nie jego postawa, kto wie, mogłoby dojść do czegoś o wiele straszniejszego. – Nie zamierzał wspominać nawet słowem o podejrzeniu zabójstwa po miłosnym zatargu.

Kiwnął na swojego asystenta przy stole z komputerami, a chłopak podał tablet. Wigler postukał w ekran i wyświetlił mapę satelitarną. Pokazał obraz przybyszom.

– Tam zaznaczyliśmy ostatnie logowanie telefonu. Mniej więcej w połowie drogi z Proszowic do Krakowa. Telefon należał do denatki, pani

Elżbiety Mikołajewskiej, przyjaciółki zaginionego Siergieja. Zniknął również samochód dziewczyny. Koledzy z policji szukają go, ale panowie rozumiecie, że to trudne. Dobrze wyszkoliliście swojego oficera.

– To młody podporucznik, jednak wiele przeszedł i szybko się uczy – uściślił Karpem, chyba nawet dumny z oceny wystawionej przez Polaka.

– Więc niczego innego nie mamy?

– Nie do końca. – Wiglerowi błysnęły oczy. Miał już asa w rękawie. Zakreślił coś palcem na ekranie. – Wiemy, gdzie mieszka rodzina Siergieja Wylichtewicza. Mamy jej polską komórkę i numer telefonu przypisanego do mieszkania, w którym przebywa. Sprawdziliśmy oba. W ciągu ostatniej doby pani Wylichtewicz dzwoniła tylko do męża w kraju, do córek i polskiej przyjaciółki. Jedyne połączenie przychodzące należało do numeru... – Obrócił tablet, pokazując zapis danych. – Do telefonu zarejestrowanego na Ewelinę Dziemiewską. Uprzedzam pytanie: to współlokatorka Elżbiety Mikołajewskiej. Mieszkały na stacji w dzielnicy Prądnik Czerwony, w Krakowie. Wygląda na to, że któreś z nich, Ela lub Siergiej, przygotowując się na taką okoliczność, kupiło telefon zarejestrowany na kogoś innego. Tak, panowie, naprawdę dobrze szkolicie ludzi – skomplementował pełen stuprocentowego podziwu.

– Ale co dalej... Co z tym telefonem? – Teraz to ukraiński major był zaciekawiony.

– Mamy go namierzonego. – Pawlicki odparł spokojnie, jakby mówił o sprawie oczywistej. – Telefon jest wyłączony, ale można go lokalizować. Panowie wiecie, jak to działa.

– Teraz to i ja powinienem pogratulować – odparł Myhajło rozpromieniony.

Wiedział też, że tempo, w jakim zadziałał ten cały Kochanowski, wskazuje, że ma wielką władzę, wykraczającą poza zwykłe struktury agencji. Karpem położył dłoń na sercu i skinął głową.

– Państwo zrobili kawał świetnej roboty. Więc po co nas tu wysyłano?

– Panowie przejmiecie waszego człowieka, kiedy tylko wyjaśnimy, o co chodziło. – Rozkaz o wspólnym śledztwie był zbyt ogólnikowy i niepełny. – Oczywiście, jeżeli wykluczmy zabójstwo – zastrzegł ostrożnie, co widać nie spodobało się gościom.

Lajewski zapomniał, że siedzi w kurtce. Rozpiął ją dopiero teraz.

– Można otworzyć balkon? Duszno tu... – Bartusz spełnił prośbę i do środka wpadł powiew przyjemnego zefirku.

– Nie możemy odtrąbić sukcesu, póki nie odnajdziemy Siergieja. – Pawlicki przedstawiał realistyczny punkt widzenia. – Musimy wiedzieć wszystko o Wylichtewiczu. Czy miał wrogów w armii? Czy podpadł tak mocno Rosjanom, że zechcieliby się na nim zemścić? Może on wie coś, czego nie zdradził? Popęłił błąd i wystawił się na strzał. Po to panowie jesteście nam potrzebni. Ponadto obecność panów to akt otwartości ze strony polskiej. Dokładamy wszelkich starań, by to zakończyć.

– Dziękuję – odparł Lajewski. – Ale sugerujecie, że podrzuciliśmy wam... jak to mówicie... kukułcze jajo z niepewną przeszłością i dopuściliśmy, by dokonano aktu terroru na waszej ziemi – podsumował rozmowę.

„Jeden zero dla ciebie” – skwitował w myśli Konrad.

– Rzeczywiście, gorąco... – Udał, że nie usłyszał zarzutu, i zaczął wachlować się tabletem. Tak właśnie było. Warszawa obawiała się eskalacji w tej gonitwie za uciekinierem. Powstawały różne teorie i koncepcje, ale Konrad nie mógł ani nawet nie chciał o nich mówić.

– Więc co panowie proponują? – Karpem studził emocje, jak na dyplomatę przystało. Pochylił się w siedzisku i oparł łokcie o kolana, krzyżując dłonie.

– Będziemy śledzić numer – zaczął tłumaczyć Wigler vel Kochanowski. – Możemy już teraz wysłać ekipę i ściągnąć waszego kolegę. Muszę tylko przygotować zespół i ewakuować kilka osób z okolicy. Z całym szacunkiem dla panów i Wylichtewicza, dla waszych zasług... To wyszkolony żołnierz, zabójca. Nie wiemy, o czym teraz myśli i jak zareaguje na obławę. A miał czas poukładać sobie wszystko. Nie zgłosił się na policję. Jest więc podejrzliwy. Spróbujemy nawiązać kontakt, kiedy tylko włączy telefon.

Któryś z panów będzie negocjował. Ale jak znam takich jak Siergiej, nie odbierze i od razu ucieknie. W ogóle uważam, że już porzucił aparat i gdzieś się przemieszcza.

– Musimy spróbować... – Lajewski nie godził się na bezczynność.

– Mają panowie status dyplomatyczny. – Pawlicki bardziej stwierdził, niż pytał. – Chcemy, by to panowie dali zgodę na zatrzymanie porucznika. Na razie nie przemieszcza się... – Hubert postukał w zegarek. – Uważamy, że się ukrył i czeka do nocy. Co zrobi potem, nie mam pojęcia.

Lajewski przygryzł skrzywioną wargę.

– Wstępnie wyrażam zgodę – zdecydował jako najstarszy stopniem. Jednak wciąż męczyły go wątpliwości. – Muszę to skonsultować.

– To rozumiałe – przytaknął Wigler. – Tylko proszę się śpieszyć. Muszę mieć zapewnienie, że strona ukraińska wie, co się dzieje w tej sprawie, i nie wnosi sprzeciwu. Teraz zróbmy przerwę. Panowie skontaktujecie się z przełożonymi. Natomiast państwo z policji – spojrzał na Patrycję Ross, która odwdzieczyła się zakłopotanym uśmiechem – dowiedzą się, czy w okolicy... – Zapomniał nazwy dzielnicy, gdzie logował się telefon Siergieja. – Gdzie ukrywa się zbieg, nie wydarzyło się coś niepokojącego.

– Pan podejrzewa, że mogło mu odbić? – zapytał wprost Marek Bartusz.

– Nie, nie sędzę. – Wigler spojrzał na gości, sprawdzając, czy nie zostali dotknięci niską oceną zbiega. – To naprawdę profesjonalista. Może nas mylić. Zmieniać miejsca, środek transportu... – Umilkł, widząc, że policjant nie nadąża.

– Gdzieś mógł zagać telefon albo samochód – wyjaśniła Patrycja koledze.

– OK, zaraz dzwonię... – Wielkolud wreszcie zrozumiał.

– Dziękuję. Gdybyście natrafili na problemy, proszę powoływać się na mnie – polecił Konrad. Wstał i z miękkiej teczki wyciągnął plan miasta. Rozłożył go na podłodze i spojrzał w dół. Szczypał usta, usiłując cokolwiek wymyślić i zrozumieć. Nie obchodziło go, że nowi patrzą na tę scenę z zażenowaniem i zdziwieniem. Miał to gdzieś.

– Boże... – Spłynęło na niego olśnienie. Ukraińcy, sposobiący się do przejścia do innego pomieszczenia, zastygli w bezruchu. – Po co uciekał do miasta? – Wigler zadał pytanie, ale nie oczekiwał odpowiedzi. – On nie czuje się pewnie. Ufa tylko sobie, ale nie może sam wymierzać sprawiedliwości. Nie jest głupi. Musi się na kimś oprzeć. – Z zapałem wyrzucał z siebie kolejne zdania. – W szpitalu miał kolegów. Dozorowała ich ambasada, może poprzez konsulat. Mieli zapewne jakiś kontakt. Wiem, panowie tego nie zdradzą. Rozumiem. Ale co innego telefon czy email, a co innego... Źródło problemu może leżeć po ukraińskiej stronie, ale nie musi. Chłopak chce znaleźć się pod opieką swoich. W placówce zawsze działa ktoś z wywiadu i kontrwywiadu. Ktoś sprawdzony, skoro wysłany na obce terytorium...

– Pan sugeruje, że... – zaczął Lajewski groźnie, marszcząc brwi.

– Przepraszam... – Bartusz wpadł głośno do pokoju. Był ewidentnie podekscytowany. – Gdzieś na Krzesławicach... – Spostrzegł, że nikt poza Patrycją nie zna aż tak dobrze topografii miasta. – W Nowej Hucie niecałe trzy godziny temu zgłoszono kradzież samochodu.

– No proszę – mruknął Wigler.

– Ale to nic pewnego... – Bartusz nie poddawał się optymizmowi. – Nie mamy opisu złodzieja. Żadnego punktu zaczepienia.

– Tak, ma pan rację – przytaknął Konrad. Wiedział jednak swoje. Miał to wyjątkowe przecucie. – Telefon loguje się w tej okolicy... – Pochylił się nad mapą i odnalazł wymienioną część miasta. – Teraz ktoś kradnie auto. Mundurowi w okolicy, w której skradziono nowy wóz, muszą szukać ukrytego albo spalonego wozu Eli. To będzie dowód, że chodzi o porucznika. Założę się, że Siergiej zostawił jej auto. Ukradł nowe. Niestety pewnie pozbył się telefonu. Ma inny, ale namierzemy go tylko, kiedy zadzwoni, na przykład do matki.

– Więc gdzie on teraz próbuje uciekać? – Karpem patrzył na plan Krakowa. – No tak... – Jego też natchnęło. – Jak pan mówił, placówka konsularna? Chce się dostać do konsulatu.

– Brawo. – Konrad uniósł dwa kciuki. – Tak właśnie uważam.

– Czyli... Jeżeli to prawda... – Lajewski pozostawał ostrożny. Podobnie jak Bartuszczyk nie wierzył w tak łatwe odpowiedzi. – Na razie gdybamy. Ale jeżeli odwiedzi konsulat, to po sprawie. Wtedy przejmujemy go my... – Lepiej było uniknąć dochodzenia polskich organów. Konrad również to wiedział.

– Tak, wydaje się, że tak. Dobrze w tej kończącej się historii jest to, że to nie zdziczyła morderca. Był w szoku, przemyślał, a teraz działa racjonalnie. Albo jest na miejscu, albo czeka. Mogą panowie poinformować górę...

*

Siergiej Wylichtewicz szedł prędkim krokiem. Wiedział, że będzie zwracał uwagę, ale przeczuwał, że pętla wokół jego szyi zaciska się. Po kradzieży auta zaczął się szum i poszukiwanie. Wiedział, że dotrą i do niego. Ktoś go zauważy, opíše i zgłosi na policję. Dlatego jadąc w okolice cmentarza Rakowickiego, nie złamał żadnego przepisu. Był jednym z wielu kierowców na ulicach Krakowa.

Auto porzucił dwa kilometry od celu swojej wyprawy. Po prostu je zaparkował i zamknął, a kluczyki zostawił przy kole. Potem ukrył się w jakiejś ruinie na skraju parku i czekał. Był cierpliwy, choć bardzo chciałby sprawdzić w sieci, czy pojawiły się nowe wzmianki o ataku. Nie miał jednak takiej możliwości. Brak wiedzy był dokuczliwy.

Potem wyszedł i kluczył uliczkami. Wierzył, że dobrze wszystko zapamiętał i rozrysował na skrawku papieru, który znalazł w samochodzie. Przystawał co kilkaset metrów, opierając się o drzewa albo kryjąc za większymi przeszkodami. Słuchał i patrzył. Ulice były wąskie, otoczone domami jednorodzinnymi, eleganckimi willami albo socrealistycznymi blokami.

Zaczynał się ciepły letni wieczór. Ludzi na uliczkach dzielnicy było mało. Żadnych dzieci na rowerach, jak to bywało zwykle w wakacje. Dzielnica musiała być dość stara, ale ludna. Po obu stornach arterii parkowały sznury aut.

Im dalej w szarość zmierzchu, tym większy Siergiej odczuwał niepokój. Pierwszy raz, odkąd uciekł, strach ocierał się o panikę. Adrenalina przestawała dodawać energii i wyciszać lęki. Obrazy, krótkie stopklatki z wydarzeń ostatniej nocy, wracały ze zdwojoną siłą. Wypełniała go mieszanka wściekłości, żalu i tęsknoty. Brakowało mu Eli. Został sam. Musiał zwalczyć powracające od kilku godzin czarne myśli dotyczące powodów ataku. Że nie chcieli go jedynie zabić, chcieli porwać i przed śmiercią wyciągnąć, co wiedział o oddziale i kumplach ze szpitala. Nawet jeżeli było to niedorzeczne, zmęczony umysł szukał jakiegoś logicznego wytłumaczenia.

Podporucznik wyciągnął z plecaka wodę. Miał jej coraz mniej. Zaczynał być głodny. Chleb nie dał mu dość energii.

Kiedy uzyskał przekonanie, że wszystko jest w porządku, mógł się opanować. Ruszył dalej, starając się nie rzucać w oczy. Myślał, co ma powiedzieć na miejscu. Gdzie szukać oznak zdrady? W końcu sięgnął po mapkę.

Skręcił w lewo, w ulicę Grunwaldzką. Przeszedł prędko jej fragment, kierując się następnie w prawo, w ulicę Zaleskiego. Ta była dość długa, lekko zakręcała w prawo. Musiał znaleźć kilka obejść. Nie chciał dotrzeć do celu i wmaszerować od frontu.

Z ogrodów, jak przy działkach, na których się ukrywał, pachniało dymem ognisk i rusztów. Żołądek dał o sobie znać. Głód się nasilał. „Aman” jednak parł do celu, potrafił zapanować nad reakcjami organizmu. Został do tego przeszkolony. Radził sobie nieraz.

Ponad ulicami zaczęły zapalać się, jakby nieśmiało, pierwsze latarnie. Szare uliczki kąpały się w pomarańczowobiałym świetle.

Siergiej zmienił trasę jeszcze dwa razy. Wiedział, gdzie jest. Zaczął się zastanawiać, czy próbować wejść z marszu, czy należy przeczekać. Nocą byłoby lepiej, ale bał się, że tamci (kimkolwiek byli) przygotowują się lepiej i zastawią pułapkę. Przewidywanie najgorszego było elementem planowania u takich ludzi jak on.

Podobnie rzecz się miała z instynktem. Dokładniej z wyczuwaniem zagrożenia. Przeczucie jest przecież podświadomym przekonaniem, że człowiekowi umknął jakiś element lub coś nie pasuje do układanki.

Wylichtewicz doznał właśnie czegoś takiego, kiedy dochodził do ostatniej przecznicy. Powinien był stanąć, ale coś mówiło mu, że będzie zbyt łatwym celem. Nieco więc przyśpieszył i zaczął gorączkowo szukać kryjówki.

Miał przed sobą dwupasmową aleję. W okolicy zrobiło się głośniejsze. Budynek konsulatu był oddalony o kilkaset metrów. Z dalekiego, jak się wydawało Siergiejowi, przeciwległego końca ulicy wyjechał samochód. Wylichtewicz musiał go minąć, przy którymś z podwórek. „Aman” nie spostrzegł, kto siedzi w aucie. Samochód, szary hatchback, jechał wolno, niepokojąco wolno.

Siergiej zaczął analizować otoczenie. Teraz zupełnie serio podejrzewał, że znalazł się w pułapce i wcale nie popadł w obłąd. Niskie i wysokie domy, garaże i altany otoczone szczelnie płotami i krzakami. Żadnej bramy, załomu. Wszystko było proste i gładkie. Przyśpieszył kroku, bacząc, czy nie zagrozi mu coś innego. Zsunął plecak i wyciągnął pistolet. Przycisnął go do ciała. Było coraz ciemniej, liczył więc, że nikt łatwo nie dostrzeże uzbrojonego samotnika. Auto za nim było coraz bliżej, a jego kierowca nie śpieszył się z opuszczeniem osiedla.

Jeden element krajobrazu przed celem wydał się wyjątkowo niedopasowany do tła.auta, które Siergiej mijał od wielu minut, były miejskie. Rodzinne albo niewielkimi gabarytami dopasowane do ciasnoty miast i deficytów parkingowych. To, które wyrosło ponad przeciętność tutejszych samochodów, było wysokie, toporne i nie najnowsze. Amerykański jeep cherokee, wyprodukowany ze dwadzieścia lat wcześniej, w dodatku na grubszych niż fabryczne oponach.

Wcisnął się na chodnik obok klombu, pod jedynym tu blokiem. Szyba znajdowała się w cieniu, więc nie sposób było stwierdzić, czy wewnątrz są ludzie. Siergiej nie miał jednak wątpliwości.

„Aman” skulił się i pochylił. Wszedł w tryb walki, tryb ratowania życia. Tak jak przewidział, auto na ulicy raptownie zwolniło. Ludzie w środku obserwowali go i teraz przestraszyli się, że zostali wykryci albo figurant zasadza się na nich.

Ścigany nie wiedział, z kim ma do czynienia. Z mężczyznami, którzy zaatakowali tamtej nocy, czy z polską policją? Rodzaj wroga czynił wielką różnicę. Siergiej był w kraju sojuszniczym i nie zamierzał toczyć bitew z władzami. Przynajmniej tych krwawych.

Lawina myśli przewalała się przez umysł, a on starał się, jak zawsze w takich momentach, wyławiać to, co istotne i pomocne.

Przecisnął się między dwoma wozami i przeskoczył na jezdnię. Nie zamierzał dać się zamknąć w zasadzce, zaatakowany z dwóch stron. Uznał, że wcale nie ściga go policja. Ta dorwałaby go, gdy tylko wyszedł na ulicę. W tym przypadku podchodził go ktoś inny. Niezdecydowany albo zaskoczony.

Widząc pochyloną sylwetkę, szofer w szarym aucie przyśpieszył. Silnik zawył na zbyt niskim biegu. Wylichtewicz był już jednak po drugiej stronie. Prześlizgnął się po masce jakiegoś autka i popędził w krzaki pod domem na rogu. Przypadł do ściany i zobaczył, jak z wozu na chodniku pod blokiem obok wylatuje ognik niedopalka. Terenówka była „zamieszkana”. Ukraińiec wyteżył wzrok. W środku było trzech ludzi. Nie widzieli go, ale mogli otrzymać sygnał, że się zbliża.

Siergiej nie zamierzał czekać ani się zastanawiać. Przytulił się do ściany, skręcił w prawo, ciągle ukryty przed blaskiem latarni na zakręcie. Nabrał powietrza. Wybiegł z pozornej kryjówki, wyciągając broń przed siebie i jednocześnie ją odbezpieczając. Słyszał silnik samochodu, który wjeżdżał w uliczkę. W terenowym aucie otworzyło się tylne okno. W otworze zamajaczyła część sylwetki z czymś, co przypomniało karabinek. „Aman” przeskoczył ostatnią przeszkodę. Ugiął kolana, wstrzymał oddech. Strzelił w kierunku, z którego spodziewał się zagrożenia. Dwie kule uderzyły w tył wozu. Pojawił się dym, rozbrzmiały krzyki zaskoczonych mężczyzn. Siergiej nie zwalniał. Nie było czasu.

Przesunął lufę, dwa razy szybko pociągnął spust. Szyba w drzwiach kierowcy rozleciała się w drobny mak. Dwie postacie zniknęły z widoku. Kryły się albo zostały trafione. Trzeci pasażer wypadł na ziemię przez otwarte drzwi. Siergiej podbiegł. Kucnął i przewalił się na prawe ramię, ciągle trzymając wyciągniętą dłoń. Pomarańczowe światło i szarość zapadającej nocy nie pomagały celować w tak mały obiekt. W prześwicie wozu widział nogi tamtego. Wytlumiona broń puknęła dwa razy. Jeden pocisk poszedł rykoszetem, ale facet padł jak długi, wijąc się z bólu.

Siergiej wygrywał, ale został mu tylko jeden nabój. Za plecami miał resztę pościgu. Mógł tylko biec do przodu. Dostoczył do jeepa cheeroke. Prędko zajrzał na miejsce kierowcy. Nie dostrzegł ruchu. Odwrócił się w tył. Szarpnął wystającą ciągle lufę karabinka. Trzymająca go dłoń była słaba i nie opierała się za bardzo.

„Aman” zdążył pomyśleć z ulgą, że zdobył prostą broń. AKS-74UB, krótka wersja AK-74, z tłumikiem i kolimatorowym celownikiem. Sporo bajerów jak na nieporadnego strzelca.

Siergiej otworzył drzwi, robiąc z nich osłonę. Przełączył bezpiecznik na ogień pojedynczy i zaczął ściągać spust raz za razem. Szary wóz zachwiał się i stanął. W przedniej szybie wybuchły fontanny drobnego szkła. Byli blisko, karabinek miał mocniejszą amunicję, „Aman” nie mógł nie trafić. Przeniósł ogień na boczne szyby, koła i maskę. Auto zaczęło się cofać, zygzakując i dymiąc coraz mocniej.

Siergiej zdobył nieco czasu. Oddychał ciężko i działał jak automat. Wywalił nieprzytomne ciało z tylnego siedzenia. Potem zrobił to samo z kierowcą. Byli silni, ubrani na czarno. Przez moment Ukrainiec miał wrażenie, że znał ich. Miał już z nimi do czynienia zeszłej nocy. Usłyszał jęk. Przeszedł na drugą stronę. Jakiś blondyn o mocnej szczęce wił się, trzymając za łydki.

– Dla kogo pracujecie?! Po co wam jestem? – Siergiej spytał, mieszając polski i ukraiński. Stanął na ranie faceta. Ten zawył.

– Nie wiem... Ja nie wiem... Kazał nam... Dobrze płacił....

– Kto, kurwa? – Ukrainiec postarał się, żeby zabolalo mocniej.

– Taki biznesmen, tu z Krak... Dekañczyk. Domy stawia...

– Domy?! – huknął „Aman” i prawie złamał nogę rannego.

– Prawdę mówię... – syczał nieszczęśnik.

– Skurwysyny... – Lufa broni mierzyła w czoło blondyna. Siergiej jednak się zawahał. Gdzieś z dali, z dwupasmowej arterii słycać było policyjne syreny. Ktoś jednak dostrzegł, co dzieje się na do niedawna spokojnej ulicy.

Wylichtewicz podniósł karabinek, zamachnął się i wyprowadził kopniaka. Blondyn dostał w twarz i opadł nieprzytomny. Siergiej poczuł pustkę. Nie znał żadnych polskich biznesmenów. Kiedyś (krótko tylko) pracował w Polsce, na zmywaku. Nie pojmował, komu podpadł. Albo dokładniej: kto zlecił to wszystko jakiemuś Polakowi.

Gorący podmuch przeleciał koło głowy. Siergiej przykleknął, reagując jak należało. Pozostali napastnicy zaczęli się gdzieś daleko i próbowali zastrzelić go z bezpiecznej odległości. Przystawił kolbę do ramienia i zaczął odpowiadać ogniem. Po trzech strzałach zamek szcęknął głucho. Ukraińiec przepętnął do drzwi auta, unikając rzadkiego ostrzału. Obmacał kierowcę, potem pasażera. W kieszeniach wyczuł dodatkowe magazynki. Jeden podpiął od razu, dwa upchnął za pas spodni. Przestał myśleć, działał automatycznie. Chciał się ratować. Wgramolił się za kierownicę. Kluczyki były w stacyjce. Zapalił. Zużyty motor pracował głośno i ciężko.

„Aman” cisnął karabinek na fotel obok i wrzucił bieg. Położył się na kierownicy. Samochód wypadł na jezdnię. Opony zapiszczały. Kierowca skręcił, a tyłem wozu szarpnęło. Mógł uciekać tylko na główną ulicę. Inny kierunek był zablokowany. Jakiś pocisk trzasnął w karoserię. Siergiej nie wiedział, gdzie ma jechać. Policja się zbliżała, ale funkcjonariusze nie wiedzieli, z kim właściwie mają do czynienia. Konsulat Ukrainy był na wprost Siergieja. Przeszło mu przez myśl, by wedrzeć się siłą, staranować bramę.

Ale naraziłby się na reakcję ochrony i wściekłość policji, która nie patyczkowałaby się z osobnikiem zachowującym się jak terrorysta. Wszystko było możliwe, także to, że jego własni ludzie zdradzili. To

burzyło w nim krew i przerażało najmocniej. Chcieli go zabić tuż pod oknami konsulatu jego kraju.

Chwila wahania mogła drogo kosztować. Ktoś podkradł się niezauważony. Jakaś dłoń otworzyła drzwi jadącego wolno auta. Cios spadł na szczękę Siergieja, ale ten wytrzymał. Odbił w bok, podskakując na krawężniku i ocierając auto o słupek na chodniku.

Drugi cios nie był aż tak mocny. „Aman” próbował walczyć i dodawać gazu. Osłaniał się ramieniem, tłukł w próżnię łokciem, drugą dłonią szukając karabinka, który zsunął się na podłogę. Napastnik trzymał się relingu na dachu, a nogami zaparł się o wystający próg terenówki.

Przejechali tak kilkadziesiąt metrów, zygzakując od lewa do prawa. Siergiej spostrzegł broń. Zahamował. Prawie uderzył głową o kierownicę, ale wróg nadal trzymał się auta. „Aman” cofnął głowę i uderzył prawym prostym. Lewą ręką wykręcił lufę pistoletu.

– Poddaj się – syknął napastnik, łykając krew. Siergiej poznał ten głos. Wystraszył się jeszcze mocniej, ale i wykrzesał z siebie więcej energii. Prawie złamał dłoń z bronią i poprawił cios. Oręż wypadł gdzieś na asfalt. Napastnik chciał kopnąć, ale trafił w klakson, który zawył, mącąc spokój wieczoru. Zaciśnięty kułak uderzył „Amana” w bok czaszki i prawie oszołomił. Tego było za wiele. Siergiej uderzył łokciem kilka razy na oślep. Tamten wisiał już tylko na jednej dłoni. Drugą zrobił jakiś dziwny, niezgrabny gest, jakby chciał złapać za tylne drzwi. „Aman” wycelował i łupnął ostatni raz. Mężczyzna w jasnej kurtce padł na plecy. Ukraińiec w panice odpuścił sprzęgło, dodając gazu. Samochód ruszył. Siergiej uciekał w miasto, otoczony blaskiem niebieskich świateł. Miał tylko jeden pomysł. Ostatni, zupełnie irracjonalny. Ale był gotów na wszystko.

*

– Cześć! – Adam Thomał uśmiechał się w otwartych drzwiach. Był ubrany w jasną elegancką koszulę i lekkie spodnie. Uczesał włosy i pachniał dobrymi perfumami. W jednej dłoni trzymał butelkę Brunello z Montalcino. W drugiej bukiet kolorowych kwiatów.

Anna Linberg przywitała go z niepewną miną. Nie pasowała do Thomali. Nie wyglądała na gotową na wspólne wyjście. Bardziej na grilla na balkonie swojego apartamentu. Miała krótkie spodnie, luźną bluzkę z postawionym kołnierzem. Włosy spięła na szybko w nieporządny kok.

– Adaś... – szepnęła zaskoczona i zawstydzona.

– Nawet nic nie mów... – Adam opuścił dłonie i bez pardonu wkroczył za próg, czując, jak krew zaczyna w nim buzować. Zamknął głośno drzwi. – Spotykamy się wiele tygodni. Odkąd zaczęła się ta cholerna wojna, prawie nie masz dla mnie czasu. Raz, dwa razy na miesiąc. Liczyłem, że spędzimy chociaż jeden wieczór. Może całą niedzielę... – Chciał wzbudzić u Quadiry wyrzuty sumienia i zmusić ją do jakiegokolwiek deklaracji, złamać jej obojętność.

– Kochanie... – Usiłowała objąć Adama i pocałować. Thomal wyrwał się z jej ramion. On też potrafił dobrze grać. Już nauczył się rozpoznawać, kiedy Anna odgrywa komedię. Była w tym niesamowicie realistyczna, odpowiednio poruszała emocjonalne struny. W przeciwieństwie do wielu siks, które miewał na boku Adam, nie było w niej nic prostackiego.

Anna zamilkła, udając, że boli ją głowa albo nadchodzi wybuch płaczu. Thomal czekał, pozorując zagniewanie. Wiedział, że kobieta szuka jakiejś wymówki, by szybko się go pozbyć. Mieszkanie od dawna nie było sprzątane, pełne papierów, listów i jakichś rachunków. Róg pokoju rozjaśniała tylko jedna lampa. Anna pracowała ciężko. Pomoc przy uchodźcach i wysyłka darów na wschód mocno ją zajmowały. Bardzo chciała, by tak to właśnie wyglądało.

– Więc? – Odstawił butelkę na kamienny stół. Kwiaty cisnął obok. – Masz ochotę spędzić ze mną kilka chwil czy naprawdę kończymy?

– Adam... Bardzo bym chciała. – Zmieszała się. – Ale nie mogę. Znów ludzi najechało. Uciekają i z Mińska. Coraz więcej. Przecież wiesz... Co chwila ktoś do mnie wydzwania. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała pojechać...

– Gdzie?! – Adam wybuchnął. – Na granicę?!

– Na granicę albo do jednego z ośrodków – dopowiedziała, unikając spojrzenia mężczyzny. Adam obrócił się i przeszedł do otwartego okna na taras. Poczul na twarzy powiew wiatru. Thomał patrzył chwilę na żółte cętki świateł, sięgające daleko w stronę śródmieścia. Czegoś się dowiedział, ale nie tylko na tym mu zależało. Naprawdę chciałby spędzić noc z Quadirą. Matylda wyjechała do rodziców, a on wszak nie robił nic złego. Wykonywał przecież rozkazy.

– Więc mnie nie chcesz? – Odwrócił się z niezadowoloną miną. On też latami potrafił oszukiwać.

– Adaś... Ja bym bardzo chciała poprzytulać się, porobić te wszystkie fajne rzeczy i napić się wina. Zapomnieć. – Przyłożyła głowę do jego torsu. Pozwolił tym razem. Przeczuwał, że ją łamie. Pomylił się. – Adaś... Za tydzień. Obiecuję, za tydzień. – Oderwała się od niego i spojrzała głęboko w oczy. Była perfekcyjna, emanowała pewnością siebie.

– Dobrze więc... – Thomał uznał porażkę, osobistą i zawodową. – Wypij wino sama. Dobre na sen. – Nie udawał złości i zawodu. To uprawdopodobniało scenę, którą robił tego wieczora.

Pozbył się jej ramion, jakby zaczęły go brzydzić, jakby Anna przestała go obchodzić. Nie powiedział nic więcej, tylko wyszedł i dla efektu trzasnął drzwiami. Przeszedł do klatki schodowej. Zbiegł jedno piętro, przystanął i oddychał ciężko.

Ta spirala kłamstw wydawała się coraz bardziej nieznośna. Thomał zadarł głowę, jakby chciał spojrzeć przez ściany. Zastanawiało go, czy ona też jest równie wzburzona, czy w tym swoim bezdusznym wyrachowaniu nie czuje nawet dyskomfortu.

Resztę drogi w dół pokonał nieśpiesznie. Z każdym stopniem było mu lepiej. Docierała do niego prawda. Godził się, że to już koniec, finisz dziwnego związku, właściwie osobliwego romansu. Był przyjemny, ale męczył i wysysał siły. Adam Thomał żył w podwójnym kłamstwie: przed Matyldą i Anną. Na dodatek musiał udawać zaangażowanie.

Wydostał się z bloku. Było ciepło i bezwietrznie. Wsiadł do auta, wyjechał poza obręb osiedla i dopiero wtedy wybrał numer

w komunikatorze „Spark”.

– I jak? – „Olek” był ciekawski i zniecierpliwiony.

– Pinda jest dobra, naprawdę dobra...

– Mnie wasze przygody erotyczne nie interesują. – Znużony „Olek” próbował żartować.

– Kurwa... – Thomal zwolnił i wjechał w zatoczkę przystanku. – Mówię, że dobrze franca udaje. Wywaliła mnie, choć obiecywała poprawę. Naprawdę się śpieszy albo coś się dzieje.

– Powinna się ruszyć. – Człowiek w słuchawce wypowiadał na głos myśli.

– Mamy sygnał szyfrowany. To dziwne, bo nigdy nie łamała zasad. Podejrzewała, że ją pilnujemy. A teraz się wystawia...

– Niczego nie wiecie?

– Kodowane to kodowane. Ale twoja baba dzwoniła do ośrodka pod Olkuszem. Tam też słuchamy. Niby tyle do roboty, a prosiła o zwolnienie na dzień lub dwa kilku wolontariuszy.

– Bardzo interesujące. – Adam się zamyślił. – Kiedy?

– Jakies – „Olek” sprawdził – pół godziny temu. Potem znów te inne rozmowy. Więc...

– Więc nie obstawicie ich obserwacją. W tak małej miejscinie, jeżeli są tymi, za których ich uważamy, szybko się połapią.

– Dokładnie, panie podinspektorze. – „Olek” lubił tytułować Adama jego ostatnim policyjnym stopniem.

– Polski Jack Reacher będzie musiał sobie poradzić? – zażartował dawny śledczy, choć z troską o kolegę działającego na południu. Znali się pobieżnie. Każdy realizował swoje zadania, ale Adam podziwiał i szanował Konrada Wiglera. Był to ktoś nieprzeciętny, obdarzony inteligencją, przenikliwością. Nie pasował do tych czasów i współczesnych struktur. Jeśli chodzi o wybór życiowych dróg, był przeciwieństwem Adama. Thomal nawet mu tego zazdrościł. Podobnie jak tej nietuzinkowości i umiejętności czytania ludzi, a także wiary w siebie i hardości wobec biurokratów. Od nich się wyzwolił.

– Jesteś? – „Olka” wystraszyło zbyt długie milczenie Thomali.

– Jestem, jestem. Myślę – westchnął były glina.

– Brawo. Jak na niebieskiego to dużo.

– Ale masz dziś humor. Nie masz przypadkiem kilku problemów w całym kraju.

– No już, już, przepraszam. – „Olek” tonował nastroje.

– Ustawię się na czujce i poobserwuję panią wolontariuszkę. Jeżeli masz rację i pali jej się koło dupy, coś z tego będzie – dodał Adam, niepokodzony z takim spędzaniem nocy. – Odezwę się – dodał i wyłączył telefon.

Przejechał kilka przecznic, wtoczył się na nieogrodzony parking i wcisnął samochód w poprzek. Robiło się późno. Zdążył zgasić silnik, kiedy spostrzegł wóz Anny sunący prędko ulicą. Minęła go. Chyba nie zauważyła.

Thomal nawet się ucieszył, że nie zaznał długiej bezczynności. Zapуścił silnik, ruszył za kobietą, trzymając dystans. Znów dzwonił do „Olka”.

*

Zmierzch rozbłyskiwał niebieską barwą policyjnych lamp. Oświetlały frontony kamienic, peerelowski blok i każdą zaciekawioną postać, zaciekawioną tym, co się wydarzyło w ten upalny wieczór.

Dwa auta zablokowały przejazd od strony ulicy Zaleskiego, w kierunku Osiedla Oficerskiego, oraz jej wylot w stronę Prażmowskiego. Policjanci radiowozu na rozkaz przełożonych rozciągnęli taśmę między budynkami.

Od dwupasmowej arterii wjazd blokował nieoznakowany samochód duetu Bartusz i Ross. Wozy należące do zespołu Konrada Wiglera parkowały dalej, na pasie trawnika, wtulone w cienie drzew wzdłuż ulicy. Inne radiowozy stały w okolicy konsulatu po drugiej stronie. Wszystko to wpędzało w jeszcze bardziej ponury nastrój. Zajście odbyło się tak szybko i na tyle cicho, że wielu z mieszkańców ze zdziwieniem dostrzegło przyjazd policji.

Wigler kręcił się koło auta, starając się nie wychodzić poza okrąg cienia. Co chwila napotykał wzrok Huberta Pawlickiego. Miał świadomość, że sprawa wymyka się mu z rąk. Prawie tak jak w marcu, był bliski wystawienia się na widok publiczny. Nie lubili tego szefowie i reszta Grupy.

– I co? – Staął przy komisarzu Bartuszu. Spocony wielkolud zakrył dłonią mikrofon telefonu, a potem skinął głową na radiowozy.

– Nie doślą więcej. Chłopaki wiedzą też, że trzeba odcinać media...

– OK, ale co z tamtym? – Wigler się niecierpliwił. Bartusz przełknął ślinę.

– Sprawdzają monitoring, ale to jeszcze potrwa. Przez pana wszystko tajne. Trudno rozkazać, by szukali starego terenowego cherokee ot tak, bez zgłoszenia zajścia. Rozwalił ich prawie po cichu... Zaskoczył nas i miał kilka minut przewagi...

– No to już przecież jest... zajście – warknął Konrad, bliski wybuchu.

Dał spokój Bartuszowi, który znów zaczął coś uzgadniać z telefonicznym rozmówcą.

Poprawił spodnie w pasie i otarł pot ze skroni. Wrócił na tył auta.

– Kurwa mać, człowieku – wymówił wyraźnie, za adresata obierając pułkownika Lajewskiego. Ukraińiec siedział milcząco, cały w plamach zasychającej krwi. Nikt nie chciał go opatrywać, a jemu też było wszystko jedno. – Gdyby nie twoje kozakowanie, może byśmy mogli go dopaść jak należy. Albo przynajmniej się dowiedzieć, gdzie chciał jechać.

– To psychol... Nie wie, co robi – Lajewski z trudem poruszył ustami.

– Psychol? – W umyśle Wiglera zrodziła się szczerza chęć mordy. – I na byle wariata zasada się kilku mięśniaków z bronią automatyczną, rozpieprzając nam zasadzkę?! – podniósł głos. Gdzieś przy alei pojawił się wóz transmisyjny lokalnej stacji, ale zaraz został przystopowany przez dwóch mundurowych. – Oto, co się dzieje, dzięki panu pułkownikowi. – Palec Konrada wskazał dziennikarzy. – Miało być cicho, będzie głośno. Zaraz pół Internetu będzie huczało!

Policijni technicy ustawiali spory parawan i sposobili się do budowy namiotu, by na żądanie ludzi z „ABW” utrzymać jak najwięcej w tajemnicy.

– Sieć odcięta... – Pawlicki próbował uspokajać szefa i siebie. – Przez kilka godzin niczego nie opublikują. – Drapał się w brodę, myśląc, co jeszcze można zrobić. – Ludziska z Gospodarstwa będą musieli filtrować sieć przez kilka dni, żeby wyłapywać klipy. Nie zazdroścę, nie zazdroścę...

– A nam zazdrościsz? – zgasił go Konrad. – Zaraz to wszystko trafi do ministra. Media, rząd... I będzie trzeba komentować. Będzie źle. Dobrze, że nie ruszyliśmy w pościg sami, bo wtedy... – Machnął dłonią, jakby odpędzał muchę. Może powinien był wziąć wszystko na siebie, ale ryzykował prawdziwą medialną wrzawę.

Sięgnął dwoma palcami po pistolet CZ-95, który leżał na przednim siedzeniu wozu.

– Pan pułkownik dał popis. Miał być doradcą, dyplomata, a to naprawdę kozak. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Zabieram to. Za karę. – Wcisnął pistolet za pas przy plecach. Odgrywanie się sprawiało mu przyjemność. Przywołał jednego z ludzi. – „Doku”, znajdź apteczkę i pomóż pułkownikowi. – Złość nieco odpuszczała. Wigler zaczął rozumować trzeźwo.

– Więc uważasz... – specjalnie skrócił dystans – ...że to pospolity psychol?
– Podeszedł bliżej i oparł się dłonią o drzwi. – Może jeszcze zabił tę nieszczęsną dziewczynę?

– Nie wiem, o co poszło. – Lajewski skrzywił się, czując wodę utlenioną laną przez polskiego operatora. – Może uwikłał się w wojnę gangów. Może naprawdę zabrał komuś dziewczynę. Pan komisarz – skłonił się Bartuszkowi – miał ponoć taką teorię.

– Miał, miał. – Pawlicki machnął rękoma. – W tym nic się nie trzyma kupy.

– Zgadza się. – Zza pleców Lajewskiego doszedł cichy głos majora Karpema. Nie odzywał się, odkąd chłopaki Wiglera dowlekły tu

poturbowanego pułkownika. Był w szoku, obraził się albo tak bardzo przejął. Wigler nadstawił ucha.

– Proszę dalej.

Karpem pochylił się i odwrócił głowę.

– Atak na szpital. Zabójstwa. Nie, Siergiej to nie byle bandyta, Misza, on coś wie. Nie powiem wam co. Ja sam dochodzę do wniosku, że ktoś się go boi. A my mamy przeciek...

– Co masz na myśli? – Lajewski przekręcił się do przyjaciela.

– No, a skąd by wiedzieli... – Karpem wyciągniętą głową wskazał na radiowozy.

– Interesujące. – Wigler lekko się uśmiechnął. Miał dokładnie to samo zdanie. Skinął na swojego komandosa, a operator zrozumiał. „Doku” pozbiarał rzeczy z apteczki i ruszył do swojego auta. Niektóre sprawy były przeznaczone tylko dla oficerów.

Swobodniejszy Karpem mówił dalej:

– Policja? Lekarze? Myślałem intensywnie. To mógł być ktoś znacznie wyżej. Ja tam nie wiem, z kim gadacie, panowie. Wiem, że my konsultowaliśmy się z ambasadą. Warszawa musiała przygotować konsulat na wizytę Wylichtewicza. – Ucichł i długo patrzył przez szybę na budynek konsulatu. – Uważam, że to gdzieś tam. Albo na linii z naszą ambasadą.

– Powiedzmy, że tak było. – Pawlicki usiadł przy kierownicy, patrząc na wszystkich kolejno. – Ale jaki był motyw? – Zapadła głucha cisza. Ukraińcy patrzyli pod nogi. Konrad, wprost przeciwnie, spoglądał w ciemne niebo.

– No właśnie... Nic tu nie gra.

– On pewnie ucieka z miasta – stwierdził Mychajło. – Do Łodzi, do matki i siostry...

– Głupie – skwitował niegrzecznie Hubert. – Wie, że na niego tam czekamy. Wysłaliśmy ludzi. Ten wasz cały Siergiej po prostu się boi. Nie ufa, bo ktoś zaczął polować...

– Można? – Nieśmiały głos Patrycji Ross przerwał czwórcę mężczyzn jałowe rozważania.

– Zapraszamy do kółeczka. – Wigler posłał dziewczynie promienny uśmiech. Była policjantem, ale atencja starszego oficera ewidentnie jej schlebiała i wciąż ją peszyła.

– Mam kilka spraw. Jeden zabity, ten blondyn. Chyba go pamiętam. Handlował na mieście prochami, dokonywał wymuszeń. Głównie drobica. Nie pamiętam danych, ale przewijał się w rejestrach.

– Brawo. – Uśmiech nie schodził z ust Konrada. – Wystarczy poszukać i coś się znajdzie.

– Już jest – odparła Patrycja. – Blondyn chodził potem jako ochrona u niejakiego Dekañczyka. Głupek, bogaty królewicz. Mówią, że czerwony królewicz, ale ja tam nie wiem. Za młoda jestem. Starzy obsypali go forszą. Teraz jest jednym z kilku trzaskających pieniądze na deweloperce. Ze dwadzieścia lat temu jego stary wchodził w biznesy z ruskimi. Potem ucichło. Chyba podplęcili i pismaki stracili węch. Potem mamusia zaczęła rządzić...

– No, to naprawdę coś – przyznał Hubert, pełen najszczerzego podziwu.

– Niby tak. Tylko co z tego. Blondasek nie żyje... – Wszyscy odruchowo zerknęli na Mychajkę.

– Dopadli go, kiedy dostałem w łeb. Nie pamiętam wiele. Kiedy dobiegłem do tamtych, cała trójka była zimna...

– Nie chodzi o to – uzupełnił Wigler. – Gdybyś się nie wyrwał, to wszystko byłoby inaczej. Byłoby prostsze – machnął zrezygnowany dłonią. – Patrycjo... – Chwycił dziewczynę delikatnie za łokieć. – Proszę zdobyć więcej danych. Potrzeba kogoś, żeby przesłuchał tego Dekañczyka. Jeżeli ma coś z tym wspólnego, pewnie już się zwija z miasta. Trzeba działać szybko i bez rozgłosu. Dam wam kogoś z moich ludzi. – Nie rozkazywał, a prosił. Rozumiał, że komplementami kupił panią komisarz, więc będzie najbardziej oddaną mu osobą w całej małopolskiej policji. – I jeżeli można... Pogońcie sprawdzanie ostrzelanego auta. Pewnie kradziony albo

z lipnymi numerami, ale to zawsze coś. Niech pani załatwi to z tym oglądem monitoringu. Pani partner chyba nieco się zakręcił w temacie. Teraz nie ma chwili do stracenia. No i ważniejsze: gdzie jest Siergiej ze swoim wozem? A przynajmniej gdzie się kierował? – Położył kobiecie dłoń na ramieniu i lekko pogłaskał, nie spuszczać wzroku. Usta Patrycji drgnęły, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko nerwowo się uśmiechnęła i poprawiła kosmyk włosów przy uchu.

– Jasne, robi się. – Skinęła głową i potruchtała do Bartusza, sięgając po telefon.

– Zdolna bestyjka! – Pawlicki, cmokając, pojawił się obok Konrada, wpatrzony w tyłek dziewczyny.

– Zorganizowana, wie swoje, ale... Za młode to i za kruche. Pokaleczyłyby się człowiek... – Wigler dokonał szybkiej oceny umysłowości i fizyczności panny Ross.

– Wodzu – przerwał mu Hubert – prowadź.

– Aha, tylko, kurwa, dokąd? – Wigler podszedł do drzewa i oparł się o pień, kierując wzrok na trawę. – Wystawiamy się na widok. Pięć minut i nas nie ma. Za dużo oczu patrzy, Hubi. To po pierwsze. Gospodarstwo niech pomoże szukać w kamerach na mieście, bo niebiescy będą grzebać się do Bożego Narodzenia. Za młodu to bym chuja ścigał choćby rowerem. Ale jestem starszy i mądrzejszy. Cholerny ukrop, pomieszał wszystko. Żadnych świadków. Tamci, co zwiali... założę się, że podpalili wóz. Można ich szukać po kamerach, ale pewno już odjechali. Biznesmen uciekł. – Telefon Wiglera zadzwonił. Konrad podniósł dłoń na znak, by Hubert nic nie mówił.

– Słucham. A dzień dobry! Co słyhać u pana posła? – zapytał i słuchał dłuższą chwilę. – No proszę, proszę... A kiedy? Dziś wieczór. Nie, nie, to nie są błahe wiadomości. Bardzo dziękuję. Dobranoc – skończył rozmowę.

– Co jest? – Pawlicki przebierał nogami z ciekawości.

– Coś się dzieje... – Konrad patrzył gdzieś w dal, jakby pograżył się myślach. – Czuję to w gnatach. Nasz Siergiej kogoś naprawdę wkurzył. Wszystkie onuce stają do pionu...

– Co ty chrzanisz?

– Chodzi mi o to, że asystent naszego ulubionego posła dostał polecenie wypuścić do domku letniskowego paru brodatych.

– Kurwa! – Pawlicki zaczynał rozumieć. – A oni są...

– Turyści, psia ich mać – prychnął Wigler. – Nie wiem. Jak znam życie, to ta fundacja pewnej pięknej pani, nad którą siedzą, odkąd wróciła z Afganistanu. – Szkoda, że nie mamy namiaru...

– Mamy numer wozu. Asystencik się stara. – Konrad zaczął szukać numeru w pamięci telefonu. Hubert wydał usta i potwierdzająco kiwnął głową.

– Jak się okaże, że jadą tutaj?

– To mamy bitwę na sto fajerek – skwitował Konrad. – Trzeba odnaleźć oficerka... Bo jak tamci zaczną szukać i wleżą nam w paradę...

– Kurwa! – Hubert właśnie wyobraził sobie konsekwencje. – Nie można ryzykować. – Odwrócił się do auta, patrząc na ukraińskich doradców.

– Nie można – potwierdził Konrad. – Oni, ambasada, konsulat, mam to w dupie. Zabierzesz ich do hotelu i przypilnujesz. Tak, wiem, będą się stawiać. Biorę to na siebie. Gliniarze tylko do pomocy, żadnych więcej szczegółów, póki nie pozwolę. Teraz najważniejsze to dorwać Siergieja. Tylko obawiam się...

– Czego?

– Że nas za mało. Muszę dobrać ekipę. Przynajmniej sekcję, bo młody ma kopyto, a w potrzasku... Psia krew, czy nie powinno być nam łatwiej?

*

Siergiej Wylichtewicz szedł prędko, nie unikając ludzi. Wcisnął czapkę głęboko na oczy. Pocił się, a ciemne plamy pokrywały basseballówkę. Nie była potrzebna teraz, ciepłą nocą, ale pomagała ukryć się przed obiektywami kamer monitoringu. „Aman” był zmęczony. Dyszał i robił przystanki. Ostatnia doba zbyt wiele go kosztowała. W piersi coś go kłuło i podporucznik zaczynał odczuwać lęk. Organizm dawał sygnały, że coś

jest nie tak, że stare rany znów się otworzyły. Ale umysł nakazywał walczyć. Dla zasady, dla rodziny. Siergiej nie zamierzał dać się dopaść. Musiał uciekać. Schować się i odbudować siły.

Na horyzoncie widział od dłuższego czasu potężne bryły kościołów, wielkich hoteli i budynków biurowych. Przede wszystkim zaś kierował się na wzgórze wawelskie. Wiedział, jak się poruszać. Był tu obcy, ale pamiętał opowieści Elżbiety o jej mieście. O urokach nocnego życia, które kiedyś poznawała aż za dobrze. Opowiedziała o starym mieście, bulwarach nad Wisłą, zamku i wszystkich najlepszych knajpach. Obiecywała, że pójdą razem zwiedzać rynek i Kazimierz. To był teraz cel Siergieja.

Przycupnął na ławce przy ścieżce nad rzeką. Daleko, na wale przeciwpowodziowym, stał maszt z kamerami, więc musiał być ostrożny. Co rusz słyszał w dali syreny policji i myślał o tym, co zaszło pod konsulem.

Przyjrzał się niewielkiemu planowi miasta. Znalazł go w schowku w aucie, które porzucił pod drzewami, na krakowskich Grzegórkach. Jadąc, starał się wybierać boczne ulice, co nie było proste w tak wielkim mieście, zwłaszcza dla osoby będącej tu pierwszy raz. Przystawał i czytał mapę, starając się orientować po nazwach oraz najważniejszych obiektach w okolicy. Umęczył się, ale wiedział, że zyskał lekką przewagę. Miał też wielkie szczęście, gdyż nie zainteresował żadnego stójkowego po drodze. Nie przykuł niczyjej uwagi prócz... Zastygł na samo wspomnienie. Jeżeli pułkownik Lajewski próbował go powstrzymać, to oznaczało, że polskie służby domyślały się, gdzie się przemieszcza. Czekają. Fakt, że zabił trzech funkcjonariuszy, przyprawiał o zawrót głowy. Byłby skończony, a ten spokój wokół był ciszą przed burzą.

„Aman” sięgnął po wodę. Miał niemal pustą dużą butelkę i jedną pełną, małą, też odebraną zabójcom. Wlał w siebie łyk, by dodać nieco energii. Musiał się śpieszyć.

Wzdłuż Wisły plątało się może kilkanaście osób. Niektórzy byli głośnymi imprezowiczami, w przerwie między jedną balangą a drugą. Nie wydawali

się groźni, ale przykuwali uwagę służb miejskich i policji, która dozorowała teren z pomocą kamer i patroli.

Wylichtewicz nie mógł tu zostać. Nie mógł iść do celu najkrótszą drogą. Był przecież na polowaniu, w roli naganianej zwierzyny. Ruszył więc na ulicę ponad bulwarem. Miał rację. Ruch aut był tam umiarkowany, a ludzi nie było wcale. Siergiej wiedział, że musi tak przebyć jeszcze ze dwa kilometry. Schodził w cień drzew za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że z daleka nadciąga radiowóz. Ciało odmawiało posłuszeństwa, Ukrainiec słabł. Nie jadł nic konkretnego od poprzedniego wieczora. Wlókł się jednak, obierając azymut wedle wskazówek Eli i tego, co pokazywała mapa. Planował wejść w płataninę uliczek Kazimierza, porzucić otwartą przestrzeń.

W ciepłą, szarą czerwcową noc turystów były tysiące. Gwar muzyki i pokrzykiwań docierał już z daleka. Błyskały światła dyskotek, restauracji. Ktoś śpiewał, a właściwie zdzierał gardło po pijaku. Ludzie byli najdoskonalszym kamuflażem.

Siergiej poczekał, aż minie długi ceglany mur na ulicy Podgórskiej. Skręcił w Gazową. Była cichsza i zupełnie pusta. Potem zaczął krążyć, zbliżając się do centrum nadwiślańskiej dzielnicy. Po kilkuset metrach i kilku zmianach kierunku minął amerykańską restaurację na rogu kamienicy, zwieńczonej czymś w rodzaju baszty. Ludzie siedzieli w niewielkim ogródku ustawionym na chodniku. Jedli, pili, śmiali się swobodnie i beztrąsko. Wylichtewicz zazdrościł im. Zapachy specjałów podawanych przez kelnerki dosłownie oszalały go. Żołądek kurczył się i odzywał. Ukrainiec wieki całe nie był w prawdziwej restauracji. Nie było już Eli, jedynej dziewczyny od lat, z którą tak wspaniale się czuł. Wyjątkowej kobiety, z którą chciał przeżyć coś więcej. Opamiętał się. Nie mógł poddać się rozpacz. Musiał pozostać skupiony, tak jak go wyszkolono.

Przeszedł na mniej oświetloną część ulicy. Trzymał się jednej z grupiek. Starał się nie rozmyślać o niesprawiedliwości losu. On, odznaczony oficer wojsk specjalnych, ochotnik, który nie sprzeniewierzył się przysiędze

i krajowi, był zwierzyną. Gdzieś tam trwał ciągle brutalny konflikt, a tutaj, w to ciepłe lato, cała ta międzynarodowa menażeria zapominała o wszystkim, co złe. Nikt nawet nie pomyślałby o takich jak Siergiej. Tu był inny świat. Myśląc, że zwymiotuje, Ukrainiec wszedł w zaułek. Uśmiech losu sprawił, że zrobił to w odpowiedniej chwili. Ulicą przetaczał się radiowóz, świecąc na niebiesko kogutami. Siergiej skrył się głębiej w otwartej bramie. Obserwował. Gliniarze byli znużeni, ale rozglądali się, jakby kogoś szukali.

– Nie widzą – powiedział cicho podporucznik. Wydawało mu się, że poszukiwania wprawdzie trwają, ale myśliwi zgubili trop. Miał ciągle szanse.

Siergiej odczekał, aż radiowóz skręci na skrzyżowaniu. Upewnił się, że nikt nie dostrzeże jego wyjścia na ulicę. Przyśpieszył. Nawet plecak z karabinkiem owiniętym bluzą nie był teraz ciężarem. „Aman” szedł do centrum dzielnicy. Gdzieś odbywał się koncert. Znał te melodie z dzieciństwa: klezmerzy, wesołe przyśpiewki. Dostrzegł jeszcze kilka radiowozów i policjantów w cywilu udających turystów. Stali na rogach, przyglądając się bacznie otoczeniu. Ukrainiec musiał się postarać, by wypaść jak najbardziej naturalnie.

Ominął rozśpiewany i rozświetlony plac. Poszedł dalej. Teraz skupiał się na poszukiwaniu. Przeszedł tak daleko, że uznał, iż nie jest intensywnie tropiony. Musiał natomiast użyć wszystkich zdolności, jakie miał, by znaleźć bezpieczne miejsce, przynajmniej na kilka godzin. Nic więcej mu nie pozostało.

Nie pasował do ubranych swobodnie i pachnących turystów. Był nieświeży, spocony, wyglądał mizernie. Nie patrzył na ludzi przy stolikach. Wstydział się samego siebie. Co rusz ktoś podnosił wzrok, widząc tego cudaka przypominającego bezdomnego.

Siergiej dotarł do placu, który za dnia służył jako targowisko. Rozchodziło się zeń kilka ulic. Wylichtewicz zawahał się. Zaczął ostrożnie zaglądać w każdą uliczkę. Kierował się instynktem. Nie miał dość czasu, by zbadać wszystko dokładnie. Opuszczały go siły. Bał się, że zemdleje lub

zaśnie. Ból w żebrach był coraz dotkliwszy. Nie miał punktu zaczepienia ani tym bardziej żadnego kontaktu.

Jego uwagę przykuła restauracja, a raczej bar, kolorowy, pstrokato zdobiony. Z pozoru zupełnie hipisowski. Wewnątrz rozbrzmiewały dźwięki gitarowej muzyki. Kilkoro rozgadanych młodych ludzi rozsiadło się przy ławkach, sącząc piwo i jedząc frytki. Między nimi kręcił się ktoś starszy. Znosił puste kufle, wycierał blaty. Był siwy, liczył co najmniej pięćdziesiąt lat. Nosił kwiecistą koszulę i krótkie bermudy, a do tego sandały. Zakrył głowę wytartą, czerwoną czapką z daszkiem, spod której wystawały długie, choć już rzadkie, włosy. Niechybnie łysiał na wierzchu czerepu i maskował to nakryciem głowy lub wstydził się. Facet był krzepki, żylasty, co ukrywał pod obszerną odzieżą. Pozostawał cichy i uważny. Jego oczy wędrowały spojrzeniem we wszystkie kierunki. Przed każdym wejściem do lokalu mężczyzna spoglądał niby ukradkiem za siebie. Po wyjściu znów „skanował” otoczenie.

Siergiej uzmysłowił sobie, że luźna postawa tamtego to gra. Schował się za róg, nie chcąc, by karczmarz go spostrzegł. Nawet wystraszył się, myśląc, że knajpiarz już go zauważył i tylko doskonale udaje obojętnego.

Wylichtewicz doszedł do wniosku, że jest to miejsce i człowiek, których szuka. Zaczął obmyślać, jak cicho dotrzeć do baru i nie wzbudzić zamieszania. Spotkanie mogło przeróżnie się skończyć. Ale Siergiej miał pewność, że trafił na swego.

*

Wynajem kwatery dla zespołu w Krakowie odbył się bardzo podobnie jak w Proszowicach, z tą jednak różnicą, że właściciel nie był obecny. Był on poza tym współpracownikiem Konrada Wiglera, więc sprawa nie nastroczała trudności. Zespół miał swój safe house.

Eskortowanym tam Lajewskiemu i Karpemowi, powiedziano, że była to kwatera z internetowego serwisu podróżniczego. Tylko dokładnie sprawdzona.

Inaczej niż imprezujące śródmieście, dzielnica usypiała. Nowe piętrowe domy z ogrodami stały ciemne i milczące. Na uliczce parkowało niewiele aut. Latarni też było zaledwie kilka. Rysowały kręgi białego światła co kilkaset metrów. Miejsce było więc idealne na skryty wjazd.

Skoda karoq zbliżyła się do drewnianej bramy z kamerą. Ktoś po drugiej stronie nacisnął przycisk. Wóz wjechał na dość długi podjazd, dzielący wjazd od bijącej po oczach nowością posiadłości w nijakim stylu.

Czterech mężczyzn opuściło samochód. Mychajło Lajewski przeciągnął się i jęknął z bólu. Stłuczenie łokcia i żeber było dość nieprzyjemne.

– Zapraszam... – Z podświetlonego ganku odezwał się poważny kobiecy głos.

Pułkownik zmrużył oczy, wypatrując jego właścicielki.

– No proszę. – Zapomniał o bólach i uśmiechnął się. – Jeszcze jeden ze skarbów pana Kochanowskiego. Najurokliwszy, jak widać. Mychajło Lajewski. – Pośpieszył, by ująć dłoń niewiasty, a gdy to zrobił, ucałował, patrząc w oczy kobiety.

– Bożena Malinowska – przedstawiła się kobieta, na pozór ciągle zdystansowana, ale po jej twarzy przeszedł jakiś nowy grymas. Mychajło wiedział, że nie nawykła do takiego traktowania. Zaskoczył ją. Przyglądził włosy. Nieco wstydził się wyglądu i podartej odzieży. Zrobił miejsce na powitanie dla kolegi i cofnął się o krok. Ostentacyjnie obejrzał sobie tę trzydziestolatkę, lubiącą chyba biegać lub pływać. Dopasowane jeansy uwydatniały jej tężyznę fizyczną. Nie przeszkadzała mu luźny T-shirt.

– Gdybym wiedział, że macie tutaj takie dziewczyny – Lajewski złożył dłonie jak do modlitwy – prosiłbym o wysłanie nas tu od razu po zejściu.

– Pokój mają panowie na piętrze. Łazienka, telewizor. Internetu nie używamy... – tłumaczyła Bożenka, uciekając spojrzeniem od oficera.

– Tak, trzeba się zdrzemnąć, choćby kilka godzin – przyznał major Karpem.

– Kto by tam spał... Tak ciepła noc i jakie towarzystwo... – Lajewski sięgnął po papierosa. – Cholera, nie mam ognia. – Zaczął macać kieszenie.

– Proszę... – Bożenka podeszła z zapalniczką.

– O, dziękuję. Cóż ze mnie za gbur. Proszę. – Podsunął jej paczkę. Dziewczyna skorzystała z chęcią. Wydawało się, że lody pękają.

Karpem machnął dłonią i, ziewając, wszedł do domu. Ktoś z obstawy wskazywał mu drogę na kwaterę.

– Meczący dzień... – Lajewski nie rezygnował z podrywu. – U pani zapewne też? Taka rozróżba. Niestety z udziałem naszego kolegi. – Spowaźniał na moment i posmutniał.

Pierwszorządnie zagrał zmartwionego i zażenowanego, patrząc w jakiś punkt w ogrodzie. Kobieta chciała coś powiedzieć, pocieszyć go, ale chyba nie nawykła do tej roli.

– Nieco za bardzo się zapaliłem do tej roboty. – Ukrainiec pokazał rozdarty rękaw kurtki. – Ale to boli, kiedy twój kolega, weteran, ucieka i na dodatek robi takie rzeczy.

– Pan uważa, że on jest winny? – Pierwszy raz Bożenka okazała zainteresowanie.

– Nie wiem. Choć wszystko na to wskazuje... – Pułkownik nie patrzył już na nią. Interesował go ogród, podwórko i ogrodzenia. Wyłapał dwa stanowiska kamer oraz ukryty pod winoroślą drut kolczasty. Zszedł z ganku i ruszył na tył domu. Tak jak przewidział, kobieta poszła za nim. Zaciekawiał ją, ale pewnie miała go też pilnować.

Wypatrzył skalniak pełen krzewów i bujnej trawy, umiejscowiony między podjazdem a przejściem na tył budowli. Nie było tu ozdobnej latarni, a ściana dawała cień. Lajewski miał nadzieję, że to martwy punkt monitoringu. Kamery znad płotu i wejścia nie powinny być skierowane w to miejsce. Na piętrze też nie zauważył stałego dozoru któregoś z ludzi Kochanowskiego.

Został więc tylko on i niska, młoda kobieta. Wiedział, że jest wyszkolona, inaczej by tam nie trafiła. Ale Mychajło ocenił, że jest słabsza niż koledzy, a na dodatek pułkownik uśpił nieco jej czujność.

– Ciepła, piękna noc. – Zadarł głowę rozmarzony, podziwiając gwieździste, dość jasne niebo z kilkoma zaledwie chmurami. – Naprawdę byłoby miło pozwiedzać takie piękne miasto w normalnych okolicznościach. Nie służbowo... – Zajarzał głęboko w oczy dziewczyny. – Z kimś takim jak pani, na ten przykład. – Młoda znów się zawstydzila i strzepnęła popiół. Nie pasowało jej takie traktowanie, a jednocześnie intrygowało ją. Zbyt długo przebywała z mężczyznami i nabrała ich wszystkich cech, tracąc wrażliwość na słodkie słówka.

– Na froncie... – odezwał się Lajewski niższym i cichszym głosem – ...człowiek siedzi i wspomina. Marzy o normalnym lecie. Wakacjach. A dookoła latają pociski...

– Pan był na froncie, tak?

– Donbas.

Bożenka rozdziawiła usta i otworzyła szeroko oczy. Teraz dopiero okazała prawdziwy podziw, doceniając zasługi w dziedzinie, którą znała i szanowała najbardziej. Mychajło uśmiechnął się z wyższością. Wygrał. Dziewczyna podeszła bliżej.

– Opowie pan coś? – poprosiła uprzejmie.

– Ach, front... – Lajewski jakby się zasmucił. Znów uniósł głowę i, jak go nauczono, wyprowadził cios dłonią w podstawę czaszki. Dziewczyna opadła jak zwiędły kwiat. Mychajło złapał ją i przytrzymał. Słuchał chwilę. Nie zwrócił niczyjej uwagi. Wciąż panowała cisza i spokój.

Ostrożnie przesunął nieprzytomne ciało w stronę ozdobnych krzewów. Ułożył Bożenkę na poszyciu z kory. Sprawdził puls. Żyła. Tak jak założył.

Zaczął obmacywać kieszenie dzinsów. Wyczuł niedużego pilota. Nie miał czasu, by ocenić, do czego służy. Liczył, że otworzy bramę. Pułkownik wdusił jeden przycisk, potem drugi. Drewniane wrota zaczęły z szumem się przesuwac. Lajewski znów się uśmiechnął. Wdusił guzik jeszcze raz. Brama przystanęła, zostawiając szparę na tyle dużą, by można było się precisnąć. Miał mało czasu. Ochrona nie tkwiła przy kamerach, była pewna, że nikt więcej nie przybędzie niezapowiedziany, skoro wszyscy są w budynku. Nie pomylił się. Mychajło Laniewski wybiegł na ulicę.

Wyciągnął portfel. Cisnął podartą kurtkę za płot i pobiegł. Wydobył z kieszeni telefon. Mógł być śledzony, ale nie miał innego pomysłu. Wynałazł w wyszukiwarce nazwy kilku korporacji taksówkowych. Włączył lokalizację GPS, by wiedzieć, gdzie zamówić taryfę. Potem schował się w cieniu i czekał wpatrzony w jeszcze jedną, tylko jemu znaną, aplikację.

ROZDZIAŁ 5

Letnia noc nie sprzyjała śledzeniu. Adam Thomał trzymał dystans wobec Anny Linberg i jej niewielkiego autka, ukrywając się za dosłownie kilkoma pojazdami na szosie prowadzącej na południe od Warszawy. Jechali wpierw w stronę Piaseczna. Przed rogatkami miasta Anna zmieniła kierunek i skręciła na zachód, wyjeżdżając na o wiele węższe i bardziej puste drogi.

Jechała przepisowo przez podwarszawskie miasteczka. Zatrzymywała się, gubiła się (albo udawała) i sprawdzała trasę. Adam musiał być bardzo ostrożny i skupiony. Kiedy widział światła hamowania, uciekał w pierwszą wolną przestrzeń, by nie dać się wypatrzyć. Miał nadzieję, że pozostaje niewidoczny, choć między śpiącymi miejscowościami zanurzonymi w mroku para reflektorów rzucała się w oczy. Gasił więc światła, modląc się, by nie wpaść na kogoś zasłoniętego cieniami przydrożnych drzew.

Adam o mało co nie wpadł w coś w rodzaju zasadzki. W Henrykowie-Uroczu Linberg skręciła gdzieś gwałtownie, znikając mu z oczu. Kiedy chciał ją dogonić, pojawiła się znów na właściwej drodze, sprawdzając chyba, kto będzie za nią. Thomał zdołał tylko zakląć, kiedy w ostatnim momencie wjechał pod bramę jakiegoś podwórka. Pot ciekł mu po karku i plecach. Czekał chwilę, aż dziewczyna się oddali i ruszył jeszcze wolniej.

Miasteczka spały zupełnie opustoszałe. Nikt ich nie widział. Anna Quadira Linberg naprawdę była profesjonalistką. Najwyraźniej sama opracowała tę trasę i przebyła ją pewnie nieraz. Po kilkunastu następnych minutach stawało się jasne, dokąd zmierza śledzona. Nadkładała drogi, ale wreszcie skierowała się ku krajowej siódemce. Thomał zaczynał wierzyć w powodzenie operacji.

Już od Pawłowic było widać migające światła większego ruchu na dwupasmowej trasie. Auto Anny przyśpieszyło. Thomał włączył na powrót światła. Potrzebował dużo opanowania, by nie przeciąć trasy i wskoczyć na szosę, zanim Linberg zniknie. Jechała na południe, w stronę Grójca.

Adam wybrał ikonkę aplikacji komunikatora w telefonie. Wybrał numer. Połączenie uzyskał prawie od razu.

– Będzie gdzieś pod m...– zameldował człowiekowi po drugiej stronie.

– Mhh... – Operator był czymś zajęty. – Mamy cię – odezwał się wreszcie.
– Ptaszek was widzi.

– Ażeby was... – Thomał pokręcił głową. – Ja się tu męczę, a wy wszystko wiecie.

– Lepiej mieć kogoś na ziemi. Sam wiesz, jak jest. Drona można oszukać. Przesiądzie się do innego wozu i dupa. A tak masz ją na celowniku....

– Zwalnia – przerwał Adam, widząc, jak odległy samochód hamuje. Zaczął intensywnie rozglądać się po terenie na prawo od szosy. Nie było tam wielu interesujących obiektów. Ot, kilka starych domów, potem stawy na polach i las. Adam się wystraszył. – Tam ma randkę – powiedział niezadowolony do telefonu.

– Możesz wracać. Poradzimy już sobie. Dzięki.

– Chcieliście mieć kogoś w pobliżu. Zostanę. – Thomałę popychała potrzeba spełnienia obowiązku, który dawno stał się sprawą osobistą.

– Możesz wracać, przejmemy ich. Mogą mieć kontrę^[4] – ostrzegał głos operatora.

– OK, dobra. – Adam syknął i skończył połączenie. Przezornie wyłączył telefon. Nie chciał być nagabywany. Nie mógł się zupełnie ukryć, gdyż nadajnik GPS w telefonie i zapewne w aucie podawały jego dokładną pozycję.

Minął zjazd, w który wjechała kobieta. Zwolnił, ale nieznacznie. Skręcił w drogę równoległą, bliżej pola. Zatrzymał się jakieś pięćset metrów od miejsca prawdopodobnego spotkania. Ryzykował, ale nie miał innych

pomysłów. Był sam w jedynym w okolicy samochodzie. Nie zamierzał jednak potulnie czekać.

*

Siergiej Wylichtewicz starał się być cichy i niewidoczny. Czekał cierpliwie, kręcąc się po placu i ciągle upewniając się, że nie jest śledzony, przyglądał się też barmanowi. Robiło się coraz ciemniej, a turystów zaczynało ubywać. Odchodzili grupami, głośno rycząc piosenki. Policja nie interesowała się tymi ekscesami, które widać były tu normą.

„Aman” wybrał jedną z takich grup, złożoną z pijanych Anglików. Stali się jego kamuflażem. Szedł w pewnej odległości, nie przykuwając uwagi. Pozwolił, by goście z wysp nieco się oddalili. Podeszedł do blaszanego płotu między rzędami kamienic, za którym kryło się podwórze kilku budynków. Odbił się od ziemi i przeskoczył na drugą stronę. Pod ścianami pobiegł do tylnego wyjścia baru.

Nad drzwiami paliła się lampa, a tuż obok dwa czerwone ogniki kamery. Siergiej już na to nie zważał. Nie miał wyboru. Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka. Wnętrze wydawało się puste i duszne. Zaplecze przypominało przybytki z mniejszych miast na Ukrainie. Wypaczona od wilgoci boazeria do połowy ścian sąsiadowała z nieco spłowiałą, popękaną farbą wyżej. Panował półmrok. Stało tam pełno skrzynek po piwie, wiader i worków ze śmieciami.

„Aman” minął pustą kuchnię. Zostawił za sobą przestronne biuro z biurkiem i komputerami. Ktoś tam siedział, ale zajęty był grzebaniem w telefonie, a nie w widoku z kamer na monitorze. Z innego pomieszczenia słychać było włączony telewizor. Siergiej pochylił się i przemknął dalej. Uchylił ostrożnie kolejne drzwi. Przed sobą miał salę główną i bar. Wszystko w drewnie, wyglądało jak kiepska podróbka angielskiego pubu. Na ścianach straszyły kolorowe mazidła, winylowe płyty, gitary różnych typów i zdjęcia podrzędnych kapel. Stoły były długie, obstawione ciężkimi ławami albo krzesłami różnej proweniencji. Większość pamiętała poprzednią epokę, co miało nadawać lokalowi

nonkonformistyczny charakter lub stwarzać atmosferę podrzędnych spelun. W rzeczy samej, kiczowaty wystrój realizował to zamierzenie w stu procentach. Ponad barem wisiał włączony telewizor. Leciał w nim powtarzany reportaż sprzed kilku godzin. Podniecony dziennikarz opisywał dziwne zdarzenie, które miało mieć miejsce nieopodal ukraińskiego konsulatu. Narzekał, że policja blokuje dostęp do miejsca i nie chce niczego komentować. Słychać było głos jakiejś starszej pani opowiadającej o najeździe policji na spokojną ulicę, w jej mniemaniu „jakieś terrorysty się postrzelały”. Wylichtewicz nie zdołał dowiedzieć się niczego więcej, choć satysfakcjonowało go, że nie usłyszał własnego rysopisu ani nie zobaczył listu gończego. Jeszcze nie.

Od strony wejścia na salę coś zaszurało. Siergiej wiedział, że to barman lub właściciel. Nabrał powietrza do płuc i wkroczył do pomieszczenia. Nie miał na co czekać. Postanowił się ujawnić.

Podszedł ostrożnie do kontuaru i czekał. Serce mu łomotało, a pod czaszką krążyło zaś pytanie, czy aby nie robi największego głupstwa w życiu.

Długowłosey w koszuli dźwigał jakąś skrzynkę. Nie spostrzegł Siergieja od razu. Dopiero po kilku krokach stanął jak wryty i zmarszczył brwi, odkładając ciężar.

– Już zamknięte – powiedział zdenerwowany. Chyba sądził, że przegapił któregoś z ochlapusów. – Proszę wyjść.

– Szalom – wydukał Wylichtewicz.

– Zamykamy, rozumie pan... – Długowłosey mówił po polsku, coraz bardziej wzburzony, ale dyskretnie rozważał możliwość ataku. Przynajmniej Wylichtewicz tak interpretował ruchy jego oczu.

– Romek! Mamy złodzieja! – krzyknął do współpracownika.

Drzwi od zaplecza rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich młodzieniec, z tatuażami na przedramionach i szyi. Chudy, przygarbiony, o wylupiastych oczach, ze strachem gapił się to na intruza, to na szefa. Bał się, że zaraz i jemu się dostanie za wpuszczenie bandyty.

– Dzwon na policję... Szybko – rozkazał właściciel i podszedł bliżej. Romek, dobrze wytrenowany przez chlebodawcę, zniknął za rogiem.

– Wolałbym tego uniknąć. – Siergiej jako argument do poważnej dyskusji wyciągnął zza spodni na plecach swój pistolet. – Jestem Siergiej Wylichtewicz, pseudonim „Aman” – zaczął zwięzłą i szybką prezentację. Stawiał wszystko na jedną kartę. – Jestem oficerem dziesiątego oddziału specjalnego Wywiadu Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy. – Patrzył głęboko w oczy barmana. Mówił krótkimi zdaniami, opisując zdarzenia ostatnich miesięcy, potem sprawnie przeszedł do nieszczęść z poprzedniej nocy. Wskazał na telewizor, który miał potwierdzić jego opowieść. Właściciel stał jak wryty, nie uciekał spojrzeniem. Siergiej dostrzegał rosnące zainteresowanie. – Tak więc szukają mnie a ja, mówiąc wprost, nie mam dokąd iść. Nie ufam... Po prostu nie ufam. – Oficer przechodził do najistotniejszych dla barmana kwestii. – Musiałem coś wymyślić. Mam ksywę „Aman”. Dali mi ją oficerowie i koledzy z sekcji. Szkoliłem się w Izraelu. Tak, jestem ukraińskim Żydem. Pochodzę z okolic Krzywego Rogu. Pewnie i z tego powodu, a nie tylko ze względu na umiejętności, wysłano mnie na pustynię Negew. Mnie i kilku kolegów szkolił major Manehor ze Sayeret Matkal^[5]. Zapewne nazywał się inaczej, to zrozumiałe. Był w pańskim wieku. Wysportowany. Jak to mówią, żywe srebro. Pomocny i sympatyczny. Pracowałem z nim w 2019 roku. Nauczył nas wiele. Moja jednostka specjalizuje się w przenikaniu w ubiorze cywilnym na teren wroga. Do miast, zakładów czy portów. Tak więc... jak pan widzi, przeniknąłem. Numer kursu – rozejrzał się po spelunie – 345611. Dobrych macie oficerów, specjalistów. Pan major ewidentnie próbował mnie werbować. Podpytywał o życie na Ukrainie, czy nie chciałbym do ojczyzny przodków. Byłem dobry albo po prostu gadacie tak z każdym Żydem. Major pokazał mi i kolegom kraj. Zabierał w różne miejsca, między innymi do podobnych spelun. Były też lepsze lokale, ale takie – powiódł łufą po pękającym suficie – miały mieć specyficzny urok. Były tam pewnie podsłuchy, a na pewno ludzie tacy jak pan. Niby niepozorni, ale zwracający uwagę na detale. Podświadomie ciągle czujni. Manehor wspominał, że lubi

odwiedzać podobne przybytki. Przypomniałem to sobie dzisiaj. Widząc pana ciekawość, mam wrażenie, że trafiłem w dziesiątkę. – Od zaplecza rozległy się kroki Romka.

– Posłuchaj człowieku, jesteś wariatem. – Właściciel zaczął spokojnie i podniósł czapkę. – Jakie podsłuchy, jaki major. Jestem Polakiem...

– Policja powiadomiona, boss. – Romek znów stał w drzwiach, bardzo z siebie zadowolony.

– OK, to sobie pogadają. – Barman przygryzł wargę. – Ty wiesz, to świr. – Wymownie spojrzął na broń Siergieja, ostrzegając współpracownika. – Ale będzie grzeczny. Nic nam nie robi. Prawda?

Wylichtewicz nie zamierzał urządzać strzelaniny. Czekał cierpliwie, bacząc na właściciela.

Mężczyzna zrobił krok, kiedy w kieszeni zadzwonił mu telefon. Oczy długowłosego zrobiły się większe. Siergiej z trudem powstrzymał uśmiech. Miał rację.

Barman odebrał i słuchał w milczeniu. Schował telefon.

– Odwołaj gliny – burknął nieprzyjemnie na Romka.

– Co?! – Młody rozłożył dłonie.

– Powiedz, że to już nieaktualne. Pijaczek się awanturował, ale uciekł. No już, bo zaraz tu będą! Rusz się! – popędził młodzieńca, a sam przymknął drzwi wejściowe. Westchnął i spojrzął na przybysza. – Schowaj to. Ja z nimi pogadam, gdyby przyjechali. Ty pójdziesz na górę. W głębi korytarza za kotarą są schody. Poczekasz w mieszkaniu. Spokojnie! – Pogroził palcem.

Wylichtewicz spełnił prośbę i wsunął pistolet za gumkę spodni. Nie zamierzał odpuszczać. Na razie okazało się, że miał rację. Nie wiedział za to, czy czeka go kara czy nagroda.

*

– Zniknął, zniknął? To nie David Copperfield! – Konrad Wigler burczał do telefonu. Raz po raz pocierał czoło i zerkał na mijane ulice Krakowa.

Dostrzegł jakiś skwer między nowymi budynkami, o co nie było łatwo w zabudowanym ciasno mieście. Wskazał miejsce i trzy samochody zatrzymały się, nie gasząc silników. – Z Bożenką w porządku? Już doszła do siebie? Bogu dzięki. Muszę o tym powiedzieć górze. To wyszkolony skurwiel. Wezmę to na siebie. Jak coś będziecie mieli, dawajcie sygnał. I przyjmiecie chłopaków, jak się pojawią. Bez odbioru! Kurwa mać – syknął i wyszedł z wozu. Ciągle było nieprzyjemnie duszno. Konradowi wydało się, że zbiera się na burzę. W każdym razie miał taką nadzieję, bo nie potrafił znieść upału i braku wytchnienia.

– Co się dzieje? – Bartusz wyskoczył ze służbowej skody, przeczuwając, że coś nie idzie po myśli wodza. Miał dość i chętnie poszedłby spać. Wigler zacisnął usta i powiedział:

– Zwiął nam. Urwał się....

– Kto? – zapytała Patrycja Ross.

– Lajewski, ukraiński pułkownik – odpowiedział rozzłoszczony Konrad. Odszedł kilka metrów, trzymając się pod boki.

– Ale jak? – Bartusz nie rozumiał.

– To zawodowiec, zerwał się. Wiedział jak.

– No to jest ich dwóch...– wciąła się Ross. – Deweloper Dekkańczyk też zapadł się pod ziemię. Jego dupa mówi, że wyjechał w interesach, ale nie umie powiedzieć dokąd. Podobno się śpieszył. Nie zabrał telefonu...

– Nie zabrał telefonu... – Konrad obrócił się na pięcie i przez zmrużone oczy popatrzył na panią komisarz. – Więc jest umoczony w to wszystko. Ale czemu, czemu do cholery?! – Zaczął nerwowo drapać się po głowie. – Pierdolone popisy pod publikę. Bez pokazówki w szpitalu nic by nie zaszło! „Aman” przeżył i to jest jego grzech.

– I teraz szukamy już trzech osób. Czy nie tak? – Hubert Pawlicki wychylił się z crossovera. Wysiadł i przeciągnął się tak, że aż trzasnęły mu kości. – Wszyscy tu u was strasznie zaferowani. Młody goguś od budowlanki. Teraz ukraiński pułkownik... – Podeszedł do bagażnika, otworzył go i sięgnął po plecak. Wyciągnął z niego niewielką saszetkę

i wyjął coś przypominającego opakowanie leków. – Chyba już czas. – Popatrzył na Konrada, czekając na pozwolenie. Dowódca skinął głową. Hubi wydał po jednej małej tabletkie stojącym obok. – Witaminki... Na lepszy porost włosów.

– A to aby legalne? – Ross patrzyła na niepozorną pigułkę.

– Proszę zażyć... – „Gandi” połknął i popił wodą. – Tak, tu u nas, szanowna pani... wszystko jest legalne.

Hubert też zażył „wzmacniacz”.

– Nie zaszkodzi, nie uzależni od jednego lub kilku... A kawy nie potrzeba.

– No dobra, ale co dalej? – Marek skrzywił się, jakby pastylka miała smak cytryny.

– Lajewski się wkurwił na Siergieja. Dlatego chciał sam go złapać i spierdolił nam zasadzkę. Teraz... – Jego umysł zaczął naraz produkować kolejne scenariusze, coraz bardziej fantastyczne, ale wewnętrznie spójne. – Dekkańczyk. Lajewski. Gdyby pogrzebać w przeszłości, może się okazać że tatusiowie obu panów poznali się na jednym kursie w sowietach. Coś mi mówi, że to ma przełożenie.

– Śmiała teza... – Panna Ross ośmieliła się zgłosić wątpliwość. – Może ten cały pułkownik ma większe plecy u swoich i ściągnął jakieś wsparcie?

– Pani Patrycjo... – Znów miał na ustach ten lekko dwuznaczny uśmiezek. – Gdyby spróbował, już bym o tym wiedział.

– Musimy czekać na jakieś zgłoszenie. Na błąd Siergieja – uznał Pawlicki.

– Nie mamy nic. Żadnego namiaru... On zresztą też nie ma nic. Chyba że zwinął trochę pieniędzy. Jest potrafi unikać pogoni. Dobry z niego oficer. Szkolony w Izraelu podobno...

– No to trochę nam zejdzie. – Komisarz Marek Bartusz tracił nadzieję. – Potrzeba będzie więcej tych pigułek. Cholera, działają! – Wyprężył mięśnie, pokazując, że siły wracają.

– Działają, zawsze działają – potwierdził Hubi. – Tak, poszwendamy się u was, co?

– Ogłosić tego nie możemy – ocenił Wigler. – Media coś tam próbowały, ale zablokowano. Sieć też długo nie pokaże filmów z interwencji. I jeszcze ten Lajewski, skurwysyn... – Nie rozumiał, gdzie i jak mógł popełnić błąd i nie dostrzec zapowiedzi kłopotów z Ukraińcem. Nie zdradził się przecież niczym. Miał być doradcą. Nie znał tu nikogo. W pojedynkę nie wpadłby na żaden trop. Więc jednak był gdzieś umocowany. Jego przełożeni dali mu wolną rękę albo... Było gorzej, niż Konrad chciałby sobie wyobrazić. – Uszy i oczy otwarte. Każde poważniejsze zdarzenie zgłoszone policji bierzemy pod lupę – oznajmił zespołowi. – Pilnujemy dworca PKS. Ale po cichu, bez szaleństw. – Bał się, że im dłużej będzie ganiać po mieście, tym bardziej legenda o panach z ABW zacznie blednąć i ktoś zada niewłaściwe pytanie. Zresztą, cała ich seria miała na niego spaść z samej góry. – Chwila przerwy. Zjemy coś.

Wstukał coś w telefonie i zaraz pokazał niepozorny fragment mapy z lokalem opisanym jako kebab. Adres musiał być bezpieczny albo przynajmniej neutralny, skoro Konrad go zaproponował. Lubił sprawdzać detale.

– Muszę zameldować, że brakuje mi teraz już drugiego Ukraińca.

*

Mychajło Lajewski czekał pod drzewem, daleko od kręgu światła rzucanego przez latarnię na opustoszałej, chyba niezamieszkałej ulicy. Dzielnica była zapełniona dość rzadką, niską zabudową. Przeważały ceglane domki, jakieś zakłady. Widać było też parę drewnianych zabytków, chyba zapomnianych przez ludzi. Rosło tam dużo drzew. Chodniki były krzywe i przecinały się ze ścieżkami. Na poboczach, tam gdzie nie było domów, wyrastały bujne kępy krzaków i samosiejek. Było słychać auta na II obwodnicy Krakowa, ale ten skrawek miasta był zupełnie dziki, jakby ukryty przed ludźmi. Lajewski rozumiał dlaczego. Jadąc tu, widział jakąś niewielką jednostkę wojskową i skromny magazyn. Takie obiekty nie

powinny rzucać się w oczy. Budynek stał na uboczu, ale i tak drażnił Ukraińca. Ten bał się patroli, które na pewno się tu zapuszczały, dozorując to pozorne pustkowie.

Jemu samemu udało się dotrzeć do celu piechotą, nie ściągając niczyjej uwagi, choć przy dzisiejszej technice nic nie było pewne. Już samo zeznanie taksówkarza mogłoby być problemem, ale Lajewski miał pomysł, jak to rozegrać. Nie mógł uciszyć kierowcy, nie zamierzał zapędzić się tak daleko. I tak przecież zaryzykował.

Nie było nikogo prócz pułkownika. Szum miasta był daleki i coraz cichszy. Czasem przez korony drzew dolatywały strzępy muzyki z sąsiadujących dzielnic.

Mychajło obszedł ciemne terenowe auto, wciśnięte w zarośla, między pnie. Zachodził w głowę, jak to się stało, że jeszcze nikt nie zainteresował się porzuconym autem. „Może to naprawdę pustynia?” – pomyślał. Musiało być bezpiecznie. „Aman” był bystrym oficerem i umiał znajdować takie miejsca.

– Jesteś krok przede mną – szepnął pułkownik. Sięgnął do kieszeni spodni po zapalniczkę. Otworzył stalowe wieczko i zapalił. Potrzebował nikotyny, ale wiedział, że ryzykuje, pokazując ogień. Schował przedmiocik i pozostał w ukryciu.

Od obwodnicy doszedł go odgłos jadącego wolno samochodu. Opony sunęły po drobnych kamieniach, walających się po asfalcie. Zadzwoił telefon Mychajła. Westchnął, widząc numer na ekranie. Zrozumiał, że jednak mógł spokojnie zapalić. Ci faceci nie byli zbyt bystrzy. Nie rozpoznali miejsca, po prostu do niego zadzwonili. Odebrał.

– Tak? Czekam... Chyba was słyszę. Prosto potem w lewo. Znów prosto i w prawo. Wyjdę wam na spotkanie – zarządził i rozłączył się.

Kilka minut potem na końcu alejki spostrzegł światła. Wóz toczył się nieśpiesznie. Przybysze szukali usilnie swojego kontaktu, ale nie potrafili go wypatrzyć. Nawet minęli Ukraińca. Wtedy postanowił się ujawnić.

Samochód, czarne kombi, choć powolny, prawie stanął dęba. Szofer i pasażer wybałuszali oczy, nie dowierzając chyba, że byli tak blisko

i niczego nie spostrzegli.

– Boże, ale się wystraszyłem... – odezwał się młody siłacz, kiedy tylko otworzył okno. – Uprzedzam, ja cienko z rosyjskim, ukraiński w ogóle...

– Wiem, wiem. Można mówić po polsku – uspokoił go Mychajło. – Powitać drużynę pierścienia – dodał zaraz, choć tamci nie wyłapali literackiego nawiązania.

Trzeci z pasażerów wysiadł z tyłu. Był wysoki, ciemnowłosy, ubrany w dres. Drogi. Z tych, które służą do szpanowania, a nie do uprawiania sportu. Facet wydawał się po prostu lalusiowaty. Lajewski zaraz spostrzegł, że jest roztrzęsiony.

– Pan? Miło mi...

– Dekkańczyk jestem. Łukasz Dekkańczyk. – Dres podał dłoń.

– Semen Petrula. – Lajewski odpowiedział z całą powagą, choć w środku gotował się ze śmiechu. Wybrał pierwsze z brzegu historyczne nazwisko, jakie przyszło mu do głowy, a ten fircyk nawet się nie zorientował.

– Bardzo mi miło, panie Petrula – odparł Polak.

Mychajło popatrzył na obstawę. Żaden ani drgnął. Posiadali wiedzę równie nikłą jak ich szef. Pewnie każdy chwalił się swoim nazwiskiem, nie rozumiejąc, jak poważna to gra.

– No dobrze, przedstawiliśmy się sobie. Trzeba się poznać, a nie mamy za wiele czasu. – Mężczyźni stojący przed nim nie wyglądali na wdzięcznych, raczej na zaskoczonych. Przynajmniej widać było lekki strach i podziw dla gościa. „Co im o mnie naopowiadali?” – zastanawiał się Ukraińiec. – No dobrze... Macie dla mnie telefon?

– Telefon? – zmieszał się Łukasz, jakby wyrwany z zamyślenia. – A tak, według polecenia. – Sięgnął do auta i podał smartfona. – Zarejestrowany na lipny dowód, to znaczy na słupa...

– OK, nieważne – uciszył go Lajewski. Był zmęczony i nie miał ochoty słuchać o popisach w kwestiach tak prostych. Włączył ekran, potem Internet i zaczął ściągać aplikację z sobie znanym tylko komunikatorem.

Stary telefon cisnął na ziemię i uderzył weń piętą kilka razy. Podniósł i cisnął daleko w zarośla.

– To jedno z głowy. Teraz mnie nie znajdują, ale ostatni namiar sygnału już pewnie mają – objaśniał, gdyż trójka Polaków wyglądała naprawdę tępo i coraz bardziej niepewnie. – Nasz przyjemniaczek zostawił tu wózek... – Pułkownik wskazał kciukiem za siebie.

– Skąd pan wiedział?

– Wiedziałem, i już... Więc albo coś ukradł albo lezie na piechotę. Macie plan miasta? – zapytał. Kierowca wyciągnął arkusz ze schowka i podał zleceniodawcy. Mychajło rozłożył mapę na masce i długo ją studiował.

– Taaaak... Cholernie duże to miasto. Będzie ciężko go odszukać. I mamy mało czasu. – Teraz i on zdradzał niepokój. – Gdybyście nie spierdolili wczoraj...

– O, proszę pana... – Dekkańczyk stał się buńczuczny, acz wciąż udawał uprzejmość, jak niesprawiedliwie skarcony uczeń. – Informacja przyszła bardzo późno. Zebrałem kogo się dało. Niektórzy byli po służbie w jednostkach AT, a nawet wojsku. Mieliśmy nawet weterana z Syrii

– Chyba kozy pasał – sapnął Mychajło i pokręcił głową, patrząc z politowaniem na blazna, którego miał przed sobą. – I może wojskowi? I pewno jeszcze uwierzyliście, że komandosi.

Dekkańczyk przełknął ślinę, ale nie odpowiedział. Pułkownik wiedział, że smarkacz dał się nabrać i ograć. On sam mógłby być wtyką polskich służb, a ci nie zorientowaliby się. „Z kim przyszło mi pracować” – żalił się bezgłośnie. Człowiek, który ich kontaktował, musiał to wiedzieć, bo nie zaproponował ani hasła ani jakiegoś umówionego znaku. Wiedział, że to się nie sprawdzi.

– Nieważne. Znalazłem wóz, wiem mniej więcej, gdzie będzie szukał pomocy. To teoria, ale innej nie mam. Może zrobi to grzecznie, a może brutalnie. – Ostatnie słowo nie przypadło do gustu słuchaczom.

– Mamy dostać wsparcie – oświadczył Dekkańczyk, przejęty i tajemniczy.
– Kontakt zarządził. Już jadą. Są niedaleko od Krakowa. Druga grupa

jedzie z zachodu.

– Może więcej szczegółów? – Lajewski przechylił głowę.

– Mają dzwonić. Hasło: Kabul, odzew: Kandahar.

– Ale to wysublimowane – westchnął Ukrainiec, ale znów nikt nie zrozumiał. „Boją się o mnie i dbają” – pomyślał z niejakim zadowoleniem i ulgą. Otrzymał należne wsparcie w chwili kryzysu. Lepsze niż ta banda pseudo-komandosów. – Głupio tak czekać bezczynnie... – Mychajło przysiadł na masce auta. Poczł przyplływ zmęczenia. – Załatwicie mi, jak to mówicie, kłamkę.

– Tak, oczywiście. – Jeden z ludzi Dekanczyka wyciągnął zza spodni Glocka i dodał zapasowy magazynek. – Do tego tłumik. Amunicji mamy spory zapas.

Lajewski wydał usta z wyrazem podziwu.

– Auta, mam nadzieję, też umiecie zamaskować w miejskiej dżungli. Pewnie już chodzą za numerami powiązanyimi z firmą...

Łukasz Dekanczyk złapał się pod boki i pierwszy raz wydał się bardzo pewny siebie, ale i inteligentniejszy niż przed momentem.

– Panie Petruła, wiemy, jak mamy działać. To nasze miasto. Mamy kilku dobrych nauczycieli. Ojciec służył w wojskowym wywiadzie. Potrafił poukładać wszystko jak należy. Może nie jesteśmy obyci jak pan, ale jednak udało się chłopakom zrobić podejście pod szpital. Czyż nie?

Mychajło przyglądnał się reszcie. Czekali na choćby drobną pochwałę. Mieli dla niego pracować, ale jednocześnie był od nich zależny.

– Tak, to prawda. Macie talent. – Zdobył się na komplement, choć kłamał. Byli amatorami, których kupiono, ale nie przeszkolono dostatecznie.

– Skoro się rozumiemy i będziemy pracować wspólnie... – kontynuował Dekanczyk, zadowolony z uznania jego partnerskiego statusu – ...mała niespodzianka. Może to pomoże? – Pstryknął palcami i z podłogi wozu podniesiono kwadratowy płaski przedmiot. Wyglądał jak CB-radio. Zamiast mikrofonu dołączone były dwie słuchawki.

– Skaner. – Mychajło rozpoznał urządzenie. Zaimponowali mu. Złapał dwa kable i wcisnął słuchawkę do ucha.

– Policyjna częstotliwość – wyjaśnił Łukasz. – Niestety głównie wozy patrolowe. Łączność z posterunkami i dyżurnymi. Wojsko i słuchanie fiszy odpada. Za dobrze kodowane. Ale to... Drogo kosztowało. Mamy takiego dziadka, co dorabia do emerytury. Jakiś spec od radiostacji z wojska. Cwany dziadyga...

Lajewskiego nie interesowały opowieści o proveniencji sprzętu. Wsłuchiwał się za to w gąszcz rozmów miejscowej policji, w której widział jedyny sposób na zbliżenie się do „Amana”.

– Jedziemy! – rozkazał, przerywając opowiadki młodego. – Za długo tu tkwimy. Zaraz pewnie nadjedzie radiowóz. Auto waszych kumpli jest ostrzelane. – Wskazał kciukiem na cherokee. – Mam nadzieję, że tamtego spod konsulatu też się pozbyliście. – Zabrał skaner fal radiowych, jakby ten był już jego własnością. – Weźmiecie drugi wóz. Za wielu nas na jedną gablotę. Znajdźcie jakiś odludny, ale nie pusty parking. Musimy poczekać... – Zaczął pakować się na tylne siedzenie, kiedy coś w eterze przykuło jego uwagę. Zmrużył oczy i podniósł palec na znak, by nikt się nie odzywał. Zaczął przy tym ostrożnie manipulować pokrętle, chcąc dopasować się do odpowiedniej fali odbioru. Rozmów było dużo. Funkcjonariusze mówili półsłówkami, zmęczeni nocną służbą. Namiary nakładały się na siebie i zniekształcały. Mychajło z cierpliwym uporem jednak gonił strzęp informacji, który która przebiła się przez jazgot.

– Mam! – Uśmiechnął się i podniósł oczy na Łukasza. – Kazimierz... to niedaleko. – Wyciągnął głowę w kierunku, z którego dochodziły dalekie dźwięki muzyki. – Żydowska dzielnica?

– No tak, kiedyś tak. Ale teraz to bardziej imprezownia...

– Jedziemy. Zbierz chłopaków, ale bez ostentacji. – Lajewski przeistoczył się w surowego, rasowego oficera, niespodziewającego się dyskusji. – Okolice Placu Nowego. Nowa i Józefa. Policja nie może się zdecydować. Było zgłoszenie o napadzie, włamaniu na lokal.

Trzech facetów popatrzyło po sobie, chyba rozumiejąc, że przyjdzie im stoczyć jeszcze jeden bój z naprawdę niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Zaraz... – Mychajło podniósł rękę. Uśmiechnął się dziwnie. Oczy zapłonęły mu pewnością. – Odwołują zgłoszenie! No co się gapicie? – Zerwał słuchawkę. – Jedziemy! Znajdźmy skurwysyna, a nie zbiedniejecie. Obiecuję! – Podniósł dwa palce jak do przysięgi. Mówił do tępych oprychów, bo oni szli tu dla pieniędzy. Dekkańczyk był krezusem, dla niego trzeba było innej metody motywacji. – To co, panie Łukaszu? Nie chcesz pokazać, kto ma jaja i naprawdę rządzi miastem?

Prostackie teksty docierały najlepiej do takich typów jak Dekkańczyk. Młody przystojniaczek rozpromienił się, dumny z uznania kogoś ważniejszego i bardziej doświadczonego niż on. Widać było po spojrzeniu, że uciekł gdzieś w marzenia, w których widział siebie jako tego, który robi porządki i równa się z najsilniejszymi. Staje się partnerem, a nie lokajem tych, którzy przedtem tylko płacili i rozkazywali.

– Ruszamy! – zakrzyknął i, nie czekając dłużej, wsiadł do auta. Mychajło umeścił się na tylnej kanapie, zamknął drzwi i znów zaczął słuchać policyjnych radiostacji.

*

Anna Linberg, zwana Quadirą, stała przy samochodzie, nie oddalając się o krok. W lesie noc wydawała się jeszcze ciemniejsza. Mimo to kobieta usiłowała dostrzec cokolwiek za ścianą pni. Powietrze było ciepłe, ale Anna czuła chłód. Im dłużej czekała na jakiś znak, tym bardziej zaczynała wątpić. Ponury las dawał wyobraźni pożywkę do tworzenia najokropniejszych wizji.

W ciemności, która ją otaczała, mógł kryć się strzelec, który miał ją zlikwidować. Cała ta przygoda mogła być prowokacją, a ona czekała na jej finał i koniec kariery. Minęło dziesięć, piętnaście minut. Zdecydowanie za długo, ale nie popełniła błędu, nie ponagliła człowieka z którym miała się zobaczyć. Wiedziała, że musi się opanować.

Wytrwałość najwyraźniej popłacała. Od zachodu, ledwo widoczną przesieką przytoczył się samochód. Włączył światła dopiero w ostatniej chwili. Mignęły dwa razy. Wóz, którego marki Anna nie potrafiła odgadnąć, stanął w bezpiecznej odległości. Reflektory zgasły i teraz było jeszcze mroczniej. Z auta wysiadł wysoki mężczyzna.

– Pogoda godna lata. Rok temu smuciły nas ulewy – powitał ją przybysz, deklamując umówione hasło.

– Wolę deszcz niż upały – Linberg odparła bez wahania. Znała niski, nieco chrypliwy głos człowieka, który stał naprzeciwko. Mężczyzna, znany jako „Wirtuoz”, górował nad nią. Wydawał się silny mimo swych sześćdziesięciu lat. Przypominał jej pierwszego i najważniejszego oficera prowadzącego, dowódcę i nauczyciela, który wprowadził ją w ekscytujący i niebezpieczny świat Wielkiej Gry. „Wirtuoza” od Konstantina Rabsteina różniła tylko wciąż czarna czupryna. Anna uważała, że musiał ją farbować, a może nawet przeszczepić włosy. Wzięłaby to za objaw zniewieścienia i samouwielbienia, gdyby chodziło o kogoś zwyczajnego. Ale „Wirtuoz” był oficerem działającym pod legendą. Był nielegalnym odgrywającym rolę rzutkiego biznesmena. Ktoś taki mógł, a nawet powinien dbać o swój wygląd. Był to element roli.

– Dobry wieczór – powiedziała spokojniejszym głosem Anna, ale słysząc było, jak jest przejęta.

– Powitać. – „Wirtuoz” zrobił gest, jakby wymachiwał kapeluszem. – Wybacz tę porę, to miejsce... Taką piękność jak ty powinienem przyjmować w pięciogwiazdkowej restauracji, a nie w tej głuszy. Rozumiesz jednak, że jeżeli wzywam cię na spotkanie, i to tutaj, to musi być... ciekawie.

Linberg milczała. Była silna, czego dowiodła, wychodząc spod kaźni urządzonej przez jej nadzorców w Afganistanie. Potrafiła przekuć klęskę w zwycięstwo i nie została wykryta jako szpieg. Tej nocy czuła się jednak jak młoda dziewczyna, onieśmielona znów przed starszego mentora. „Wirtuoza” widziała tylko dwa razy. Pierwszy, kiedy przedstawił go jej Kostia. Drugi raz spotkali się jesienią poprzedniego roku, omawiając strategiczne cele dla działalności, jaką prowadziła Anna. Biznesmen miał

rację. Trzecie, niespodziewane spotkanie oznaczało, że sytuacja jest poważna.

– Co się stało? – Linberg zapytała wprost, nie mogąc znieść niepewności. Przywykłe do ciemności oczy spostrzegły, że „Wirtuoz” przybrał posępną, zaciętą minę.

– Doszło do pewnego incydentu na południu kraju. Twój zespół, jak ustaliliśmy, już jedzie na miejsce. Chcę, żebyś tego dopilnowała.

– Słucham? – zapytała odruchowo Anna. Usłyszała i zrozumiała, ale wystraszyła się. – Mam wyjść z cienia? Właściwie po co? Gdzie? Za dobrze mi idzie. Może węższą koło mnie, ale nic, absolutnie nic nie mają, więc po co to psuć?

– Posłuchaj... – „Wirtuoz” wyprostował się i stanął niemal w postawie zasadniczej – ...to polecenie. Nie ma przebaczenia. Muszę, musimy zrobić, co się da, żeby przeciwdziałać zagrożeniu. Jeżeli zadziałamy szybko, jest szansa.

– Jakiemu, kurwa, zagrożeniu? – Anna najeżyła się. Wulgaryzmy nie pasowały do jej urody. „Wirtuoz” pokręcił głową z niesmakiem.

– Zgłoszono mi możliwość wykrycia kogoś. To wpłynie na operacje o wiele większe niż to, co robimy tutaj. Nasz człowiek potrzebuje wsparcia. Jest bardzo zdolny, dobrze wyszkolony, ale teraz znajduje się w niebezpieczeństwie. Wojna przygasa, jak wiesz, i zapewne skończy się albo dojdzie do przetasowań. Politycznych, kadrowych i tak dalej. – Wyraźnie nie bawiła go ta wizja. Bał się i nie krył tego. Odruchowo włożył dłonie do kieszeni, zaraz je wyjął i przygładził włosy. – Po stratach, jakie mamy, są problemy z personelem. Każdy jest na wagę złota. Kiedy zacznie się przepychanka tam wysoko, musimy mieć jakieś atuty. Żeby nowi nie wywalili nas na śmietnik. – Podszedł bliżej i delikatnie położył ręce na ramionach dziewczyny. Patrzył w jej okrągłe, pełne niepokoju oczy. – Jest trudno działać pod legendą. Mamy braki. Sama wiesz, jak wiele musisz pracować. Wróg się nauczył i pilnuje tajemnic oraz ludzi. Nie mam nikogo lepszego do tego zadania. Przyjmij je jako dowód mego wielkiego zaufania. – Próbował pochlebstwa, ale wiedział, że Quadira nie była głupia.

– Rozumiem... – odpowiedziała szeptem. Zakręciło się jej w głowie. Za wiele spadło na nią naraz. – Nie mam wytłumaczenia, nie mam sprzętu ani legendy.

– Wymyślisz coś... – Mężczyzna puścił ją, a resztki przyjaznej atmosfery znikły. Wydał polecenie i to było najważniejsze. – Mam w aucie gotówkę, jakieś ubrania. Wybacz, muszę znać twoje rozmiary. Szybki wypad do Krakowa. Powiesz w fundacji, że się przepracowałaś. Kobiety tak mają. Muszą odpocząć. Dostaniesz jeszcze ludzi od kolegi pośła – dodał z niesmakiem.

– Nieźle... Co jeszcze? – Na Annę spadał kolejny cios.

– Nie bój się, to dobre chłopaki. Z tego samego kursu co twoja ekipa. Znają się. Ty rządzisz i nadzorujesz. Byłaś na wojnie, przeszłaś wzorowo unitarne szkolenie. Poradzisz sobie i nie dasz omotać głupkom... – Zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. – Gdyby nie wyszło... – to zdanie ewidentnie sprawiło mu największą trudności – zamkniesz sprawy. Jesteś inteligentnym, dobrym oficerem. – Mówił szczerze jak nigdy. – Będziesz wiedziała, od kogo zacząć. Kto powoduje problemy. Musisz zminimalizować straty...

– Kim mam się zająć? Kogo chronić albo zlikwidować. – Stan szoku u Anny przemijał. Linberg zaczynała już myśleć jak profesjonalista.

– Jeden z ostatnich starych agentów. Ma kilka godzin. Zagrożenie jest niedookreślone. Na razie poddano się panice, ale jeżeli go nie zlikwidujemy do rana, będzie ciężko. Coraz ciężiej. Dlatego ruszysz natychmiast. Ruch jest mały, w trzy godziny powinnaś być na miejscu. Może do tego czasu wszystko się wyjaśni. Nawet jeżeli tak, to masz dopilnować sprzątanania. – Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął zafoliowany telefon. – Do kontaktu z naszymi pomocnikami i nowym kolegą. Uważaj na nich. Mówię dla zasady, bo nie dasz wejść sobie na głowę. Jak zawsze masz unikać jakichkolwiek kontaktów z „domem”. Sprawy się komplikują. Doszło do strzelaniny, ale to nawet in plus. Zorganizuję medialną bijatykę. Poseł pomoże. – Uśmiechnął się i wtedy

zadzwoił jego telefon. Wyciągnął aparat i zaskoczony odczytał nadawcę połączenia.

– Co jest? – burknął. Słuchał i spojrzał na Annę. – Dobra. Załatw to. Zabierzesz rzeczy z mojego auta. Wyjedziesz przez las. Zrobisz duży łuk i wrócisz na trasę krakowską. Przy asfalcie... – pokazał palcem – ...ktoś się kręcił. Nie mogę ryzykować. – Podał jej dłoń jak solidny dowódca żegnający żołnierza przed najtrudniejszą misją. – Dasz radę. Jutro będzie po wszystkim.

*

Adam Thomal przystanął w krzakach, które drapały mu twarz i dłonie, odkąd zaczął swoje podchody. Właściwie nie wiedział, gdzie jest i jak daleko zaszedł. Usiłował określać kierunek po układzie gwiazd, ale nie miał zadatków na marynarza. Konary ponad nim dodatkowo utrudniały orientację. Nie próbował iść ścieżką, zakładając, że spotkanie, na które przyjechała Anna, jest ważne. A to oznaczało: dobrze obstawione. Zbyt często brał udział w takich „zabawach”, by się mylić.

Na szosie, tam gdzie usiłował ukryć wóz, co kilka chwil widział kontur ciemnego auta. Kimkolwiek byli kierowca i pasażerowie, wiedzieli, co robią. Tak jak wcześniej on, nie włączali świateł. Byli ostrożni. Szukali go. Thomal przypuszczał, że to tylko jeden element osłony. Zmotoryzowany odwód. Reszta zaś krążyła po zagajniku pieszo.

Miał przewagę. Zdołał wyskoczyć w las, nim domniemani prześladowcy się zbliżyli. Uważał, że miał jeszcze szanse podejść w pobliże miejsca spotkania. Nie bardzo jednak wiedział, co ma zrobić później. Nie miał pojęcia, ilu ludzi ma przeciwnik i jak jest wyposażony. Adam żałował, że nie posłuchał „Olka”. Jakiś „ptak” był w powietrzu, ale aparat nie mógłby wiele sprawdzić. W sumie on też nie. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, by zmontować większy zespół. Thomal był „frontmanem”, na którego spadł obowiązek zdobycia jakiegokolwiek informacji.

Podniósł oczy na zakryty płataniną gałęzi firmament. Wiele by dał, żeby mieć bezpośrednią łączność z „oczami na niebie”. Zgasił telefon, gdyż nie

chciał połyskiwać nim w ciemności i słuchać dzwonków połączenia od przełożonego. Był też prawie pewny, że tamci go namierzili. Później zaś zablokowali łączność i ktoś taki jak Adam Thomał zniknął z cyberprzestrzeni. Odsiecz powinna była ruszyć, ale nie miał tej pewności.

Były glina po środku lasu, stał się jedyną przeszkodą, świadkiem, którego należałoby unicestwić. W tej rozgrywce zasady nie obowiązywały, liczyło się bezpieczeństwo. Dlatego należało „strącić pionka”, wcześniej wycisnąwszy zeń wszystko, co tylko się dało.

W gęstwinie lasu rozległ się dźwięk zapuszczanego silnika. W ciszy nocy był doniosły. Wóz ruszał, ale w przeciwną stronę niż szosa, od której skradał się Adam. Teraz były śledczy zrozumiał, że jego cele uciekają, kończąc spotkanie. Więc został dostrzeżony.

Zaczął pracować drugi silnik. Ktoś jeszcze opuszczał teren. Thomał napiął mięśnie i usiłował się skupić. Został sam z pogonią na karku. Sięgnął po pistolet. Cicho przeładował. Nasłuchiwał, czy obstawa spotkania nie przestała się nim interesować.

Wyobraził sobie, że zaczaili się szerokim okręgiem, na podejściu do auta. Czekali cierpliwie. Sam by tak zrobił. Jego szansą była ucieczka w las, przedarcie się gdzieś do ludzi, jakiejś wsi, miasteczka i zawiadomienie policji oraz swoich. Wróg nie był głupi i na taką ewentualność pewnie się przygotował. Sieć się zaciskała. Adam mógł zrobić jeszcze coś. Niekonwencjonalny ruch zawsze krzyżował plany i wprowadzał zamieszanie.

Były glina wysunął się z zarośli, bardzo ostrożnie stawiając stopy. Bez żadnego zbędnego dźwięku. Wszystko wydawało się zwyczajne: kontur lasu na coraz bardziej czerniejącym niebie, szum wiatru i aut na drodze. Spokój był jednak złudzeniem.

Wypatrzył jakiś punkt w ciemności. Obrął azymut i ruszył, pochylony i ostrożny. Co chwila miał wrażenie, że wróg jest tuż obok, że zaraz na niego wylezie. „Było siedzieć cicho” – zrugął go jakiś wewnętrzny głos, ale Thomał maszerował dalej. Przeszedł tak kilkaset metrów, kiedy zatrzymał

go trzask. Nieznaczny, daleki, ale wyteżony w stresie słuch wyłapywał z odległości takie ostrzeżenia.

Ktoś szedł w jego kierunku. „Że wam się ciągle chce!” – pomyślał. Obydwie strony wiedziały, że ktoś się kryje w okolicy. „Naprawdę wam, chuj, tak zależy?” – zapytał w myślach.

Jakiś szum minął go z prawej, a potem rozległ się za nim. Thomał przywarł do pokrytej rosą ziemi. Trzymał ulubionego Glocka blisko twarzy, zaciskając mocno dłoń na rękojeści. Serce podchodziło mu do gardła, tłukąc coraz szybciej. Nastąpiła cisza. Uznał, że może ruszać.

Wyczołgał się, szorując brzuchem po ściółce. Pełził tak pewien, że go nie dostrzegli. Liczył, że za kilka chwil pomyśla, iż im uciekł.

Kiedy uznał, że jest swobodniejszy, podniósł się i zaczął truchtać zygzakiem w stronę drogi. Obchodził cel szerokim łukiem. Dysząc coraz bardziej, objając się o pnie i potykając, doczłapał do zadrzewionego wzgórzka.

Widział w ciemności na tyle dobrze, że mógł dostrzec skrawek ścieżki, która wychodziła na asfalt. Gdzieś tam majaczyła ciemna bryła auta. Chyba busa. Adam usiłował myśleć trzeźwo i krytycznie. Pobudzająca adrenalina walczyła ze zmęczeniem i strachem. Wyobrażał sobie, że auto, które widzi, blokuje drogę ucieczki i kryje zjazd do lasu przed postronnymi obserwatorami. Reszta przeciwników ciągle była między drzewami.

Jeżeli poruszali się busem, to mogło ich być nawet z dziewięciu. Przeraziła go ta liczba. Pocieszał się tym, że miał szansę, działając z zaskoczenia.

Nie spuszczał wzroku z celu. Widział martwą bryłę karoserii, która rosła z każdym krokiem. Podekscytowany umysł nie przestawał pracować i próbował oszacować, ilu ludzi jest w pobliżu.

Doszedł do skraju lasu. Nikt nie wydał dźwięku. Thomał poczuł się pewniej. Podeszedł pod bagażnik. W szybie dostrzegł krótki błysk niebieskiego światła. Ktoś był wewnątrz, ale złamał zasady. Spojrzał na telefon, a może śledził ruch ich drona. Adam podniósł się i szybko zajrzał.

Mógł dojrzeć tylko jedną postać. Facet siedział przy kierownicy. Adam wiedział, że ma niewiele czasu.

Podszedł pod drzwi, przylegając do karoserii. Zacisnął mocniej palce na pistolecie. Wziął trzy oddechy i chwycił za klamkę. Świat przyspieszył. Thomal chwycił za łokieć szofera. Szarpnął błyskawicznie. Tamten poleciał w bok, zaparł się jednak nogami pod deską rozdzielczą. Thomal zdzielił go w tym momencie nasadą broni w okolice karku. Kierowca stęknął, ale nie stracił przytomności. Adam poprawił cios, raz i drugi. Dopiero wtedy poskutkowało. Wyciągnął ciało na szosę. Ważyło dużo, sztywność nieprzytomnego nie ułatwiała zadania. Adam zastygł, czekając na atak z innego kierunku, ale ten nie nadszedł. Jeszcze nikt się nie zorientował.

Glina wpakował się do szoferki, coraz bardziej podniecony, że ma szansę. Wymacał kluczyk. Przekręcił, a silnik zaskoczył. Adam wrzucił bieg i wtedy usłyszał jakiś krzyk dobiegający z lasu.

– Zasadzka! – szepnął, spoglądając za siebie. Rozmazana plama wyszła ze ściany drzew. Thomal nie zamierzał czekać i upewniać się, z kim ma do czynienia. Ruszył, buksując kołami. Błysnęło za autem. Blacha wozu trzaskała, trafiana ołowiem. Adam pędził na zbyt niskim biegu, chowając głowę pod kierownicę. W dali za uciekinierem zaświeciły się reflektory. Mieli jednak drugi wóz. Gonili go. Thomal wygrzebał telefon. Włączał się potwornie długo. Tamci byli coraz bliżej. Wreszcie aparat zaskoczył. Thomal wybrał numer... Spojrzał na drogę i dopiero wtedy spostrzegł kawał powalonego pnia. Odskoczył, ale wóz niebezpiecznie przechylił się w lewo. Telefon spadł pod nogi, zsuwając się pod fotel. Kilka sekund straty wystarczyło, żeby tamci zmniejszyli dystans. Strzelali z wytłumionej broni. Kula zbiła tylną szybę i przeszła przez przednią.

Adam przestał się patyczkować. Wyciągnął ramię trzymającą broń i odgryzł się dwa razy. Huknęło tak, że zabolalo w uszach. Wystarczyło, żeby tamci nieco przystopowali, choć nie było szansy, by ich trafić w tym pędzie. Przed Adamem wyrosły światła wsi albo miasteczka. Przycisnął gaz i strzelił jeszcze raz. Walczące wywiady nie lubiły hałasu. Ludzie pędzący w pogoni nie mieli już wiele do stracenia. Nie zamierzali odpuszczać.

Dwa auta gnały, zarzynając silniki na krętych drogach mazowieckich wsi. Thomał strzelił jeszcze kilka razy, ale zrozumiał, że tylko bezsensownie marnuje amunicję. Telefon na podłodze zaczął dzwonić albo odbierać SMS-y i informacje o nieodebranych połączeniach z czasu, kiedy był nieaktywny. Adam myślał tylko, jak uciec, modląc się coraz mocniej o to, by odpuścili. Przecież uciekał, powinni byli zrozumieć, że może wzywać pomoc.

Chciał dotrzeć do większej osady, miasteczka, pod posterunek, gdyż tam tylko byłby bezpieczny. Wdusił pedał gazu prawie do podłogi. Kolejny zakręt w świetle latarni zbliżał się prędko. Ludzie z tyłu przypuścili najwściekleszy atak. Kilkanaście kul naraz spadło na busa. Pocięły blachy, tłukąc rykoszetami we wszystkie strony. Coś głośno puknęło i autem rzuciło. Samochód stracił sterowność. Thomał próbował bezskutecznie walczyć. Wróciło mgliste wspomnienie pierwszych pościgów z początków jego kariery w policji.

Teraz czuł się równie niepewnie. Chciał zapanować nad maszyną, ale tył wozu tańczył, w miarę jak kierownica skręcała koła, by tylko zachować kierunek jazdy. Dodatkowo kabinę wypełnił drażniący swąd. „Palę się” – zrozumiał, że trafili w zbiornik paliwa albo w jakieś ustrojstwo, które przewozili tamci.

Ukazał się jeszcze jeden wiraż. Adam już wiedział, że go nie pokona. Zredukował bieg. Nie zamierzał wciskać hamulca, bo to oznaczało samobójstwo. Nie zwolnił wystarczająco. Puścił kierownicę. Szarpnął pas i wpiął go w zatrzask – przedziwny objaw działania instynktu przetrwania. Za łukiem w krzewach dostrzegł tynkowany mur. Adam zaparł się i skulił. Jeszcze dostrzegł kontem oka błyskające niebieskie światła, ale nie wiedział, czy są za nim, czy przed nim. W ostatniej chwili wcisnął hamulec i sprzęgło. Busem zatrzęsło. Koła zapiszczały. Samochód podskoczył na kępie ziemi, przeleciał nad rowem i uderzył w mur. Zawisł tak na pół sekundy, po czym zsunął się w lewo, przewalając na burtę. Ogień rozlał się po tyle. Thomałowi wydawało się, że słyszy szum hamujących kół, brzęk ołowiu rwącego blachy. Potem wszystko zaczęło cichnąć.

*

Mieszkanie bardzo się różniło od wystroju baru i powierzchowności kamienicy. Usytuowane na piętrze, duże, jasne i wyposażone nowocześnie. Właściciel, odgrywający niedbającego o materialny status hipisa, tak naprawdę lubił wygodę.

Zamknął Siergieja Wylichtewicza w pokoju gościnnym. „Aman” został sam pośród nowych mebli i reprodukcji obrazów na ścianach. Siedział tak długo, czekając na rozwój wypadków, że poznał każdy element pomieszczenia. Najpierw podejrzewał, że jest obserwowany. Potem z nudów obmacał kilka ram i spód stolika przy rozkładanej kanapie. Pozostały mu lampy albo rozkręcanie kontaktów, ale na to nie miał ochoty ani siły.

Okna były zasłonięte roletami i zasłonami, chyba dla lepszego efektu. Ukraińiec przedarł się przez tę przeszkodę i wyjrzał na zewnątrz ostrożnie, trzymając się ściany. Miał widok na studniowe podwórza nieremontowanych od dawna domów. Uważał, że to dobra lokalizacja. Bezpieczna. Nie można było dostać się tu z ulicy, ale ucieczka stąd także byłaby trudna.

Ktoś zapukał. Siergiej wrócił na miejsce i przysunął bliżej plecak. Nie zabrali mu go. Ufali mu albo uważali, że poradzą sobie nawet z jego arsenałem.

Klucz w drzwiach trzasnął i do pokoju wszedł długowłosey. Trzymał tacę z kanapką, kubkiem kawy i colą.

– Przygotowałem coś na ząb. – Uśmiechnął się i odruchowo obrzucił pokój jednym szybkim spojrzeniem.

– Dziękuję!

Wylichtewicz od razu rzucił się na jedzenie, zapominając o opanowaniu. Długowłosey zamknął drzwi, podsunął krzesło spod ściany i usiadł, patrząc, jak gość pochłania kanapkę.

– Z policją załatwione – powiedział i uniósł palcem czapkę, której nie zdejmował nawet w domu. – I tak przyjechali. Muszą. Powiedziałem, że

jakiś pijaczek chciał piwa po zamknięciu i nam pogroził, a potem uciekł.

– Dziękuję. – Siergiej uklonił się z policzkami napchanymi jedzeniem. – Nie wróćą?

– Nie. Po co by mieli wracać? Tu jest Kraków. Lato. Pełno roboty z takimi menelami mają. Zsyłają ich tu chyba za karę albo na nauki...

– A twój pomocnik?

– Romek? Nic się nie martw. Jest porządku. Wciągnąłem go w biznes. Wie, ile musi, i nigdy mnie nie zawiódł. Sam dobieram sobie ludzi. A właśnie... Jestem Benjamin. Benek właściwie. – Wstał i podał uciekinierowi rękę. „Aman” wstał niezgrabnie, odkładając tacę i uściśnął prawicę gospodarza.

– Miło mi. Szkoda, że w takich okolicznościach. Masz fajną kwaterę! – Pokręcił głową i wykrzywił usta w uśmiechu. Atmosfera zrobiła się lżejsza. – Tutaj też macie mikrofony? Czy to strefa komfortu? – Nie byłby sobą, gdyby nie nadwątlił budowanego zaufania zasadniczym pytaniem.

– Słucham? – Czoło Benka pokryło się zmarszczkami. Był zaskoczony albo doskonale grał swoją rolę.

– Przedstawiłem, o co chodzi, i nagle zadzwonił twój telefon. – Ukrainiec wyluszczał swoje przemyślenia. – Ciekawa korelacja. W lokalu macie mikrofony. Nie sądziłem jednak, że działają tak późno w nocy. W tej spelunie mieszasz aż takich ważnych gości?

– Nie wiem, o czym mowa. – Właściciel nie okazał teraz żadnej emocji. – Jesteś padnięty. Musisz odpocząć.

Wylichtewicz chciał zaprzeczyć. Był gotowy wytrzymać jeszcze trochę, ale kiedy usłyszał kategoryczne stwierdzenie, osłabł. Bał się, że dodali coś do jedzenia, ale to po prostu nagły wzrost poziomu cukru we krwi przyprawił go o senność. Zaczął zsuwać się w bok, tuląc plecak jak poduszkę.

– Co... co dalej? – Ziewnął pełen niepokoju. Wojowniczy zapach ostygł i teraz pojawiały się wątpliwości.

Benek klepnął się w uda i założył ręce na piersi.

– Tu nie możesz zostać. To pewne. Policję wyprosiłem, ale sporo ryzykuję. Skoro ty tu dotarłeś, kierując się dedukcją i dobrą analizą, to inni wpadną na to samo. – Cała sytuacja ewidentnie mu nie odpowiadała. Został zaskoczony i ciągle obawiał się prowokacji. – Jest w miarę bezpiecznie. Lokal zamknąłem, nikt nie wejdzie. Ale jeżeli cię śledzili albo ktoś z miejscowych ma wobec nas jakieś podejrzenia...

– Nikt mnie nie śledził – przerwał mu Siergiej. Wiedział, co robi, i nie dawał sobie wmówić, że jest inaczej. – Dopilnowałem tego. Jak ci mówiłem, wóz porzuciłem. Pewnie go znaleźli, ale co było dalej, nie wiedzą.

– Znaleźli. – Benek wykrzywił usta, świdrując zakłopotanym spojrzeniem gościa. – Dlatego zostaniesz tu godzinę, może dwie. Moi pryncypałowie – wskazał palcem na sufit – kazali cię odstawić. Musisz opuścić miasto.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Teraz ci nie powiem. Potrzeba czasu. Szukają czegoś. To poza mną... – urwał i zazgrzytał zębami. – Posłuchaj... – Wstał i podsunął bliżej krzesło. – Oficer, którego nazwisko podałeś, to świetny gość. Właściwie to jego pseudo. To człowiek do werbowania takich jak ty... – Nie odrywał oczu od Siergieja. Ukraińiec nie czuł już zmęczenia i słuchał uważnie. – Jeżeli rozmawiał z tobą, poświęcił ci tyle czasu, to uznał, że jesteś dobry. Z twojej opowieści i obecności w moim mieszkaniu wynika, że to prawda. Można powiedzieć, jesteś nasz. Ukraiński Żyd. A ja jestem synem polskich Żydów, który usiłuje dokopać się do rodzinnych korzeni. Musimy się wspierać. Swój swojego, zawsze. Czyż nie?

– Teraz zaczniesz klepać banały o grożącym nam antysemityzmie? – mruknął znużony Wylichtewicz. Benek stracił rezon i oparł się w siedzisku, splatając palce dłoni na udach. – Mam rozumieć, że masz dla mnie propozycję nie do odrzucenia – dodał „Aman”. Był gotowy na taką rozmowę. Przynajmniej rozumiał, że musi się ona odbyć.

– OK, wolisz prosto. Możemy cię ochronić albo przechować i pośredniczyć, ale rozumiesz... Coś za coś.

– Rozumiem. Każdy umrze, ale ja nie chcę ginąć bez sensu. Jeżeli już tak ma się stać, to chętnie dowiedziałbym się za co.

Benjamin pokiwał głową ze zrozumieniem. Chyba pojmował położenie nieproszonego gościa.

– Będziesz pracował dla nas – powiedział z powagą. – Nie wiem, w jakiej formie, bo, jak to się mówi, rozwalili system. Szczegóły dogra ktoś inny, ale taką mam ci przekazać wiadomość.

– Za samo odbycie tej rozmowy przeczołgają mnie...

– Wiem. Dlatego w innej sytuacji powiedziałbym, że zrobiłeś głupotę. Ale najwyraźniej nie miałeś wyboru. W niezłe szambo wpadłeś – przyznał gospodarz. – Dlatego powtarzam, na razie chyba niczego nie chcą. Później ustalą sposoby kontaktu, o ile będziesz przydatny i nie wsadzą cię do pierdła na bardzo długo. Zresztą, twoja w tym głowa, żeby być potrzebnym. Jeżeli przeżyłeś dwa zamachy, to raczej jesteś dobry. Zajdziesz wysoko. Inwestujemy.

– Właśnie... – Siergiej skrył twarz w dłoniach. Szczęśliwego zakończenia już się nie spodziewał. Widział we wspomnieniu uśmiechniętą buzię Eli. Oczy zaszyły mu łzami, ale wytrzymał. Nie pękł. Kłuło go coś w boku. – Wybacz, rana jeszcze spod Kijowa. – Zaczął trzeć zębra. Zabrzmiał jak autentyczny kombatant.

– Potrzebujesz lekarza? – Benek wstał, gapiąc się w obolałego chłopaka. Jeszcze jedna komplikacja nie poprawiła mu humoru.

– Nie, nic mi nie będzie. Muszę tylko odpocząć. Wy załatwcie pośrednictwo. Spiszę wszystko, co wiem. Krok po kroku. Potrzebuję arbitrażu. Pójdę na wszystko – Siergiej godził się z losem. Miał ku temu najlepszą z motywacji: zemstę. – Kiedy się tym zajmiecie, chcę wiedzieć, czyja to wina. Czyj rozkaz. Moich, Polaków czy ruskich? Czemu, do diabła, wybrali mnie... – Wzburzenie wypaliło resztki energii. Naraz stał się senny. – Chcę odpocząć – szepnął niewyraźnie i osunął ciężką głowę na poduszkę obok. Nie puszczał plecaka, położył się na nim całym ciałem. – Chcę odpocząć. Chcę wiedzieć, kim są tamci... – szeptał coraz ciszej i ciszej, aż zasnął kamiennym snem.

ROZDZIAŁ 6

Było ich co najmniej dziesięciu, ale nie przykuwali uwagi, nawet tak blisko śródmieścia. Patrycja Ross siedziała z Markiem Bartuszem przy brudnym, drewnianym stole pod parasolem. Bawiła się kubkiem po drugiej już kawie i starała się wejść w rolę zwykłego przechodnia, może turystki-impresowiczki, która zabłąkała się tu, kawałek za Dworzec Główny. Uzmysłowała sobie, że trudno by było podejrzewać tych facetów o członkostwo w tajnym zespole szpiegów, czy komandosów. Wyglądali niepozornie. Nie hałasowali. Połowa miała oko na auta, natomiast dwójka operatorów pana Kochanowskiego pilnowała szefostwa. Robili to tak umiejętnie, że dosłownie zlatali się ze spelunką. Wyglądali jak robotnicy po zmianie albo odpoczywający taksówkarze.

– Dobrzy są, cholera. – Ross przygryzła wargę i bezwiednie się uśmiechnęła. Patrzyła na Kochanowskiego, który przechadzał się w kółko, z telefonem przy uchu. Co chwila kiwał głową, machał dłonią albo w nerwach kopał jakiś kamyk na trawniku za barem.

– Umów się z nim, jak ci się tak podoba – mruknął Bartusz, który patrzył w telefon, opierając brodę o butelkę coli.

– Nie mówię, że on mi się podoba, tylko że profesjonaliści z nich...

Marek podniósł wzrok, ale nie głowę.

– To czemu patrzysz tylko na starszego pana? Pani Ross się zakochała?

– Wiesz co? Odwal się! – Młoda policjantka zalała się rumieńcem i nie bardzo wiedziała, jak ma odeprzeć zarzut. – Mógłby być moim ojcem...

– Jesteś bystra dziolcha. Nie piernicz mi jak w telenoweli. Jeżeli ci się podoba... Zresztą co mi tam. Ja nie od romansów. – Obrócił się. – Góra piętnaście wiosen różnicy...

– E, pewnie ciut więcej – poprawiła go nieco zirytowana Patrycja. – I pewnie żonę ma. Taki to ma branie.

– To będziesz koleżanką na wizyty starszego pana! – Marek ryknął śmiechem.

– Daj spokój. Usłyszą... – Ross prawie zapadła się pod ziemię i udawała, że podziwia widok nocnej uliczki. – Debil!

– No już, już, wybac. Zmęczony jestem... – Bartusz napił się ciepłej już coli.

– Kłótnia w rodzinie? – zapytał zaciekawionym, ale zmęczonym głosem Wigler.

Patrycja nie miała odwagi na niego spojrzeć, była prawie pewna, że słyszał wszystko. Na pewno, widział więcej i potrafił skradać się niepostrzeżenie.

– Nie, my tu tylko... Nasta godzina w robocie. – Marek lojalnie chronił partnerkę, choć trochę zmazując swoje winy za niewybredny żart.

– Macie coś nowego? – Wigler przysiadł się obok policjanta, zerkając w jego telefon.

– Schodzi na bieżąco... – Funkcjonariusz pokazał ekran. Było na nim kilka tekstowych zapisów spływających zgłoszeń.

– Fajny patent... – Konrad podparł głowę dłonią. Jego oczy odmawiały posłuszeństwa.

– Co pan mówi? Przecież macie lepsze gadzety! – Patrycja odważyła się zagadnąć o błahostkę. – Coś chyba nie tak? – dodała, gdy z budy baru wyszedł Hubert Pawlicki i dosiadł się do reszty. Trzymał tortillę w dłoni i żuł jej spory kęs.

– Będzie coś z tego? Czy bunkrujemy się pod miastem i czekamy? Miejscówka ciekawa, można by tu się urządzić – prowokował Konrada, ale Wigler był tak wycieńczony, że nie miał ochoty ani siły wymyślać riposty.

– Tak, panie i panowie... – Szef przetarł twarz. – Chcą nas wycofać. Robi się nieprzyjemnie. Ukrainiec zrywa się nam, choć jest strzeżony. – Nie zamierzał opowiadać obcym szczegółów ucieczki Mychajły Lajewskiego,

ani uświadamiać ich, kim w jego ocenie jest ukraiński pułkownik. – Góra załatwia coś z Ukraińcami, ale co oni tam mogą?

– Taki brak dyscypliny! – Hubert na chwilę przestał rzuć.

– Honorowy dupek. – Bartusz dorzucił mądrość, która nic nie wносиła. – Skaza na armii, chciałbym go sam załatwić...

– To nie takie proste. – Pawłowski przerwał dywagacje gliny.

– No to co teraz? – Patrycja przerwała niezręczną ciszę. Świdrowała wzrokiem Kochanowskiego. – Młody Dekanczyk gdzie się zawinął. Jego baba nic nie wie. W firmie tak samo. On sam jest czysty, nie mamy powodu go ścigać. Autko porzucili. Kradzione, jak przewidywaliśmy. Nie ma żadnego zapisu, na którym widać, że przesiadają się do innego. Przynajmniej na razie.

– Tak, tak, mówiła pani. Powiem wam... – zdobył się na służbową szczerłość, wpięrow upewniając się, że Hubert nie będzie mu przerywał. Ten zaś pałaszował placek z nadzieją, najwyraźniej zgadzając się z taktyką szefa. – Wasz deweloper i ukraiński pułkownik. Jeden i drugi znika. Co na to państwo detektywi?

– No pewnie. – Ross wzruszyła ramionami, udając dotkniętą tą uwagą. – Znają się?

– Może nie znają. – Bartusz myślał na głos. – Widzieliście na kamerze, że gdy Lajewski się nam zerwał pod konsulatem, to sprawdzał tych sztywnych, których załatwił „Aman”. No a jeżeli któryś z nich żył, a pan dyplomata sobie go docisnął? Oni potrafią. To komandosi z doświadczeniem. Wiem, zaraz zrobiło się gęsto od policji, ale te kilka minut by mu wystarczyło.

– Dobrze! – Pawlicki wycelował palce w postawnego glinę, jakby strzelał z pistoletu. – Gratuluje, to dobre, panie szefie.

– Tak, możliwe. – Konrad drapał się po skroni w zamyśleniu. – Ale po co? Postanowił do nich dołączyć? Do ludzi Dekanczyka? Odnaleźć ich? Że niby Siergiej ich zna?

– Naciągane. – Ross też układała sobie wszystko w głowie. – To Lajewski znał tych ludzi. Robili dla niego, a nikt nie mógł przeżyć.

– Jesteście naprawdę dobrzy – uznał Wigler.

– OK, tylko czy to jakiś punkt zaczepienia? – zapytał Pawlicki. – Czego chcieliby od Siergieja?

– Nie wiem. Ważne, że to dobra teoria. Szukamy Dekañczyka i jego głąbów. Łatwiej ich znaleźć niż wyszkolonego oficera.

– To nie takie głąby – zauważył Hubert, ocierając usta serwetką. – Ktoś czytał ich CV? Co najmniej dwa nazwiska, albo przynajmniej ksywy, świadczą o tym, że w spółkach Dekañczyka robili faceci z wojskową przeszłością. Potem wylecieli, bo byli, jakby to powiedzieć...

– Pierdolnięci – dokończyła Patrycja.

– O to, to.

– I co z tego? – Ross nie chciało się żartować. – Można ich szukać cały tydzień. Nawet jak ich dorwiemy, to co na nich mamy? Trójka dryblasów... Dekañczyk nie jest aż takim dzbanem. Usunął wszelkie ślady współpracy. Powie, że jego ludziom odbiło albo że poszli na lewiznę.

– E, nie przesadzaj – zaprotestował Marek. – Po takiej akcji można mu zrobić istny nalot w firmie. Posra się, to zwykła parówa...

– Nie sędzę – uznał Wigler. – Jeżeli trzyma z takim Lajewskim, kimkolwiek on jest i dla kogo pracuje, to nasz deweloper może bać się tamtych bardziej. Wierzcie mi, jemu nie grozi kilka lat gapienia się na niebo w kratkę. On się boi, że utopią go w Wiśle.

– Kurwa, aż tak? Nie pomyślałam! – Ross cofnęła się od stołu wyraźnie przerażona.

– Tak, proszę pani – potwierdził Konrad. – Jeżeli teraz Dekañczyk im nie pomaga, to już wieje na jakieś Kajmany albo...

– Wisła... – Patrycja spojrzała tam, gdzie za starym miastem płynęła rzeka.

– Nie odpuszczą. Odnajdą Siergieja. My tak sobie bajdurzymy, a Mychajło bryka po mieście jak samotny szeryf. Jeśli to, co mówi pan

Marek, jest prawdą... – Położył rękę na ramieniu wielkoluda. Ten zrobił niezgrabny gest, jakby dziękował. Zerknął na ekran telefonu.

– Moi ludzie gadają z tym drugim Ukraińcem, majorem Karpemem. – Konrad zaczął wyjaśniać plan gry. – Ponoć on nic nie wie, a znają się z Lajewskim szmat czasu. Jedyłą szansą jest jakieś ich potknięcie. Mamy dostać wsparcie. – Zachował dla siebie wiadomości o nadciągających posiłkach dla drugiej strony. Był blisko stwierdzenia, że Ross i Bartuszmają rację. Skoro sami do tego doszli, to musiało być logiczne. A przecież nie znali kulis, struktur obcych siatek oplatających kraj. Tyle tylko, że Konradowi Wiglerowi brakowało tego czegoś, kropki nad i, która upewniłaby go, że to wszystko się składa w całość. – Niech ten major cokolwiek podrzuci...

Ross sięgnęła po swój telefon. Przeczytała jakąś wiadomość i uśmiechnęła się do Konrada.

– Odrobiłam lekcję... – Pokazała ekran. – Kazałam popytać w korporacjach o kursy z miejsc, o których pan mówił. Sporo tego, ale zamówienia od pojedynczego pasażera były tylko dwa. Jeden nad Wisłę... – Pokazała miejsce wyszukane na mapie.

– Myślisz? – Wigler potarł brodę, patrząc na zdjęcie. – To byłby Lajewski? Ale czemu tam? Nie namierzemy cwaniaka, bo, jeżeli to prawda, zniszczył komórkę, ale może ostatni sygnał to potwierdzi. – Wyjął własny aparat, chcąc wezwać ludzi z Gospodarstwa. Rzucił okiem przez ramię Bartusza na jego ekran i zastygł jak porażony.

– Co to? – Wskazał na linijkę meldunku. Zaczął czytać, poruszając bezgłośnie ustami. – Kazimierz. Napad na bar? Jak dawno? – Wyrwał telefon policjantowi.

– Czterdzieści... Godzina! Ale co jest? Hej! – Brodacz dźwignął się, usiłując odebrać własność. Wigler machnął na swoich wewnątrz. Zerwali się w jednej sekundzie. Zaraz zaczęły podjeżdżać auta.

– Żydowska dzielnica... A jakie ma pseudo nasz Siergiej? – gorączkowo szeptał Konrad.

– „Aman” – Ross odpowiedziała pierwsza, jak na przymuskę przystało.

– A to co takiego? – dopytał Wigler. Odpowiedziało mu milczenie. – To izraelski wywiad wojskowy.

– Pan żartuje! – Bartuszowi opadły ręce i aż cofnął się o krok obezwładniony niedowierzaniem. – Że ma ksywę, to pójdzie do synagogi i co? Ukryją go? Za rabina przebiorą...

– Siergiej to ukraiński Żyd. – Hubert wyjaśnił z większym spokojem. – Szkolony w Izraelu.

– Poszedłby do konsulatu... – Ross też nie rozumiała toku myślenia pana Kochanowskiego.

– Tak, powinien, ale to zbyt oczywiste. Widocznie wiedział, że jest tam coś poza oficjalną instytucją... – Konrad rzucał skrawkami zdań.

– Robi dla tamtych? – Marek kojarzył powoli. – No, ale... Mychajło... Zaraz, to on chce dopaść izraelskiego kreta. W telewizorach mówili, że to raczej sojusznicy. Zresztą, co to za brednie, do kurwy nędzy! Wezwali policję, potem odwołali...

– A masz coś lepszego?!

– Mychajło też tam będzie?

– Trzeba sprawdzić. – Patrycja uspokajała partnera. Znów wracała do roli pupilki, która odzyskała wiarę w mistrza. – Ta taksówka! – krzyknęła z rumieńcem na twarzy.

– Właśnie. – Konrad pstryknął palcami, dostrzegając zależność. – Ile to od dzielnicy? To miejsce, gdzie jechał taksówkarz? Kilometr? Dwa? Lajewski coś wiedział! – Wigler odszedł kilka kroków w stronę auta. – Świat jest bardziej skomplikowany, niż wam się wydaje. Nie ma czasu. Wezwij tam jakiś patrol, niech zajdą pod ten lokal. – Wycelował placem w Bartusza. – Ale ostrożnie. Dajesz mi na telefon adres i walimy... No ludzie, nie ma czasu! – Klasnął w dłonie i potruchtał do swoich, by wytłumaczyć plan podejścia celu.

Patrycja Ross wstała z miejsca i ruszyła biegiem, patrząc na pana Kochanowskiego i szczerząc zęby z radości, że dzieje się wreszcie coś ważnego. Nie wiedziała, co dokładnie, ale wierzyła w nauczyciela.

*

Całe kwartały dzielnicy pustoszały. Kazimierz cichł, kiedy grupki mocno już podpitych turystów i imprezowiczów rozchodziły się w różnych kierunkach. Śpiewały albo bełkotały coś głośno ku chwale ulubionego klubu sportowego. Gdzieś indziej zakochana para międlila się nieprzystojnie. Wyglądało to tak zenująco i prymitywnie, że para napaleńców została przegoniona przez innych pijaków.

Mychajło Lajewski patrzył na to wszystko bez emocji. Był obiektywnym obserwatorem, ukrytym za szybą auta. Oceniał sytuację operacyjną, jaką zastał przed akcją. Najtrudniejszą, jaką przyszło mu prowadzić i koordynować w życiu.

Wóz, którym go przywieziono, stał na rogu ulicy, w odległości jakichś stu metrów od celu. Auto zniknęło w sznurze innych zaparkowanych pojazdów. Mychajło wiedział, że jest za blisko, co oznaczało, że przeciwnik (jeżeli był tym, za kogo Lajewski go brał) dostrzeże ruch w okolicy obiektu. Na razie nic nie wskazywało na to, by rywale się zorientowali. Pułkownik musiał być w pobliżu. Nie miał do dyspozycji dronów, nie otrzymał informacji od ludzi „w polu”. Dowodził grupą amatorów, których musiał dopilnować. Nie mogli skrewić po raz trzeci.

W dali, na ulicy św. Józefa zaparkował drugi wóz z ludźmi, których zatrudniał Łukasz Dekančzyk. Niby otrząsnęli się po bitwie, jaką stoczyli z „Amanem”: grali pewnych siebie, ale Lajewski nie ufał im do końca. Owca

Sam biznesmen siedział na przednim miejscu pasażera i wiercił się niemiłosiernie, zdenerwowany. Co chwila zerkał na wiadomości komunikatora, przychodzące na telefon. Trzymał go nisko, pod deską rozdzielczą, jak rozkazał Ukrainiec. Blask ekranu za bardzo przyciągał uwagę.

Lajewski też upewniał się ukradkiem, że nie dostał żadnych nowych wieści ani poleceń na zainstalowany w nowej komórce komunikator. Jego przełożeni zamilkli. Usiłował wytłumaczyć ich zachowanie. Margines czasu był mikroskopijny i łatwo było o potknięcie. Zresztą dwa, a nawet

trzy już nastąpiły. Miało być szybko, choć niezbyt czysto, ale mimo to nie wyszło. Teraz doszedł trzeci czynnik: mocny protektor i obrońca poszukiwanego, o ile teoria Lajewskiego była prawdziwa.

Tym wnioskowaniem oddalał od siebie najistotniejszą możliwość. Że dano mu wolną rękę lub już go poświęcono. Było to możliwe, zwłaszcza w obliczu trzeciej siły w tym zmaganiu.

– Podsylają patrol... – Głos Dekañczyka wyrwał Ukraińca z rozważań.

– Co?

– Policja kazała znów podesłać patrol do tego baru. – Młody postukał palcem w słuchawkę w uchu. Podłączona była do skanera radiowych częstotliwości. Mychajło spojrział na zegarek.

– Bładź! – zaklął. Myślał intensywnie. Gapił się w półmrok uliczki, rozważając za i przeciw. – Już nie zdążą...

– Słucham? – Teraz to Łukasz nie zrozumiał.

– Nasze, moje wsparcie... – Pułkownik burknął oględnie. Nie ufał tym oprychom, nawet jeżeli mieli kiedyś do czynienia zawodowo z bronią. Wolał sprawdzonych ludzi.

– Będą tu za góra pięć minut – wtrącił szofer. Byczek był bezczelny i nerwowy. To źle wróżyło.

Mychajło zacisnął szczęki. Układał sobie możliwy przebieg zdarzeń. „Wejdą do baru. Jeżeli nie, ściągną posiłki i po wszystkim”.

– Dobra, zaczynamy – rozkazał z ciężkim sercem. – Tak jak umówione. Cicho i szybko. – Sięgnął po broń i przeładował spokojnie. Nacisnął klamkę. Dekañczyk wybrał numer w telefonie i zadzwonił do reszty.

– Idziemy!

*

– Długo jeszcze? – wymamrotał Siergiej. Nadal spał. Przyśniło mu się coś niedobrego. Siedział na kanapie, przyciskając plecak z bronią, i musiał przypomnieć sobie, gdzie jest.

– Spokojnie. – Benek siedział w fotelu, grzebiąc w Internecie na telefonie. – Spałeś smacznie. Nie miałem sumienia cię budzić. Ekipa transportowa będzie czekać niedaleko, za jakieś trzydzieści minut...

Siergiej ocknął się kompletnie i nawet podniósł z posłania.

– Mogę iść! – powiedział i poklepał bok na znak, że już nic mu nie jest.

Benjamin zrobił uspokajający gest ręką.

– Gdzie ci się śpieszy? Moi niech się pokręca, sprawdzą. – Brzmiało logicznie i profesjonalnie, ale „Amana” coś zaniepokoiło. Pomacał pistolet za pasem spodni i podszedł do zasłoniętego okna wychodzącego na ulicę. Stanął przy ścianie i lekko uchylił kotarę. Patrzył, łowiąc każdy szczegół. Przyglądając się każdemu, obecnemu jeszcze na ulicy przechodniowi.

– Policja. – Spostrzegł radiowóz w końcu uliczki.

– Rutyna... – Benek wciąż dłużył w telefonie. – Lato, Kraków. Jeżdżą tu ciągle.

– Rozumiem, ale chciałbym, żebyśmy już poszli. Im szybciej się mnie pozbędziesz, tym szybciej skończą się twoje kłopoty. – Użył rozpaczliwego argumentu.

Benek podniósł wzrok i pokręcił głową.

*

Było nieprzyjemnie duszno i wilgotno. Zmiana była nagła, nieprzewidziana. Od północnego zachodu zaczęło błyskać na nieboskłonie. Na razie niczego nie było słychać. Burza nadciągała w ciszy, śląc tylko ostrzegawcze znaki.

Kawalkada aut, należących do zespołu Konrada Wiglera, przebiła się przez śródmieście całkiem sprawnie. Kierowcy nie przejmowali się zbyt zakazami, a i ruch wyraźnie już malał. Wyjechali z Lubicz, na Westerplatte, dalej wzdłuż Plantów, na Starowiślną, wpadając w granice dzielnicy Kazimierz.

Konrad gapił się w ekran tabletu, śledząc wszystko, co udało się zebrać w kilkanaście minut ludziom od IT. Wydłubali w iście ekspresowym

tempie kilka ujęć Siergieja z miejskiego monitoringu. Algorytm rozpoznawania twarzy działał skutecznie, choć przeciwnik maskował swoją fizjonomię.

– Mamy, jest w pobliżu... – podał przez radio do pary gliniarzy mknących swoją skodą na końcu kolumny.

– Gratuluję – odparł krótko komisarz, ciągle niepokodzony z tym, że niejaki Kochanowski znów miał rację.

Wigler wpisał polecenie dla informatyków. Mieli szukać drugiego elementu układanki: ukraińskiego pułkownika Mychajły Lajewskiego. Konrad był stuprocentowo pewny, że znajdzie gdzieś na mieście i tego osobnika. Nie posiadał dowodu, ale miał przeczucie, że oficer ze wschodu znajdzie możliwość śledzenia Siergieja i zaraz ich drogi się skrzyżują.

– Szefie, mamy obraz... – Pawlicki przełączył coś na swoim ekranie, z którego kontrolował obraz z niewielkiego drona, który latał nad kwartałem dzielnicy. Wigler otrzymał dostęp do widoku na swoim urządzeniu.

– Ile mamy do celu? – zapytał kierowcę.

– Minutę.

– OK, zaparkuj... – rozkazał szef. Trzy wozy zaczęły zwalniać i wspinać się na krawężniki wąskich uliczek.

– Jest patrol – spostrzegł Konrad. – Nie chce im się albo nie wiedzą, czego szukają. – Wcisnął guzik nadawania radiostacji. – Tu Konrad. Wywołajcie swoich. Niech na nas czekają. Wejdziemy tam my, oni powinni zabezpieczyć teren.

Pojaśniało od pioruna. Ponury, przeciągły łoskot grzmotu przewalił się blisko gdzieś od strony rynku. Burza przyśpieszyła. Zaatakowała znieńacka, dodając wszystkiemu wkoło dramatycznej oprawy. Oko drona przesunęło się w bok. Obraz zaczął śnieżyć. Zabawką rzuciło od podmuchu wiatru.

– Nie utrzymam. Musiało akurat teraz... – Hubert zaciskał zęby, manipulując niewielkim joystickiem urządzenia.

– Co to, do chuja? – Wigler drgnął, prawie kładąc się na ekranie. – Ktoś się tam kręci? – Na coraz bardziej niewyraźnym i roztrzęsionym obrazie dostrzegł kilka osób wolno przechadzających się albo stojących na ulicy, przy której znajdował się bar. Mogli być ostatnimi niedopitymi balangowiczami, ale Wigler w to wątpił. Byli to sami rośli mężczyźni, idący uważnie i powoli. Nie wierzył w takie przypadki.

Jeszcze jeden grzmot poszedł ponad dachami. Obraz z drona zniknął.

– Cholera... Tracę go. – Pawlicki usiłował uzyskać jakikolwiek sygnał, stukając w klawiaturę poleceń bezzałogowca i ciągle kręcąc joystickiem.

– Pieprzyć to. On tam jest. – Konrad otworzył drzwi. – Do wszystkich, idziemy! – polecił surowo, wkładając w ucho słuchawkę przypiętą do radia. – Patrycja, Marek zostajecie z tyłu. – Nie miał zamiaru pilnować gliniarzy, może i dobrych, ale nieprzygotowanych na uliczną bitwę, jakiej się spodziewali.

– Kamery... – Pawlicki prawie krzyknął. – Wylączamy je czy szukamy po algorytmie?

– Wylączamy. Cały kwartał! – Konrad nie był zadowolony z tej sytuacji, ale nie miał zamiaru oglądać ujęć z własnym udziałem, gdyby wszystko zmieniło się w porażkę podobną do tej pod konsulatem. – Zagłuszanie netu... – dorzucił.

Ludzie otoczyli szefa. Wyglądali prawie normalnie. To „prawie” oznaczało lekkie kamizelki kuloodporne w piaskowych i zielonych barwach. Pod kurtkami mieli poręczne wersje pistoletu maszynowego MP5KSD, na pasach przewieszonych przez ramię. Pilnie przyglądali się otoczeniu, chyba radzi, że miasto opustoszało.

– Panie Kochanowski... – Patrycja przebiła się przez tłumek, mocno zaaferowana. – Inny patrol znalazł terenówkę spod konsulatu. – Myślała, że zaimponuje wywiadowcy, ale nikt jej nie słuchał. Wszyscy przecież wiedzieli, że trop okazał się prawdziwy.

Wigler pacnął jednego ze swoich.

– Idziesz... Uważaj! – dorzucił dla spokoju własnego sumienia. Znów błysnęło z hukiem, a na twarz Konrada skapnęła pierwsza kropla deszczu.

*

Benek otworzył drzwi na podwórze i wzdrygnął się. Narzucił jasną wiatrówkę i podobny ciuch podał Siergiejowi.

– Paskudna pogoda. Ale może to lepiej. Maskuje nas.

– Zaraz przejdzie... – „Aman” miał to gdzieś. Założył za dużą kurtkę i zaczął podwijać rękawy. Zarzucił plecak na grzbiet i chwilę patrzył, jak solidnie zacina deszcz.

– Zapasowe wyjście po drugiej stronie. – Benek wskazał palcem na półmroczne podwórze oświetlane jedną żarówką latarni.

– No to skaczemy. – Wylichtewiczowi naprawdę nie chciało się dłużej czekać. Odsunął właściciela i wyrwał sprintem w ulewę, przeskakując kałuże.

Benek tylko postawił kołnierz i pognał za nieproszonym gościem. Był sporo starszy, ale kondycję miał dobrą. Kiedy zrównał się z Ukraińcem, usłyszał trzask. Odgłos zupełnie inny niż grzmoty burzy.

Obydwaj stanęli, już nie zważając na ulewę, która przemacała ubrania. Zielona, stalowa brama wjazdowa kołysała się pod czymś naporem.

Siergiej nie czekał, ściągnął plecak i w blasku wyładowania wyciągnął karabinek. Benek na ten widok odskoczył, jakby to jego raził błyskający w tej chwili piorun.

– Zostaw... – Złapał za lufę. Ukraińiec wyszarpnął się.

– Spierdalaj... – Przyłożył kolbę do ramienia. Niewiele myślał. Zdało mu się, że już jest po wszystkim, że nie ma jak uciec ani komu za ufać.

– Nie tutaj, do cholery! – burknął właściciel knajpy, a i w jego dłoni pojawiła się broń. – Wiejemy.

Popchnął chłopaka. Wyprzedził go i pociągnął za połą kurtki, kiedy Siergiej ciągle celował. Nad bramą pojawiła się ludzka głowa. Wylichtewicz

stanął, zaparł się nogami i posłał trzy kule w tamto miejsce. Pociski rykoszetowały, a cel zniknął.

– Mówiłem: nie tutaj, debilu! – Benek złapał się za głowę, gotowy dzielić młodego pięścią.

Mocniej złapał go za ramię i użył całej siły, żeby ściągnąć z podwórka. Przesunęli się kilka metrów, kiedy nad wejściem znów ktoś się pojawił. Tym razem był ostrożniejszy. Błysnął wytłumiony strzał. Potem jeszcze jeden... Kula świsnęła i uderzyła gdzieś w mur.

Benek pochylił się. Siergiej, tak jak go uczono, zareagował na zagrożenie, obsypując cel pojedynczymi pociskami. Wierzeje ustąpiły, kiedy ktoś od ulicy przestrzelił skobel lub kłódkę. Ze szpary, jaka powstała między skrzydłami wejścia, znów błysnął pomarańczowy ogień. „Aman” nawet nie poczuł bólu. Jeszcze raz skupił się na zgrywaniu szczerbinki z muszką. Posłał serię, a ktoś po drugiej stronie krzyknął. Kule cięły moknącą ziemię. Benek syczał. Położył się na plecach w trudnej, ale pewnej pozycji i wystrzelił kilka razy. Salwa rozeszła się po podwórzu. Ci z drugiej strony stracili ochotę albo rwetes, jaki się zrobił, pokrzyżował im plany cichego ataku.

– Wiej! – rozkazał starszy mężczyzna, niezgrabnie dźwigając się z błota. Siergiej szedł tyłem, ciągle osłaniając weterana. Dotarli wreszcie do drugich drzwi. W oknach kamienicy zaczęły włączać się światła. Hałasy, inne niż szalejąca nawałnica, budziły nielicznych mieszkańców zabytkowej kamienicy.

– Kurwa wasza mać... – Siergiej sprawdził magazynek, wyrzucając z siebie wściekłość na cały świat. – Myślałem, że tu znajdę pomoc, a ty mnie wystawiłeś! – Podpiął magazynek na powrót i przystawił lufę do policzka Benka.

– Tak? – Starszy agent zdawał się idealnie obojętny. Maznął chłopaka krwią po policzku. – Dostałem w nogę. Rykoszet. Dałbym się zabić?

– Może twoi uznali, że...

– Pierdolisz, człowieku. We łbie ci się miesza. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– Tak tylko mówisz. Wystawiliście mnie! – Siergiej docisnął broń, ale ciągle zerkał na zlewane deszczem podwórze za otwartymi drzwiami.

– Spieprzaj stąd... – Benek odepchnął wreszcie ciepłą stal lufy od twarzy.
– Sam przylazłeś i narobiłeś wszystkim kłopotów, ale chcieliśmy cię ratować. – Na podwórzu zamajaczyła szybko poruszająca się sylwetka. – Masz... – Benek podał Siergiejowi swój magazynek.

– A ty co? – „Aman” się spłoszył.

– Ja mam zapas. – Żyd poklepał kieszeń kurtki. – Z tą armatą łatwo cię znajdą. – Sięgnął po coś do kieszeni spodni. – Moi na razie nic nie wiedzą, ale zaraz będzie głośno. Nie pójdziesz do kurierów sam, bo ci nie uwierzą. Zresztą zaraz ich odwołam... – Sięgnął głębiej i wydobył dwa prawie identyczne telefony. Siergiej zaczynał pojmować powagę sytuacji.

– Możesz zostać, nie bronię... – Benek podał chłopakowi jeden aparat. – Okaże się, o co tu chodzi, ale wiesz, jak skończysz? Możesz prysnąć, póki pada. Znajdź samochód. Wiek z miasta albo się zamelinuj. Tu jest jeden numer. Moi namierzą telefon i cię zabiorą. Nie masz wyboru. Mnie jest wszystko jedno... – Popatrzył na deszcz. – I tak już znudziła mi się ta speluna. No idź już, do cholery! – rozkazał szeptem. „Aman” posłuchał jak posłuszny żołnierz. Wstał.

W tym samym momencie w blasku latarni na podwórzu pojawił się wyraźniejszy niż przed momentem cień. Ktoś przyglądał się podwórzu kamienicy, ale jeszcze ich nie dostrzegł. Benek wyszarpnął drugą broń, mniejszego walthera PPK. Strzelił, a cień padł. Huk ogłuszył Siergieja, ale i zmotywował. Chłopak ruszył biegiem do frontowych drzwi po drugiej stronie. Położył karabinek i dopadł do klamki. Jeszcze spojrzął na starego, ale jego sylwetka zniknęła już w ciemności. Uchylił więc drzwi i ostrożnie wyjrzał w deszczową noc.

*

Mychajło Lajewski stał przy murze, mokry już kompletnie. Chciał zapalić. Wszystko było, niżby sobie życzył. Za wiele hałasu narobiła ta banda polskiego biznesmena.

Z radiowozu, który parkował w końcu ulicy Św. Józefa, wygramoliło się dwóch mundurowych. Rozeszli się i zaczęli sprawdzać, co się dzieje.

– Co teraz? – Dekanńczyk wyskoczył z bramy obok, trącając szefa.

– Uspokój się!

– Będziemy się z nimi strzelać?! – Łukasz dygotał ze strachu albo z zimna, nie wierząc w to, co się wyprawia.

– Twoje tłuki za długo się z tym bawią. Cel pewnie już zwiął albo kryje się gdzieś i wylezie z tyłu.

– Chuj wie, ile ich tam w ogóle jest? – Głos biznesmena zrobił się jeszcze bardziej niepewny. Przez kilka długich chwil słychać było tylko szum tłukącego o ziemię i parapety deszczu.

– To sam to sprawdzisz... – Mychajło nawet nie spojrzał na cyngla. – Boisz się, ale... zapłacimy. – Tylko taki argument przychodził mu teraz do głowy. Patrzył na rosnące sylwetki gliniarzy. Potrzebował pomocy gnojka. Nie mógł pozostać sam. – Idź! – syknął.

Łukasz ruszył biegiem przez kałuże, szukając obejścia kwartału. Lajewski skierował się w stronę rogu ulicy, do frontowego wejścia do baru i podniósł ramię z pistoletem. Skutecznie złał się z otoczeniem, żaden z dwójki mundurowych go nie dostrzegł. Wolno ściągnął spust. Tłumik syknął. Na chwilę zrobiło się jaśniej. Policjant z prawej padł pod auto. Drugi, zanim się zorientował, dostał dwie kule i opadł na chodnik. Pułkownik wyrwał biegiem do reszty oddziału. Jeszcze słyszał wystrzał. Potem kolejny. Ranieni zaczęli przezornie się ostrzeliwać. Rozwazał, czy nie zakraść się i nie dokończyć sprawy, ale uznał to za stratę czasu. Wszystko i tak szło źle.

– Szlag trafił zaskoczenie.

– Są w środku – oznajmił cyngiel, trzymając ranionego w twarz kolegę. – Jedno wejście. Nie ma jak się dostać.

– A za co wam płacę?! – ryknął Ukrainiec. W ulicy pełnej lokali i hisperskich sklepików robiło się coraz jaśniej od świateł. – Zawijamy się! – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Mamy jeszcze jednego. Może żyje. – Osilek wskazał nieruchome ciało na placu.

– Zostaw! – Pięść Mychajły karcąco ugodziła Polaka w bok. – Zjebaliście. Trzeba się ewakuować. – Wcisnął pistolet za pasek. – Do wozu i spróbujcie się przebić... – Pułkownik wiedział, że w tym chaosie grupa Dekañczyka nie ma wielkich szans. Za pół godziny ktoś ich namierzy.

– Odbój. – Wielkolud rzucił hasło pozostałej grupce. Nie ociągali się z wykonaniem polecenia. Poderwali za ramiona rannego kompana i zaczęli wlec do auta.

– Zgarnę resztę i Łukasza... – powiedział Mychajło, licząc, że oderwie się od grupy. Chciał ruszyć w przeciwną stronę, kiedy z tamtego kierunku, pokazał się inny oddział. Rozsypał w półokrągłą formację. Mężczyźni byli cisi i sprawni. Lajewski zrozumiał, co to oznacza. Schylił się i znów sięgnął broń. Błysnęły krótkie, mierzone wystrzały. Tamci też nie chcieli robić zbytnej awantury i używali wytłumionej broni. Widać było tylko pomarańczowe punkty wykwitające na lufach i dało się słyszeć świst pocisków w wilgotnym powietrzu.

Banda Dekañczyka rozstawiła się szeroko, usiłując się kryć i obrać jakiś dogodny cel. Wróg napierał, torując sobie drogę ścianą ołowiu. Miejscowi zaczęli chaotyczną palbę, mając świadomość, że muszą uciekać. Kule zaczęły ciąć po asfalcie, murach i zaparkowanych autach. Gdzieś zawył alarm. Burza zrobiła się jeszcze intensywniejsza, rażąc częściej piorunami, jakby dla podkreślenia dramatyzmu zdarzeń.

Od wschodniej części Św. Józefa, tam gdzie zaparkował radiowóz, nacierała jakaś druga drużyna. Mychajło usiłował celować i bronić się, ale stopniowo poddawał się potwornemu uczuciu paniki. Znalazł się w matni.

Miejscowy, dowodzący bandą, zachwiał się i padł ugodzony kilkoma pociskami. Reszta traciła zapął do wojowania, ale to nie powstrzymywało tamtych. Napierali skokami, nie dając się przycisnąć ostrzałem. Liczba opcji błyskawicznie skurczyła się do jednej. Najbrutalniejszej.

Pułkownik wycelował w głowę rannego, którego porzucili. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Lajewski przykucnął, osłaniany zaparkowanym

autem. Mocno trzymał pistolet oburącz. Oddychał spokojnie, nie miał wyrzutów sumienia. Strzelił. Raz i szybko drugi, tylko nieco się wychylając.

Krople wciąż tłukły o asfalt. Nagły brak oporu skonsternował atakujących. Przerwali strzelaninę, ale nie odważyli się wyjść z ukrycia. Pułkownik miał nikłą szansę. Lajewski, cudem chyba, dotarł do rogu ulic i prawie na czworakach pognał za Dekanńczykiem, zostawiając za sobą masakrę.

*

Deszcz ciął niemiłosiernie, coraz większymi kroplami. Natura chyba chciała nadrobić zaległości ostatnich dni skwaru i zalewała Kraków rześistą ulewą. Siergiej Wylichtewicz był zupełnie mokry. Kroczył po kałużach, co kilka chwil chowając się w zagłębieniach zamkniętych bram i wejść do sklepów. Instynkt kazał mu walczyć o życie, po raz kolejny w ciągu kilkudziesięciu godzin. Miejska walka wchodziła mu w krew.

Rozejrzał się po ukrytej za kotarą siekącego deszczu uliczce. Przez moment przypomniało mu się, jak oceniał zurbanizowany teren, kilka miesięcy temu, kiedy walczył u siebie, na Ukrainie, broniąc podejść do Kijowa.

Opamiętał się. Nie mógł sterczeć za długo w jednym miejscu. Nikt nie zwrócił jeszcze na niego uwagi. Ludzie spali albo kryli się przed ulewą, byli nieświadomi, co się dzieje w ich najbliższym otoczeniu. Dlatego Siergiej ciągle miał szansę. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście, przemoknięty i brudny.

Pobiegł dalej, wizualizując sobie plan okolicy. Pamiętał, że gdzieś na północy biegnie większa ulica, a dalej znajduje się śródmieście. Powinien go unikać. Mógł tam spotkać zbyt wielu ludzi, patroli i kamer. Ale tam jeszcze nie wiadomo, co się dzieje na pobliskim Kazimierzu.

Był blisko skrzyżowania, kiedy od lewej pojawili się ludzie. „Aman” prawie padł na chodnik, ślizgając się na mokrych płytach. Przywarł do ściany przy sklepie i patrzył. Złapał broń, podciągnął wyżej, oplatając chwyt palcami obu dłoni. Wiedział, że tamci na niego polują.

Nie obawiali się potopu. Było ich trzech. Stali po środku jezdni, gapiąc się na wszystkie strony. Wylichtewicz po mowie ciała rozumiał, że tamci mają broń. Kryją ją przed świadkami, ale są gotowi jej użyć. Niecierpliwili się, wiedzieli, że nie mają czasu. Wiadomość o strzelaninie poszła już w eter.

Siergiej przykucnął, prawie przyklejając się do ściany, by tamci go nie wypatrzyli. Mógł czekać i dać się dopaść, biorąc ze sobą jednego albo dwóch. Mógł też zaryzykować. Wybrał to drugie.

Wyszedł na czworakach, chowając się za najbliższym zaparkowanym autem. W prześwicie patrzył na zabójców. Ten z prawej dreptał w przeciwną stronę. Pozostała dwójka szła ku Siergiejowi. Ukraińiec wyczuł właściwy moment. Przeturlał się w cień dwóch opasyłych worów, pełnych gruzu z remontowanej kamienicy. Czekał sekundę, dwie. Deszcz słabł. Słysząc było kroki tamtych na mokrym asfalcie. Nie silili się na wymyślną taktykę. Szli środkiem, głodni sukcesu. Chcieli dopaść Wylichtewicza, a on ciągle nie rozumiał dlaczego. Nie mógł pojąć, czemu za tę chęć mordy musiała zapłacić Ela.

Kroki ucichły. „Amanowi” wydało się, że serce przestało bić. Spiął mięśnie. Palec prawej dłoni ostrożnie musnął język spustowy. Chłopak wyobraził sobie, że podrywa się i atakuje. Mógłby. Niejedną taką zasadzkę już przeprowadził.

Usłyszał głos. Ktoś szeptał. Kazał iść dalej. Siergiej go poznał. „Pan pułkownik” – olśniło go. Nieznacznie się podniósł, wychylając za prześladowcą. Mógłby strzelić mu w plecy, nawet ryzykując zemstę pozostałej dwójki. „Co ci to da?” – odezwał się głos rozsądku i pozbawił go woli działania. Myśli płynęły błyskawicznie. Zabicie Lajewskiego tylko by go pograżyło. Siergiej nie wiedział przecież, dla kogo pracuje, ani kim są ludzie, którzy usiłowali podejść go w domu Benka. „Może wszyscy polujecie na mnie?” – pomyślał i wyobraził sobie, że stał się wrogiem publicznym numer jeden.

Na ulicy zgasło światło. Dwójka na asfalcie stanęła zatrwożona. Siergiej rozejrzał się gorączkowo. Piorun pozbawił miasto napięcia albo służby coś

przygotowywały. Młody oficer nie zamierzał tego roztrząsać. Prześlizgnął się kilka metrów, po czym wstał i, by nie tracić czasu, wystrzelił sprintem za róg ulicy. Nie widział trzeciego agresora. Skreślił w bok i prawie zderzył się z brakującym ogniwnem nagonki. Oprawca był wyższy, solidnie zbudowany, ale też bardziej zaskoczony niż „Aman”. Nawet nie podniósł karabinka, który chował pod połą kurtki. Siergiej nie bawił się w wysublimowane sztuczki walki wręcz. Ugodził chłopca pistoletem w krocze. Tamten stęknął i pochylił się. Siergiej pchnął lufą w brzuch. Musiało zaboleć, podobnie jak wcześniej. Potem zadał cios stałą w podbródek i jeszcze raz, w bok twarzy. Nokaut. Wielki cyngiel padł jak kłoda drewna. Siergiej przeskoczył nad nieszczęśnikiem i pognał przed siebie.

Ciągle było ciemno. Przed sobą widział szeroką ulicę i stare kamienice. Po środku ciągnął się pas zieleni z drzewami. Nie było nikogo. Gdzieś z prawej słychać było sygnały radiowozów albo karettek. Oficer skreślił w lewo. Pociągnął nosem, widać brało go przeziębienie. Dobrze, że ulewa przeszła teraz w zwykły deszcz. Od wschodu niebo robiło się coraz jaśniejsze. Nawałnica przechodziła podobnie jak noc. Ponad chmurami budził się świt.

Siergiej szedł szybko, co rusz patrząc przez ramię. Nie biegł. Wiedział, że to przyciągałoby uwagę. Na pewno musiał oddalić się z przeklętej okolicy. Póki było ciemno, póki deszcz utrudniał rozpoznanie twarzy w obrazie kamer.

W jego głowie kiełkowała myśl, że nie może ot tak przejść całego miasta. Za dnia będzie przyciągał spojrzenia: brudny, ubłocony i mokry, jak jakiś bezdomny. Nie miał żadnych atutów. Bez pieniędzy, jedzenia i dokumentów był zgubiony. Poczęstunek Benka tylko zaostrzył mu apetyt. Musiał przeczekać i ukryć się na tyle bezpiecznie, by Żydzi Benjamina chcieli go przejąć, jeżeli zamierzali z nim rozmawiać. Dla nich rachunek był trudny do skalkulowania. Stracili dobrego oficera, a mogli zyskać niepewne źródło.

Siergiej wszedł do kolejnej wnęki kamienicznej bramy i odetchnął głęboko. Chciał wyłączyć myślenie i zaniechać analizowania kłopotów. Roztrząsanie ich osłabiało wolę przetrwania. „Zemsta” – powiedział w myśli, dodając sobie energii. Znow widział Elę. Poczł wściekłość pomieszana z wzruszeniem. Nabral jeszcze troche woli do walki i zycia.

ROZDZIAŁ 7

Ostatnie groźne pomruki burzy odchodziły daleko za miasto. Z tamtego kierunku mrugało światło coraz rzadszych piorunów. Deszcz wciąż siąpił. Było chłodno, a nawet zimno. Woda stworzyła rozległe kałuże i spływała rynsztokami do kratek kanalizacyjnych. Odpływy nie nadążały z odbieraniem takich mas cieczy.

W kilku miejscach rwący brudny potok zmieniał barwę na czerwoną. Nurt wypłukiwał cienkie strużki krwi z martwych ciał. Mimo ciemnego przedświtku przywykłe do miejskiego mroku oczy mogły dostrzec czarne plamy. Mimo wilgoci w ostrzelanym samochodzie cuchnęło spalenizną. Konrad Wigler trzymał kurczowo pistolet, przechodząc przez to pobojuwisko, osłaniany przez dwóch ze swoich przybocznych. Gdzieś z tyłu jego żołnierze pomagali opatrywać rannych policjantów. Słysząc już było karetkę.

Pułkownik powinien odczuwać coś na kształt satysfakcji, że przecucia ciągle go nie zawodziły. Nie potrafił jednak się cieszyć. Dominowało w nim dojmujące uczucie zawodu. Sprawy wyslizgnęły mu się z rąk. Nie potrafił zapanować nad tym szaleństwem.

Przystanął przy martwych ciałach. Z przestrzelonych głów ciągle lała się krew. Wszystko to skończyło się przed momentem.

– Za dużo tego gówna... – wysapał i skinął na swoich. Wiedzieli, że muszą zacząć sprzątać, choć okolica nie była zabezpieczona.

Marek i Patrycja trzymali się w oddaleniu, jak rozkazał Wigler. Byli przerażeni. To też przewidział. Nigdy nie uczestniczyli w takiej jatce.

– Hubert prosi... – Z zamyślenia wyrwał Wiglera głos Piotrka. Wskazywał uchyloną bramę na podwórze.

Konrad ruszył śpiesznie, mijając leżące w jednej z kałuż ciało. Szeff wypatrzył Pawlickiego w wejściu do kamienicy.

– Nasz milusiński... – oznajmił z lekkim przekąsem i wskazał kciukiem za siebie. – Właściciel, który kazał wzywać policję – wyjaśnił. Długowłosy, podstarzały hipis siedział na posadzce w mokrym ubraniu, z jakimś lichym opatrunkiem na nodze.

– Zabierzemy pana do szpitala... – zaczął z troską Konrad. Kucnął i z kamizelki kuloodpornej zdjął przytroczoną saszetkę z opatrunkiem osobistym. Zerwał zakrwawiony kawał szmaty z nogi rannego i sam zaczął ją opatrywać. – No to jak to się stało? – Starał się mówić spokojnie.

– Wy policja? – Hipis nie tracił rezonu. Nie poddawał się panice. Udawał ciekawość, ale Wigler wiedział, że nie ma do czynienia z byle cywilem. Zbyt wiele było w tym człowieku opanowania po masakrze, w której uczestniczył.

– Powiedzmy, że zajmujemy się bezpieczeństwem – odparł ogólnie Wigler. Nie miał ochoty ani czasu na opowiadanie swojej legendy. Wiedział zresztą doskonale, że siwy kudłacz rozumie wszystko i tylko zyskuje czas na ułożenie swojej bajki albo czeka na wsparcie.

– Facet wpadł do mnie z bronią. Sterroryzował. Jakiś wariat. – Benek mówił szybko, posykując z bólu. – Mówił, że go ścigają...

– Mówił kto? – przerwał Pawlicki.

– Policja... Jacyś mordercy. Bredził. – Benjamin zrobił minę niewiniątka. By kłamstwo było bardziej wiarygodne, musiało zawierać kilka ziaren prawdy.

– Wezwałeś policję, potem to odwołałeś. – Konrad kończył wiązać bandaż. – Nie mógł być takim psycholem, skoro pozwolił ci wezwać pomoc. Zadzwoniłeś po gliny dobre dwie godziny temu, a ustrzelili cię teraz, więc... Co się działo przez ten czas? Czemu nie uciekłeś z domu?

– Byłem w szoku – odparł właściciel spokojnie. Tylko oczy śmiały się w jakimś porozumiewawczym spojrzeniu profesjonalisty.

– Więc trzeba będzie porozmawiać poważniej. – Wigler wrócił do roli surowego legalisty. – Ty ich załatwiłeś? – Zmienił temat na poważniejszy, choć wiedział, że to niewiele da. Gość był zaprawiony w tym biznesie. Przygotowany na takie rozmowy.

– Jednego chyba tak... Nie pamiętam. Mówiłem już... Byłem w szoku.

– Skąd masz broń?

– Legalna. Prowadzę lokal. Dużo łobuzów. Sami widzicie.

Teraz Konrad uśmiechnął się i wstał z triumfem w oczach.

– Napadł cię, wlaź do domu, a ty... – Nie dokończył, tylko wskazał ciało na zewnątrz, w kałuży. Benek zamilkł. Wiedział, że historia się nie klei.

– Myślę, że dostałeś w kulasa i zostałeś osłonić faceta. – Pawlicki nie bawił się dłużej w podchody. – Skąd go znałeś? Musiałeś, skoro przyjąłeś jak swojego? Kim byli napastnicy? Czego od was chcieli?

– Od nas?! – wtrącił bezczelnie Benek i odgarnął mokre włosy z nosa. – Nie zapraszałem nikogo. Wpierdolili się wszyscy. Zamknąłem budę, pojawił się ten cały Siergiej. Ledwo żywy... Bałem się, że jak zobaczy policję, to dostanie szau, tyle. – Rozłożył ręce. – Potem przyszli ci, więc chciał spieprzać. Skąd się wzięli, kim byli, nie mam pojęcia. – Uderzył się pięścią w pierś. W tym całym uniesieniu brzmiał bardzo przekonująco.

– OK. – Wigler obmyślał dalszą strategię rozmowy. – Mówił, dokąd ucieka?

– Nic mi nie mówił.

– Na pewno?! – Konrad znów przykucnął i położył dłoń niebezpiecznie blisko rany.

– Proszę bardzo potorturuj sobie Żyda... – prowokował Benek.

– Jeżeli będę musiał... – Wigler odgrywał niewzruszonego. – Coś ci ukradł? Coś mu dałeś? – spytał ostro, ale zabrał rękę. Benjamin się skrzywił i poprawił bolącą nogę.

– Przypomnij sobie, do cholery! – Pawlicki ryknął z góry.

– Dałem trochę jedzenia, to wszystko. – Hipis zrobił wiele, by wypaść szczerze.

– Na razie tyle. Zabieramy ci broń do przechowania i sprawdzenia. – Wigler pomachał pistoletem trzymanym za kabłąk. – Skoro z ciebie taki kowboj, może kogoś jeszcze ustrzelełeś. – Można było usłyszeć w tym zdaniu zawołane ostrzeżenie. – Potem będziemy gadać... – Odwrócił się, jakby Benek przestał go interesować, a może stał się przezroczysty. Pociągnął Huberta ze sobą, na zewnątrz, na deszcz.

– Spierdolił nam – powiedział wprost, dając wyraz rzadkiemu u niego załamaniu. – Po takiej jatce się nie wygrzebiemy. – Pawlicki nie zaprzeczał. Słuchał potulnie i mókł. – Może być wszędzie. Pierdolony Lajewski... Gdyby nie wszedł nam w drogę, byłoby czysto i szybko. A tak...

– Kamery wyłączone. Teraz jeszcze prąd... – Hubert popatrzył w kilka okien, w których błyskały latarki.

– Dobrze zrobileś. Netu, zasięgu nie będzie przez jakiś czas, tak szybko to nie wycieknie.

– Ludzie są ciekawscy. Jak ktoś połączy to z poprzednią nawalanką, zrobi się dym, prawda. Chronimy dupy, ale tamci...

– Właśnie... – Konrad przetarł twarz rękawem. – Poszli w pizdu. Nie wykryją ich.

– Można by na ostro – nieśmiało zasugerował Hubert. Skierował głowę w stronę błyskających świateł karetki i radiowozów. – Koniec z partyzantką. Podamy, że poszukiwany jest jakiś Kowalski i pokażemy mordę Wylichtewicza.

– Wiesz, że to polityczna decyzja. Ukraińcy się wkurwią. Naskarżą Amerykanom, że nie osłoniliśmy ich człowieka. Atak na szpital przedstawiają jako przykład naszej partaniny.

– Więc co robimy?

Wigler znowu poczuł ćmiący ból w głowie.

– Nie ufam temu podstarzałemu rockmanowi...

– No coś ty? Przecie to tylko koszerne surfer spod Wawelu. Uwalił dryblasa jednym strzałem w twarz. Każdy tak umie.

– Nie o to chodzi. To znaczy o to też. Tu, między tymi przyjemniaczkami musiała iść jakaś większa gra. Bo po co przylazłby tu Ukrainiec? Pan komisarz się śmiał, ale może jest jakaś ukryta siatka. Siergieja zwerbowali i wiedział, gdzie szukać schronienia.

– Wybacz, ale jest za późno, albo za wcześnie, na tak skomplikowane teorie. – Pawlicki przerwał dywagacje. – Może jest siatka, może jest struktura. Jednego pionka mamy. Ale co z tego? Co nam to da? Popracujemy nad nim? Będziemy kołem łamać? To też polityczna sprawa. Przez tych ukropów mamy tu rozpierzdol na międzynarodowym poziomie. Poza tym... Gdyby z Wylichtewicza był taki żydowski J-23, to od razu by się tu pchał. A przyszedł na koniec.

– Ja pierdołę... – Przeklinanie przychodziło Konradowi coraz łatwiej. – Muszę to wszystko zgłosić. Wyjaśnić i prosić o... interwencję z innego poziomu.

– Kurwa, nie – jęknął Hubert.

– A co zrobię? Grupy nie zdekonspirują. Podłączą to pod akcję abwehry czy jakoś tak.

– I co? Nad ranem ktoś w Warszawie zastuka do ambasady i powie, że chce rozmawiać z rezydentem Mossadu? Szalom. Sorry, powiedzcie, co zaproponował wam jeden starozakonny Ukrainiec? Bo akurat ciekawy jestem!

Wigler milczał, patrząc na ścianę budynku, jakby tam wyświetlała się cała scena.

– Nie ująłbym tego aż tak trywialnie, ale jak mus, to mus. Hipis na pewno nawiązał jakąś łączność. Jestem pewny. Dobra, zabierz surfera i daj ochronę. Jak będzie chciał się z kimś łączyć, musimy mu pozwolić. Wiesz o tym. Tylko najpierw ja się rozmówię z „Olkiem”. Resztę sztywnych do wywózki. Miastowi niech to zrobią. Ty zabezpieczasz papiery. Mają być NN. Żeby nic nie wyszło za szybko.

– A co z Siergiejem i resztą? – Pawlicki zadał naiwne pytanie.

– Dupa... Nasi komputerowcy muszą pogrzebać w monitoringu w promieniu kilometra od tego miejsca. Tam kamery powinny działać. Tylko ten deszcz... Nie będzie łatwo rozpoznać. No, ale ruch niewielki – pocieszał się Konrad. – Niech Ross i Bartusz pogadają z tym gliną, który jest przytomny. Może zapamiętał coś ciekawego. No, do roboty. Trzeba posprzątać ten syf. – Spojrzał w niebo, z którego już tylko kapało. – Jak na złość chyba... – Wyciągnął telefon i usiłował wytrzeć. – Aha, spróbuj znaleźć naszego drona. Może gdzieś tu leży. Musimy posprzątać.

*

Strużka wody wylewała się z zapchanej rynny nad wejściem do jakiejś drukarni, szwalni czy innego przybytku, w którego cieniu skrył się Siergiej. Lokal był usytuowany w starej kamienicy, jakich szeregi bieły wzdłuż obu stron ulicy. Właściciel był początkujący albo interes nie rokował dobrze, gdyż wejścia nie strzegła kamera. U sąsiadów było podobnie.

W mroku głębokiej wnęki, pod osłoną bujnych drzew Wylichtewicz wydawał się doskonale ukryty. Od południa, z plątaniny uliczek pohukiwały sygnały radiowozów. Dwie karetki wyjechały z dzielnicy. Siergiej spodziewał się znacznie większego zamieszania. Ukrainiec był absolutnie pewien, że włożył kij w mrowisko. Właściwie zrobili to tamci. Bandydzi, policja, jakieś służby. Kimkolwiek byli, Lajewski był z nimi. Potrafił go wytropić.

Wszystko mieszało się Siergiejowi w głowie: przypuszczenia, niezgrabne teorie, których nie potrafił udowodnić. Nie był w stanie myśleć racjonalnie.

Usłyszał głos silnika. Gdzieś po prawej, bardziej na południowy zachód, ulicę przeciął samochód. Nie radiowóz, a zwyczajne auto. Kierowca się śpieszył. Jechał bez świateł. „Wróg czy przyjaciel?” – głos pod czaszką zadał naiwne pytanie. „Aman” nie miał przyjaciół.

Wcisnął dłoń do przemoczonej kieszeni i wyciągnął telefon. Szybka była pęknięta, ale nie stłuczona. Siergiej nie włączył jednak aparatu. Obawiał się że ta wszechobecna wilgoć zaszkodzi urządzeniu. Chciał cisnąć komórką

o chodnik i wrzeszczeć. Uniósł rękę, ale się opamiętał. Wewnętrzny wojownik, nawet teraz, po tym wszystkim czuwał. Kazał wytrwać do zwycięstwa niezależnie od tego, jak odległe i nierealne by było.

Siergiej schował troskliwie telefon, może wciąż licząc, że coś z nim zrobi pożytecznego. Nagle przypomniał sobie obraz, który umknął mu w stresie. Dalej na ulicy, na parterze paliło się światło. Był tam jakiś bar albo restauracja. Siergiej mijał ich tu mnóstwo. Nawet speluna Benka była brana za prawdziwy lokal i turyści zachwycali się atmosferą takich mordowni.

Siergiej wyszedł na chodnik. Zmrużył oczy. Coś kiełkowało mu w umyśle, ale sam nie był pewien co dokładnie. Nasunął na głowę miękki od wody kaptur i ruszył w stronę światła.

*

Dwudziestoletnie bordowe renault megane było w kiepskim stanie. Samochód był stary, dlatego dał się otworzyć i odpalić. Ucieczka własnym autem była niemożliwa pod ogniem i zaciskającym się pierścieniem okrążenia.

Wybór padł na podrdzewiałego staruszka. Po kilku minutach wewnątrz wozu zaparowało od wilgoci, jaką pasażerowie wnieśli do środka na przemokłej odzieży. Nawiew robił, co mógł, ale szyby ciągle zachodziły mgłą. Wycieraczki bardziej rozmazywały wodę, aniżeli poprawiały widok.

Mychajło Lajewski nie był miejscowy, ale pewnie prowadził auto po tym obcym mieście. Łukasz Dekančzyk wskazywał kierunek i gdzie skręcać na każdym kolejnym skrzyżowaniu. Pułkownik trzymał kurczowo kierownicę i milczał. Ciągle miał w pamięci atak tego commanda, które wynurzyło się z burzy i ciemności.

O mały włos uniknął śmierci. Przecenił swoje możliwości oraz talent bandy, jaką mu przydzielono do wykonania zadania. Zaryzykował jak w pokerze i przegrał. Mierzył się z potęgą całego państwa, więc nie powinien się dziwić.

– Hordist! – wysnęło mu się po ukraińsku. Pycha.

– Co mówisz? – Dekañczyk nadstawił ucha. Nerwowo podskakiwały mu nogi. Nie wiedział, co ma zrobić z rękami.

– Nieważne. Gdzie teraz?

– Za mostem prosto, w alei trzech Wieszczów...

– Alei? – Lajewski nie był zadowolony, widząc szeroką ulicę rozpościerającą się za rzeką. Objeżdżali centrum, by nie wpaść na prawie pewne zastępy policji ściągające na miejsce walki. – Wolałbym boczne ulice.

– Daj spokój, będzie szybciej. – Łukasz w strachu potrafił się postawić. – Widzisz, jak pusto nad ranem. Jeszcze ta ulewa...

– Dlatego rzucamy się w oczy. – Pułkownik zakończył dyskusję.

– Dobra, dobra – wystękał Polak, masując dłoń na drgającym udzie. – Tam w lewo, potem trzecia w prawo. Tam policja, ale jak chcesz.

Ten drugi rozłożył się na kanapie i milczał, też ciągle w szoku. Patrzył za okno, co chwila przecierając szybę. Z rzadka, na zakrętach albo na skrzyżowaniu z migającymi światłami, zerkał w lusterko, podpatrując Ukraińca. Lajewski z każdym kolejnym takim spojrzeniem zaczynał coraz bardziej się obawiać. Dekañczyk był posłusznym, rozpieszczonym kretyńcem, który bawił się w zbója i wielkiego szefa mafii. Ale ten z tyłu, jeden z kilku, których ksywek pułkownik nie chciał pamiętać, był zawodowcem. Nie był wybitny, ale zgrał się z tym swoim oddziałem. W te dwa czerwcowe dni stracił kumpli. Prawie pożegnał się z życiem, a na pewno z ulubionym sposobem zarabiania, który zapewniał mu adrenalinę, której ciągle było mu mało. Za to wszystko winił jedną osobę. Teraz siedział z plamami zakrzepłej krwi pod nosem i na policzkach. Szybko doszedł do siebie po nokaucie, jaki zafundował mu Siergiej.

– Odpoczniemy, przemyślimy wszystko... – Mychajło chciał uspokoić zabijakę. Zarazić go optymizmem i oczyścić choć trochę atmosferę.

Krążył śpiącymi uliczkami, obstawionymi ciasno autami. Było coraz jaśniej. Gdzieniegdzie tylko pojawiali się pierwsi przechodnie. Ktoś

wyprowadzał psa. Gdzieś wyladowywano towar do sklepu. Zostało niewiele czasu, by przemknąć do celu.

– Opowiem wszystko szefowi. Powinni dać nam wsparcie.

– Pierdolić wsparcie. – Ten z tyłu wreszcie przemówił. – Chcesz to ciągnąć? Chyba cię pojebało! – Nie zważał już na hierarchię i różnicę wieku. Kipiał od pretensji. – Już jest po nas. Macie wypłacić ekstra ratę i ja spierdalam.

– Uspokój się. – Dekkańczyk rozkazywał, jakby ciągle na coś liczył. Chyba do niego nie docierało, w co wdepnął. – Nie będzie tak źle.

– Prawda. – Pułkownik skinął głową i popatrzył w czerwone oczy dryblasa w lusterku. – Nie połączą faktów. Łukasz mógł gdzieś wyjechać. Nie ma śladu, że tam byłeś. A reszta, reszta po prostu przyjęła czyjeś zlecenie.

– Boże, ale pierdolisz! – Facet z tyłu szarpnął za fotel kierowcy i wyprostował się. – A jak ty się wyłgasz?

– Moja sprawa. – Ukrainiec naprawdę potrafił panować nad sobą. Nie miał wyjścia. Na razie był zależny od tych dwóch ćwoków. Jeden miał przygotowaną melinę, drugi za chwilę mógłby go udusić. – Będzie kasa, jak obiecałem. Jeśli pomożecie to dokończyć.

– Co ty chcesz dokańczać? – Teraz Łukaszowi zebrało się na wyrzuty. – Wypierdalam i mnie nie ma. Biznes mi się rozjebie, jak mnie z tym powiążą. Po takim gównie na pewno coś znajdą. Muszę spierdalać, muszę...

– Spokojnie... – Auto zwolniło, wyjeżdżając z plątanin ciasnych uliczek na Królewską. Dłoń Dekkańczyka pokazała w lewo. Mychajło przyspieszył. Gang starego motoru zadziałał jakby kojąco. – Zaopiekujemy się wami. Bez obaw. – Ukrainiec powtórzył cicho, nie chcąc mącić już udzielającego się im spokoju. Im dalej byli od Kazimierza, tym bardziej zaczynał wierzyć we własną opowieść. Może tak działał na Lajewskiego brzask i przecierające się niebo. A przecież finał był fatalny. On został na lodzie, ale coś podpowiadało mu, że miał ciągle szansę. Znając zdolności ludzi takich jak Siergiej, mógł przypuszczać, że chłopak zdołał uciec. Niczego nie

powiedział. Nawet gdyby próbował, nikt by mu nie uwierzył. Jego samego też, na razie, nikt nie powiąże z masakrą. Teraz potrzebował chwili bezpiecznego wytchnienia, nowego punktu zaczepienia. Wyczuł, jak w wewnętrznej kieszeni wibruje telefon. Wysunął go, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Nie znał numeru. To był dobry znak. Nie chciał jednak rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Musiał zadbać o swoje bezpieczeństwo.

*

Z baru na rogu kamienicy wyskoczyła dziewczyna. Była młoda, zwinna i zgrabna. Biegła szybko, w poprzek jezdni, torowiska i pasa zieleni. Okrywała głowę gazetą, osłaniając kasztanowe włosy z blond pasemkami przed ostatnimi kroplami porannego deszczu.

Była w lekkiej kurtce narzuconej na jasną bluzkę i w czarnych obcisłych spodniach. Liche, ale zapewne wygodne trampki szybko nabrały wody i dziewczyna musiała wylać ją z butów.

Siergiej wybrał ją. Przyglądał się uważnie zza węgła, jak (chyba) kelnerka pędzi do swojego auta po drugiej stronie ulicy. Źle obstawił. Myślał, że zaparkowała bliżej lokalu, i nie będzie musiał się trudzić.

Inni pracownicy, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, rozeszli się nieco wcześniej. Każde w innym kierunku. Szli pieszo, więc nie interesowali Wylichtewicza. Mężczyzn nie zamierzał nawet sprawdzać. Nie miał siły ani ochoty na walkę i powstrzymanie próby ucieczki.

Odkleił się od ściany i przez nikogo nie niepokojony skoczył na asfalt. Nie odrywał oczu od dziewczyny grzebiącej w otwartych drzwiach wozu, kilkuletniej jasnoniebieskiej toyoty yaris. Ukraińiec miał szczęście, dziewczęciu tak bardzo się nie śpieszyło.

„Aman” wpadł między parkujące przy chodniku wozy i użył ich jako osłony. Czekał, jak mu się wydawało, bardzo długo, aż młoda zdecyduje się wsiąść. Zaczynał się obawiać, że ktoś dostrzeże go z okna albo wychodząc z klatki.

Od mostu na Wiśle nadjechał stukoczący tramwaj. Dziewczyna siadła za kółko, a Siergiej skoczył do tylnych drzwi, korzystając z rumoru. Wpakował się na kanapę i zarzucił lewe ramię na twarz kobiety. Zaskoczona, nie zdążyła krzyknąć. Wybałuszyła okrągłe, nawet ładne oczy. Ze spojrzenia bił paniczny lęk. Chciała żyć, a myślała, że dopadł ją morderca lub gwałcieciel i że zrobi jej krzywdę. Wierciła się, ale Siergiej był silniejszy. Przydusił usta. Wylot lufy broni powędrował przed oczy kobiety. Dziewczyna zbladła, zaczynała odpływać.

– Nic ci nie zrobię. Nie chcę cię zabić ani skrzywdzić. – Siergiej szeptał jak najprzyjaźniej, choć w tych okolicznościach nie było to łatwe. Opuścił na chwilę broń i zamknął drzwiczki. Milczał kilka sekund, żeby dziewczyna przemyślała jego słowa. Powstrzymał się od gestów i gwałtowniejszych ruchów. Chciał ją upewnić, że nie jest tym, na kogo wygląda.

– Musisz mnie tylko wywieźć z miasta... – powiedział spokojnie, ale znowu pokazał broń. Właściwie sam nie wiedział, co robić. Uznał, że pieszo i sam nie da sobie rady w dzień. Potrzebował zakładniczki i transportu.

Dziewczyna oddychała głęboko, ciągle patrząc na oprawcę. Ten zachowywał spokój i nie odwracał wzroku. Był mokry i brudny, ale panował nad sobą.

– No to jak? – Siergiej nawet się uśmiechnął. – Wyświadczy mi pani tę przysługę. Jestem Siergiej. – Starał się brzmieć jak najlepiej po polsku. – Żli ludzie mnie dopadli. Nie mogę iść na razie na policję. Zabili mi narzeczoną. – Podkoloryzował swoją historię, ale przecież miał w stosunku do Eli poważne zamiary. Uczuciowe dramaty działały na kobiety. Wylichtewicz nie musiał wiele udawać. Wystarczyło, że pomyślał o Elżbiecie, a jego twarz posmutniała. Oczy zaczęły robić się szkliste. Był wiarygodny. – Pomoże mi pani? – Mimo powierzchowności bezdomnego menela, z jego słów i spojrzenia biła pewność. Zaryzykował, odsunął dłoń. Dziewczyna nie krzyknęła. Patrzyła. Wylichtewicz wiedział, że jego szanse rosną.

– Pan... Jesteś ranny. – Dziewczyna starła z policzka czerwony ślad i pokazała palec.

– Chyba tak. – Oficer się przeraził, ale zrobił wiele, żeby się nie zdradzić. Przesunął lufą po rękawie kurtki i podwinął go razem z rękawem bluzy. Zobaczył strużkę krzepnącej krwi. Jak na zawołanie poczuł pieczenie na boku. Dotknął miejsca. Bolało przy ucisku. Ubranie miał mokre, ale ciecz pod ubraniem była cieplejszy. Ukraińcowi zakręciło się w głowie. Ostrożnie napiął mięsień i przejechał palcem po ranie. Syknął krótko, ale nie wyczuł żadnej głębszej rany. Kula rykoszetem przeszła po ubraniu, szarpiąc ją i zdzierając skórę.

– Jedź już! – warknął, machając znów bronią. Jego uprzejmość ulotniła się raptownie. Dotarło do niego, że prawie dał się zabić. – Jedziemy za miasto. – Przysunął się ostrożnie do dziewczyny, mówiąc przez zęby, z bronią przytkniętą do jej boku. Jego nastrój zmieniał się jak u prawdziwego psychopaty. Działo to na kobietę. Stawała się bardziej posłuszna.

– Jak się nazywasz? – spytał niespodzianie.

– I... Iwona.

– Ładnie. Więc, Iwono, pojedziemy sobie. Muszę poczekać na telefon. Potem ktoś mnie zabierze i będziesz wolna. Rozumiesz? – Kobieta pokiwała energicznie głową. Zapuściła silnik. – Daj mi swój aparat. – Szturchnął lufą, a Iwona szybko wyciągnęła smartfona z niewielkiej torebki na podłodze wozu. – Jedź! – ponaglił napastnik.

– Ale dokąd?

– Na północ. Co tam macie... Kielce? Warszawa. Nie wpadną, że tam mogę wiać. Potrzebuję meliny. Jakiś pustostan...

– Dom... – wypsnęło się Iwonie. Zawstydzila się tej gorliwości, ale mieszkanie z uzbrojonym wariatem w jakiejś norze przerażało ją.

– Co mówisz? – Siergiej przysunął się bliżej. – Powiedz, że masz, jak to mówicie, chawirę pod miastem? No jak, masz? – Docisnął lufę.

– Nie, nie mam!

– Więc?

– Mam znajomych. Wyjechali... – Była mało odporna na sugestie, co było słabością jej pokolenia. Siergiej dobrze wybrał ofiarę.

– Daleko?

– Tak, nie... Sześćdziesiąt kilometrów. Może mniej, w takich górach tu. Skalach.

– No i wspaniale. – Wylichtewicz znowu zaczynał się uspokajać. Bóg nie opuścił go do końca. – Jedziemy. Nie za szybko, nie za wolno. Żadnych numerów. Żadnych umizgów do gliniarzy. – Rozsiadł się wygodnie, jakby nic mu już nie groziło. – No ruszaj, Iwono.

Dziewczyna posłusznie wyjechała na jezdnię. Siergiej schował broń i wyciągnął telefon Benka. Chwilę zastanawiał się, jak wydłubać z wnętrza kartę SIM. Potem to samo zrobił z telefonem Iwony. Wcisnął w jej aparat kartę starego hipisa. Opuścił okno i, upewniając się, że nikt za nimi nie jedzie, wyrzucił telefon od polskiego Żyda. Nic nie spostrzegła, zbyt przejęta pilnowaniem drogi.

– Tak, Iwonko... Nic ci nie grozi. Muszę tylko uciec przed złymi skurwielami, którzy pozbawili mnie najwspanialszej kobiety w życiu. – Zaczął zrzucać wielki ciężar z serca. Chciał urobić dziewczynę, wywołać u niej coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego, już teraz, na początku trudnej drogi. Dziewczyna nie była wyszkolona jak Benjamin. Reagowała instynktownie i zgodnie z kobiecą intuicją. Siergiej tęsknił za Elą i chciał się tym podzielić, wygadać, jak u cierpliwego spowiednika, którym Iwona została wbrew woli. Wylichtewicz potrzebował sojusznika. Szukał wsparcia w tym koszmarze.

*

Wigler krążył po chodniku wąskiej starej uliczki. Nie interesowały go błyskające światła radiowozów, karetki i zagubiony prokurator. Hubert Pawlicki zajmował się w jego imieniu odkręcaniem tego całego bardaku.

Konrad tylko potulnie wysłuchał reprimendy od swojego przyjaciela, a zarazem szefa, teraz wściekłego.

– Nie widzę innej możliwości – wtrącił ostrożnie, kiedy Zydelski łąpał oddech.

– Do jasnej cholery! – Pułkownik prawie się zadławił. – To będzie jak wystawienie gołej dupy. Wszyscy zobaczą!

– Już widzą – zauważył Konrad.

– Właśnie... gównem się rozlało. Zbyt wiele ostatnio po tobie sprzątam. Muszę i tym razem. A na miejscu jak?

– Robimy zamieszanie, choć to trudne przy widowni. – Wigler zaczął wyliczankę. – Może nie będzie wielu nagrań. „Mózgi” od komputerów wyłapią w sieci i usuną. Co do dochodzenia, ściągnęli prokuratora z dyżuru. Drugi raz tej nocy. Facet nie jest głęb, łapie, że ma do czynienia z aferą, która może wynieść go do Warszawy, kiedyś w przyszłości. Pod konsulem było prościej. Teraz jest jeszcze więcej gówna. Knajpa, zagraniczny właściciel. Ranny. Gada o napadzie, a tu było jak na wojnie. Zaraz dojdą, że to ludzie tego gogusia od deweloperki. Mają auta i trochę sprzętu, pewnie skaner policyjnej częstotliwości. Już wiemy, skąd znali temat. Lajewski im pomagał? Chyba tak. No, ale za rękę nie złapałem. Może sprawdzimy odciski, ale na to trzeba czasu, a pewnie wyczyścił wszystko.

– Ale zniknął, do kurwy nędzy... – sarknął szef. – I co teraz? Niech sobie prokurator podskakuje. Biorę to na siebie. Jak wszystko. Ty, jak zawsze, mówisz, że masz rozkazy, tajne przez poufne i takie tam. Gliniarze jak?

– Moi? Byli tu z nami, ale już ich przerobiłem. Nie będą się chwalić. Na razie. Też są w szoku. Dochodzenie przejmie miejska, potem może się coś zmienić. Jak mówiłem, chcą robić obławę, ale dałem do zrozumienia, że nie wolno.

– Nie wolno. Musimy... musimy, cholera. Co ci pozostało?

– Dzwoń do szefów tego całego Benjamina.

– Człowieku, jest prawie piąta rano. I co mam powiedzieć? Cześć, mamy rozróbę, przez którą wpadliśmy przypadkiem na waszego człowieka.

A przy okazji pomógł zbójowi z Ukrainy...

– Dokładnie tak. – Konrad był irytująco szczery. – Nie mamy wyjścia. No prócz obławy albo informacji w mediach. Ścigamy Wylichtewicza jako zabójcę. Ale wtedy się wkurwi i będzie siekł na ośle. Albo walnie sobie w łeb. Sprawa się skończy. Nie dowiemy się, o co tu chodziło i gdzie jest Lajewski. Uważam, że skoro Siergiej zwał, to ktoś dał mu szansę... – Zydelski milczał. Konrad wiedział, że oznacza to jedno.

– Zgoda. Masz rację – padło pozwolenie. – Pogadam, ale niczego nie obiecuję. To będzie handel... A ja i struktury oficjalne nie lubimy targów, ot tak z marszu.

– To każ zamknąć miasto. Minęło może pół godziny. Jeden i drugi są w Krakowie albo tuż za nim.

– Wkurzasz mnie coraz bardziej – odparł Krzysiek. – Jeżeli ma wsparcie kogoś trzeciego...

– Sam widzisz, że trzeba działać na twoim poziomie. Niech nam dadzą jakiś ślad. Cokolwiek. Nie można tego tak zostawić.

– Prawda – przytaknął pułkownik. – Niby nic, ale dookoła zrobiło się głośno od wkurzonych szerszeni. Za jakąś godzinę będziesz miał posiłki. Ale tamci też rzucają odwody.

– Wiem.

– Więc to całe zamieszanie jest dla nich niebezpieczne. Wystraszyli się czegoś. Siergiej jest kluczem.

– On i pan Lajewski – uściślił Wigler.

– Siatka przestała się kontrolować. Pamiętasz Adama? Ten młody, taki kochliwy, ale sprytny.

– Pamiętam. Zresztą ty masz samych sprytnych. Co z nim?

– Usiłowali go uciszyć. Nie wiem, czy wiedzieli kto to. Podejrzewali, czy chcieli być ostrożni. Adam nie powinien leżeć tam, gdzie poszedł, miał wypadek. Wyżyje. Dwóch palantów dopadliśmy za Warszawą. Na razie ich trzymamy pod kloszem. Reszta ma się dowiedzieć jak najpóźniej.

– Kurwa mać! – zaklął Wigler, nie bardzo wiedząc, czy złości się na oprawców kolegi, czy z powodu tego, czego zaczął się domyślać. – Chcesz mi powiedzieć, że mam mało czasu, co?

– Zajebicie mało czasu. Wysłali cyngli i kogoś, kto ma chyba tego wszystkiego dopilnować. Babka. Siedzimy nad nią, odkąd potknęła się na błędach w Afganistanie. Adam ją rozpracowywał.

– Więc naprawdę im zależy, jeżeli posyłają kogoś takiego.

– Można by ich dopaść wszystkich. W jednym miejscu. I zwinąć. Nie będą niczego podejrzewali. Nic chyba nie wiedzą albo działają w chaosie. U nich sporo się zmienia.

– Ale nie pękli. Nie poddali się. – Konrad był daleki od optymizmu.

– Właśnie. Ja pogadam z kolegami od macy. Ty musisz... Ty musisz zacząć robić szum. Taki tylko dla tamtych. Oni nie mają punktu zaczepienia, a zależy im jeszcze bardziej niż nam. Są zagrożeni. Nie muszę ci tłumaczyć.

– Tak, zrobią ruch. Popelnią błąd...

– Dokładnie. Nasza figurantka, panna Anna, powinna być niedługo pod Krakowem. Jeżeli nie zgubi ogona, a nie zgubi, może jakoś doprowadzić nas do Siergieja, Lajewskiego i kogo tam jeszcze mają.

– Więc wystawiamy Wylichtewicza na wabia...

– Niestety. Sam się wystawił.

– Kurwa mać! – Konrad potarł skroń. – Zaraz padnę na pysk...

– Trzymaj się, bracie. Czekał na wsparcie i mój telefon. No i myśl, myśl, chłopie, jak ich sprowokować.

*

Ta część miasta była już w zasadzie wsią. Od świtu okolica rozbrzmiewała wręcz nieprawdopodobnym trelem ptaków, dźwiękami, o których można było zapomnieć w miejskiej dżungli. Dlatego te koncerty wydawały się tak głośne, ale i kojące. W pierwszych promieniach słońca na ściółce migotały iskierki światła, skupiane w milionach kropel rosy. Atmosfera była wręcz

sielankowa. Z kilkunastu domów wzniesionych wzdłuż krętej leśnej drogi jeden na końcu nie był jeszcze wykończony. Otaczał go ogród, a właściwie działka zadrzewiona kilkunastoma sosnami. Dzikie krzewy rozrosły się przy wjeździe wraz z wysoką, niekoszoną trawą, zakrywającą tymczasowe ogrodzenie z siatki wokół budowy. Renault ukryli w szopie, bliżej ściany gęstego lasu. Buda wyglądała jakby pamiętała czasy Franza Josefa.

Wnętrze domu było surowe, ale wniesiono już kilka mebli. Czuć było chłód i wilgoć.

– Pięknie, pięknie – powtarzał Mychajło Lejewski, krążąc po parterze, po niewykończonym salonie, z rękoma założonymi na plecach. – Blisko lasu. Można uciekać. Sąsiedzi? – zapytał, pokazując palcem na drzwi wejściowe.

– Jedna albo dwie rodziny – zaczął tłumaczyć Dekanńczyk. – Reszta to pustostany albo domy na weekendy i lato. Ci, co mieszkają, dużo pracują. Podróżują po świecie. Nikt raczej tu nie przychodzi.

– Brawo, brawo. Nie spodziewałem się. – Ukrainiec zaklaskał w dłonie z szerokim uśmiechem na twarzy. – Mówiłem, że nie jest aż tak źle. – Zerknął na drągala z bronią, który nerwowo człapał przy oknach zasłoniętych folią. Nie odezwał się. Ciągle przeżywał ostatnie wydarzenia.

– Posiedzimy, pomyślimy. Wiem, że jadą do nas posiłki – obwieścił Mychajło. Wiedział, że przekona o tym młodego, ale jego zabijaka pozostanie nieufny. Może nawet o wiele bardziej niż wcześniej. Mychajło podsunął krzesło i usiadł z oparciem pod brodą. – Ale najpierw kawa. Bez tego zaraz zwariuję. Mamy prowiant? Pewnie przygotowałeś co należy?

– Tak, tak. – Młody zaskoczył dopiero po chwili. – Mamy konserwy, wodę, kawę, słodczyce. Mamy prąd. Można obiady gotować.

– Czarną, jeżeli łaska – zamówił pułkownik, przerywając gospodarzowi. – A kolega? – uprzejmie zapytał bandziora przy oknie.

– Tak samo, ale z cukrem – stęknął tamten.

– OK, robi się. – Łukasz obrócił się na pięcie, przyjmując rolę gospodarza.

W niedokończonych kuchni, której wyposażenie stanowił jeden stół i góra kartonów, włączył radio. Jak w każdej prawie stacji o tej porze sączyła się muzyka, nieprzerywana zbyt często głosem spikera. Dekanńczyk napełnił elektryczny czajnik wodą i włączył go. Nasypał rozpuszczalnej kawy do kubków. Otworzył dwie konserwy i skubnął kawałek mielonki. Kiedy woda zawrzała, zalał kawę. Postanowił użyć kawałka deski jako tacy i ustawił na niej naczynia oraz torebkę cukru.

– Myślałem, że coś powiedzą o tym wszystkim w radiu... – powiedział, wracając do towarzyszy. – Ale chyba się boją o tym mówić. – Przerwał przemowę, widząc coś, czego nie rozumiał.

Ukrainiec stał naprzeciw niego, na rozstawionych nogach. W prawej dłoni trzymał dymiący jeszcze pistolet. Wzrok Łukasza wyłapał rosnącą plamę krwi na podłodze.

– Odłóż to! – polecił ostro Mychajło. Dekanńczyk wykonał polecenie i ustawił deskę na podłodze.

– Ale czemu? Miało być wsparcie! Przecież dobrze się starałem. Pracowałem latami dla was. Jak kiedyś mój tata...

– Wybacz. Wszystko się kiedyś kończy. – Lajewski uniósł szybkim ruchem broń i strzelił chłopakowi dwa razy w okolice serca. Młody padł i konał zdziwiony, z otwartymi oczyma.

Pułkownik zabezpieczył broń. Westchnął. Był wycieńczony, a musiał jeszcze posprzątać ten bałagan, jeżeli chciał przyjmować gości.

Sięgnął po telefon i wybrał numer, który dzwonił już kilka razy. Nie czekał długo na połączenie.

– Kabul – Zdenerwowany kobiecy głos odezwał się w słuchawce.

– Kandahar – odparł Mychajło.

– Jesteś „Globus”?

– Tak – odparł krótko Lajewski. Tutaj nie było miejsca na niedomówienia. – A ty to „Roger” albo niegdyś „Karim”?

– Dokładnie. – Anna Quadira Linberg była równie konkretna. – Gdzie cię znajdę?

– Trudno to wytłumaczyć. Jestem niby w mieście, ale, powiedzmy, daleko od centrum. Nie róbcie zbyt dużego tłoku. Przyciągnie uwagę.

– W porządku. Podeślij wiadomością ulicę i dzielnicę. Będę w pobliżu, zadzwonię. Musimy pogadać i ustalić kilka rzeczy.

– Tak jest. Do zobaczenia.

Chwilę patrzył na martwe ciała, głowiąc się, czy nagłe zainteresowanie jego osobą nie skończy się podobnie. Znów zaczynał się bać. Powrócił do początku całej sprawy. Przypomniawszy sobie wszystko, co po drodze robił, i doszedł do najbardziej obiektywnego wniosku, do jakiego mógł dojść: był zbyt cenny. Mimo problemów ciągle był potrzebny.

Dał sobie spokój z porządkami. Sięgnął po kawę i poszukał wygodnego siedziska. Ci dwaj nigdzie przecież już by mu nie uciekli.

*

Toyota Iwony zjechała z głównej drogi prowadzącej z Krakowa na północny zachód. Ruch był jeszcze niewielki, zwłaszcza na podrzędnych trasach prowadzących do szosy krajowej. Była niedziela, nie spodziewano się wielkich korków. Przemknęli z miasta na prowincję, mijając tylko trzy radiowozy, kręcące się po mieście albo dopiero szykujące się do wyznaczenia posterunków kontrolnych.

Siergiej Wylichtewicz zsunął się w ciasną przestrzeń między kanapą a fotelami tak, żeby nikt z zewnątrz go nie dostrzegł. Dla zasady mierzył w bok dziewczyny, ale ta nie zdradzała skłonności do bohaterских czynów. Nie wierzyła do końca porywaczowi, ale wyraźnie wstrząsnęła nią jego opowieść.

– Jest pusto, wszystko śpi jeszcze. Możesz usiąść. – Dziewczyna kolejny raz okazała troskę. „Aman” zaryzykował. Wyprostował się na siedzeniu i zaczął masować zdrętwiałe ciało.

– Przyjemna wioska.

– Raczej miasteczko – poprawiła go dziewczyna. Trzymała kierownicę, pewnie biorąc zakręty opadającej w dół drogi. – Sporo ludzi z Krakowa.

Bogaci albo tacy, co mają dość hałasu i ścisku miasta – trajkotała trochę nerwowo, choć nieco już rozluźniona i coraz pewniejsza, że przeżyje. Wóz zjechał na sam dół zabudowanej doliny. Minął budynek poczty i kościół. Teraz zaczęli się wspinać na przeciwległe zbocze dolinki.

Wszędzie stały domy, a dokładniej mówiąc: wille z gankami i tarasami. Wszystkie wypiełgnowane, z cudnymi ogrodami, otoczone żywopłotami i najprzeróżniejszymi murami i ogrodzeniami.

Ponad działkami widać było zielone łąki, pocięte zagajnikami. Wspinały się po wzgórzach i ginęły w gęstszych lasach. Co rusz z ziemi wyrastała mniejsza bądź większa białoszara skała. Przez to pomieszanie nowoczesnych domostw, gór i dzikiej natury krajobraz czasem zdawał się surrealistyczny. Hipnotyzował jednak, urzekał i uspokajał.

Iwona skrzyła w bardzo ciasny tym razem zakręt. Siergiejem rzuciło nieprzyjemnie, kiedy podziwiał okolicę.

– Wybacz, nie chciałam. – Dziewczyna od razu zaczęła się kajać, obawiając się gniewu uzbrojonego faceta. Samochód wspinał się pod wysoką, zdawało się prawie pionową szosę, między ogrodzonymi poletkami.

– Gdzie ty mnie zabierasz? – Wylichtewicz przysunął się i złapał za zagłówek. Teraz i on był niepewny. Sądził, że spędzi kilka godzin w jednym z tych wielkich pałaców, które mijali. – To miał być dom?

– Spokojnie. – Kobieta uśmiechnęła się do lusterka. – Będzie dom. Lepszy. W starym stylu. Tutaj ci wszyscy bogacze poburzyli zabytki, ale ten się ostał. Wysoko na wzgórzu, w lesie. Daleko od centrum, jak to mówisz, wsi. Policja! – Spięła się nagle.

Na szosie, biegnącej przez pustą poloninę między domami, pojawiła się srebrno-niebieska kia. Siergiej na samo hasło dał nura za fotele, jeszcze głębiej niż przed chwilą. Ścisnął pistolet i nasłuchiwał. Iwona nieco zwolniła. Policjanci przyjrzeni się jej. Nie widywali często tego auta. Funkcjonariusz za kierownicą posłał uśmiech. Iwona odpowiedziała tym samym. Kontakt trwał jakąś sekundę.

– Już po wszystkim – odetchnęła. – Młode chłopaki, podwalają się do mnie. To znaczy podrywają, jak widzą tu przy sklepie albo na spacerze.

– Często tu bywasz?

– W miarę. Doktor to tata mojej przyjaciółki. Miał konie. Jeździliśmy po tych wzgórzach. – Wprowadziła wóz na o wiele gorszą drogę, znów wiodącą pod górę.

– Gdzie jesteśmy? – „Aman” wychylił głowę. Rzuciło nim, kiedy koła toyoty pokonywały trasę z piachu i kamieni. Ścieżka prowadziła przez szpaler brzoź, a potem przez wielką, zbitą masę lasu, który porastał wzgórze.

Kiedy byli w trzech czwartych wysokości, Iwona wdusiła hamulec i zaciągnęła ręczny.

– Co robisz? – Siergiej stał się niespokojny i rozglądał wokół, jakby zaraz miał spaść na nich atak.

– Myślałam, że dom teraz jest pusty... – Była zdziwiona i zatrwożona. Jej drżący palec pokazał fragment białej karoserii wystającej zza zieleni, tuż by bramie wjazdowej.

– Do ciężkiej cholery! – wycharczał Ukrainiec. – Wiedziałaś o tym, spryčiuło? – Drażniło go, że prawdopodobnie dał się zwieść ładnej buźce i paru zapewnieniom o zrozumieniu.

– Nie, przysięgam! – Obróciła się do mężczyzny, złożyła dłonie jak do modlitwy i patrzyła tymi okrągłymi, bliskimi płaczu oczyma. – Mieli wyjechać za granicę. Chyba do Włoch, ale...

– Ale są – dokończył Siergiej i uśmiechnął się, nie wiadomo czemu.

To wystraszone, proszące o zrozumienie spojrzenie zupełnie go rozbroiło. Uspokoił się i pozwolił sobie na optymizm.

– Pójdiesz przodem – wytłumaczył, już bez śladu wściekłości.

Iwona pokiwała głową.

– Ma broń?

– Nie wiem. Nie, to znaczy chyba tak. Mieszka w lesie, na wsi. Musi mieć... – jąkała się. Była zmęczona, tak jak Siergiej. Ukrainiec rozumiał.

– Podjedź bliżej, ale po cichu. Z dala od okna. Potem wejdiesz do domu. Nic nie kombinuj. – Dla zasady potrząsnął pistoletem. Dziewczyna znów skinęła głową i zwolniła ręczny hamulec. Koła zabuksowały i wóz wznowił wspinaczkę.

Iwona zaparkowała na półkolistym skrawku wydeptanej i zwiędłej trawy, przed samą bramą. Zgasiła silnik. Ogrodzenie było wiekowe, okryte płataniną olch i innych krzewów. Brama zespawana z kątowników i prętów mogła chronić przed zwierzętami, ale nie przed tymi, którzy polowali na Siergieja. Nie podobało się to Ukraińcowi.

Dziewczyna wysiadła pierwsza. Wylichtewicz był ostrożniejszy. Przyglądał się posesji i lasowi. Ptaki urządzały sobie głośny, wesół koncert, a prócz nich i lekkiego szumu wiatru niczego więcej nie było słychać. Samo miejsce było urokliwe i ciekawie, wręcz strategicznie umiejscowione.

Wiodła tu jedyna droga. Z drugiej strony, czyli od północy, było zadrzewione urwisko albo przynajmniej trudna do pokonania skała. Jej wierzchołek wychodził szeroką ciemną bryłą spod ziemi koło domostwa.

Przez konary starych lip obrastających gospodarstwo przebijały promienie słońca, odbijane przez dużą szybę na poddaszu domu. Sama konstrukcja była drewniana, na solidnej kamiennej podmurówce. Urokliwy wyjątek w architekturze wsi. Iwona miała rację, chałupa musiała być wiekowa. Unowocześniono ją tylko tą wielką taflą szkła i lepszym dachem.

– Idź! – polecił, wskazując na dom.

Chciał mieć za sobą tę poranną „prezentację”. Wykazałby się wielką naiwnością, gdyby uwierzył, że przybyli niezauważeni. Siergiej schował za plecy pistolet. Sięgnął po plecak i ruszył za dziewczyną do samych drzwi.

Od frontu było tylko jedno małe okno, dzięki czemu Wylichtewicz mógł pozostać w ukryciu. Iwona zaczęła gorączkowo stukać w drzwi. Długo czekali na jakąś reakcję, jakby gospodarze spali i byli zaskoczeni tym nieoczekiwanym najściem. Dopiero po kilku minutach i coraz mocniejszym waleniu pięścią dało się słyszeć kroki.

– Panie Gustawie, to ja, Iwona... Proszę otworzyć! – Dziewczyna krzyczała, prawie przykładając usta do drzwi.

– Iwona? – Głos mężczyzny za drzwiami był ospały i zdziwiony.

– Mam kłopot. Proszę otworzyć – nalegała.

Trzasnęła zasuwa zamka. Potem kolejna. Drzwi lekko się uchylły. Siergiej czekał na ten moment. Wyskoczył zza dziewczyny, pchnął ją do wnętrza tak mocno, że prawie przewróciła się wraz z gospodarzem. Mężczyzna krzyknął coś niewyraźnie. Wylichtewicz wycelował w niego pistolet i zamknął drzwi.

– Spokojnie! – zarządził.

Gospodarz opierał się o framugę przejścia do jadalni. Był dość wysoki. Wyraźnie zarysowywał mu się odstający lekko brzuch, ale jegomość wydawał się silny. Mimo wieku, który Ukrainiec oceniał na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, stwarzał zagrożenie. Miał zmierzwiłone, szpakowate włosy i opaloną, ostro zarysowaną twarz. O poranku był ubrany w lniane spodnie i o dwa numery za dużą koszulkę z długimi rękawami.

– Skurwielu! – wystękał, kiedy minęło pierwsze zaskoczenie. W przypiływie wojowniczego zapału, wywołanego obowiązkiem obrony domu, postąpił krok. Uniósł nawet pięść, ale gość wycelował lufę broni w sam środek nosa gospodarza.

– Panie Gustawie, nie! – Iwona doskoczyła do mężczyzny, rzucając się na jego tors, bliska płaczu. Wyglądało to trochę jak scena z kiepskiego filmu.

– Czego chcesz? – Gustaw gapił się w oczy Siergieja z nieskrywaną żądzą mordy.

– Przeczekać. Nic wam nie zrobię. Iwona o wszystkim wie, rozumie moją sytuację.

– Więc po co ta spluwa, do cholery? – Gospodarz z wściekłości prawie nie poruszał ustami, zaciskał mocno żuchwę.

„Aman”, jak upomniany przez starszego smarkacz, odruchowo opuścił rękę.

– On musi. Oni go ścigają. Panie Gustawie, jemu naprawdę grozi śmierć. Pan pewnie nie słyszał. Niedaleko ronda mogińskiego. Strzelali do niego... W wiadomościach było, w telewizji i necie. To znaczy w Internecie. – Przełknęła ślinę i spojrzała na Siergieja, szukając u niego czegoś w rodzaju akceptacji. Ukraińiec nie zareagował, tylko patrzył na Gustawa.

Dziewczyna zaczęła opowieść. Szybko i chaotycznie, ale z pasją świadczącą o tym, że daje jej wiarę.

– Straszne rzeczy! – skwitował Gustaw, kiedy zamilkła. Nie było w tym stwierdzeniu współczucia i zrozumienia.

– Chcę tylko przeczekać. Odpocząć. Potrzebowałem transportu, jakiejś osłony. Wiem, że nie powinienem was prosić o pomoc, ale jestem jak łowna zwierzyna.

– Wtargnąłeś do mego domu. Co mam według ciebie zrobić? Rozplakać się i pokłonić? – Gustaw pochylił się, przekręcając głowę, i znów zacisnął pięści.

– Nie, po prostu... – Wylichtewicz stracił zdolność logicznego ripostowania. – Gdzie żona? – warknął ostrzej, jak na bandziora przystało.

– Słucham?

– Podobno mieszkasz tu z żoną. Mieliście być za granicą. – Siergiej chciał wyjaśnić. Gustaw rzucił dziewczynie zde gustowane spojrzenie.

– Mieliśmy wyjechać, ale siostra... siostra żony jest chora. Trzeba było się nią zająć. Wyjechała. Będzie pojutrze.

– Tak długo tu nie zabawię – zapewnił Ukraińiec. – Piwnica? Jest tu piwnica? – Tupnął nogą.

Iwona zamarła. Wiedziała, że stoją na wejściu do niedużej kamiennej komory wykutej w skale, ale nie zamierzała więcej sprawiać zawodu panu Gustawowi.

– Skoro nie możemy się dogadać, muszę was zamknąć. – Wylichtewicz tracił miłe usposobienie. Pociągnął za dłoń Iwonę. Ta krzyknęła zaskoczona. Zimna lufa broni przywarła do jej głowy. Siergiej nie miał wyjścia. – Gdzie piwnica?

– Widzisz, Iwonko, jak to jest z bandziorami... Jeszcze ze wschodu.

– Rusz się, człowieku! – syknął Ukrainiec. Kręciło mu się w głowie. Korytarz był ciasny i duszny. Zbyt wiele energii kosztowały te słowne przepychanki. – Piwnica! – Wylichtewicz rozluźnił chwyt. Oparł się o ścianę i zaczął osuwać się na ziemię. Gustaw wyczuł okazję. Zrobił gwałtowny krok. Siergiej ostatkiem sił wyprostował ramię i wypalił z pistoletu w lustro pod drugiej stronie. Huk ogłuszył wszystkich. Szkło posypało się z ledwo słyszalnym w tym hałasie brzękiem.

– Nie prowokujcie mnie.

Iwona zaczęła płakać.

– Ja nie chcę, on jest ranny. Postrzelili go – piszczała w hysterii.

„Aman” usiadł na ziemi. Oddychał ciężko. Nie miał siły trzymać pistoletu. Gustaw pochylił się ostrożnie i sięgnął do porwanej bluzy, cuchnącej jak cały jej właściciel. Chciał sprawdzić opowieść, którą usłyszał, albo obudziło się w nim zawodowe powołanie.

– Jestem lekarzem. Nie wiem, czy Iwona ci mówiła. Pracuję w gminnej przychodni – mówił wolno, jak do obłąkanego. Zsunął połę kurtki, rozpiął zamek brudnej bluzy i podwinął koszulę. Na boku zobaczył płytką, podłużną ranę, ubrudzoną błotem i zakrzepłą krwią. Zranienie nie wystraszyło doktora. Bardziej ciekawiły go długie, dość świeże jeszcze blizny na żebrach i klatce piersiowej. – Byłeś operowany? Tu w Polsce?

– Tak – szepnął Siergiej, czując suchość w ustach. – Mówiłem, jestem żołnierzem, oficerem wojsk specjalnych. Potrzaskało mi nogi. Odłamek przebił żebra. Perforacja płuca. Zapadnięcie się lewego. Odłamki kostne... – pośpiesznie wyliczał to, co pamiętał. – Boli jeszcze, jak się zmęczę. A ostatnio – zaśmiał się nerwowo – miałem trochę chodzenia. Byłem w Proszowicach, panie doktorze – dokończył, walcząc ze słabością.

Gustaw otworzył szerzej oczy. Zastanawiał się, czy ten zwrot to oznaka szacunku, czy objaw majaczenia.

– Nic ci nie będzie. Iwona, podaj torbę... – Wskazał kciukiem za siebie. Dziewczyna złapała obły sakwojaż. – Zagotuj wodę – dyrygował lekarz. –

Trochę cię obmyjemy, a potem opatrzymy.

Zarzucił ramię Siergieja na swoją szyję i z trudem podniósł rannego. Z trudem przecisnął się przez wąską długą kuchnię do łazienki. Iwona przyniosła jakąś miskę. Pan Gustaw odczekał, aż woda wystygnie, i zaczął zrywać ręcznikiem najgorszy, zaschnięty bród. Potem zmył to, co pozostało, i polał obficie ranę spirytusem. Nałożył maść z antybiotykiem, po czym wygrzebał największy opatrunek, jaki miał w torbie. Następnie zajął się ręką.

– Wybacz, tylko tyle mogę zrobić. W przychodni opatrzyliby to lepiej. Nie mam zbyt wielu opatrunków. Jestem lekarzem od kataru i grypy...

– Dziękuję. – Siergiej skinął głową, chyba zawstydzony swoim wcześniejszym postępowaniem albo tym, co miał zamiar dopiero zrobić.

– Jesteś żołnierzem? – Gustaw chciał się raz jeszcze upewnić. – Biłeś się z tymi skurwielami? Z ruskimi?

– Tak. – Wylichtewicz pomacał opatrunek. Siedzenie na podłodze i opatrzenie rany dodały mu nieco siły. Uspokoił się trochę. Podparł się i zaczął wstawać. – Biłem się pod Kijowem. Jeszcze w marcu... Ale żeśmy ich tam nasiekli. – Uśmiechnął się dumnie.

– Gratuluję. – Wydawało się, że lekarz dopiero teraz przekonuje się do nieproszonego pacjenta. Wytarł dłonie i zaczął chować medykamenty. – Musisz o tym opowiedzieć, jeżeli to nie...

Nie dokończył. Cios rękojeści pistoletu spadł na tył jego głowy. Iwona krzyknęła.

– Spokój! – powtórzył z trudem Siergiej. – Nic mu nie będzie. Porządny facet, ale będzie robił problemy. Kilka godzin... Potem mnie zabiorą i to wszystko się skończy.

Iwona jednak trzymała dystans, gubiąc się w rozważaniach o tym, w co właściwie wdepnęła.

– Jesteś zły.

– Może tak... Ale nie na was. Nie na ciebie – odparł Siergiej. Każda taka pełna emocji afera wysysała z niego moc. – Wiesz, gdzie piwnica? –

Dziewczyna niechętnie skinęła głową.

– Dobrze. Otwórz ją. – Machnął pistoletem niczym dyrygent batutą. – Skorzystaj z łazienki, weź wodę. Trochę tam posiedzisz z panem doktorem. – Iwona zaczęła kręcić przecząco głową. Łzy popłynęły jej po policzku, ale Wylichtewicz nie zwracał uwagi na jej histerię. Znów machnął pistoletem, a potem wyciągnął telefon Iwony z kartą od Benka. Wybrał jedyny zapisany numer. Czekał długo, ale nikt nie odebrał.

*

Kolejny już dzień zapowiadał się nienaturalnie gorący. Około godziny szóstej rano można było poczuć, że powietrze szybko się nagrzewa. Szeroka plama cienia, okrywająca lasy niedaleko podwarszawskich Marek, dawała jeszcze możliwość odetchnięcia przed nadchodzącym, długim i ryzykownym dniem.

Pułkownik Krzysztof Zydelski siedział na miejscu pasażera w ciemnogramatowym SUV-ie, bmw X3. Powinien wciąż być zmęczony po zaledwie trzech godzinach odpoczynku, ale adrenalina i niepokój napędzały go do działania. Zdołał się ubrać w ciuchy, które nosił trzeci dzień z rzędu: garniturowe spodnie i kremową koszulę. Uniwersalny, nijaki strój na spotkania z przełożonymi i do działań. Nic wyszukanego, a przy tym wygodny kamuflaż.

Siedział teraz jak na szpilkach, wiercąc się i popijając kawę. Przez uchylone okno słuchał świergotu ptaków. Tej sielanki dzikiej natury nie zakłócał żaden obcy odgłos wywołany przez działanie człowieka.

Zydelski nie potrafił jednak cieszyć się otoczeniem i krótką pauzą w stresującym życiu. Wlewał w siebie kawę z baru szybkiej obsługi i układał plany na najbliższe godziny. Plany zaś uzależniał od tego, co przyniosą tajne spotkanie i negocjacje, odbywające się gdzieś przed nim, w leśnych zakamarkach.

Tkwiał tak dobre pół godziny. Wtedy to zza drzew przebił się gang zapuszczanego silnika. Był daleki, ale wyraźny na tle spokojnego poranka. Kilka chwil później z gęstwiny wyszedł młodszy nieco od Zydelskiego

mężczyzna o uważnych oczach. W dawnych czasach ten ciemny blondyn był przezywany przez niektórych „Rudy”.

Pułkownik Filip Jaszczewski miał pseudonim „Topaz”. Pasował do lasu jak pięść do nosa. Włożył spodnie w kant, koszulkę polo i marynarkę oraz skórzane buty ponad kostkę. W każdych okolicznościach trzymał fason przynależny oficerowi agencji wywiadu, czyli postaci, która nieraz musiała grać zawodowego dyplomatę i działać zgodnie z zasadami protokołu. Jedną z nich dotyczyła był stroju odpowiedniego dla sytuacji. A sytuacja była niecodzienna i skomplikowana.

Oficer podszedł do wozu i zaczął zdejmować marynarkę. Nie byłby zawodowcem, gdyby nie wykorzystał tej chwili na upewnienie się, że nie przygląda mu się nikt, kto mógłby stanowić zagrożenie.

– Ładuj się! – Zydelski nie wytrzymał i krzyknął, pochylając się, by otworzyć drzwi. Powinien być tak ostrożny jak Filip, ale oczekiwanie zbyt wiele go kosztowało. – Co będzie u twoich kolegów? – przeszedł do sedna, gdy tylko Jaszczewski zasiadł za kierownicą.

– Jak z tego wybrnę?

– Błagam, tylko bez dramatów. – Zydelski złożył dłonie jak do modlitwy.
– Ludzie czekają, czas ucieka...

– Krzysiek, do cholery! – Kierowca przekręcił się w fotelu i pochylił. – Ciągłe nie rozumiesz, a mnie to przeraża. Żeby pogadać z kontaktem w ich ambasadzie, użyłem łączności alarmowej, której używam na wypadek zamachów albo wojny!

– Wiem, rozumiem, doceniam. Przepraszam. – Zydelski udał, że bije się pięścią w pierś.

– I to dla kogo? – Filip nie kończył wyrzutów. – Dla formalnego emeryta. Firma powinna mnie wziąć za dupę! Dla kogo ty teraz właściwie robisz? – postawił zasadnicze pytanie, ale odpowiedzią było milczenie i wymowny wyraz twarzy Zydelskiego.

– Nie frapuj się, młody... – „Emeryt” pozwalał sobie czasem na patriarchalne podejście. – Górze zameldujesz, że wy wpadliście na trop.

Zresztą minister wszystko wie.

– Wie, a może i nie wie – skwitował kierowca. – Struktury legalne nie mają pojęcia, co się wyprawia.

– Dlatego przychodzę do ciebie. – Krzysztof podniósł teraz głos. – Do zaufanego oficera, który nie umieści mojej prośby w notatce, raporcie ani nie pobiegnie do szefów. Rozumiesz?

– Resztę załatwię, ale generalnie ma być cisza. – Cmoknął i napił się kawy, udając, że go interesuje widok drzew.

– Potrzebowałem ciebie – zaczął Zydelski po chwili, spokojniej – bo masz wejście do pejsatych. Znają cię, pracowałeś na piasku. Syria, Irak, afera z Sudanem^[6]. Znają cię, lubią...

– Tylko się wystawiam, nie wiem po co, na widok. A trzeba mi już myśleć o emeryturze.

– Nie pieprz, bo słabo się robi – zażądał Krzysztof. – Zwariujesz? To tak jak ja. Mamy to we krwi...

– Dlatego wcale nie oszczędłeś.

– Mówisz, że to kanał specjalny? – Zydelski puścił personalną wycieczkę mimo uszu. – Na grube tematy? Jeżeli nie pomogą, to będzie grubo. Właściwie już jest. Kilku zabitych, jakaś rusko-ukraińska afera i brakuje dwóch ludzi, którzy byli pod naszą opieką. Jeżeli to nie kryzys albo początek kryzysu, to nie wiem, co nim ma być.

– Do tego wszystkiego jakiś świr ze zwichrowaną psychiką poprosił o pomoc izraelskiego nielegala – odpowiedział Filip, chyba naprawdę wierząc w to, jak sprawę przedstawił kumpel.

– No więc? – Zydelski postukał palcem w drzwi. – Pobudka. Co powiedział rabinowi?

– Co? A tak. Jeden rabin powie tak... Drugi rabin powie inaczej – Jaszczewski nie mógł się powstrzymać od przypomnienia starego dowcipu. – Generalnie... Wypierał się, ale wyjaśniłem, że wiemy o tym waszym Benjaminie Farberze. Że przeszukamy i jak coś znajdziemy, będziemy musieli wydalić. No, ale nie musimy niczego znajdować. Zresztą,

z tego co mówiłeś, ten restaurator to był człowiek do specjalnych zadań albo pracował z doskoku. Nie będziemy cisnąć kogo i gdzie od naszych „szczypał”. Na pewno już likwidują kontakty.

– Filip, do rzeczy. Nie mam czasu! – Pułkownik ponaglił rozmówcę, pocierając twarz.

– OK. – Jaszczewski złapał kierownicę i wyprostował się. – Propozycja była taka. Opuuszczamy Benka. Nawet sobie może żyć w mieście przodków. Nie będzie afery. W zamian mają pomóc go znaleźć. Safe house, łączność, telefon i takie tam...

– Jak znam życie, to wywindowali cenę? – przerwał Krzysztof.

– Dobrze znasz życie. – „Rudy” zaśmiał się. – Dlatego to tyle trwało. Mój kolega dyplomata nagle sobie zaczął przypominać. Ty wiesz, co? Przyznał, że zastanawiali się, czy nie poszukać kontaktu z ruskimi i nie dać go w prezencie.

– Ja pierdołę! – Zydelski zamarł, siedząc z zaniepokojonym spojrzeniem wbitym w kumpla.

– Nie oceniaj, nie dziw się – odparł mu po mentorsku Filip, jak przystało na znawcę bliskiego wschodu. – Rząd znów mniejszościowy. Decyzja o wyborach może zapaść w każdej chwili. Potrzeba ruskich głosów. Poza tym moskiewskie imperium pada na pysk, ale grozi rozróbami w Syrii, więc Tel Awiw musi obchodzić się z nimi jak z jajkiem. Mają jeszcze kilka tysięcy ludzi w kontyngencie pod Damaszkiem.

– No, ale popisałeś się opanowaniem, erudycją, sztuką przekonywania i...

– I okazało się, że byliśmy pierwsi. Albo to była tylko gra pode mnie i Żydom też głupio było handlować ze wschodem. Mogli go przejąć, rozpatrzyć problem, a i tak by go zwerbowali.

– Może jednak spryculie wiedzą, że moskał słaby, dociskany przez nas i Amerykanów. – Krzysiek myślał na głos.

– Niemniej jednak... Wspomniałem o ludziach, którzy mają polować na naszego, to znaczy twojego, zbiega. Przekazałem im tyle, ile mi

powiedziałeś, albo i jeszcze mniej. Że ściągną wschodnich, co to przeszli granicę na Bugu, jeszcze zanim awantura się zrobiła. Arabowie szkoleni gdzieś w Iraku, Syrii a potem przestawieni do ruskich...

– Zgadza się. – Zydelski skinął głową. – A oni co na to?

– Wyrazili zainteresowanie. Tak jak przypuszczałeś. Chcieliby wiedzieć więcej o naszych tropach. Skoro Arabusy przeszły, a o nich wiemy, mamy to połapane. Mój znajomy to rozumiał.

– I?! – Zydelski robił się niecierpliwy.

Filip sięgnął do marynarki i podał kartkę kumpłowi. Krzysztof prawie ją wyrwał z jego dłoni i od razu przeczytał.

– Jesteś wielki! – Uśmiechnął się. – Ale skąd facet w ambasadzie miał...

– Skurwiel wiedział, że ktoś się zgłosi – odparł Jaszczewski. Jak go wyrwałem ze snu, wiedział, o czym będziemy gadać. Ten cały Benek podał jakiś sygnał alarmowy i góra wiedziała, że po nim.

– I ten numer kosztował nas kilka życiorysów „uchodźców”? – zapytał z lekkim niesmakiem Krzysztof.

– Dałem słowo. Ale mamy im dać wszystko, co wiemy o powiązaniach ruskich szuszwoli z bliskim wschodem. Tam wojna się nie kończy. Mają kilka nazwisk i zdjęć, które ich interesują. Wiedzą, że źli koło ich „podwórka” mają wsparcie Kremla, ale chcą się upewnić. Rozrysować to sobie. Bądź przygotowany na to, że kilku przejmą i poprowadzą sami. – Nie był uradowany tego rodzaju sukcesem. – Jeżeli któryś z cyngli z ruskiej siatki będzie ich interesował, a jakimś cudem przeżyje...

– Tak, rozumiem. – Zydelski przygryzł usta. Wiedział, że każdego „jeńca” ma oddać cichemu sojusznikowi, a tym samym pozbyć się cennego źródła. Rozumiał, co trzeba zrobić.

– I nic nie kombinuj! – Filip pogroził palcem, jakby czytał w myślach Zydelskiego. – Jak podpadnę, to się do mnie nie odezwą. A pojechałbym sobie jeszcze kiedyś na wycieczkę do Jerozolimy. Poza tym, jak się nie wywiążemy, znów będzie jakiś atak prasowy z oskarżeniem o całe zło i wszyscy dostaniemy po głowie od politycznych.

– Dobra, dobra, będę grzeczny. Dzięki, Filip. Dupę mi ratujesz. – Pułkownik podał dłoń, wyraźnie już rozluźniony.

– Nie ma za co. Wiesz dobrą kolację. – „Rudy” wzruszył ramionami, jakby takie rozmowy o świcie były dla niego codziennością. – No i masz mnie osłonić przed ministrem i komisją.

– Co do pierwszego – Zydelskiemu mocniej zaświeciły się oczy – nie ma problemu. Co do drugiego... Zredagujemy to tak, że to oficjalna akcja, z wielkim sukcesem.

– Aha... – Filip nie zdradzał optymizmu. – Na razie masz tylko numer. – Podniósł palec wskazujący. – Może znajdziesz faceta. Ale jak, do cholery, zepniesz wszystko inne?

– Kurwa! – Zydelski zaśmiał się i wbił zęby w wargę. – Rewelacyjnie nie jest. No, ale nigdy nie było. Zresztą mam kogoś, kto uwielbia główkować.

– Ta, chyba wiem, o kogo chodzi. – Filip zapuścił silnik. – Boże Świąty! Jeszcze powiedz, że i Konrad z tobą pracuje. On też miał być emeryt. Co tu się odpierdala?! – Pokręcił głową i ruszył. Musiał jeszcze podrzucić Zydelskiego do jego auta.

ROZDZIAŁ 8

Konrad Wigler stał na balkonie domu będącego kwaterą jego niewielkiego zespołu. Pił kawę, chłonąc widok budzącego się dnia. Było już ciepło. Słońce blado-żółtym kolorem podkreślało piękno krajobrazu. Malowało długie smugi na tle wysokich lip i jodeł otaczających posesję. Jego promienie odbijały się od okien okolicznych domów jaskrawymi refleksami. Świat tu, na tym skrawku miasta, wydawał się przytulny i pozbawiony problemów. Nawet rvetes budzącego się dnia nie był uciążliwy, jakby dzielnica była osobną wyspą.

Wigler potrafił korzystać z tych ulotnych przerw w pracy. Ładował baterie, oczyszczając umysł z natłoku myśli o sprawie i jej bohaterach. Rozpędzony mózg pracował na wysokich obrotach i nie dawał się wyhamować, wciąż kreował lepsze lub gorsze wizje przyszłości. Tak działał Wigler. To okropnie wycieńczało, choć początkowo tego nie czuł. Dlatego sięgał po chemię, która odganiała sen i wspomagała mózg.

Lubił biegać, napawać się bliskością przyrody. Lubił ćwiczyć. Dbał o kondycję coraz starszego ciała, regenerował także głowę. Wietrzył ją, by mogła działać. Będąc pod presją, nie potrafił swobodnie myśleć.

Ulicą nadjechał czarny bus. Stanął przy bramie.

– Już są... – Hubert wyszedł na balkon.

– Widzę. Już idę. – Konrad niechętnie odstawił kubek.

Zbiegł po schodach i przeszedł przez salon. Major Walery Karpem drzemał na sofie, ale na widok polskiego oficera oprzytomniał.

– Coś nowego? – zapytał i natychmiast wstał. Starał się być pomocny i uprzejmy.

– Mamy wsparcie, panie majorze.

Ukrainiec tylko przełknął ślinę, rozumiejąc, że sprawa, którą mają razem wyjaśnić, nabiera rozmachu.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do willi weszło sześciu rośli młodych mężczyzn. Wyglądali jak turyści na wycieczce albo zwykli pracownicy korporacji w drodze do pracy. Byli podobnego wzrostu, wytrenowani, maskujący muskulaturę większym rozmiarem ubrań. Nikt nie nosił się po wojskowemu. Dźwigali sportowe torby, pełne sprzętu, który miał się przydać w polu. Zaczęli wylewnie witać się z obstawą Wiglera. Znali się. Pracowali razem często i wywodzili się z jednego miejsca. Czasem kończyli ten sam kurs lub byli z tego samego rocznika. Tyle tylko, że ludziom Wiglera nie wolno było mówić, dla kogo właściwie pracują. Przyjezdnym zaś nie wolno było pytać. Znow oficjalnie była to akcja specjalna którejś ze służb.

Dowodzący miał trzydzieści pięć lat i ciemne, sięgające karku włosy. Był poważny i skupiony. Lustrował pomieszczenie oraz zebranych w nim ludzi.

– Kapitan „Gonzales”. – Przedstawiając się pseudonimem, stał w pozycji przypominającej zasadniczą. Nazwisk z reguły nie podawano, zwłaszcza przy obcych. Karpem patrzył z ciekawością, czekając na ciąg dalszy.

– Powitać. – Wigler uśmiechnął się i pośpieszył z wyciągniętą ręką. – Cieszę się, że jesteście, panowie. Mamy nieco czasu, więc rozgośćcie się. Wiecie, o co chodzi i jak wygląda sytuacja. Jestem Konrad. Dowodzę tym burdelem.

Potem przedstawił resztę, choć z kilkoma ludźmi „Gonzalesa” już miał okazję współpracować. Zaprezentował milczących w zakłopotaniu Ross i Bartusza. Dziewczyna prawie oniemiała, wstrząśnięta rozmiarem akcji, którą dowodził jej nowy mentor. Konrad podobał się jej coraz bardziej, z godziny na godzinę.

– To pan major Walery Karpem. – Wskazał na Ukraińca. – Zaprawiony w boju weteran. Jest naszym konsultantem. Mieliśmy jeszcze jednego, ale pan pułkownik po prostu się zerwał. Szuka naszego zbiega na własną rękę albo... – Wahał się mówić o tym na głos, ale uznał, że Karpem myśli na

pewno podobnie. – Zmienił stronę. – Nie zrobiło to na nikim wrażenia. Ci mężczyźni obcowali z największymi tajemnicami, o których żaden śmiertelnik nie mógł się dowiedzieć.

Konrad zrobił gest zachęcający, by operatorzy rozsiedli się na dwóch wielkich, narożnych kanapach w środku salonu.

– Facet zbiegł – przypomniał. – Jest dobry. Zaprawiony w walce, jak pan major. – Skinął na Walerego. – Ci, którzy go ścigali, prócz nas oczywiście, są gorsi. To najemnicy. Zazwyczaj po wojsku, jakichś oddziałach AT. A teraz... są martwi. – To obwieszczenie zrobiło wrażenie na gościach. Milczeli, patrząc na niego, nieco chyba zdziwieni, że trafia im się takie zadanie na własnej ziemi.

– Generalnie zrobiło się zamieszanie. Media wahały, ale to zablokowaliśmy. Takich karków do wynajęcia na strzelaninę może być więcej. Naszym zadaniem jest ukrócić to wariactwo, zanim zrobi się naprawdę źle, zanim urządzią sobie jakąś otwartą bitwę i zaczną cierpieć cywile. Na razie zginął jeden. Kobieta. Moim zdaniem przypadkowa ofiara. Naszą koleżankę z zespołu też poturbowano, ale nic jej nie jest – wyjaśnił. Walery drgnął nerwowo, drapiąc się po głowie, jakby wszyscy na niego teraz patrzyli, uznając za winnego.

– Panowie – Wigler tłumaczył dalej – jest ostro. Czas nas goni. Tyle tylko że nie mamy punktu zaczepienia. Cel się ukrył. Istnieje jednak pewna opcja. Nie będę wchodził w szczegóły. – Unikał zdradzania informacji o izraelskim nielegale. W kieszeni zawibrował mu telefon. Tak jakby wszystko było wyreżyserowane i w punkcie kulminacyjnym nadchodziło rozwiązanie.

– Hubert... – Pułkownik skinął na zastępcę, przekazując prowadzenie odprawy. Odebrał telefon i przeszedł prędko do innego pomieszczenia.

– Zgodzili się? – szepnął.

– Tak – odparł z ulgą Zydelski. – Duży handel odstawiliśmy za naszego uciekiniera. Kilku fagasów trzeba będzie odstąpić do ciepłych krajów. – Nie wchodził w szczegóły rozmów z przedstawicielem izraelskiej ambasady. – Ale tak trzeba. To już polityka, mój drogi.

– Co masz? – Konrad przerwał mu niecierpliwie. – Numer? Tylko tyle?

– Uspokój się – zrugął go Zydelski. – To bardzo dużo. Nie zaprzeczyli i dali kontakt. Uruchomiłem półoficjalny kanał. I dałem już numer naszym omnibusom od komputerków. Gospodarstwo szuka logowania i sygnału. Pewnie gnojek coś pokombinował. A może i nie? Jest zmęczony, w potrzasku, komuś musi zaufać. No nic, czekaj na informacje. Łączność się odezwie. Trzymaj się i powodzenia. A posiłki, dotarły?

– Tak – skwitował krótko Konrad

– Doskonale. Masz szanse...

– Poczekaj. – Wigler miał jeszcze sprawę do Zydelskiego. – A co z resztą? Nawet jak mi dostarczą lokalizację, jak włączyć resztę do działania. To znaczy drugą stronę. Nie mam wyjścia na nich. Nie wyślę im SMS-a o ustawce...

– Konrad, od czego cię mam? Taki łebski nasz Holmes. Użyjemy wejść w ich siatce. Na razie ich znajdź, potem coś wymyślimy.

– Powiedz jeszcze, jak z Adamem? – dorzucił Konrad, przypominając sobie o Thomali.

– Wyjdzie z tego. Głowa pokiereszowana. Coś z nogą, ale będzie OK. Pamiętaj – dodał tonem surowego przełożonego – na naszego człowieka się zasadzili. Muszą dostać za swoje. Trzymaj się! – Odłożył słuchawkę.

*

Mychajło Lajewski drzemał na krześle, z nogami na dwóch wiadrach farby. Budził się co chwila i patrzył przed siebie na widok za szklanymi drzwiami obciążonymi folią ochronną. Słońce wisiało już wysoko. Ptaki przestały tak hałasować, ale w dzielnicy niewiele się działo. Dekkańczyk miał rację, okolica przypominała opustoszałą wieś.

Ukrainiec spojrział na zegarek. Było pół do siódmej. Pułkownik uznał, że może pospać, przynajmniej jeszcze z godzinę. Pomylił się.

Szyfrowany telefon na podłodze odezwał się znów. Jego dźwięk otrzeźwił oficera.

– Jestem – powiedział. – Ale jak? – Nie zrozumiał tego, co słyszy. Wtedy też spostrzegł szarą, rozmazaną sylwetkę, która pojawiła się w kącie drzwi do ogrodu.

– Widzę. – Mychajło zakończył połączenie. Wyciągnął glocka i schował za plecy. Upewnił się, że nikt nie czyha za jego plecami, nie wyczekuje przy frontowym wejściu, ani nie wkradł się na piętro. W domu było absolutnie cicho. Zdawało się, że bezpiecznie.

Lajewski ostrożnie przeszedł do szklanej ściany. Trudno mu było odbezpieczyć klamkę i przeszklone drzwi jedną ręką. Facet, który pojawił się w blasku porannego słońca, był wyższy od niego. Mężczyzna miał czarną, nie za długą brodę i mocny kark. Barwa skóry sugerowała że pochodził gdzieś z południa, ale niezbyt dalekiego. Nosił naciągniętą głęboko czapkę z daszkiem. Granatowa koszula zakrywała mocne ramiona i mięśnie. Mężczyzna był wielkoludem, stereotypowym przykładem człowieka od bicia w mordę. Mógłby być wykidajłą w podrzędnym lokalu. Lajewskiemu wydawało się, że przybysz emanuje pogardą.

– Dzień dobry. Piękny dzień – powiedział po rosyjsku, patrząc na niebo.

Mychajło zaczął nawet układać sobie plan obezwładnienia przybysza. Brodaty robił wrażenie silnego, ale był zbyt zwalisty i chyba powolny. Pułkownik uznał, że załatwiłby go w kilka chwil. Czas mijał, a gość nie uczynił żadnego niebezpiecznego ruchu, więc Lajewski zaczął się uspokajać. Tyle że za ulgą przyszło przemyślenie, że kadry, mające przyjść mu na odsiecz, są dość marnej jakości.

– Rozmawiamy tutaj? Gdzie reszta? – spytał pułkownik. Gość rozejrzał się ostentacyjnie, rozkładając wolną rękę.

– Jedziesz ze mną – powiedział Arab (albo mieszkaniec Kaukazu). – Szefowa czeka. Pięć minut drogi stąd. Oddaj broń. – Polecenie było stanowcze.

– Chyba kpisz! – Lajewski nie zamierzał się mu poddawać.

– Nie mamy czasu. – Wielka łapa brodacza wyciągnęła się po pistolet. – Mógłbym cię tutaj ukatrupić. Rozkaz mam taki.

– Czyli mi nie ufacie? – przerwał mu pułkownik.

Wielkolud nic nie odpowiedział. Mychajło wazył chwilę za i przeciw, gapiąc się w tępawę oczy brodatego. Nie miał ochoty wdawać się w bijatykę. Z drugiej strony chciał mieć to wszystko za sobą. Z ciężkim westchnieniem zabezpieczył glocka i wręczył tamtemu.

– Jedźmy... – Zdjął kurtkę, czując, jak robi mu się gorąco.

Wóz brodacza był podobny do właściciela. Pick-up marki Dodge, czarny z chromowanymi elementami, duży i rzucający się w oczy. Mychajło wsiadł i zapadł się od razu w fotel pasażera. Trzymał się nisko, wiedząc, że w oknie tego potwora będzie dobrze widoczny. Nie podobało mu się to wszystko. Na szczęście podróż nie trwała długo. Góra pięć minut dość szybkiej jazdy.

Wyjechali na obwodnicę obudowaną salonami samochodowymi, magazynami i marketami. Miasto się obudziło, ruch był normalny. Czarny pick-up zaczynał ginąć w tłoku. Kierowca był pewny siebie albo przygotowany jak należy. Wiedział, dokąd ma jechać, i nie marnował czasu na lokalizację GPS lub przyglądanie się znakom.

Wyjechali na starą drogę prowadzącą do Trzebini. Miejscem docelowym był lokal, z takich, które trudno odnaleźć na mapach. Zbitą z desek parterową budę na klepisku zdołał malowany ręcznie, wyblakły szyld. Napis informował, że był to bar, choć Lajewskiemu przypominał kurnik.

Na placu stało kilka nienowych ciężarówek, które chyba już wrosły tu w ziemię. Ich potwór zaparkował za tymi „zabytkami”. Były tam jeszcze dwa osobowe wozy. SUV marki BMW i niewielkie miejskie auto na warszawskich numerach.

Obydwaj mężczyźni wysiedli. Plac był pełen nieużywanych budynków przemysłowych. Pobliską drogą czasem przejeżdżał samochód, więc Ukrainiec znów pomyślał, że do końca nie może czuć się bezpiecznie.

– Tam. – Brodaty wskazał wejście do obskurnego budynku. Pułkownik spał się i ruszył niechętnie. Wnętrze było równie brzydkie jak front. Drewniane deski ścian były brudne od tłuszczu. Zdołało je kilka landszaftów, drukowanych na zwykłym papierze, i dwie lub trzy półeczki

ze sztucznymi kwiatami. Salkę wypełniało kilka okrytych ceratą stolików, przy których zasiadła milcząca czwórka atletów. Dalej była lada z lodówką i półkami napitków. Starsza pani za kontuarem także przypominała muzealny eksponat. Nosiła fartuch bez rękawów, narzucony na ubranie. Miała trwałą i mocno umalowane oczy. Przypominała emerytkę, która nudzi się w domu od samego rana. Na widok kolejnego klienta bardzo się ucieszyła.

– Dzień dobry – powiedziała do Lajewskiego. – Co ma być? – Nie zrażał jej nieco niecodzienny, ubrudzony strój gościa. Widać przywykła do klienteli z okolicznych warsztatów.

– Kawę... Czarną kawę. – Mychajło się uśmiechnął. Dopiero wtedy spostrzegł, że ciemnym kącie po lewej siedzi całkiem urodziwa kobieta. To jej pilnowała pozostała czwórka bysków, podobnych do tego, który przywiózł Lajewskiego.

– Rozumiem, że z panią mam rozmawiać. Dzień dobry. – Pułkownik podszedł do Quadiry i podał rękę. – „Karim”, jak mniemam?

– „Karim”, a obecnie „Roger” – wyjaśniła. – I proszę bez pięknych słówek. Nie mam na to czasu ani ochoty.

– Tak sądziłem. – Lajewski uśmiechnął się jeszcze szerzej. Rozumiał, że do tej roboty trzeba pewnych siebie kobiet, prawie męskich w działaniu, pozbawionych zbędnych emocji.

– Ja jestem...

– „Drozd” – dopowiedziała dziewczyna.

– Zgadza się. – Lajewski skinął głową i zamilkł. Bufetowa przyniosła kawę w ordynarnej szklance z koszyczkiem. Wody nalała po sam brzeg i bardzo starała się, by nie uronić ani kropli.

– Pięknie dziękuję! – odparł Mychajło. Starsza pani wróciła do siebie i chyba żeby umilić pobyt gościom, włączyła telewizor wiszący w rogu za ladą.

– Macie tu jakiś tajny skansen? – Ukrainiec rozejrzał się wymownie.

– Nie podoba ci się, chochole^[7]? – rzuciła Quadira z obrzydzeniem. – W tym waszym syfie jest bardzo podobnie.

– O! – Mychajło udał zdziwionego. – Pani chyba też nie Rosjanka? Ale broni swoich panów. Szkolili cię ruscy, widać, że dobrze. Lojalna jesteś. Tyle że oboje mamy tych samych szefów, a pracujemy na zachód od nich, nie? U nas częściej takie widoki – dyskretnie wskazał bar – od których uciekamy.

– Będziesz filozofował, chochole, czy przejdziemy do rzeczy? – Zachowanie Anny było co najmniej nieprzyjemne. Napastliwość nie pasowała do jej urody, godnej światowej klasy modelki.

– Nie pozwalaj sobie. Kim ty jesteś? Ormianka? Nie, pewnie Czeczenka... – Lajewski też potrafił być przenikliwy.

– Tak, jestem Czeczenką. – Quadira odparła momentalnie, jeszcze bardziej rozzłoszczona.

– Nawet jeżeli ruskie nie rozwalili ci dupy, robiąc z ciebie seksualną niewolnicę, to nie znaczy, że jesteś taka ważna. Przypominam ci, że jestem pułkownikiem. – Stracił pogodne usposobienie.

– Patrz, już rozkładam nogi z wrażenia. – Anna nie zamierzała odpuszczać i kapitulować. – Spierdoliłeś zadanie – dodała cierpko.

– Możliwe... Ale mam ciebie, geniusza zbrodni. – Pułkownik zaczął się nakręcać. Mówili za głośno, starsza pani coraz częściej przyglądała się tej pokrzykującej po rosyjsku parze i pięciu teraz wielkoludom siedzącym w milczeniu. Lajewski opamiętał się. – Nieważne, do sedna!

– Do sedna, do sedna – zadrwiła Quadira. – Jak mogę ci pomóc, pułkowniku chochole? – dodała już znacznie ciszej. – O ile wiem, spanikowałeś. Kazałeś uruchomić miejscową strukturę, która służyła tylko praniu pieniędzy albo wsparciu przy sprawach politycznych. Wybory, zastraszanie kandydatów i tak dalej. „Wirtuoz” myślał, że już ci pętlę na szyję założyli. Zgodził się, ale tutejsi partacze nie załatwili sprawy.

– Mieli pecha. Cel im przeszkodził.

– I wszystko zaczęło się sypać. Potem dorzuciłeś do pieca. Sam się zerwałeś. Coś ty myślał? – Anna prawie położyła się na stoliku, niemal sylabizując. – Teraz Polacy, NATO, Amerykanie już wiedzą. Chochoł jest trefny. – W jej oczach zapalił się ogień triumfu.

– Możliwe. – Mychajło zgodził się ze smutkiem. – Ale coś wymyślę. Śladów nie zostawiam. Wierz mi! – Wykrzywił usta w uśmiešku.

– No i co potem? Nawet jeżeli, to wezmą cię na maszynę i wszystko wyjdzie.

– Pamiętaj, skarbie, że i mnie dobrze wyszkolono. Maszyna to nie problem. Teraz tylko muszę... musimy wyeliminować zagrożenie.

– Więc uważasz, że cel jeszcze nic nie zrobił. Nie wypaplał? – Anna badała Ukraińca spojrzeniem.

– Tak. – Pułkownik był pewien. – Oddałby się policji i zaczął gadać. Mogłem go nie tykać. Pewnie by się nie zorientował, ale cóż, spanikowałem. Albo raczej chciałem być ostrożny. Tyle tylko że narzędzia były nieodpowiednie. Czasu też było dramatycznie mało.

– OK. – Anna przeczesła włosy. Układała sobie wszystko w myślach. – Co teraz? Mam ekipę. – Wskazała głową w bok.

– Widać. Ale dość krzykliwą.

– Nasi, jedni z lepszych – próbowała bronić zespołu Anna. – Po kilka lat za Uralem. Tutaj trafili legalnie. Pomagają w mojej... Nieważne. – Nie musiała tłumaczyć zbyt wiele.

– Macie siedzieć w cieniu, a nie wozić się krążownikami szos. To nie szpanerzy z MMA. – „Drozd” uderzył pięścią w ceratę.

– Trudno, jest jak jest. Sam mówisz, że czasu nie mamy. A prócz czasu nie mamy też żadnego punktu zaczepienia. Cel już pewno jest daleko.

– Nie! – zaprotestował Mychajło. – Żydzi dali mu wsparcie.

– Jacy Żydzi?

Lajewski w kilku zdaniach opisał swoją teorię i walkę pod barem. Dziewczyna smutniała z każdym słowem, ale przyjęła tę analizę.

– No to jeszcze gorzej – skwitowała. – Jeżeli zdołał opowiedzieć co i jak... Jeżeli go ewakuowali...

– Nie, nie zdążyli. Może podali adres. Ludzie, którzy zaatakowali go podczas akcji, mogli być z policji albo z Mossadu, ale nie ewakuowali go.

– Ale jeżeli on już zniknął, a to wszystko było teatrem.

– Istnieje taka szansa. Zaledwie kilka procent. Nielegalny rezydent zaoferowałby ucieczkę w kilka godzin? Z obstawą grupy specjalnej? Nie, nierealne.

– Fakt. W takim razie w dalszym ciągu nic nie mamy. Jedyne możliwe plan jest prosty. – Splotła palce, podpierając się na łokciach. – „Wirtuoz” dał mi rozkaz. Mam cię ochronić i pilnować. Na tych miejscowych dupków już nie można liczyć, prawda?

– Prawda.

– To dobrze. – Annie ulżyło. – Musisz mieć wsparcie. Jeżeli cel jest blisko i nie ma wsparcia, można go dopaść. Tylko trzeba wiedzieć jak. „Wirtuoz” pomoże, ale, jak wiesz, on jest człowiekiem cienia. Pociągnie jednak za kilka sznurków. Mamy niewielu prawdziwych przyjaciół. Wiesz, o czym mówię, ta nazistowska propaganda z Kijowa... – rzuciła sloganem tak kiepskim, że Mychajło uznał to za jakąś próbę. On sam miewał wątpliwości, ale trwał. – Mogę popytać. – Quadira mówiła dalej. – Mam kilka kontaktów. Powiedzmy, moją siatkę... Może czegoś się wywiedzą.

– Ale to improwizacja. Ryzykowna improwizacja...

– Masz coś lepszego? – Linberg przechyliła głowę. Spojrzała na zegarek. – Mamy czas do południa. Może do trzynastej. Potem będę musiała cię ewakuować – oświadczyła dobitnie.

– Ewakuować? – Lajewski powtórzył markotny.

– Tak. Nie możesz tego przeciągać. Ktoś z miejscowych coś może wiedzieć. Znajdą ślad. Możesz wrócić, ale to ryzyko. Jesteś ważny i musimy spróbować. Potem staniesz się obciążeniem. Wiesz, że Polacy, a może i Żydzi oraz Amerykanie, ściągną kawalerię. Będzie ciasno. Mało miejsca na ruch. – Mychajło słuchał uważnie i osuwał się coraz niżej w krześle.

Dopiero docierało do niego, że walił się jego świat, życie, które budował tyle lat. Ryzykował niepotrzebnie. Chciał coś powiedzieć o swojej żonie i synu, których miał tu, w Polsce. Chciał wierzyć, że mógł wymyślić wyjście z tej kabały. Uratować siebie i rodzinę.

– Więc musicie się postarać – odparł. – Mogę jeszcze się przydać.

– Możliwe... – Anna nie chciała ciągnąć tematu. Znów spojrzała na zegarek. – Muszę wykonać kilka telefonów. Wysłać wiadomości.

– Czekamy tutaj? – Lajewski zmarszczył czoło.

– A co, brzydko? – Linberg udała absolutnie poważną. – Pani Marzenka to porządna babka. Wpadam tu, gdy objeżdżam ośrodki pomocowe na południu. Na tyłach ma dwa pokoiki. Taki cichy burdel dla tirówek. Dawno nie działa... – Pochwaliła się znajomością tajnych szczegółów z życia niepozornej bufetowej. – A jak myślisz, czemu pani Marzenka prowadzi tę rudere? Spokojnie, pułkowniku. Odpocznij. Tu możesz spokojnie. Przypilnujemy cię. – Wstała. – Masz kilka kwadransów. Może w tym czasie coś się uda załatwić.

Nie wierzyła w to, co mówi. Mychajło Lajewski podobnie.

*

Siergiejowi śniły się zielone pola i las. Nie było kłopotów, strachu i uciekania. Było mu przyjemnie ciepło. Otulała go przyjazna, piękna przyroda. Podświadomość oddawała mu wszystko, co podziwiał w ostatniej części podróży. Zielono-żółte wzgórza rysowane barwami soczystych kniei i spalonych od słońcem łąk. Majestatyczne skały i łańcuchy wzgórz.

Wysoko, w tym domu, pełnym antycznych mebli upchanych w pokojach, uspokoił się. Był daleko od kłopotów i chyba czuł się bezpieczny. We śnie ponad górami, na niebieskie niebo wpłynęła nagle szara plama chmur burzowych. Błysnęło, ale pierwszy piorun był przedziwny. Zygzakowi światła towarzyszył powtarzający się piszczący odgłos. Nasilał się, nie

ustawał. „Aman” zerwał się, przerażony, że dopada go jakaś obława. Złapał się za bok. Czoło rosiły mu krople potu.

Przez kilkadziesiąt sekund nie wiedział, gdzie się znalazł. Myślał nawet, że znów jest w szpitalu, tak było mu dobrze. Był jednak w domu, w jurze krakowsko-częstochowskiej, w salonie, na zabytkowej kanapie między oknem a kominkiem. Zdało mu się, że wszedł do muzeum. Widział kredens i kilka fikuśnych krzeseł z rzeźbionymi ornamentami. Pomieszczenie wypełniał daleki elektroniczny dźwięk.

Siergiej zerwał się i, unikając okien, zaczął szukać źródła hałasu. Przeszedł z salonu do dalszych pokoi, aż wreszcie przy łóżku właściciela w sypialni znalazł pospolity budzik. Walnął w wyłącznik i na chwilę mu ulżyło.

Znów było spokojnie. Ale też nie za długo. Do śpiewu ptaków dołączyły pokrzykiwania pana Gustawa z piwnicy.

– Wypuść nas! Coś się dzieje? Halo... – Facet grał twardego, ale nie był przygotowany na prawdziwy napad.

– Na razie nie! – huknął Wylichtewicz. – Musicie wytrzymać. Macie wodę, zarcie... – Uciał zbędne pogaduszki.

Przeszedł do korytarza i dla podkreślenia swego uporu stuknął dwa razy nogą we właz pod dywanem.

Sięgnął po telefon i znów wybrał jedyny zapisany na karcie numer. Tym razem czekał o wiele dłużej, ale znowu nikt nie zamierzał z nim rozmawiać. Siergiej wrócił do salonu. Sięgnął po butelkę soku i napił się. Niczego już nie rozumiał. Zapatrzył się na światło przebijające przez upiętą firankę. Szukał natchnienia. Ostatnia opcja ratunku przestała być realna. Wyobraził sobie, że został skreślony. Spisano go na straty. Był zbyt niebezpieczny. Toksyczny.

Wyobrażał sobie, że Benek opisał go w negatywny sposób i wyrok zapadł. A on w swojej naiwności podbił stawkę. Wystawił się, porywając nieszczęsną Iwonę i biorąc tutejszego lekarza za zakładnika. Nagrabił sobie tak, że nie widział już drogi wyjścia.

Położył telefon na stoliku. Postanowił, że zadzwoni koło południa, po raz ostatni, później się podda. Poprosi Gustawa, by zawiózł go do Krakowa. Liczył, że doktor naprawdę mu wierzy i będzie świadczył za nim. Nic więcej nie potrafił wymyśleć.

*

W willi, którą zajmowała grupa Konrada Wiglera, nie toczono wielu rozmów. Nowi szykowali oporządzenie. Mieli ze sobą lekkie kamizelki kuloodporne, łączność i oczywiście broń: różne warianty karabinków M4 w piaskowo-zielonym maskowaniu i pistolety SIG Sauer P226. Jeden z „turystów” był snajperem. Jego oręż, karabin snajperski M110 z wytłumioną lufą, termowizyjnym celownikiem i dwójnogiem pod osłoną lufy, był największy.

Wiglerowi potrzebne było takie wsparcie, choć zaczynał sądzić, że na tych, z którymi się mierzy, przydałoby się więcej specjalistycznej broni. I to o większym kalibrze.

Pawlicki przeszukiwał sieć, zresztą tak samo jak Piotr i „Gandzi”, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Byli ambitni i chcieli być samowystarczalni, zamiast zdawać się na łaskę ludzi z Gospodarstwa. Analizy specjalistów od łączności i IT koszmarnie się przedłużały.

Konrad chciałby pobiegać, urwać się na kilkadziesiąt minut. Nie mógł jednak. Nie mógł też znieść teorii piętujących się pod czaszką. Najbardziej bał się porażki i przekazania dochodzenia strukturom bardziej jawnym. To oznaczałoby, że Grupa ponosi klęskę i zarówno czynniki polityczne, jak i sojusznicy mogliby kręcić nosem na utrzymanie tej formacji.

Pułkownik zszedł na parter i udał się do ogrodu. Daszek nad tarasem osłaniał przed dokuczliwym już słońcem. Konrad usiadł na wiklinowym fotelu i spojrzał w ścianę żywopłotu. Słuchał szumu ciepłego wiatru.

– Och, nie wiedziałem, że pan przyszedł. – Karpem wyrósł gdzieś z boku. Był zaskoczony i zmieszany.

– Nic nie szkodzi.

– Cholerne napięcie, prawda? – Ukrainiec nie zrozumiał, że Konrad chce posiedzieć sam. – Pan wie, że mi jest wstyd. – Przysiadł się nieproszony i kiwał na brzegu fotela. Patrzył pod nogi, a kciukami kręcił nerwowo młynki.

Wigler nie podejmował tematu. Chwilę spokoju diabli wzięli, a on zaczął planować, jak porzucić towarzystwo oficera, któremu nie mógł powiedzieć wprost: „Nie chcę z panem gadać”.

– Wiem, pan mi nie ufa. Podejrzewacie, że coś wiem, i nie podzieliłem się tym z wami – klarował przejęty Ukrainiec. – Proszę mi wierzyć... – Spojrzał znowu na Polaka. – Nic nie wiedziałem o pomysłe Lajewskiego. Wiem, pan nie musi w to wierzyć, ale to prawda. Choć znam Mychajła z dziesięć lat. Razem walczyliśmy w Donbasie, tam się zaprzyjaźniliśmy. To dobry żołnierz. Oficer. Od kilku lat zaczął być jakby jeszcze bardziej gorliwy. Gdy go cofnęli z linii „operacji antyterrorystycznej”, nie mógł znaleźć sobie miejsca w sztabie. Nie był szczęśliwy z powodu wyjazdu do Warszawy. To profesjonalista. Szybko oddał się zadaniom. No a kiedy zaczęła się druga faza wojny, dosłownie oszalał. To znaczy w pozytywnym sensie. Spał po kilka godzin. Sam chciał pilnować transportów idących za granicę. Wściekał się i przeżywał, kiedy przychodziły informacje, że któryś z transportów dostał się pod ogień. Zwłaszcza taki, którego inspekcję robiliśmy osobiście. Tak było szczególnie na początku. Potem się uspokoilo. Ataki raketowe, póki orki miały broń precyzyjną. Naloty dronów. Jakoś je naprowadzali...

Wigler zamarł w bezruchu, otwierając szerzej i tak mocno okrągłe oczy.

– Proszę powtórzyć!

Karpem się zmieszał, chyba wystraszony, że powiedział niepotrzebnie coś, co rzuciło niekorzystne światło na jego współpracę z Lajewskim. Młasnął niewyraźnie, szukając gorączkowo jakiegokolwiek wytłumaczenia.

Wigler tymczasem zaczął dopasowywać puzzle układanki, która teraz w jego wyobraźni zaczynała nabierać ramowych kształtów. Nie wiedział wszystkiego, nie miał dowodów. Miał za to znów swoje niezawodne przeczucie. Instynkt.

– Te ataki na transporty... – Polak czepił się szczegółu. – Można to jakoś sprawdzić? Dokonać podsumowania? Dokładniej rzecz ujmując, porównać liczbę konwojów idących na wschód z liczbą waszych wizytacji? – Ostrożnie wskazywał sedno swojego rozumowania.

Major siedział z nieco rozchylonymi ustami.

– Wiele razy byliśmy na granicy. W składach. To było najważniejsze w pierwszych dniach i tygodniach. My, ale też wielu naszych oficerów, urzędników... – usiłował tłumaczyć. Pojmował jednak, że wystawił złe świadectwo i Polak zaczyna coś podejrzewać. On sam był bliski przyznania, że sytuacja, w jakiej się znalazł, jest teraz bardziej zrozumiała. Lękał się jednak przyznać to wprost. Ukraińca ocalił brzęczący telefon.

– Jeżeli można, proszę poszukać, co z tymi atakami na transporty – poleciał grzecznie Wigler i odebrał telefon. – No, macie coś? – spytał bez ceregieli.

– Dużo dłubania... – Młody informatyk z drugiej strony był zmęczony. – Łeb mi pęka. Szalone tempo. – Człowiek o pseudonimie „Mysza” zwyczajowo zaczynał od narzekania. Uspokoił się jednak prędko i skupił. – Numer, który dostałem, sprawdziłem według naszych... możliwości. – Te możliwości oznaczały działania inwigilujące, bez oparcia o zezwolenia i nakazy sądowe albo uzupełnienie biurokracji po fakcie. Tym zajmował się niewielki pion prawny, który działał jako organ legalnej służby. Ale tylko czasami. Nie dało się wdrażać procedur prawnych, jeżeli zależało na szybkości i zachowaniu jak największej tajemnicy. – Telefon logował się w Krakowie. Południowa część. Wierz mi, dogrzebanie się tam w tak krótkim czasie to wyczyn godny nobla.

– Brawo, dostaniesz później krakowskiego obwarzanka. Dalej!

– OK, numer, a dokładnie telefon działał jeszcze około czwartej, bliżej piątej rano. Potem zniknął.

– No to pięknie, ale na pewno sprawisz, że jednak nie dostanę zawału.

– Numer pojawił się kilka minut później, ale z innego aparatu. To znaczy mam przekazany numer i aparat o numerze IMEI^[8], ale inny niż

wcześniej.

– Zdobył drugi aparat i przełożył kartę. – Konrad główkował na głos. – Ale po co? To bez sensu. Wiedzialby, że go i tak namierzemy...

– Dokładnie, panie pułkowniku. Aparat został zapewne uszkodzony. Nowy telefon działał zaś kilka minut temu z innym numerem. Ten, powiedzmy zepsuty, zniknął, więc padł na amen. Ten, nazwijmy go nowym, był logowany w BTS-ach nieco na zachód od pierwszej lokalizacji. Tak więc należał do osoby trzeciej. Figurant zabrał jej telefon i podmienił karty. Zależało mu na czasie i to naprawdę pilna sprawa.

– Brawo, „Mysza”, naprawdę jestem dumny. – Wigler dorzucił komplement jako przerywnik w ważnym wywodzie, ale chłopakowi należała się pochwała.

– Dziękuję. Podpiąłem się pod numer IMEI. Odnalazłem numer karty SIM, która działa w nim poprzednio. Telefon należał do niejakiej Iwony Kopczyńskiej z Krakowa. Adres i resztę prześlę w wiadomości. Numer przesunął się bardziej na północ, północny zachód. Jest poza miastem. Jakieś... czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów. Mniej BTS-ów. Cały czas działa. Nieduża wioska albo gmina obok Pieskowej Skąły. Kojarzę, byłem w tamtych okolicach na wycieczce w podstawówce. Nie podam dokładnej lokalizacji. Ale wraz z tymi naszymi cyferkami loguje się inny numer. Jeden jedyny. Należy do Gustawa Tyrpa. Tak więc miejsce, gdzie znajduje się figurant, jest dość odległe i puste. Oba numery są blisko. Nasz ścigany jest zmęczony. Nie myśli przytomnie, bo nie zabezpieczył terenu. Zresztą i tak byśmy go namierzili po pierwszym numerze, skoro go nie gasił. Ba, nawet używa. Ostatni raz dzwonił gdzieś pół godziny temu.

– Niech zgadnę? – Konrad zapytał retorycznie. – Brak odzewu?

– Bingo, szefie.

– A ten Tyrp, czy jak mu tam? Masz go namierzonego?

– Jasna sprawa. Telefon jest zarejestrowany na działalność gospodarczą. Lekarz. Sprawdziłem. Pracuje w pobliskiej przychodni. Tyle mam. No i jeszcze coś. Namiar od „ogona”, od szefa szefów. Pościg też się czai. Są

niedaleko. Zabezpieczyli się, oczywiście, ale są inne aparaty. No i oko z niebios będzie pilnowało.

– Brawo, „Mysza”, naprawdę jesteś wielki. – Wigler skłonił się nawet, choć chłopak tego nie widział. Pułkownik był pod wrażeniem. – Odezwę się – zakończył połączenie. – Pan major zajmie się tym, o czym mówiliśmy. – Spostrzegł, że Karpem uważnie przysłuchuje się wszystkiemu. – Chyba mamy Siergieja. – Polak nie krył ekscytacji. Podświadomie uważał, że Waleremu można ufać. Na zmęczonym obliczu Konrada pojawił się uśmiech człowieka uspokozonego.

Wpadł do domu, obwieszczając nowe wiadomości. Ludzie zerwali się, podchodząc bliżej. Też nie mogli dłużej znieść tego wyczekiwania.

– Panno Ross – wywołał policjantkę Wigler. – Zaraz dam pani namiar na pewną osobę. Sprawdzicie ją u siebie. Czy notowana i tak dalej. Ja muszę ułożyć plan.

– Wylichtewicz jest w mieście? – Patrycję to teraz najbardziej interesowało.

– Nie, jest poza Krakowem. Przypuszczam, że ma zakładnika. – Zmarkotniał. Chciał wierzyć, że podporucznik nie ma zbrodniczych zamiarów, ale porwanie niewinnej osoby podkopało tę wiarę. – Nie ma na to dowodów, a tylko poszlaki. Sprawdzicie z kolegą, gdzie, jak i kto. Reszta... – Zaklaskał w dłonie. – Mamy miejsce. – Podeszedł do stołu i z torby wygrzebał plik map i planów. Wybrał jedną, choć nie obejmowała w całości obszaru, jaki go interesował. Mapa ukazywała miasto Kraków i przyległości. – Jest gdzieś tu. – Zakreślił palcem okrąg. – To wsie, siedliska bogatych. Zaraz dam wam szczegóły. Mamy mało czasu. Figurant tam siedzi, ale nie wiemy jak długo. Trzeba poinformować miejscowych. – Znowu spojrzął na parę policjantów. – Moglibyśmy wejść od razu, ale... – Podparł się na dłoni o stół i wpatrzony w mapę gładził brodę. – Rozkazy są bardziej skomplikowane. – Uderzył pięścią w blat. Rzadko pozwalał sobie na takie odruchy przy ludziach. Ci rozumieli, że problem jest poważny. – OK. Przygotować plan i założenia akcji, jak tylko dostaniecie adres i szczegóły lokalizacji. Ja muszę podzwonić. Do tańca trzeba dwojga.

Musimy dopaść wszystkich! – powiedział na jednym oddechu i znowu złapał za telefon.

*

Eugeniusz Czekański, doradca posła na sejm, wystraszył się przychodzącego połączenia, jakie wyświetliło się na telefonie. Siedział w biurze poselskim, przekładając korespondencję i terminarz spotkań. Nie był sam. Towarzyszył mu nieco za stary, wyłysiały facet pełniący funkcję dyrektora biura. Był to jakiś kumpel posła z dawnych czasów, były naukowiec, wykładowca, którego szef poratował tym stanowiskiem.

To Czekański zabezpieczał większość spraw, był prawą ręką posła, ale nie lubił rozmawiać z dzwoniącymi nawet przy starym dziadku. Facet był wiekowy, toteż jeszcze lepiej znał się na konszachtach z tajniakami. Z SB chociażby. A o takie koneksje Eugeniusz podejrzewał dyrektora od bardzo dawna.

– Idę do sklepu. Coś potrzeba? – Wstał nagle, zapominając o pracy.

– Dopiero kawę piliśmy. Rano już do sklepu? – Pokręcił pomarszczoną łysą głową z niedowierzaniem. – Weź mnie jakiego batona – poprosił i znowu zaczął stukać coś powolnie na komputerze.

Czekański wystrzelił z biura na parterze odbudowanej kamienicy.

Przeszedł za róg, na niewielki skwer z ławkami i wyszukał stojącą w cieniu. Wybrał napraszający się numer.

– Jestem – powiedział, jak tylko nawiązał kontakt. – Nie mogłem, pracownicy.

– OK, posłuchaj. – Wigler wydał się od razu bardzo stanowczy. – Ty prowadzisz media społecznościowe swojego pryncypała?

– Tak.

– Tylko ty?

– Tak, tylko ja. On nie ma do tego głowy. Może czasem coś podrzuci. Nie rozumie, że jego popularność...

– Dobrze. – Konrad nie chciał referatu, tylko krótkiej odpowiedzi. – Opublikujesz zaraz notatkę na Twitterze. Zredaguję ci ją. Będzie coś o banderowcach i Żydach urządzających sobie strzelaniny w środku dużego miasta.

– Że jak? – Eugeniusz aż rozdziawił usta.

– To dobrze, że słuchasz. Wkleisz coś takiego. Zaraz potem zadzwonisz do Anny Linberg, z którą współpracuje twój szefuńcio, i sprzedasz jej pewną informację. Jak się domyślasz, będzie dotyczyła treści wpisu na Twitterze.

– Nie rozumiem. Nie mogę! – Asystent zerwał się z ławki. Był przerażony i o mało nie wyłączył telefonu.

– Uspokój się! – Wigler był rozgniewany. – Nic ci nie grozi – kłamał, ale miał to gdzieś. Mógł poświęcić maluczkiego w walce o ważniejsze cele. – To ważna sprawa. Przysłużysz się ojczyźnie!

– Zjedzą mnie. Szef wypierdoli z roboty. Ta babka wam podpadła. Ona też się wnerwi.

– Nikt się nie dowie. – Konrada nużyła ta opowieść. Myślał, że asystent jest odważniejszy i posłuszniejszy. – Poseł to specyficzna postać. Pójdzie na niego. Zresztą, cholera wie, ile będzie zasiadał w ławach. – Zabrzmiało to jak groźba. – Co do innych spraw, nie przejmuj się. Ja to ogarnę.

– Dobrze sobie! – Młody ciągle próbował się stawiać. – I co mam tej babie powiedzieć? Że mam donos od kogo... Zaraz! – Olśniło go i aż klepnął się dłonią w czoło. – Dyrektor biura. Pytał dziś rano, czy mamy jakichś „wielbicieli” w MSW. Dzwonił gdzieś sam.

– Wnioski? – Wigler się zaciekawił.

– Podobno poseł wypytywał, jeszcze w nocy. Dziwne, nie?

– Więc dodaj dwa do dwóch. Udostępniacie chałupę dwóm dziwnym facetom. To też na polecenie posła. Potem on sam dopytuje się o wtyki w służbach. Czegóż się boją, na coś liczą. Więc twój anons będzie jak gwiazdka z nieba. Widzisz, jak się pięknie składa – mówił słodko, jak do dziecka. – Wszyscy będą się cieszyć.

– Po co to panu?– zapytał odważnie asystent.

– Nie musisz wiedzieć. Dopiero co bałeś się o swoje bezpieczeństwo. Masz to wykonać. Może po wszystkim znajdziesz sobie jeszcze robotę w polityce jako szara eminencja. Może przymknę oko na kilka twoich nikiemności – obiecywał, choć z obrzydzeniem.

– Chyba zaczynam pojmować. Mogę napisać w imieniu posła. Mała prowokacja, jeśli dobrze rozumiem. – W polityce i życiu robił przecież gorsze rzeczy i był tego świadom.

– Brawo. Wyrabiasz się.

– Jeszcze jedno – rzucił asystent. – Po co ten Twitter?

Wigler milczał dłuższą chwilę. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że chce zgarnąć wszystkich, całą pulę.

– Twój boss chwali się wszystkim. Piszesz w sieci o każdej bzdurze, bo to nabija klikalność. No to i tym razem musi być na bogato – wyjaśnił. Nie dodał, że osobnicy, którymi się wysługiwał parlamentarzysta, naprawdę chyba wierzyli, że ten człowiek ma wielkie wejścia i kontakty. Że jest po cichu szanowany i popierany przez wielu ludzi.

Sam donos od pomagiera byłby niczym, podejrzaną wrzutką. Z popisem w mediach wszystko stawało się bardziej wiarygodne. Zawsze należało atakować z kilku kierunków, choćby i jeden był fałszywy. To utrudniało ocenę sytuacji. A wróg nie miał czasu, tak samo jak zespół Konrada.

Ryzykował. Cholernie ryzykował. Ale nie miał nic innego.

– Dobra. Trzymaj się. Dasz radę. – Konrad usiłował dodać asystentowi odwagi. – Zaraz przyślę ci tekst i to, co masz sprzedać. – Wyłączył się, zostawiając Czekańskiego wpatrzonego w ruch uliczny.

*

Sierżant Norbert Klimczak siedział przy biurku niewielkiego pokoju gminnego posterunku i patrzył w ekran komputera. Miał dwadzieścia sześć lat. Był szczupłym brunetem o sympatycznej twarzy, na której często gościł uśmiech.

Przeoglądał portal sportowy, popijając kawę i jedząc kanapkę. Miał kilka wolnych chwil tego ranka. Niewiele się działo w okolicy. Jego czteroosobowa załoga walczyła z przestępstwami zazwyczaj w weekendy i nocami, kiedy do posiadłości zjeżdżali się właściciele i ich goście. Czasem coś szło nie tak na festynie lub koncercie. Lub, jak to na wsi, ktoś ukradł kurę albo naskarżył na sąsiada, który posadził drzewo w nieodpowiednim miejscu. Nic wyjątkowego, co mogłoby przyśpieszyć karierę policjanta. Norbert był jednak nastawiony pozytywnie do życia. Zbyt wiele nasłuchiwał się o dramatach ludzi bez stałej pracy. Zbyt wiele ich widział. Teraz czasy były inne, mógłby iść na urząd, zacząć studiować prawo, ale nie chciał. Tu mu było w sam raz. Czekał cierpliwie, nie oczekując za dużo i ufając, że dobry Bóg wyróżni tych, którzy są pracowici i uczciwi.

Zabuczał telefon. Jego prywatna komórka wyświetliła nieznany numer. Klimczak zmarszczył brwi, usiłując odgadnąć, kto może go niepokoić. Nie lubił odbierać takich połączeń. Podejrzewał, że będzie go dręczył bank albo sprzedawcy fotowoltaiki. Dawno nie dzwoniли, ale wśród znajomych i sąsiadów znowu gadano, że naganiacze są natrętni. Policjantowi przyszedł do głowy pomysł, by zrugać telefonującego, nawet jeżeli był tylko reklamowym botem. Miał zamiar przedstawić swój stopień, żeby gdzieś tam zanotowano, że numer należy do gliny, którego nie wolno nękać.

– Halo! – odezwał się ostro.

– Dzień dobry, panie sierżancie – powitał go poważny, ale sympatyczny damski głos. – Komisarz Patrycja Ross, komenda wojewódzka. – Pani policjant skupiała się na zadaniu. Chciała dobrze wypaść w oczach oficera ABW. Nie znali innego sposobu, żeby przygotować teren pod ryzykowną grę, kończącą kilkudziesięciogodzinną gonitwę. – Podam panu numer, można mnie sprawdzić. Wiem, powinnam przyjść z tym osobiście, ale nie ma czasu, więc musi pan uwierzyć.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – Norbert oparł się wygodniej. Zastanawiał się intensywnie, czy telefon z tak wysoka oznacza kłopoty, czy coś dobrego.

– Mam do ciebie sprawę. Ważną sprawę. – Patrycja przeszła na ty, wiedząc że ma do czynienia z rówieśnikiem, a krótszy dystans ułatwi rozmowę. – Na twoim terenie pojawił się groźny przestępca. Nie ma go w rejestrach ani w informacjach z terenu. Zbyt długo by tłumaczyć. Będzie jeszcze więcej zbójów. Ale nie przestrasz się, wszystko jest pod kontrolą. – Nie chciała mówić za wiele przez zwykły telefon. – Mamy wszystko pod obserwacją. Musimy zrobić u was kocioł. Wiesz, o czym mówię?

– Rozumiem – przytaknął sierżant. – Czy to bardzo niebezpieczne?

– Relatywnie. O to właśnie chodzi, żeby obniżyć poziom ryzyka, a jednocześnie dopaść tych, na których nam zależy. Kojarzysz doktora Tyrpa?

– Oczywiście, wszyscy go znają. Porządny facet. Zaraz, to o niego chodzi? – Norbert nie mógł uwierzyć.

– On prawdopodobnie jest już zakładnikiem – wyjaśniła Ross, zastanawiając się, czy doktor jeszcze żyje. Czy Siergiejowi nie odbiło zupełnie. – Kojarzysz niejaką Iwonę Kopczyńską? – Norbert zdębiał, słysząc to nazwisko. Stała mu przed oczami uśmiechnięta opalona dziewczyna, którą widywał we wsi podczas festynów albo jak jeździła konno z koleżankami po okolicznych wzgórzach. Podobała mu się. Rozmawiał z nią kilka razy. Była miła, ale nic poza tym. Może to on za mało się starał? Nawet rano na objeździe widział jej samochód i pomyślał sobie, że powinien działać bardziej przebojowo.

– Oczywiście. To przyjaciółka państwa Tyrpów. Jest u nich chyba, mogą pojechać...

– Nic nie rób! – przerwała mu Ross. – Przynajmniej na razie i nie bez mojej wiedzy. Potwierdzasz że Kopczyńska jest w okolicy?

– Tak. Jechała w stronę domu lekarza.

– Nie wydało ci się to dziwne? Tak wcześnie? Zresztą nieważne. Zapewne nie jechała sama. Ktoś wziął ją jako zakładnika. Niedługo, jeżeli się nie mylimy, będą następni. Ja i ludzie... z grupy pościgowej – uniknęła nazwania zespołu, w którym pracowała – postaramy się być w pół godziny. Ale zbóje będą szybsi. Mniejsza o powody i szczegóły. Działaj, zachowuj się

normalnie. Żadnej paniki i alarmu – ostrzegę, a Norbert odczuwał coraz większy lęk ale i ekscytację. – Zbóje nie będą z Polski. – Liczyła, że chłopak pojmie, z kim będzie musiał się mierzyć.

– Robi się interesująco. – Norbert przełknął ślinę. – Więc co mam robić?

– Możliwe, że dojdzie do porachunków między zbójami. – Patrycja ominęła szczegóły. – Będziesz miał gości. Zrobią rozpoznanie. I tu twoja rola, nie możesz ich spłoszyć. Nie możesz dać poznać, że coś wiesz. Wszystko ma zostać po staremu. Może poza tym, że trzeba będzie zbójów posłać do domu doktora.

– Słucham? – Sierżant naprawdę zaczynał się gubić. – Co pani mi tu chce urządzić? – obruszył się. Dotarło do niego najprostsze wytłumaczenie. Odsunął telefon od ucha i patrzył chwilę na numer. – Będę musiał to sprawdzić.

– Możesz! – wybuchła Ross. – Ale wszyscy stracimy czas. Zrozum, że musimy ich zagnać w kozi róg i dopaść wszystkich. Albo się wkurwią i zaczną rozrabiać. Najgorzej będzie, jeśli po prostu się zawiną. Wiele pracy pójdzie psu w dupę i wszyscy będziemy mieli przejebane!

– No, dobra, dobra – odparł Norbert. – No to co chcesz ode mnie? Mam postawić drogowskaz czy jak?

– No coś koło tego. – Patrycja zaśmiała się nerwowo. – Ktoś musi im zasugerować, że powinni jechać do Tyrpów. Rozumiesz, szykujemy zasadzkę, a zły musi być przekonany, że idzie dobrą drogą.

– No powiedzmy, że rozumiem. Ale co to za ludzie?

– Będą się pytać w sklepie. Gdyby nie niedziela, to i na poczcie... Macie pocztę, prawda? – Dziewczyna przestraszyła się, że takiej instytucji może nie być na miejscu.

– Jest punkt pocztowy – potwierdził Norbert. – O właśnie! – Spłynęło na niego olśnienie. – Tam robi mój kuzyn, Henryk. On jest kumaty. Zresztą to były trep, znaczy żołnierz. Dostał odłamkiem w Iraku i poszedł na rentę. Jakby szło o jakiś zagranicznych mafiosów albo terrorystów jakich, to on ich wyniucha.

– I bardzo mi się ten pomysł podoba – odparła Ross. – Przed panem sierżantem piękna ścieżka kariery. – Umiejętnie głaskała ego policjanta.

– Dziękuję. Ale co dokładniej by trzeba było takim mówić? Jest niedziela, poczta zamknięta.

– Jeżeli będą... Jeżeli ktoś obcy, zacznie pytać o adres doktora, nikt normalny go nie poda. Tamci będą cisnąć, może i płacić. Wierz mi, śpieszy im się. I trzeba im po prostu potwierdzić.

– Mało rozumiem, ale to nie moja sprawa. OK, coś pomyślę. A Iwona... Będzie bezpieczna?

– Robimy wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Dobra, Romeo, zadzwoń do kuzyna. Potem oddzwoń i melduj. Cześć.

Patrycja skończyła połączenie. Siedzący obok na kanapie auta Konrad wyciągnął słuchawkę z ucha. Słuchał cały czas rozmowy.

– Gratuluję, świetna robota. Komenda wojewódzka ma prawdziwy skarb... Skarby – poprawił się Konrad, patrząc na odbicie Bartusza we wstecznym lusterku.

– A jeżeli to się nie uda... To przecież szalona improwizacja. – Pan komisarz był łaskaw okazać swój pesymizm.

– Wiem, ale co innego możemy zrobić?

– Przy takiej armii – brodacz wysunął szyję przed siebie, w kierunku poprzedzających ich aut reszty ekipy – tę babkę, Lajewskiego i kogo tam jeszcze można zawinąć na byle bocznej drodze.

– Można – odezwał się siedzący z przodu i milczący dotąd Hubert Pawlicki. – Ale po co? Mamy zbyt mało dowodów na spektakularne zatrzymanie. Zresztą podróż do Jury to nie przestępstwo.

– No nie, w sumie nie. – Brodatemu nie chciało się już kłócić. Słabł ze zmęczenia. Wolał siedzieć i wykonywać polecenia.

Wozy zwolniły i zaczęły skręcać w węższą leśną drogę, prowadzącą do polany. Usytuowana była dwa kilometry od szosy. Wynaleźli ją analitycy z Gospodarstwa. Miała stać się bazą polową dla zespołu. Grupa

przygotowywała się do działania i czekała na to, co wydarzy się we wsi, po przeciwnej stronie szosy na Kraków.

*

Mychajło Lajewski siedział na tylnej kapie terenowego pick-upa. Noga drżała mu z nerwów. Bawił się wyłączonym telefonem i gapił za okno, ale jego myśli ulatywały.

– Dobrze go znacie? – zapytał Annę siedzącą z przodu.

– Dobrze, a co?

– Sama wiesz. Kretyńskie to...

– Co jest kretyńskie? – Linberg był skupiona i przez to zła, że ktoś jej marudzi nad uchem.

– Koleś dzwoni do ciebie z przeciekami z MSW...

– Ten koleś to asystent jednego z najbardziej rozpoznawalnych parlamentarzystów w kraju. On też pracuje dla nas.

– Więc czemu to nie pan poseł dzwonił? – dociskał Lajewski.

– Bo to narcyz, leń, a jest wcześniej rano. Nasz polityk musiał wywalić coś w Internecie. Zdarza się, że trudno nad nim zapanować. Czasem to pomaga, czasem nie. Ludzie już przywykli i nie reagują. Chociaż teraz i tak się miarkował. A ty nawet nie wiesz, ilu mamy wielbicieli – zmieniła temat.
– Albo ilu ludziom dało się wmówić, że już we Lwowie to istny faszyzm i swastyki. Ciągłe w to wierzą.

– Czyli naprawdę dobrze go znasz. – Pułkownik wtulił się w oparcie, obserwując dwóch facetów siedzących razem z nimi w aucie. – Ale dla mnie to dziwny dar losu.

– Dlatego jesteśmy ostrożni. Sprawdzimy to.

– Z tymi goryłami? – Wskazał na przybyszów z bliskiego wschodu. Siedzący najbliżej mlasnął i sprzedał kuksańca Ukraińcowi, nie patrząc na jego status ani stopień.

– Goń się, Ahmed! – burknął Mychajło, celując w wielką głowę, gotów oddać cios.

– Spokój... – zarządziła Anna.

– Ja pójdę.

– To samo chciałem zaproponować.

– No to się zgadzamy. – Quadira odwróciła się do pułkownika. – Wysadzimy go przy głównej ulicy – rozkazała kierowcy. – Przejdziesz się. O tym jakimś doktorku to tylko strona jego firmy na portalu lekarskim. Jak będziesz coś miał, zadzwonisz. Potem chłopaki wyczyszczą i laba. To znaczy trzeba będzie się zastanowić, co z tobą. Jaką bajkę wymyślisz.

*

Siergiej „Aman” Wylichtewicz nie potrafił już spać. Przyśpieszony puls i niepewność najbliższej przyszłości głużyły zmęczenie. Na domiar złego drażnił go dzwonek telefonu. Melodyjka włączała się po raz drugi. Podporucznik powinien przeszukać mieszkanie, ale był zbyt zmęczony i ogłupiały po przygodach z nocy.

Aparat doktora leżał przysłonięty połą kołdry. Na ekranie pojawił się napis „Eryk”. „Aman” odczekał, aż przestaną dzwonić. Za nim zgasił aparat, przyszedł SMS. Najwyraźniej od jakiegoś kolegi: „Cześć. Zaspaleś? Nie jedziesz?! Tak się nie robi”. Napis zniknął w wygaszonym ekranie. Siergiej szybko wyłączył aparat i zakrył poduszkami. Podszedł do okna jasnej sypialni. Trudno było dostrzec stąd drogę. Zasłaniał ją szpaler drzew i krzewów. Widać było za to połą ogrodu z zadbanymi grządkami.

Siergiejowi nawet nie przeszło przez myśl, by zachwycać się urokiem miejsca. Dopatrywał się zagrożenia. Rozumiał, że skoro lekarz nie pojawił się na umówionym spotkaniu i nie odbierał telefonu, to prędzej czy później ktoś postanowi wyjaśnić powód tej nieobecności. – „Gdzie on się wybierał? Na ryby, na konną przejażdżkę z rana?” – rozpatrywał rzeczy właściwie nieważne. Przysunął sobie krzesło i zasiadł, bijąc się z myślami, czy to nie czas, by odpuścić.

*

Anna Linberg wpatrywała się z zaciętą miną w ekran panelu sterowania. Obraz był wzorowy, w najwyższej rozdzielczości. Jeden z jej brodaczy kierował miniaturowym dronem, który leciał ponad dachami wsi. Maszyna była bezszelestna i nie zwracała na siebie uwagi. W oku kamery migwały domostwa, z rzadka zaparkowane samochody i przechodnie udający się na pierwszą mszę. Tych ostatnich nie było wielu. Załedwie kilkoro. Upał robił się zbyt dokuczliwy, by paradować w słońcu.

Jeden z tych ludzi maszerował raźnie w stronę centrum. Tam gdzie zabudowa była bardziej zwarta, a ponad nią górowała wieża kościoła. Latający aparacik usiadł na gzymsie budowli, niczym odpoczywający ptak, i „patrzył”, jak Mychajło Lajewski przechadza się od sklepu do sklepu.

*

Pułkownik Lajewski kupił w sklepiku sok pomarańczowy i wychylił prawie całość od razu. Nie wyglądał najlepiej. To, co nie zwracało uwagi w nocy, teraz raziło z całą mocą. Spodnie Ukraińca były powycierane i poplamione. Cuchnęły jak reszta ubrania, wciąż mokre po porannej ulewie. Koszulka oficera wyglądała trochę lepiej niż kurtka, którą zdjął i trzymał przerzuconą przez ramię. Za to ramiona i twarz Mychajła pokryte były niedomytym brudem, błotem oraz drobnymi skaleczeniami. Lajewski trzymał broń w kurtce, starając się, by nie wyleciała z kieszeni.

Był świadom, że przyciąga niezdrową uwagę elegancko ubranych miejscowych, zmierzających do świątyni. Ale wiedział też, że pasuje tu bardziej niż śniade opryszki dziewczyny zwanej „Rogerem” lub „Karimem”.

– Ojej, a pan to chyba jaki wypadek miał... – Zza drzwi sklepu, z łuny wpadającego światła dotarł męski głos.

Mychajło zmrużył oczy.

– Słucham? – zapytał ze wschodnim akcentem. W progu pojawił się dość młody, pulchny mężczyzna. Był króciutko obcięty, nosił koszulę z krótkimi

rękawami i cienkie spodnie. Pasował ubiorem do reszty wiernych.

– Cześć, Dagmara – rzucił z uśmiechem do młodej, nawet ponętnej ekspedientki, która z niejakim obrzydzeniem spozierała na przybłądę pijącego u niej sok.

– A mówię: wstąpię po papierosy, skończyły mi się. Po mszy to u ciebie taki tłok. No cóż, jedyny sklep otwarty najbliżej. Patrzę, pan idzie – mówił, patrząc na przybysza. – Może co pomóc? Wiem! – Miejscowy pstryknął palcami. – Auto nawaliło? Pan nie stąd...

– Kolegę chciałem odwiedzić. – Lajewski postarał się teraz brzmieć bardziej po polsku. Skoro ten facet sam go zagadywał, była okazja, by dowiedzieć się czegoś bez wzbudzania sensacji. – Byłem przejazdem. Jadę z Kielc i nadłożyłem drogi, bo tu mieszka mój kupel... Gucio... Kiedyś u niego byłem, ale zapomniałem, jak tu się jedzie. Zmęczony byłem i wpadłem do rowu. – Pokazał na siniaki i brud, prezentując się bardziej sprzedawczyni niż mężczyźnie, odgrywając jego scenariusz. Dagmara jakby odetchnęła z ulgą, że nie ma do czynienia z kloszardem, który mógłby ją napaść.

– No to ma pan pecha. – Kobieta uśmiechnęła się nawet sympatycznie. – Jedyny Gucio... to znaczy Gustaw, tak? Nasz pan doktor, tutaj mieszka. Na górze, w lesie. – Ekspedientka śpieszyła z wyjaśnieniami z samej tylko dobroci albo skłonności do plotek w nudny, upalny dzień.

– No, to tam, tam, za kościołem na wzgórzu trzeba, a potem jeszcze wyżej... – włączył się pulchny facet, gorliwie opisując trasę. – Pan był, to pan odnajdzie. Ale dzisiaj pana doktora jeszcze nie widziałem. – Podrapał się w głowę.

– O, to znaczy jest w domu. – Lajewski starał się ukryć satysfakcję. – No to będę musiał odwiedzić. Pięknie państwu dziękuję.

Zapłacił za sok i wyszedł. Za węglem usłyszał tylko wyrażoną przez pannę Dagmarę wątpliwość.

– Do kumpla jedzie i co? Numeru telefonu nie ma?

– Nie wiem. Daj fajki. – Urzędnik nie brzmiał już tak jowialnie.

Mychajło rozejrzał się wokół. Nad sklepem była zamocowana czarna kula kamery. Ukraińiec szybko się odwrócił. Niedaleko sklepu była otwarta brama, prowadząca na podwórze, do niewielkiego magazynu na dostawy. Parkował tam granatowy volkswagen jetta. Pułkownik skręcił prawie pewien, że nikt go nie spostrzegł.

Począł, aż klient wyjdzie ze sklepu. Patrzył za nim. Mężczyzna się rozglądał, palił i wybierał numer jednocześnie. Był przedziwnie nerwowy. Ale pułkownik nie miał czasu, żeby się zastanawiać. Ruszył do tylnych drzwi, bacząc, czy nie widzi go żadna inna kamera. Wślizgnął się przez uchylone wejście i dotarł aż do głównego pomieszczenia. Dagmara stała tyłem, oparta o ścianę. Grzebała w komórce. Nie usłyszała go. Nie patrzyła w mały ekranik z obrazami monitoringu.

Mychajło doskoczył do niej bezszelestnie. Wyprowadził cios w potylicę, tak jak go uczono. Dziewczyna osunęła się nieprzytomna. Mężczyzna złapał ją za rękę i sprawnie odciągnął na zaplecze. Przeszukał kieszenie jej spodni i, tak jak sądził, znalazł kluczyki do auta.

Wybiegł na podwórze. Zawahał się. Zastanawiał się chwilę, czy aby nie powinien zamknąć sklepu i dla pewności skrupować dziewczyny. Dał sobie jednak spokój. Miał bardzo mało czasu. Wsiadł do auta, zapuścił silnik i ruszył, wzbijając chmurę kurzu. Starł sobie przypomnieć opis drogi, jaki mu podał usłużny mieszkaniec.

*

– Odpierdoliło mu! – Brodaty łysy olbrzym przy ekranie panelu drona aż podskoczył w miejscu.

– Uspokój się, Salim. – Linberg płonęła z wściekłości wewnątrz, ale nie zamierzała pokazywać tego swoim ludziom. Była kobietą w islamskim świecie i, choć już teoretycznie wyzwolona i zaprawiona w walce, musiała dbać o wizerunek. – Zabierz drona. Niech go śledzi...

– Skurwiel to wie. Jedzie za szybko – tłumaczył łysy, manipulując dżojstikiem.

– Nie zgub go, tyle nam trzeba – rozkazała. – Panowie! – krzyknęła, uchylając drzwi. – Ruszamy na miejsce. Likwidujemy ich.

– Wszystkich? – Twardziel z szerokim karkiem zadał ważne pytanie. Quadira musiała się zastanowić. Nie wiedziała, czego w takiej sytuacji życzyłby sobie „Wirtuoz”.

– Chochoła oszczędzić – zdecydowała. – No chyba że wariat będzie się stawiał.

*

– Nie zdążymy. – Pawlicki był pewny swoich słów. Trzymał się za głowę i patrzył na ekran komputera „Gandiego”. Ludzie z Gospodarstwa dotarli do zapisów kilku kamer we wsi. Między innymi w jednym ze sklepów.

Wigler analizował wszystko z wielką szybkością i coraz większą obawą. Wiedział, że wszyscy na niego patrzyli. Chcieli, by coś zrobił, ale nie śmieli się odezwać.

Patrycja Ross rozmawiała z miejscowym gliną albo jego kuzynem. Spisali się jak należy, choć ze strzępków rozmowy wynikało, że nie takiego gościa spodziewali się miejscowi.

Konrad sięgnął po telefon i wybrał numer. Połączenie było natychmiastowe.

– Szeffie? – odezwał się informatyk.

– Nagrywaj wszystko na tym nowym telefonie Siergieja.

– Z tym numerem od Izraelczyków?

– Dokładnie. Możesz?

– Szeffie, to dziecinnie... – Wigler przerwał połączenie.

Odszukał w zapisie wiadomości numer, jaki zgodzili się podać Izraelczycy. Nabrał powietrza w płuca. Jeszcze walczył z wątpliwościami. Ryzykował, że spłoszy wszystkich, którzy brali udział w tej walce. Że „Aman” wpadnie w panikę i ucieknie. Może w rozpaczy zabije zakładników, a potem targnie się na swoje życie. Jakaś jego część,

mówiła, że Siergiej nie jest zły. Mógłby się podejrzewać o naiwność, ale wierzył jak zawsze instynktowi. Zadzwonił. Czekał długo, ale się połączył.

*

Auto wspinało się wolno pod górę, ciągnąc warkocz kurzu. Obłok wychodził ponad wierzchołki brzoź i wisiał tak kilka chwil, niemącony najmniejszym podmuchem wiatru.

Mychajło Lajewski był czujny. Wiedział, że robi za dużo hałasu, ale nie miał już wyboru. Zatrzymał wóz w połowie drogi. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł. Było absolutnie cicho. Nawet obecne w okolicy ptaki gdzieś odfrunęły, bojąc się tego, co nadchodzi.

Pułkownik wziął broń, odbezpieczył i schylony zaczął się wspinać, wciąż trzymając się cienia. Intensywnie rozmyślał nad tym, co mu grozi. Obawiał się pułapek, jakie Siergiej mógł przygotować. Jednak parł pod górę. Uspokajał siebie, że zbieg nie ma czasu na bawienie się w partyzanta. Był zmęczony i nie spodziewał się rychłego wykrycia.

Przez zieloną bryłę, jaką tworzyły konary drzew, zaczęły przebijać się elementy domu. Wydawał się sielankowy, spokojny. Nie było wokół żadnego ruchu. Ukraińiec stwierdził zgodnie z prawidłami sztuki, że podejście jedyną ścieżką będzie błędem. Przeszedł na łąkę, kierował się ku ścianie lasu, chcąc obejść domostwo i upewnić się, że nic mu ze zagraża.

Biegł coraz szybciej, kryjąc się co chwila za pniami. Pot oblepiał mu plecy, ale napędzał go strach, że reszta ekipy niedługo sama znajdzie drogę do domu lekarza.

Przecisnął się przez ogrodzenie z płataniny krzewów, robiąc to najciszej, jak umiał i jak uczono go na kursach. Przystanął, patrząc w połyskujące słońcem okna. Nie dopatrzył się zagrożenia. Wyszedł więc z zieleni i w kilku susach dopadł do ściany budynku. Nie było szansy wdrapać się na wysoką podmurówkę. Do okien było też za wysoko. Zaczął więc skradać się przez ogród, jeszcze bardziej skupiony i ostrożny.

Wyszedł zza węgła na plac przed budynkiem. Spozrzegł drzwi. Były zamknięte. Nie uspokajało to Mychajła. Wprost przeciwnie. Był sam, na nierozpoznanym terenie z przeciwnikiem, który mimo wycieczenia był groźny i dobrze się ukrył. Lajewskiemu nie pozostawiono wyboru. Zbliżył się do wejścia. Rozglądał za czymś, czym mógłby wyważyć drzwi. Pozostało tylko najprostsze wyjście. Pułkownik wymierzył w zamek i wtedy usłyszał z za pleców.

– Po co niszczyć? Tu jestem.

Lajewski obrócił się w jednym skoku, z sercem podchodzącym do gardła. Odruchowo wymierzył broń, ale zawahał się zaskoczony. Na tle lasu, na skalnym wypuszczeniu stał Siergiej Wylichtewicz. Oślaniał się dziewczyną, trzymaną za szyję ramieniem. Była słaba, blada, wręcz sparaliżowana lękiem. Dostała się pomiędzy dwóch ludzi, których walka wywróciła jej świat do góry nogami. „Aman” wycelował w Mychajła.

Stali tak chwilę, mierząc do siebie z broni i przyglądając sobie nawzajem. Iwona oddychała coraz szybciej, źle znosząc to dobijające napięcie.

– Puść ją. – Lajewski odezwał się pierwszy, kiwając głową na dziewczynę.

– Tak się martwisz o niewinnych cywilów? – Wylichtewicz zakpił, z manierą zubożniałego sadysty. Ta zmiana przeraziła Iwonę. Zamilkła bliska obłędu. – Gdyby nie ona, już byś strzelił, czyli jednak miewasz dobre odruchy. Albo zawahałeś się. Czemu? – zapytał Siergiej.

– Poddaj się. Moskale cię namierzeli. Mogą być tu w każdym momencie.

– Moskale mówisz... – „Aman” wykrzywił usta w uśmiechu. – Więc czemu do mnie celujesz? – Ręka Mychajła drgnęła. – A może to ty jesteś Moskal?

– Bredzisz... – Lajewski zaczynał tracić opanowanie.

– Przyjechałeś z nimi! – warknął Siergiej. – Od początku z nimi się trzymałeś, tak? Ale dlaczego?! Co ja ci zrobiłem? Czemu musiała zginąć Elżbieta?! – Uciekinier wpadł w furję.

Sporowokowany tym wybuchem Lajewski porzucił resztki skrupułów. Siergiej dostrzegł błysk w oku wroga i ten nieznaczny ruch mięśni. Sam zadziałał szybciej. Odrzucił półomdlale ciało dziewczyny za nieduży murek z łupków. Sam przypadł ziemi, klęczając, i uniósł pistolet. Strzelił. Mychajło też miał ciągle dobry refleks. Uskoczył. Kula rozłupała belkę na ścianie za nim. Strzelił, odskakując w bok, ścigany pociskami „Amana”. Jego kule wybijały fontanny ziemi i łupały w drzewa. Jeden pocisk chyba nawet musnął Siergieja, ale ten nawet nie zwrócił na to uwagi. „Aman” był celniejszy. Trafił pułkownika w przedramię, kiedy ten właśnie chował się za róg domu.

Syk Lajewskiego zginął w długim, powtarzającym się echu wystrzałów niewytłumionej broni Siergieja.

– Skurwielu! Teraz już wiedzą! – darł się pułkownik, na przemian zaciskając ranę i usiłując wymienić magazynek. – Zaraz tu będą!

„Aman” nie odpowiadał. Odciągnął Iwonę za ramiona w górę lasu.

– Uciekaj do szosy, do wsi – szepnęła prędko, wciskając w jej dłoń telefon.

– A ty?

Bała się o nieznanego oficera z Ukrainy. Nie wyklinała Siergieja, że użył jej jako żywej tarczy, by zaskoczyć tamtego. Może nawet rozumiała, że Wylichtewicz potrzebował świadka. Kogoś, kto opowie kiedyś jego wersję historii.

– Więcej, dziewczyno, ja muszę... – W dole wzgórza dało się słyszeć ciężko pracujące silniki. – Więcej. Zaraz będzie tu gorąco.

*

– Hubert, Piotrek i „Gandi” ze mną – rozkazał Konrad, dopinając kamizelkę kuloodporną. – Wasza trójka zamknie szosę do wsi. – Wskazał na swoich. – Panowie, wchodźcie od południa. Od lasu, jeżeli będą uciekać, to tam.

– A pan? – zapytała Patrycja Ross.

– Ja? – Uśmiechnął się nieznacznie. – Idę to dokończyć. – Przeładował pistolet maszynowy MP5 z tłumikiem i pognął do auta.

*

Zespół pięciu rosyjskich facetów wkroczył na posesję, nie opuszczając broni. Celowali w każdy załom, zgodnie ze sztuką.

– Mam! – Ten z tatuażami na szyi wynurzył się za róg domu i natknął na Lajewskiego. Pułkownik siedział na ziemi, dysząc i krwawiąc.

– Fiut uciekł do lasu. – Wskazał na wzgórek, ale wielkolud nic sobie z tego nie robił. Czarny wylot lufy jego karabinku ciągle mierzył w twarz oficera.

Za plecami siłacza pojawiła się Anna Quadira Linberg. Oddychała ciężko. Też dzierżyła broń. Krótki pistolet. Jej spojrzenie było dzikie i wściekłe.

– Powinam cię ubić tu i teraz, chochole. – Pogroziła bronią i splunęła. – Miałeś na nas czekać, skurwysynu. Wszystko zjebałeś. Dlatego kazali mi tu przyjechać. Zaryzykować wszystko, co osiągnęłam, żeby dopomóc takim kretynom jak ty. – Podeszła bliżej. – Siedź tu i zostaw nam robotę. – Obróciła się do swojego człowieka i machnęła głową.

Śniadolicy zrobił to samo. Przyłożył mikrofon zestawu słuchawkowego do ust i wydał polecenia.

– Idziemy w górę, w las. Ja i „Amur” idziemy z prawej. Pilnować się! – Ruszył wolno, jak zahipnotyzowany, celując w cień rzucany przez drzewa.

*

Decyzja o pozostaniu na wzgórzu była odważna albo niezmiernie głupia. Siergiej „Aman” Wylichtewicz nie miał zbyt wiele czasu, by rozstrzygnąć, która z tych opcji była prawdziwa. Zdecydował. Musiał to zakończyć. Bał się obdarzyć zaufaniem człowieka, który wykonał do niego telefon, ale nie miał innych pomysłów. Był zmęczony i obolały. Skoro w panicznym odruchu użył Iwony, musiał ją osłonić. Dać jej czas, żeby uciekła.

Pierwszy pojawił się z lewej. Schodził ostrożnie po zasłanym ściółką zboczu. Siergiej krył się pod skalnym nawisem. Ostrożnie wyciągnął magazynek. Zostało mu zaledwie kilka kul. Zapas miał w kieszeni. Musiał być ostrożny i dokładny. Oparł dłonie o wystający ze zbocza korzeń. Czekał, aż tamten wejdzie w zasięg skutecznego strzału. Tymczasem, gdzieś z innej strony, rozległy się kroki. Szli na niego i było ich więcej, a „Aman” nie miał pojęcia jak wielu.

Powinien siedzieć w półmroku, czekając na odsiecz, ale wróg był sprytny. Mężczyzna z lewej zszedł ze wzniesienia w płytki jar i kiedy tylko jego wzrok powędrował na szary kamień, obrócił się cały w tym kierunku. Siergiej drgnął. Tamten to dostrzegł albo coś mu podpowiedziało, że patrzy na cel. Przemówił do radia. Wtulił broń mocniej w ramię i po prostu zaczął strzelać, nie zwalniając kroku. Ołów zasypał ściółkę, odbijał się rykoszetami do skały. Wylichtewicz przez chwilę był pewien, że jest po nim. Instynkt i szkolenie znowu brały górę. Cofnął się w najdalszy kąt, czekając na bolesne ułknięcie pocisku, ale zdołał wycelować. Podniósł nieco lufę, wiedząc, że cel się zbliża. Ściągnął spust. Huk wypełnił dolinę. Pistoletem szarpnęło.

Wielki oberwał i stanął zaskoczony. Jeden pocisk ugodził go pod szyją. Drugi minął. Ta chwila zawahania starczyła, by Siergiej trzeci nabój wpakował facetowi w twarz. Napastnik opadł na kolana, potem legł na plecy. „Aman” dopadł do umierającego i wyrwał mu z ręki broń, odpinając zatrzask pasa. Chciał sięgnąć po magazynki z ładownicy na brzuchu martwego. Karabinek był lepszym narzędziem do walki niż pistolet z zaledwie jednym magazynkiem.

Za plecami ktoś krzyknął. Siergiej przeskoczył na bok i położył się, waląc na oślep w źródło głosu, trzymając automat w wyciągniętych dłoniach. Na leśnym zboczu zakotłowało się od dymu i odłamków gałęzi. Z naprzeciwka błysnął ogień. Teraz pociski cięły powietrze w obu kierunkach. Siergiej turlał się, czując, jak ziemię za nim szarpie gorący ołów. Zatrzymał się i spróbował wypalić. Wcisnął spust, ale nic się nie stało. Ukraińiec poczuł zimny dreszcz.

Wróg też przestał strzelać. Siergiej widział już ciemną sylwetkę na tle białego dymu. Wiedział, jak działają tacy ludzie. W walce nie było czasu na ładowanie. Należało użyć drugiego egzemplarza broni. Olbrzym sięgał do kabury. „Aman” wstał, gnany życiodajną energią adrenaliny. Złapał karabinek oburącz. Z wrzaskiem natarł na tamtego. Ten widok musiał zadziwić, bo napastnik stracił kilka sekund. Ale jednak strzelił. Celować do ruchomego celu było trudno, brodacz walił więc na oślep. Siergiej wspiął się na wzniesienie, przemknął między pniami i skoczył z bronią trzymaną niczym pałka ponad głową.

Cios padł na ramiona tamtego. Wylichtewicz nie myślał. Nie czuł już niczego. Ręce bandyty opadły, ale tylko nieznacznie. Brodaty zaklął, upuścił pusty już pistolet i zaczął szukać noża. Siergiej był zwinniejszy. Pchnął żelazem broni w policzek. Tamten syknął, zalał się krwią, ale tylko zachwiał. Ukrainiec poprawił. Raz, drugi, trzeci. Krew bryzgała mu na twarz i rękę. Zabójca wreszcie się przechylił i opadł na kolano. Tego trzeba było „Amanowi”. Zadał mocny cios w potylicę. Nie wiedział, czy zabił. Brodacz padł twarzą w ziemię. Siergiej, zataczając się z wycieńczenia, dopadł wroga, ale zawahał się. Nie wiedział, czy ma go dobić, czy szukać amunicji. Wybrał to drugie. Przewalił ciężkie ciało, dobierając się do magazynków, kiedy wystraszył go głośny wystrzał. Wylichtewicz zadrzał pewny, że ktoś do niego strzela. Osłonił się natychmiast cielskiem zabójcy.

Kilkadziesiąt metrów wyżej, między pniami smukłych drzew, stała ciemnowłosa kobieta. Trzymała za włosy przerażoną Iwonę. Kelnerka płakała i poruszała ustami, ale nie potrafiła już nic powiedzieć.

„Miałaś uciekać” – zganił ją w myślach Siergiej. Nie rozumiał tego, co się wokół niego się wyprawia. Obok dwóch kobiet pojawiło się jeszcze trzech napakowanych osiłków. Celowali spokojnie, czekając na komendę. Siergiejowi chciało się wymiotować. Okrutnie się zmęczył i dobijał go szok. Wystawił na zagrożenie niewinnego cywila. Czarnowłosa nie pasowała do wizerunku twardych morderców, ale wyglądała na bezwzględną. Jej jczy pałały mordem. Nie była też sama. Pojawili się kolejni uzbrojeni faceci.

– Dość – zawołała po rosyjsku, przyciskając pistolet do skroni nieszczęsnej kelnerki.

Za skałą wyrastającą w lesie słychać było odległy warkot silników. Zerwał się wiatr. Niósł dziwnie niepokojący, odległy szelest gdzieś z doliny za Wylichtewiczem. Zrozumiał, że odsiecz jest blisko, ale on jej nie doczeka.

Czarnowłosa syknęła do wielkoluda obok. Facet uniósł broń. Zacisnął tylko palce na osłonie lufy swojego karabinka, kiedy siłacz obok niego wygiął się nienaturalnie, coś stęknął i zwałił się w ściółkę. Siergiej drgnął, jakby to on dostał.

Dwaj pozostali zabójcy, zaczęli pruć seriami po krzakach wokół, zasnuwając wszystko dymem, kurzem i odłamkami drewna. Jeden z oprawców krzyknął, dodając sobie animuszu albo chcąc wystraszyć cel, ale na niewiele się to zdało. Opuściły go siły i z palcem ciągle zaciśniętym na spuście osunął się ze wzniesienia. Ostatni z przybocznych Quadiry, porzucił chęć do walki i zaczął szukać kryjówki, usiłując biec pochylonym. Zrobił kilka kroków i grzmotnął na ziemię trafiony. Ciemnowłosa została sama, kręcąc się i strzelając co rusz w każde podejrzone miejsce.

Siergiej otrzeźwiał. Skoczył przed siebie. Kobieta go dostrzegła, kiedy był kilka metrów przed nią. Strzeliła, ale chybiła o centymetry. Puściła Iwonę, łapiąc pistolet obiema rękoma. Było za późno. Teraz „Aman” wydał z siebie bojowy ryk, rzucił się na kobietę z taką furją, że się przewróciła.

Nie było miejsca na litość. Siergiej bił pięścią po twarzy, póki tamta nie przestała się ruszać. Zmęczenie go obezwładniało. Oddech grzął w piersi. Słaba dłoń zawisała w powietrzu.

Przed twarzą Siergieja stał Mychajło Lajewski. Celował z broni prosto w jego nos. Dłoń pułkownika była pokryta strużkami krwi.

– Powinieneś być mnie od razu zastrzelić. Ale ty wolałeś się bawić.

– Czekaaj! – Siergiej zdecydował się na wypowiedzenie ostatniej w życiu prośby. – Powiedz dlaczego. – Lajewski wytrzeszczył oczy. Potem na jego twarzy pojawiła się wściekłość. – Pytam pana, pułkowniku... Czemu chcesz mnie upolować? Może nie mnie? Może resztę chłopaków? Tylko czemu zabiliście dziewczynę?

– Nie ja ją zbiłem – warknął Mychajło i potrząsnął bronią z tłumikiem. – Nie chciałem tego. To oni. To miejscowe durnie... – Przełknął ślinę. Gapił się w swoją przyszłą ofiarę, opuszczając broń, jakby zaczęła mu ciążyć. Jakby uświadomił sobie coś, co zaczęło go przygniatać. – Ty naprawdę...? – Pojął w ułamku sekundy, że wszystko to, co doprowadziło ich obu do tego miejsca, było niepotrzebne. Cały strach i wysiłek były bez sensu, tylko zniszczyły mu życie.

– Rok 2015. Lato... – Pokazał dłonią na twarz. – Nie poznałeś mnie? – Nie potrafił uwierzyć.

Siergiej usilnie szukał w pamięci jakiegoś śladu znajomości, ale niczego takiego nie potrafił odnaleźć.

– Batalion gwardii narodowej miał osłaniać skrzydło którejś z donbaskich brygad na przeciwko Krasnotorieńska. Dokuczały tam baterie artylerii i gradów. Rozważano nawet większą operację zaczepną, nawet kosztem naruszenia rozejmów. Separatyści podciągali odwody do uderzenia na wasze pozycje. Miała to być potyczka, karta przetargowa przed ostatecznym podpisaniem zawieszenia broni. Byłeś tam, sam wiesz, jak bywało.

*

Lato 2015

Donbaski letni świt był ciepły, nawet upalny, mimo osłony drzew i moczarów usychających po wielotygodniowym skwarze. Mijająca noc nie dała ukojenia.

Siergiej Wylichtewicz szedł rażno, choć czuł, jak pot zalewa jego ubranie, w tym bluzę brytyjskiego pustynnego wzoru, jaka nadeszła z kolejną porcją pomocy gdzieś z Polski. Demobil, który pchano, jak tylko się dało, na front, do walczącej Ukrainy i jej tysięcy ochotników, bardziej chętnych, by bronić ojczyzny niż zawodowe wojsko.

Siergiej już przywykł i nie przejmował się zbytnio. Cuchnął niemilosiernie. Miał długą brodę, polepione od brudu długie włosy,

schowane pod amerykańskim hełmem. Najważniejszy był zapas amunicji do AK-74 i woda. Nic więcej go nie interesowało, choć nie pogardziłby ciepłym śniadaniem.

Za jego plecami, tam gdzie w ordynku szła reszta drużyny i plutonu, rozniósł się jęk odpalanych czołgowych silników. Dreszcz przeszedł przez ciało Ukraińca. Spojrzał na kumpla, który szedł pierwszy, prowadząc szpicę. Uśmiechnęli się do siebie anemicznie. Imponowała im siła, jaką zebrano na tym odcinku, ale bali się nadchodzącego starcia. Kilka długich miesięcy wystarczyło. Siły ochotników też kiedyś musiały się wypalić.

W akompaniamencie gangu motorów skręcili w przesiekę prowadzącą na północ. Sami ją wydeptali, mieszkając na pozycji niczym w domu. Nad horyzontem pojawiła się żarząca się nie mającego wzejść słońca. Jej migoczące fragmenty przebijały się między gęstwiną pni i zarośli. Intensywność barwy oznaczała, że także ten sierpniowy dzień będzie pogodny i gorący.

Idący na przedzie dał sygnał dłonią, by reszta zachowała czujność. Wróg był sprytny, potrafił tyle, co oni, albo jeszcze więcej. Lubił zakradać się przez bagna i zastawiać pułapki. Dlatego zadaniem grupy było zablokowanie tego kierunku i czekanie na ruch separatystów w zasadzce.

Drużyny najpierw przykucnęły, wyczekując niespodzianek. Było dość cicho i ten spokój mącił tylko hałas ciężkich wozów. Idący na przedzie „Makarov” machnął i całość ruszyła dalej. Po kilkunastu metrach zaczęli przedzierać się przez pas wysokich krzewów. Szli szeroką ławą, omijając zbyt uczęszczane dukty. Mogli nazywać siebie już weteranami, którzy rozumieli, jak łatwo o „niespodziankę” na byle ścieżce.

„Makarov” gwizdnął. Siergiej wiedział, co to oznacza. Przywarł do najbliższego drzewa, wymachując dłonią, by reszta się zatrzymała. Kumpel syknął dwa razy, przywołując Wylichtewicza. Zanim ten dźwignął się z miejsca, od czoła doleciały go słowa rozmowy. Zaintrygowany, przebił się przez gęstwinę, nie przejmując się hałasem łamanych gałęzi. Wyszedł na podłużną polanę zawaloną wiatrołomami i pokaleczoną paroma lejami po pociskach. W cieniu przeciwległej części lasu stało auto. Terenowy SUV,

chyba toyota, miał na antenie przypiętą ukraińską flagę, a przez jej maskę przechodziły dwa białe pasy tak zwanej szybkiej identyfikacji.

– Siergiej! – „Makarov” zawołał kolegę. Stał przy wozie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Młodszy był brunetem. Wydawał się skupiony. Drugi, o dobre piętnaście lat starszy, był mocno siwy i tęższy, z twarzą poznaczoną licznymi zmarszczkami. Wydawał się bardziej niespokojny, jakby zaskoczony spotkaniem. Obydwaj faceci nosili letnie mundury ukraińskiej armii. Bez kamizelek, długiej broni ani nawet hełmów. Obydwaj byli oficerami. Młodszy był kapitanem, starszy pułkownikiem, ale nie przeszkodziło to zwiadowcy domagać się dokumentów i pytać, co tych dwóch tu właściwie robi. Starszy wysłuchał żądań, po czym zaczął reprimendy. Ale „Makarov” nic sobie z tego nie robił. Krzyczał i machał bronią. Wreszcie obrócił się i machnął na Siergieja.

– Aresztujemy. Na pewno szpiony – warknął i uniósł broń. Starszy zmienił ton, zaczął prosić. Brunet milczał, taksując obu żołnierzy wzrokiem.

Od wschodu huknęło echem salwy. Nie było to nic dziwnego w tej okolicy. Ale poranne niebo przeszył świst nadlatujących pocisków. Frontowi wiedzieli, że coś pędzi w ich kierunku. Starszy był tu chyba nowy albo nie pamiętał zasad, bo spóźnił się z reakcją. Siergiej padł. Pociski uderzyły w polanę. Wyrosło pięć pióropuszy dymu i ziemi. Wszystko wokół wirowało. Ziemia jęknęła, a w tyle słychać było trzaski łamanych drzew. Potem dźwięki zlały się w jeden hałas. Zrobiło się goręcej i ciemno. Cuchnęło spalenizną i kordytem. Smród wdzierał się w nozdrza i dosłownie palił. Chaos salwy przemijał. Pozostał tylko szum i trzask opadających kamieni. Siergiej zaczął napinać mięśnie, sprawdzając, czy został gdzieś ranny. Z ulgą przyznał, że jest cały. Podniósł głowę, przypominając sobie o reszcie.

Auto płonęło, rozerwane jak pąk kwiatu. Siergiej nie widział starszego faceta. Za to „Makarov” leżał bez ruchu. Ten drugi gdzieś zniknął. Siergiej dopadł do zalanego krwią, brudnego od ziemi kumpla i zaczął go odciągać ku nadbiegającym żołnierzom.

*

Lato 2022

„Aman” klęczał i gapił się na Mychajłę.

– Szpiony – powtórzył słowa „Makarova” sprzed siedmiu lat.

– Tak bywa, stary... – Lajewski wzruszył ramionami. – Nie wiem, kto strzelił, ale ta salwa mnie uratowała. Mój oficer prowadzący poszedł w diabły. Mnie rzuciło w las i zwałem w zamieszaniu. Miałem fart, bo nawet mnie nie drasnęło. No bo jak bym się wytłumaczył z ran?

– A ja cię nawet nie zapamiętałem! Los jest czasem cholernie okrutny, zdrajco!

– No, już, już... – Pułkownik pogroził pistoletem. – Zawsze byłem bardziej rosyjski niż ci, co teraz w Kijowie... Po tym wszystkim, nawet długo po... szukałem, jaki oddział natknął się na moje spotkanie. Chciałem poszukać świadków. Rozumiesz? Zabezpieczyć się. Znalazłem, ale dowiedziałem się, że był meldunek o napotkaniu dwóch podejrzanych osób, które zginęły w ostrzale. Wiem, że nikt nie drążył tematu.

– Ratowałem kolegę – obruszył się Siergiej, jakby problemy pułkownika nie były dla niego ważne.

– Udało się?

– Tak. Ale co ciebie to interesuje? – Zacisnął pięści. – Narobiłeś gówna, panie pułkowniku. Przez ciebie zginęła niewinna osoba i po co? Żebyś mógł kryć własną dupę? I tak cię znajdą. Jak się wyłgasz? Jak wytłumaczysz, że się tu znalazłeś?! U was wojna jest przegrana. Każdego szpiona będą odławiać po kolei. Gdzie się ukryjesz?

– A choćby w Belgii. W Mons, w dowództwie naczelnym NATO. – Mychajło podszedł bliżej jeńca i pochylił się, grożąc glockiem. – Tak, tam miałem być skierowany. Warszawa to przystanek. Kraj frontowy. Za duszno, za duży nadzór, ale i tak dałem radę. I ty o mało tego wszystkiego nie popsujesz. Bałem się, że zaraz mnie sprzedasz, ale wyparłeś mnie z pamięci. Jeden stres zasłania drugi. Poharatały cię chłopaki z WDW? – dodał z sadystyczną satysfakcją.

– Kutasie, i tak przegracie! – Siergiej zacisnął zęby i zrobił ruch w przód, ale zimna stal tłumika przytknięta do czoła go zatrzymała.

– To już nie twoje zmartwienie – westchnął pułkownik. – Ja sobie poradzę. Złapałem przecież ruskich. – Wyciągnięta broda wskazała nieprzytomną kobietę. – Urwałem się Polakom, bo jestem dobry i wiedziałem, gdzie cię tropić. Znam twoją teczkę. Twój życiorys. Nie trudno będzie przekonać innych, że ci odjechało. Na froncie w 2015 i teraz. Klepka ci się przestawiła. W szpitalu uznałeś, że masz dość. Bierzesz swoją babę i wiejecie. Była twoim łącznikiem z miejscowymi zbrojami. To podobno była ćpunka i lafirynda, mogła mieć takie dojścia.

– Ty... – Na ustach Siergieja pojawiła się piana.

– Siad! – Lajewski kopnął „Amana” w bok. Chłopak zawył z bólu i skulił się bliski płaczu z cierpienia i niemocy. – Umówiłeś spotkanie, akurat jak wpadłem z wizytą. Ale jesteś czub. Coś poszło nie tak i pozabijałeś wszystkich, których mogłeś. Nie dogadałeś się co do ceny albo dziewczyna nie była ci potrzebna. To nieważne. Zapytasz, skąd wiem. No przecież jak próbowałem cię załatwić pod konsulatem, po tym, jak wypchnąłeś mnie z auta, pogadałem z jednym z tych miejscowy debili, za nim skróciłem jego męki. Mogę zmyślić wszystko. A że oderwałem się od Polaków. Cóż, chciałem, żeby ta sprawa nie psuła obrazu ukraińskiej armii. Wiedziałem, że szkolił cię Izrael, więc poszukasz dojścia do nich i pomocy, kiedy zrozumiesz, że za dużo narozrabiałeś.

– I przypadkowo natrafiłeś na nią, co? – Prawie rozbawiony Siergiej wskazał głową za siebie.

– A to już nie moje zmartwienie... Lachy dały dupy. Ja kręciłem się po żydowskiej dzielnicy, natykając się na strzelaninę, a ta piękność – pokazała lufą – kazała mnie zgarnąć. Nie ubili mnie, bo taki jeniec jest dla nich cenny. Wozili mnie, bo nie mieli mety. Mogę nie znać szczegółów. Potem ty się wyrwałeś, a oni w jakiś sposób znaleźli drogę. No, ale chciałem ratować rodaka i zakładników. Nawet mnie postrzelili. – Pokazał zranione ramię. – Ale nie udało się uratować ciebie. Żegnaj, Siergieju. Witaj, Belgio...

– Naciągane to. – „Aman” jeszcze podniósł rękę w ostatniej próbie uratowania życia. – Wpadniesz na szczegółach.

– Możliwe... – odparł Lajewski. – Ale jestem dobrze wyszkolony. Muszę trzymać się scenariusza. Nabroileś, ale ja dam sobie radę. – Wysunął broń przed siebie.

– Nie sądzę. – Głos Wylichtewicza był tak pewny i silny, że Mychajło jeszcze na moment poniechał morderczego zamiaru. Siergiej odważnie podniósł głowę, ignorując ból. – Przegrałeś. A cała historia to bajka. – Ostrożnym ruchem sięgnął do kieszeni, pokazując obity teraz, ubrudzony, ale ciągle działający telefon, który zabrał doktorowi. – Cały czas trwało połączenie.

Mychajło Lajewski zachwiał się i zbladł.

– Skurwysynu... – jęknął. Znowu uniósł glocka, ale nie zdążył strzelić. Iwona trafiła go kopniakiem w tył kolana. Pułkownik się zachwiał. Chciał strzelić teraz do dziewczyny, ale ciało oficera przeszła kolejna tego ranka kula. Nikt nie słyszał strzału, nie znał kierunku, z którego padł.

Pułkownik przewrócił się na plecy, z wybałuszonymi w szoku oczyma. Chciał coś mówić, ale tylko niemo poruszył ustami, łapiąc powietrze. Siergiej zerwał się, chcąc dokonać zemsty na oficerze, ale Lajewski był na tyle przytomny, że zdołał wystrzelić. Siergiej padł, brocząc krwią z głowy draśniętej kulą. Lajewski ocknął się, zmuszony instynktem walczyć o przetrwanie. Zaczął uciekać, wiedząc, że w ruchu będzie trudniej go trafić. Zaczął się wspinać na zbocze w kierunku domu. Ścigały go pociski wytłumionych karabinków, póki Konrad Wigler nie krzyknął:

– Wstrzymać ogień! – ledwo krzyknął, wycieńczony biegiem pod górę. – Zajmijcie się nimi! – wrzasnął do mikrofonu i wskazał ludziom rannych, pozostawionych na placu walki. Sam z Hubertem popędził dalej, gonić Lajewskiego.

Pułkownik uciekał napędzany wolą przetrwania, choć teraz już nie miał żadnego planu. Chciał tylko wydostać się z okrążenia. Sturlał się ze wzniesienia. Pokaleczył o skały w przydomowym ogrodzie. Wciąż mógł jednak biec. Od drogi nadchodzili kolejni przeciwnicy. Nie miał z nimi

szans. Cofnął się, obiegnął dom i przeciął ogród, zmieniając kierunek. Naiwnie liczył, że tam czeka na niego wolność. Chwiał się coraz bardziej, z upływu krwi.

Wskoczył na podwyższenie altany. Przewalił się przez nie i dotarł na skraj ogrodu, nad skalne urwisko. Kiedy pogodził się z tym, że musi skoczyć, huknął wystrzał. Coś mocno uderzyło Lajewskiego między łopatkami. Nie poczuł bólu, tylko falę słabości. Runął twarzą w trawę na zboczu i już się nie poruszył.

Przy domu stał Gustaw Tyrp. W jego dłoniach tkwił dymiący jeszcze polski mauzer. Doktor spokojnie otworzył zamek, pozwalając, by łuska wyleciała na kamienie ścieżki i odbiła się z brzękiem.

– Rzuć to! Rzuć broń! – wyli Konrad i Hubert, obchodząc lekarza. Wigler sapał, bacząc na starą broń w dłoni doktora. Nie przewidział takiego zakończenia.

Lekarz odłożył ostrożnie zabytkową broń. Podniósł ręce i powoli obrócił się. Wyprostował się, a w jego oczach błysnęła wyższość.

– Zbieram takie cacka. Ten skurwiel napadł mój dom. – Dla niego było to proste.

Wigler i jego kompan opuścili broń. Miejscowy lekarz był po ich stronie. Zakończył pościg.

EPILOG

Pokój szpitalny (tak jak całe piętro) był dobrze chroniony. Rygor panował tu większy niż w czasie pandemii covidu. Nikt niepotrzebnie nie wałęsał się po korytarzu. Wydawało się, że skrawek szpitala przeznaczono dla jednego tylko pacjenta i poniekąd tak było. Inne sale były prawie puste. Przed tą, w której leżał Siergiej „Aman” Wylichtewicz, cały czas siedziało dwóch silnych mężczyzn z bronią długą. Nie kryli się z tym, wręcz celowo epatowali siłą. Kolejny z uzbrojonych, choć już mniej ostentacyjnie, dyżurował przed wejściem do korytarza. Oprócz tego całą dobę gmachu pilnowały dwa radiowozy. Po budynku co rusz kręcił się tajniak i sprawdzał dokumenty każdego podejrzanego człowieka na terenie.

Konrad Wigler musiał się natrudzić, by dostać zezwolenie na wejście do placówki. Sprawdzali nawet jego, emeryta służby specjalnej, którym przecież oficjalnie był.

Tego popołudnia ubrał się w sportową kurtkę i jeansy. Zabrał jako prezent trochę owoców, czekolady i kilka kolorowych czasopism. Pokazał dokumenty, oddał bagaż do przeszukania, sam też został „wymacany”. Dopiero potem mógł wejść do pokoju Siergieja.

Pacjent na widok Polaka usiadł wyżej w łóżku. Był posiniaczony i cały w bliznach. Uśmiechnął się, ale wzrok miał bardziej matowy niż kilka dni wcześniej. Podawano mu kroplówkę.

– Dzień dobry – powiedział po polsku.

– Cześć. Witaj. – Konrad odwzajemnił uśmiech. – Trochę podarków. Witaminki na zdrowie i trochę głupot do poczytania. – Odłożył pakunek na stolik, podsunął krzesło i usiadł obok. – Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję, ale powiem szczerze... Mam dość szpitali – stwierdził Ukrainiec. – Powodują pewien dyskomfort.

– Rozumiem. – Wigler pokiwał głową. – Tym razem miałeś szczęście. Rany, jak słyszałem, są powierzchowne. Bardziej jednak groźne było wycięcie.

– Możliwe, możliwe... – „Aman” zapatrzył się w pomalowane mleczną farbą okno, jakby widział tam przepiękny krajobraz.

– Iwona jest cała i zdrowa – uspokoił go Konrad.

– Wiem – odpowiedział Siergiej. – Dzwoniła do mnie. Może nawet odwiedzi... – Chyba podobała mu się ta perspektywa. – Muszę ją osobiście przeprosić.

– Tak, wypadaloby. – Wigler się zmieszał. – O ile wiem, chciała, żeby nie robić sprawy z tego...

– Porwania? Tak. Okazała mi łaskę, choć nie musiała. – Przygryzł wargę. – Mogłem... nie, na pewno spieprzyłem jej życie. – Posmutniał i opadł na poduszkę pod plecami.

Patrzył chwilę w zgaszony telewizor naprzeciwko. Konrad nie przerywał tego momentu zadumy, ale te zawieszania u Ukraińca zaczynały go niepokoić.

– Myślisz o Eli? – zapytał.

Twarz Wylichtewicza stężała. Walczył ze sobą długo. Nie chciał pęknąć przy polskim oficerze.

– Bezsensowna śmierć... – szepnął, zaciskając szczękę. Zaraz udał, że poprawia posłanie, by tylko odwrócić od siebie uwagę.

– Tak, bezsensowna – zgodził się Konrad. – Elka była dobrą dziewczyną. Miała swoje za uszami. Ale wyszła z tego. Zabrała się za siebie. Stała się uduchowiona. Wierząca. Zupełnie jak ktoś inny.

– Skąd... Skąd pan wie?

– Znałem ją. Mieszkałem kiedyś w Krakowie. Nie tak znowu dawno temu. Moje dzieci ją znały. Starsza chodziła z Elą do szkoły. Nie wiedziałem, że pracuje poza miastem. Dowiedziałem się w trakcie zadania.

Najpierw poprzysiągłem sobie, że dopadnę skurwiela, który ją zabił. Myślałem, że teoria o twoim udziale jest prawdopodobna, a potem przypomniałem sobie kilka rzeczy. Ela może patrzyła naiwnie na świat, ale potrafiła rozpoznać dobrych ludzi. Teraz, bo kiedyś gorzej jej to wychodziło. Ale wiele się nauczyła. Nie wierzyłem, że to zabójstwo w afekcie czy z zazdrości. Zazdrośni faceci nie polują na konkurencję, używając berett i tłumików. – Znów uśmiechnął się cierpko. Przysunął się bliżej. – Ani moi ani twoi nie darują ci i będziesz to wszystko opowiadał po sto razy, aż będą mieć pewność, że jesteś czysty. Z ekspozyturą z Izraela nieco przegiąłeś, choć... – Rozglądnął się, chyba świadom, że patrzy na niego kamera, a jakieś mikrofony go słuchają. – Benek zniknie, bo taki mamy z nimi układ, więc ci nie nasmrodzi. Powiedz mi tylko, czemu zacząłeś uciekać?

– Pan żartuje? – padła odpowiedź pełna niedowierzania. – Sądziłem, że to akcja specjalna GRU, FSB czy kogo tam... Nie wiedziałem, czy idą po mnie, czy po resztę. Poza tym byłem w szoku. Ela... – Wbił spojrzenie w pościel. – Ja wyszedłem z obiegu. Ona mnie uskrzydlała. Człowiek zapomniał, jak ma reagować.

– Zapomniał? – Konrad nie uwierzył. – W tym zapomnieniu dałeś radę wodzić nas za nos prawie dwie doby? No dobrze. – Dał spokój z dociekaniem, które donikąd by nie doprowadziło. – Lajewski popchnął kamień, który poruszył lawinę. Tym swoim uporem bardzo pomogłeś. Nam, swoim, całej sprawie. Doktorek ustrzelił zdrajcę, bo to raptus i wnuk ułana, ale i tak dobrze na tym wyszliśmy. Telefon... Wszystko się nagrało. Lajewski był dobry, ale jednak zbyt zadufany w sobie i za wiele mówił. Ale też to cię uratowało. Mógł cię zastrzelić w tym lesie od razu i zacząć układać legendę. Ale trafił na dobrego przeciwnika. Chciał pokazać, że jest jeszcze lepszy.

– No i pan przebiera sprawnie nogami – wtrącił żartobliwie „Aman”. – Kilka sekund spóźnienia i gryzłbym piach.

– Fakt – potwierdził Konrad. – Zdrowiej, poruczniku. Aha... Wiesz, jak cię podchodził Lajewski? Kiedy cię gonił, musiał podrzucić ci nadajnik.

Zapalniczkę. Wasi mówią, że podobne ustrojstwa działały przy kilku namierzonych transportach broni na front. Lajewski był sprytny. Dla ruskich spora strata. Tak myślę. Więcej słuchał, niż rozrabiał. A to dziś ważne. Był jeszcze jednym, tak dobrze ukrytym kretem. Oj chłopaku, tym uporem i odwagą, a może szaleństwem wiele pomogłeś. Mamy ich kilkoro. Zaraz dopadniemy rezydenta, jeżeli jeszcze nie spierdolił. Jeden z naszych został ranny, ale wyżyje. Tylko z Izraelczykami będziemy musieli się podzielić. – Zmarkotniał. – No, ale tak bywa. Polityka i handel. – Podał dłoń Ukraińcowi. – Trzymaj się, „Aman”. Może jeszcze wpadnę.

– Jak pan myśli? – zatrzymał go pytaniem Siergiej. – Przydam się jeszcze?

– Na pewno. – Konrad uniósł kciuk. – U was wiele jest do zrobienia. – Wyczuł, że młodszy chciałby spytać o jakąś wspólną, przyszłą pracę. – Ja natomiast jestem już tylko emerytem. – Mrugnął okiem i wyszedł z sali.

*

Adam Thomal patrzył zza zaciemnionej szyby auta, jak przebiega spotkanie. Betonowy plac nieczynnej fabryki. Dwie furgonetki, dwa osobowe wozy. Cisza poranka. Bez przemów, banałów i całej otoczki. Szybko, sprawnie, bez kretyńskiego pijaru. Tamci i my.

Któryś z kolegów osobnika znanego jako „Olek” przekazał niewielką teczkę swemu odpowiednikowi. Byli chyba nawet w tym samym wieku. Zamienili kilka słów. Znali się. Może nawet pracowali razem. „Olek”, z doskonale doklejoną do twarzy brodą, maskował się dodatkowo czarnymi okularami pod czapką z daszkiem. Musiał być pewny kamuflażu, skoro pokazał się ludziom z obcej służby. Zydelski skinął głową bez słowa, co dodawało spotkaniu teatralności, niczym w powieści sensacyjnej.

Kolega podniósł kciuk w stronę ludzi naprzeciwko. Drzwi obu furgonetek otworzyły się równocześnie. Tyle że ta po polskiej stronie skrywała pasażera.

Adam drgnął i przysunął się bliżej szyby. Więzień miał na głowie czarny worek. Nosił za duże ubranie: bawełniane spodnie dresowe i wielką szarą

blużę. Thomal rozpoznał jednak ten sposób chodzenia, gibkość ruchów. Anna Quadira Linberg była ciągle sprawnym człowiekiem, mimo chyba nie najłatwiejszego śledztwa.

Nie było żadnych sentymentów ani pożegnań. Dwóch tamtych ujęło kobietę pod rękę w połowie dystansu między autami i przeciągnęło do ich furgonu. Drzwi zamknęły się za więźniem. Obie strony uściśniły sobie dłonie, zapalono silniki i pół minuty potem na placu zostali tylko Polacy.

„Olek” wrócił pośpiesznie do auta. Usiadł za kierownicą i westchnął. Adam patrzył na pułkownika, czekając na jakiś komentarz. Krzysztof tylko oddychał i napawał się ciszą.

– Zadowolony? – wreszcie się odezwał, nie patrząc na podwładnego.

– Powiedzmy – odparł Thomal.

– A co, miałem ją puścić? – „Olek” źle odczytał intencje Adama.

– Nie o to chodzi! Tyle miesięcy ją... podchodziłem.

– Podchodziłeś. – Zydelski zaśmiał się rubasznie. – I nie tylko. Ale to w ramach obowiązków, jesteś rozgrzeszony. – Udał, że czyni znak krzyża w powietrzu. – Cholerny przypadek! Mogła się odsłonić. Jej szef, jego ludzie... Wyszli z cienia, bo się przerazili. Jeden Ukrop wpadł w panikę. No, ale nigdy nie ma całkowicie dobrego zakończenia.

– Ale chyba coś z niej wyciągnęliście? – Thomal był ciekaw.

– Tak, powiedzmy. – Zydelski pokiwał głową, patrząc na plac. – Ale czasu było za mało. Żydzi wiedzą o tym. Docisną tę pindę. Zna pochodzenie i układy u „ochotników” przysyłanych z Libii, Syrii, Afganistanu. Może wie coś o siatkach na Izrael. Nie tylko dupków, co leźli do nas przez Bug. To, co wydarliśmy z „Wirtuoza”, też musiałem dać. Nagrania przynajmniej. Gentlemen’s agreement. Właściwie jego by chcieli bardziej...

– Każdy by chciał rezydenta.

– To też. Ale przede wszystkim on dał pozwolenie na zaatakowanie ich oficera.

– No tak. Rozumiem. Pewnych zasad się nie łamie – skwitował filozoficznie Thomal.

– Dokładnie, Adaś, dokładnie... – Krzysztof włączył silnik i położył dłonie na kierownicy. – U nas w Grupie również. Sami powinniśmy go skasować za to, że cię wpędzili do tego rowu. No, mogli nie wiedzieć, z kim tańczą, ale wkurwia mnie to. Na naszej ziemi... – Pokręcił głową i wrzucił bieg. – Dobra, starczy. Na razie kończymy przedstawienie.

KONIEC

PRZYPISY

[1] Slangowe określenie pasa granicznego.

[2] Slangowe określenie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

[3] O działaniach „hurtowni” i wsparciu dla zespołów terenowych przeczytać można w powieści „Świt nowych czasów”.

[4] Kontroserwacja.

[5] Specjalna jednostka rozpoznawcza Sił Obronnych Izraela podlegająca Sztabowi Generalnemu.

[6] O działaniach płk. Jaszczewskiego można przeczytać w powieściach: „Scenariusz Chaosu” oraz „Scenariusz Chaosu - Na dzikich polach”.

[7] Obrażliwe określenie Ukraińców stosowane przez Rosjan.

[8] International Mobile Equipment Identity – to numer identyfikacyjny przypisany do każdego telefonu komórkowego.